

William Heffernan

Ciemna strona miasta

(Cityside)

Przekład Stanisław Głabiński

*Dla Brishen i Tess, które przybyły zbyt późno.
I, jak zawsze, dla Stacie.*

Rozdział pierwszy

Nowy Jork

Poniedziałek, maj 1975

Leżące na kolanach dłonie kobiety drżały jak skrzydełka przerażonego ptaka.

Spoglądała co chwila na zegarek, a następnie spuszczała wzrok i patrzyła na swoje ręce tak, jakby widziała je po raz pierwszy, i zastanawiała się, czy nie należą do kogoś innego. Zaciskała pięści, by opanować drżenie.

Potem podnosiła oczy i przenosiła wzrok na wiszący na ścianie zegar. W poczekalni siedziało jeszcze pięć osób. Ciekawe, co mogło je tu sprowadzać. Jakie choroby? Oczekujący czytali kolorowe magazyny i wydawali się zadowoleni z oczekiwania. Pomyślała, że być może wcale nie chcą się dowiedzieć, co ich tu sprowadza. Doskonale ich rozumiała. Doskonale.

Z mieszkania w Brooklynie wyszła o piątej trzydzieści, by mieć nieco czasu dla Roberta w szpitalu. I tak musiała go opuścić szybciej, niż chciała, by zdążyć na umówioną wizytę. A teraz siedziała tu od czterdziestu pięciu minut. Po półgodzinie odsiedzianej w poczekalni uświadomiła sobie, że spóźni się do pracy.

Wiedziała, że szef będzie wrzeszczał. Zawsze tak reagował. Jednak jej nie wyrzuci. Jeszcze nie tym razem. Ale wstrzyma wypłatę. Jak zwykle. Szukał podobnych okazji. Zaczęła sobie wyliczać, co to będzie oznaczało dla jej tak bardzo napiętego budżetu. Trudno, znajdzie jakiś sposób, by sobie z tym poradzić. Na razie liczył się jedynie syn. Tylko on, jej mały Roberto był naprawdę ważny.

Jennifer Wells zapukała lekko do drzwi. Pchnęła je i weszła do elegancko umeblowanego gabinetu w części szpitala, w której lekarze przyjmowali pacjentów. Jej młoda, ładna twarz rozjaśniona była miłym uśmiechem, jak zawsze, kiedy Jennifer stawała przed swoim pracodawcą.

Doktor James Bradford siedział za biurkiem i przeglądał prospekt pewnego domu handlowego na Florydzie. Oderwał oczy od cyfr i spojrzął przez tkwiące na końcu nosa okulary z połówkami szkieł. Na widok wchodzącej pielęgniarki uśmiechnął się lekko. Jennifer pracowała u niego już od sześciu miesięcy, ale nie spowszechniała mu, w przeciwieństwie do większości jej poprzedniczek.

Patrzył uważnie na dobrze skrojony pielęgniarski strój opinający figurę Jennifer i rozumiał doskonale, dlaczego właśnie ta osoba jest wyjątkowa. Dziewczyna miała dziś na sobie jednoczęściową białą sukienkę. Poczul lekkie rozczarowanie. Wprawdzie mógł

podziwiać idealne kształty nóg, ale o wiele bardziej lubił, kiedy zakładała spodnie i bluzeczkę. Wtedy wyraźniej widać było niebywały, wręcz fantastyczny kształt jej pośladków.

Bradford przeniósł wzrok na twarz pielęgniarki. Śliczna, a jednocześnie impertynencka. Jasne, niebieskie oczy błyszczały pod nieco zwichrzonymi blond włosami. Dziewczyna wyglądała trochę tak, jakby właśnie wyskoczyła z łóżka.

Ta myśl spowodowała, że Bradford poczuł przyływ fali ciepła. Natychmiast sam siebie skarcił. On, zwierzchnik wydziału kardiochirurgii, szanowany i ceniony profesor uniwersytetu, musiał pozostawać poza wszelkimi podejrzeniami. Jednak opanowanie się przy tej osobce było ogromnie trudne.

Doktor pozwolił sobie jedynie na zdawkowy uśmiech.

– Tak, Jennifer? – zapytał.

Panna Wells uśmiechnęła się jeszcze bardziej serdecznie.

– Pani Avalon czeka – powiedziała. – Była umówiona na ósmą.

Bradford rzucił okiem na zegarek. Wskazówki pokazywały ósmą czterdzieści pięć.

– Daj mi jeszcze dziesięć minut, a potem ją wprowadź. – Przeniósł wzrok na blat biurka. – I przynieś mi nową paczkę chusteczek.

Zauważył, że twarz Jennifer spoważniała. Domyślił się, że dziewczyna widziała akta chłopca. Zapewne współczuła dziecku.

– I jeszcze jedno. Całkiem zapomniałabym – dodała. – Maggie prosiła, by przekazać panu, że doktor Gruenwalt potwierdza spotkanie na polu golfowym w środę.

Bradford uśmiechnął się.

– Doskonale. Chyba dam mu wygrać. W tym miesiącu omawia pięć przypadków.

Jennifer parsknęła śmiechem.

– Aha, dzwoniła pańska żona. Chce, by kupił pan bilety na ten nowy show na Broadwayu, na „Czarodzieja”. Prosiła też o telefon.

– W takim razie daj mi jeszcze piętnaście minut – rzekł z wyraźną irytacją.

Jennifer uśmiechnęła się ponownie, a Bradford przez chwilę się zastanawiał, czy dziewczyna rozumie powód jego niechęci. Miała dwadzieścia pięć lat, była młodsza od niego o dwadzieścia lat. Wcale nie tak wielka różnica.

Właściwie idealna. Na myśl przyszła mu żona. Kiedyś na jej temat snuł podobne rozważania. A teraz małżonka z powodzeniem czyściła jego konto bankowe, by zaspokajać swoje zachcianki i kupować coraz droższe ciuchy.

Jennifer odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi. Patrząc za nią, Bradford ponownie poczuł żal, że nie miała na sobie spodni. Może powinien coś zaproponować. Znali się już od sześciu miesięcy. Ciekawe, jaka byłaby reakcja Jennifer.

Maria Avalon usiadła na krześle dla gości ustawionym przed biurkiem. Pełna obaw czekała, by doktor w końcu podniósł oczy znad papierów. Sprawiał na niej wrażenie człowieka bardzo pewnego siebie, kogoś, kto odnosi same sukcesy. Bardzo różnił się od lekarza, który ją tu skierował. Bradford był niemiły, wyniosły, trzymał innych na dystans, ale sprawiał wrażenie człowieka budzącego szacunek. Włosy miał przyprószone siwizną i nosił okulary z połówkami szkieł, dokładnie takie jakie widziała u lekarzy występujących w telewizji. Nawet ubiorem przypominał tych z telewizji – idealnie czysta, nienagannie wyprasowana niebieska koszula, drogi jedwabny krawat. Śnieżnobiały, również starannie wyprasowany fartuch lekarski szeleścił przy każdym ruchu. Na kieszeni na piersiach widniała plakietka z nazwiskiem. Maria pragnęła, by Bradford podniósł wzrok i zaczął mówić. Była jednak zbyt przerażona, by odezwać się pierwsza.

Doktor podniósł wreszcie głowę i zamknął akta, które przed chwilą przeglądał. Spojrzał na siedzącą przed nim kobietę i zdumiał się jej urodą. Kiedy wchodziła do gabinetu, skoncentrowany był na aktach, więc dopiero teraz zauważył, że pani Avalon ma piękną cerę koloru kawy z mlekiem, wielkie, brązowe oczy i ładne wydatne wargi. Ciemnobrązowe, przechodzące w czerń włosy opadały jej na ramiona, a przeświecające przez nie światło dzienne nadawało im odcień czerwieni. Wyglądała pociągająco, a jednocześnie niewinnie i delikatnie. Zdjął okulary i uśmiechnął się. Wydała mu się ponętna. Dyskretnie rzucił okiem na jej nogi, założone w tej chwili jedna na drugą. Domyślał się, że dobiegała trzydziestki, a więc była nieco starsza od Jennifer. Ogólnie sprawiała jak najlepsze wrażenie.

Po dokładniejszej obserwacji Bradford jednak zmienił zdanie. Przede wszystkim zauważył, że pani Avalon ma ręce kobiety pracującej, chropowate, nie pielęgnowane, noszące ślady zacięć. Poza tym ubranie. Prosta sukienka w kwiaty, niewątpliwie tania, zapewne nawet szyta w domu. A na nogach zwykle, znoszone tenisówki, zakupione bez wątpienia na wyprzedazy w jednym z tanich supermarketów.

– Przykro mi, ale nie mam dobrych wiadomości – zaczął.

Dostrzegł, że zacisnęła dłonie w pięści, pobladła i lekko przygryzła wargi.

Przestraszył się, że kobieta zaraz zacznie płakać.

– Pani pozwoli, że wyjaśnię wszystko jak można najbardziej przystępnie rzekł i dodał natychmiast: – Na prośbę pani lekarza zbadalem pani syna i potwierdziłem poprzednią diagnozę... – Rzucił okiem na akta, by przypomnieć sobie imię chłopca. – Roberto ma wrodzoną wadę serca. Urodził się z niewielkim, najprawdopodobniej wielkości główki od szpilki, ubytkiem w przegrodzie komory serca wpompowującej krew w układ krwionośny. W miarę upływu czasu otwór ulegał powiększeniu i to właśnie

jest powodem słabości chłopca i braku energii. – Bradford zaczerpnął powietrza przed przekazaniem najgorszej informacji. – Pani Avalon, Roberto umiera. To jedynie kwestia czasu. Tylko operacja może uratować dziecku życie.

Wargi kobiety zaczęły drżeć. Bradford podświadomie sprawdził wzrokiem, czy ma na biurku paczkę chusteczek. Nie znosił płaczących w jego gabinecie.

To wyprowadzało go z równowagi. Nigdy nie wiedział, jak reagować. Starał się nadać twarzy wyraz pewności i szybko zaczął mówić:

– Oczywiście, obecnie sprawa wcale nie wygląda beznadziejnie. Mamy rok 1975, a chirurgia serca jest już bardzo zaawansowana i daje doskonałe rezultaty. Serce nie stanowi dla nas takiej tajemnicy jak kiedyś. Już od ośmiu lat przeprowadza się transplantacje, a to zabieg o wiele bardziej skomplikowany niż ten, jaki należy wykonać w przypadku pani syna.

– On ma dopiero pięć lat – wyszeptła Maria. Jej broda drgała, a oczy nagle wypełniły się łzami. Najwyraźniej starała się opanować i zdusić emocje.

Bradford poruszył się nerwowo w fotelu, pełen obaw, że zaraz popłyną łzy.

– Dzieci znoszą operacje o wiele lepiej niż dorośli. Przeprowadziłem już kilkanaście podobnych operacji na dzieciach nawet młodszych od pani syna.

Wszyscy moi mali pacjenci przeżyli i teraz czują się doskonale. – Zamilkł na chwilę. – Najważniejsze, aby sprawy niepotrzebnie nie przeciągać. Stan pani syna będzie ulegał pogorszeniu i dlatego im szybciej zadziałamy, tym lepiej.

Maria zagryzła wargi, niepewna, co odpowiedzieć.

Bradford ponownie pochylił się nad aktami, po czym zrobił minę wyrażającą dezaprobatę.

– Nie widzę tu niczego na temat ubezpieczenia – mruknął. – A muszę ostrzec, że to raczej kosztowny zabieg. – Ponownie przeglądał dokumenty. Roberto będzie musiał przebywać przez jakiś czas w szpitalu. Okres pooperacyjnej rekonwalescencji jest dość długi. Do tego dochodzi koszt drogich lekarstw.

Podniósł oczy i zauważył, że mocno zacisnęła usta.

– Czy pani ma jakieś ubezpieczenie? – zapytał.

Maria potrząsnęła przecząco głową. Wahala się z odpowiedzią, jakby szukała właściwych słów.

– Mam pracę i mogę wziąć jeszcze jedną. Zapłacę. Będę co tydzień wpłacała panu ustaloną kwotę, aż spłacę wszystko – zapewniła.

Bradford patrzył w milczeniu na blat biurka. Wziął głęboki oddech, po czym ponownie podniósł wzrok na kobietę, uśmiechając się lekko.

– Pani Avalon, pani pozwoli, że coś wytłumaczę. To prywatny szpital związany

z akademią. Oznacza to, że jest wspierany przez tę placówkę naukową.

Niestety ani uczelnia, ani szpital nie są gotowe do przyjmowania pacjentów, mogących przynieść straty. Niechętnie też patrzy się tu na chirurgów, którzy podejmują tego typu ryzyko finansowe.

Podniósł do góry ręce i opuścił je na biurko w geście wyrażającym bezsilność. – Oczywiście, są szpitale społeczne – kontynuował – takie jak Belleuve czy Szpital Harlem. One opiekują się pacjentami nie posiadającymi ubezpieczenia lub żyjącymi z zasiłku. – Ponownie podniósł ręce do góry i opuścił je na biurko. – Niestety, te społeczne szpitale nie dysponują sprzętem do wykonywania skomplikowanych operacji kardiologicznych. Mogą zajmować się pani synem w pewnych określonych granicach, na przykład będą podawać mu leki, badać jego stan. Ale cóż, prędzej czy później nastąpi konieczność przeprowadzenia zabiegu. A to jest możliwe jedynie w klinice akademii. Innych rozwiązań nie ma. Ani innych nadziei. I dlatego właśnie pani syn został do nas przysłany. Ale... – Na chwilę zamilkł, przyciągając dłonie do siebie. Klinika nie może funkcjonować na zasadach, jakie obowiązują w szpitalach społecznych. Oczywiście i my zajmujemy się dobroczynną działalnością ale do niej nie należy wykonywanie niezwykle kosztownych zabiegów. – Westchnął. – Tak więc... zanim nawet wyznaczymy termin zabiegu, musimy mieć gwarancję zapłaty.

Maria otworzyła usta:

– I... i., ile p... potrzeba? – wyjąkała z nieskrywanym przerażeniem. Jej dłonie jeszcze mocniej zacisnęły się na kolanach.

– Mówimy o sumie osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów poinformował Bradford. – Raczej bliżej dziewięćdziesięciu. – Patrzył, jak twarz kobiety tężeje z każdym wypowiedzianym przez niego słowem. – Przykro mi, ale co najmniej osiemdziesiąt procent tej sumy musi być gwarantowane, zanim zaczniemy opiekować się pacjentem. – Ponownie przerwał, po czym zadał pytanie, wiedząc, że i tak nie uzyska zadowolającej odpowiedzi: – Czy ma pani krewnych lub przyjaciół, którzy mogliby pomóc?

Maria Avalon zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, ale znajdę pieniądze – wyszeptwała. – Obiecuję panu.

Bradford uśmiechnął się jak dorosły do dziecka, które zapewnia, że potrafi latać.

– Kiedy pani zdobędzie potrzebną kwotę, proszę się ze mną natychmiast skontaktować. Zaczniemy przygotowania. Na razie wydam zgodę na wypisanie pani syna z kliniki. Dziś będzie mogła go pani zabrać do domu. Proszę tylko uważać, by jak najwięcej wypoczywał i nie przemęczał się.

Gdy pół godziny potem Jennifer weszła do gabinetu, Bradford przekazał jej akta

Roberta Avalona.

– Matka ma guzik, a nie ubezpieczenie – powiedział. – Wątpię, byśmy ją jeszcze kiedykolwiek zobaczyli, oczywiście akta zachowamy.

– Czy czekamy jeszcze na jakieś wyniki badań? – zapytała Jennifer.

Nie. – Bradford dostrzegł zdumienie na twarzy pielęgniarki. – Udzieliłem jej bezpłatnej konsultacji, ale nie mogę za darmo wykonywać badań. – Wzruszył ramionami, jakby chciał dać wyraz, że jest mu niezmiernie żal. – Dzieciak dzisiaj wraca do domu. Klinika i tak już pokrywa koszt trzydniowego pobytu chłopca na oddziale. A to wszystko, na co ich stać. Tak więc teczka wędruje do archiwum. Zobaczmy, co będzie dalej. A nuż matka pojawi się z pieniędzmi. Wyprostował się w fotelu. Z twarzy lekarza znikł wyraz współczucia. Jennifer wsadziła teczkę pacjenta pod ramię i skierowała się do wyjścia. Zatrzymał ją jednak głos Bradforda.

– Jeszcze jedna sprawa.

Dziewczyna odwróciła się w stronę przełożonego, a on dodał z uśmiechem: – Chciałbym powiedzieć kilka słów na temat twojego stroju.

– Mojego... stroju? – powtórzyła zaskoczona.

– Nic poważnego. Nie przejmuj się – wyjaśnił Bradford. – Mam na myśli coś, co do czego będziemy oboje zgodni.

Wtorek, godzina 3.00

Frankie Fabio, przez przyjaciół zwany Don Cheech, wbiegał po marmurowych schodach siedemdziesiątego ósmego brooklyńskiego komisariatu policji. Był to facet niewysoki i pulchny, poruszający się jednak z łatwością i pewnością, na jaką potrafiliby zdobyć tylko nieliczni otyli. Podczas rozmowy odchyłał głowę do tyłu, co pozwalało mu na mierzenie rozmówcy wzrokiem. Wyniosłą pozę uzupełniał arogancki wyraz oczu, w których większość osób z łatwością mogła wyczytać pogardę.

Frankie wpadł do słabo oświetlonego holu pełniącego funkcję poczekalni i ruszył w kierunku dominującego w całym pomieszczeniu biurka. Miał na sobie ciemną marynarkę harmonizującą z brązowymi spodniami. Spod marynarki wystawała wzorzysta sportowa koszula rozpięta pod szyją. Na owłosionej piersi widniał złoty krzyżyk. Podchodząc do biurka, Frankie skoncentrował wzrok na plakietce z nazwiskiem dyżurnego sierżanta. Starał się przypomnieć sobie, czy zna tego siwiejącego i wyraźnie łysiejącego faceta. Frankie przez dwanaście lat zajmował stanowisko szefa działu kryminalnego „The New York Globe”. Teraz był zastępcą szefa działu miejskiego i z lubością opowiadał młodym reporterom, że w latach pracy w kryminalnym poznał

wszystkich policjantów powyżej stopnia sierżanta. Tego gościa za biurkiem jednak nie znał. Kowalski – nazwisko to niczego mu nie przypominało. Zaciśnął wargi ze zniecierpliwienia. Cholera, że też właśnie tej nocy, właśnie teraz musiał wpaść na jakiegoś pieprzonego Polaczka.

Fabio wyjął z kieszeni legitymację prasową i podsunął sierżantowi pod oczy.

– Frank Fabio, zastępca naczelnego „Globe” – przedstawił się. – Jak rozumiem, macie tu na górze jednego z moich chłopców.

Sierżant rzucił okiem na dokument, po czym nie patrząc nawet na Frankiego, odpowiedział:

– Tak, mamy.

– Chciałbym się z nim zobaczyć.

– Życzę szczęścia. Na razie proszę siadać.

Policzki Fabia zapłonęły rumieńcem:

– Siadać? Ja mam siadać? Pan mnie chyba nie rozumie. Ja chcę go zobaczyć...

Natychmiast!

Funkcjonariusz popatrzył na dziennikarza z nieskrywanym szyderstwem. Był to tłusty, nienaturalnie blady facet z jakimiś czerwonymi plamami na policzkach.

– Panie, pieprz się pan, siadaj i czekaj jak wszyscy.

Grubasa zamurowało. Nie wierzył własnym uszom.

– Słuchaj, cwaniaku, najwyraźniej niczego ci nie wyjaśniono. – Fabio ruchami ręki zaczął podkreślać wagę wypowiedzianych słów. – Zatrzymaliście niewłaściwą osobę. Właśnie w drodze do was jest zastępca komisarza, by wyjaśnić całe nieporozumienie. Jak będziesz bawił się ze mną w ciuciubabkę, tobą zajmie się na wstępie.

Kowalski patrzył na mówiącego.

– Chcesz mi zrobić koło tyłka? Bardzo proszę. Za tydzień kończę trzydzieści lat pracy w policji. Przyjdź popatrzeć sobie, jak odchodzę, a przy okazji będziesz mógł mnie pocałować – syczał sierżant przez zęby. – A do tego czasu odpieprz się!

Teraz już cała twarz Fabia przybrała kolor purpury.

– Ach ty skurczybyku, nawet nie wyobrażasz sobie, jak mogę ci zepsuć to święto. Poczekaj, przekonasz się!

– Frankie, spokojnie.

Fabio spojrzał do tyłu i zobaczył zbliżającego się do nich Mike’a Murphy’ego, zastępcę komisarza do spraw prasowych. To właśnie Fabio obudził go przed godziną i domagał się, by jak najszybciej przyjechał na siedemdziesiąty ósmy posterunek. Murphy dobiegał czterdziestki. Wysoki, niegdyś tłustawy Irlandczyk o czerwonej twarzy szczylił się obecnie wysmukłą figurą, która była rezultatem jego przygody miłosnej

z Jack Daniels. Zanim podjął pracę w policji, był politycznym reporterem w „Globe” i wiedział doskonale, do czego jest zdolny rozjuszony Fabio.

Murphy zwrócił się do sierżanta za biurkiem.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – spytał ostro.

– Ten facet chce wejść na górę – poinformował Kowalski.

– To go tam wpuście. – Murphy nie zmieniał tonu. – Co, u diabła, z tobą?

– Przecież to nie wróg!

– Według regulaminu poza to pomieszczenie może wejść jedynie osoba upoważniona lub ktoś pod eskortą pracownika, w sprawie służbowej. – Sierżant powiedział to głosem spokojnym, zimnym i nie zapraszającym do dyskusji. Fabio wyczuł jednak szyderstwo.

– A więc ja odegram rolę eskorty – warknął Murphy. – Wystarcza?

– Jak pan komisarz sobie życzy – odparł Kowalski.

– Jeden z twoich pajaców przymknął mojego człowieka – zwrócił się Fabio do Murphy’ego, wskazując policjanta za biurkiem. – A teraz na dodatek ten facet wchodzi mi w paradę. I bardzo proszę, dlaczego nie? Jestem przecież jedynie zastępcą naczelnego jednej z największych gazet w kraju. – Patrzył Murphy’emu prosto w oczy. – Myślałem, Mike, że się jakoś dogadamy, ale to wszystko zaczyna iść w bardzo niedobrym kierunku.

Murphy podniósł rękę, jakby chciał przytłumić gniew Fabia.

– Uspokój się, Frankie. Pogadajmy spokojnie i po ludzku. – Wziął głęboki oddech i nieoczekiwanie wyrzucił z siebie: – Mamy tu dwóch twoich reporterów. Nie jednego.

– Co?

– Z Burke’em była Whirney Morgan. I ją też zgarnęli. – Westchnął głośno. – Ona najwidoczniej nie chciała o tym powiadamiać redakcji. Domyślam się, że przypuszczała, że zrobi to Burke. Wykorzystała przysługującą jej rozmowę telefoniczną do wezwania adwokata. Prawnik na pewno jest już w drodze z Long Island.

– O Jezuu! – Fabio na chwilę wbił spojrzenie w sufit. – A o co ją oskarżają ci wasi geniusze?

Murphy dla odmiany przyglądał się czubkom swoich butów:

– O to samo, co Burke’a. Zakłócanie porządku, stawianie oporu przy zatrzymaniu i obrazę funkcjonariusza policji.

Fabio zachichotał.

– Mała Miss Północnego Wybrzeża? Słodziutka absolwentka? Facetka, która dzięki zgrabnej dupci złapała już tylu chętnych? Ona obraziła jednego z waszych gliniarzy? – Przez chwilę jeszcze chichotał, po czym wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Kiwał głową, najwyraźniej nie wierząc w to, co usłyszał. Może powinienem powiadomić redakcję, że trzeba zmienić tekst, zarezerwować więcej miejsca na trzeciej stronie.

Murphy wziął przyjaciela pod ramię.

– Chodź, Frankie. Zorientujemy się, o co chodzi, zanim cokolwiek postanowimy.

Dobrze?

– Dobrze – zgodził się Fabio, nie przestając chichotać.

– Nie mogę się doczekać, by zobaczyć te dupy i dowiedzieć się, co narozrabiały. – Raz jeszcze rzucił okiem na sierżanta za biurkiem i mruknął w jego kierunku: – A ty nie miej złudzeń, że o tobie zapomnę, ciulu.

Kowalski nie zmienił ani pozycji, ani wyrazu twarzy.

– Jestem tu do przyszłej środy, kolego.

– Fabio uśmiechnął się złośliwie.

Będziesz diabelnie zdumiony tym, co potrafię zrobić w ciągu ośmiu dni.

Murphy i Fabio weszli do pomieszczenia bez okien, w którym odbywały się przesłuchania. W pokoju znajdowała się grupa mundurowych: sierżant i czterech szeregowych policjantów. Pośrodku, na zwykłym drewnianym stołku siedział Billy Burke z rękami skutymi z tyłu. Na lewym policzku miał zdartą skórę. Innych uszkodzeń ciała nie było widać. Fabio z ulgą stwierdził, że reporter najprawdopodobniej jest całkowicie trzeźwy. Obok, w odległości jakiegoś metra, na podobnym stołku siedziała Whitney Morgan, również ze skutymi rękami, tyle że z przodu.

Śliczna twarzyczka płonęła nieskrywaną wściekłością.

– Powariowaliście z tymi kajdankami? – krzyknął gniewnie Fabio. W rzeczywistości wcale się nie dziwił, że policjanci podjęli takie środki ostrożności.

Przynajmniej w przypadku Burke'a. Facet mierzył ponad metr osiemdziesiąt, ważył prawie sto kilo, a pomimo trzydziestu ośmiu lat nie miał ani grama tłuszczu. Jeszcze przed kilku laty należał do klubu bokserkiego i znany był z celnych, silnych uderzeń. Fabio tylko raz widział go w akcji. To mu jednak wystarczyło. Pewien dziennikarz zaczepił kiedyś Burke'a w barze prasowym „Costello”. Popułnił fatalny błąd. Po otrzymaniu ciosu leżał na podłodze całkiem sztywny. Pewnie wyzionął ducha.

– Zdejmijcie im te kajdanki – warknął Murphy, niezbyt przyjaźnie patrząc na sierżanta.

Gdy polecenie zostało wykonane, Fabio podszedł do Whitney. Jej ciemne, krótko obcięte włosy podkreślały nieco wystające kości policzkowe, bystre, zielone oczy i mały, arystokratyczny nosek. Dziewczyna była piękna i miała jędrne, kształtne ciało, o którym Frankie często marzył w skrytości. Po redakcji krążyły plotki, że od sześciu miesięcy ciałem tym dzieli się z Burke'em.

– Wszystko w porządku, Whitney? – zapytał Frankie.

– Chcę tylko opuścić to miejsce – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Frankie zwrócił uwagę, że jej doskonale uszyta i dopasowana bluzka nie była nawet lekko pomięta, pomimo tylu przejść i godzin spędzonych przez Whitney w tym niesympatycznym miejscu. W uspokajającym geście położył jej rękę na ramieniu:

– To już długo nie potrwa – powiedział. Odwrócił się i podszedł do Burke’a. – Billy, drogi chłopcze... – Dotknął swego policzka, by pokazać, że mówi o otarciu na policzku siedzącego. – Oni ci to zrobili?

Burke wykrzywił twarz w gorzkim uśmiechu.

– Pech zatrzymanego. Byłem już w kajdankach.

– Wredne kłamstwo. – Pełne oburzenia słowa pochodziły od zwalistego policjanta, którego sylwetka przypominała kształty Burke’a. Szpakowaty funkcjonariusz dobiegał czterdziestki. Po prawej stronie, na szczęce faceta dostrzegł wyraźną opuchliznę. Gliniarz niewątpliwie oberwał lewym sierpowym. Fabio nie miał co do tego wątpliwości.

Frankie zwrócił się ponownie do Whitney:

– Czy widziałaś, jak ten pajac uderzył Billy’ego?

– Dziewczyna skinęła głową:

– Tak, widziałam.

– Czy Billy miał już wtedy skute ręce?

– Tak.

Frankie podszedł do policjanta. Na identyfikatorze widniało nazwisko Grady. Fabio przymrużył oczy i zmierzył funkcjonariusza pogardliwym spojrzeniem.

Grady nie spuścił wzroku i powtórzył:

– Wredne kłamstwo.

Fabio dał krok do tyłu, jakby obawiał się, że policjant go uderzy. Zaśmiał się jednak złośliwie i powiedział:

– Hej, komisarzu. Podejdz tu bliżej i powąchaj tego faceta. Śmierdzi od niego, jakby zlizywał podłogę w jakimś barze.

Murphy przymknął oczy. Poczul ciarki na plecach.

– Czy zrobiliście pani i Burke’owi badanie na zawartość alkoholu we krwi? – zwrócił się do sierżanta.

– Nie, panie komisarzu – odparł sierżant.

– Trzymacie ich tutaj już co najmniej trzy godziny. Dlaczego nie wykonano próby?

Sierżant poruszył się niespokojnie.

– Wydawało mi się, że nie ma po temu powodów, panie komisarzu.

Fabio ponownie podszedł do Burke’a. Odwrócił się jednak w kierunku sierżanta, wskazał głową Grady’ego i zapytał:

– A tego sprawdzano?

– Nie. – Sierżant patrzył na dziennikarza pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

– Kto prowadził samochód? – zapytał Fabio.

Murphy zwrócił się po odpowiedź do sierżanta, który powiedział:

– Policjant Muldoon.

Młody, szczupły funkcjonariusz dał krok do przodu. Fabio obejrzał go uważnie od stóp do głów. Pomyślał, że facet najwyżej przed rokiem ukończył akademię policyjną. Poznał po naszywkach, że chłopak jest z innego komisariatu, co oznaczało, że był po prostu „wypożyczany” na nocny dyżur, bo stały partner Grady’ego miał wolny dzień, a zapewne nikt inny nie chciał z Gradym pełnić służby.

Fabio włożył okulary i uważnie przyjrzał się plakietce młodego policjanta.

– Pracujesz na Coney Island? – zapytał.

– Tak, proszę pana.

Fabio odniósł wrażenie, że teraz największym marzeniem chłopca jest szybki powrót do swojego komisariatu.

– Często cię tu kierują?

– Tylko w tym tygodniu, proszę pana.

– Fabio zwrócił się ponownie do sierżanta:

– Czy radca prawny „Globe” sprawdzając listę dyżurów odkryje, że zawsze, kiedy Grady wyjeżdża na patrol, trzeba brać kogoś z innego komisariatu?

Sierżant zacisnął szczęki, ale nie zmienił kamiennego wyrazu twarzy.

– Nie mam pojęcia, proszę pana – odparł suchym głosem.

Fabio zachichotał.

– Założyłbym się, że masz. – Spojrzał na Muldoona i zauważył, że nowicjusz stanął możliwie najdalej od Grady’ego. – Widziałeś, co wydarzyło się w nocy? – zapytał młodego policjanta, wyjmując z kieszeni reporterski notes i długopis. Gdyby wyciągnął pistolet, Muldoon prawdopodobnie byłby mniej przerażony.

– Nie, proszę pana – odpowiedział chłopak. – Siedziałem w radiowozie i starałem się wywołać komisariat.

Za plecami Frankiego rozległ się złośliwy chichot Billy’ego Burke’a.

– Jezuu, doskonale pamiętam, że stałeś na prawo od tego pajaca – wtrącił osilek. – Wydaje mi się też, że go powstrzymywałeś, kiedy chciał iść do wozu po karabin po tym, jak mu przyłożyłem.

– Nie, proszę pana. Ja siedziałem w radiowozie. Niczego nie widziałem.

Burke parsknął śmiechem. Frankie odwrócił głowę w kierunku reportera, położył palec na ustach i mruknął:

– Ani słowa więcej.

– Jasne, Cheech zgodził się potulnie Burke.

– Czy chcesz, byśmy się nadal grzebali w tym gównie – zapytał Murphy’ego Frankie – czy też wyjdziemy i być może, powtarzam: być może, postaramy się zapomnieć o całej sprawie?

Zanim Murphy zdążył odpowiedzieć, do pokoju wprowadzono wysokiego, siwego jegomościa. Nowo przybyły podszedł do Whitney i zaczął jej coś szeptać do ucha. Dziewczyna odpowiadała również szeptem. Frankie przez chwilę obserwował tę rozmowę, a po chwili, także bardzo cicho powiedział do Murphy’ego:

– Oczywiście, może być już za późno. Jeśli jednak chcesz, spróbuję coś zrobić – dorzucił, widząc, że komisarz aż zaciska szczęki ze złości.

Murphy wziął Frankiego pod ramię i wyprowadził go na korytarz.

– Czego chcesz w zamian?

– Dużej kary dla policjanta, który dokonał aresztowania, i nieco mniejszej dla faceta przy biurku na dole.

– Rozumiem – Murphy westchnął ciężko.

Gdy troje dziennikarzy znalazło się już na ulicy, Billy Burke dotknął ręką bolącego miejsca na krzyżu, wyprostował plecy i przeciągnął się. Miał na sobie dzinsy i włochatą marynarkę, tak pogniecioną, jakby w niej sypiał. W jego niebieskiej, sportowej koszuli brakowało guzików.

– Przykro mi, że wyciągnęli cię o tej porze z łóżka, Cheech. – Mówiąc to, patrzył na Whitney. Wyraz twarzy dziewczyny spowodował jednak, że Burke odwrócił wzrok.

Adwokat poszedł po swój samochód, by odwieźć Whitney do domu. Frankie rozejrzał się dokoła, chcąc się upewnić, czy nikt ich nie słucha.

– Nie ma czym się martwić – rzekł wreszcie. – Murphy, by ratować swój tyłek, nakręci coś w protokołach. Powiedz mi jednak dokładnie o wszystkim co zaszło.

Billy potrząsnął głową.

– Ten gliniarz, Grady, był napalony. Myślę, że zobaczył naklejkę z napisem „prasa” na moim samochodzie i postanowił dać mi po ryju. W każdym razie zatrzymał mnie i oznajmił, że przejechałem na czerwonym świetle. A zaraz potem zaczął podskakiwać. Powiedział, że ma powyżej uszu cwaniaczków z prasy i z telewizji. Zanim zdążyłem otworzyć usta, Grady zaczął pleść coś o policjancie z Brownsville, który zeszłego miesiąca zabił czarnego studenta.

Opowiadał, że chłopak był zwykłym łobuzem, a my złamaliśmy policjantowi życie, przedstawiając go jako zawodowego mordercę dzieciaków. – Billy przetarł oczy. – Cholera, powinienem przemilczeć głupie teksty, a do sprawy powrócić następnego dnia.

Wiedziałem, że jest pijany. Zionęło od niego tak, że mogło się zakręcić w głowie. A ja kazałem mu spadać i dodałem, że powiadomię jego szefa, w jakim stanie ludzie jeżdżą na patrol. – Popatrzył na Fabia przepaszającym wzrokiem. – I wtedy właśnie facet ostatecznie przestał nad sobą panować. Złapał mnie za szyję i wyciągnął z wozu, wykręcił mi ręce i usiłował zmusić, bym się położył na maskę. – Burke zachichotał. – W tym czasie partner Grady’ego, ten młody chłopak, błagał narwańca, by się opanował. Nie mam wątpliwości, że już widział swoją świeżo rozpoczętą karierę policjanta spuszczaną do toalety. – Ponownie potrząsnął głową. – Whitney wylazła z wozu, by zobaczyć, co się dzieje. Zaszła bydlaka od tyłu i o coś zapytała. Ten się odwrócił i zaczął ją bić. Whitney upadła. – Popatrzył w kierunku dziewczyny i dodał ciszej: – Wtedy już nie wytrzymałem i mu dołożyłem.

– Gdybyś od początku zachował spokój, nie musiałbyś potem odgrywać bohatera. – Mówiąc to, Whitney patrzyła w głąb ulicy.

Billy westchnął i wbił wzrok w niebo. Frankie zignorował jej uwagę. Gdyby Whitney trzymała swoją pupcię w aucie, nie musiałby się zrywać w nocy z łóżka. A i oni byłiby najprawdopodobniej w łóżku. Razem.

Frankie zerknął na Burke’a. Zastanawiał się, ile czasu zajmie Billy’emu naprawianie stosunków z dziewczyną. Chłopak był całkiem przystojny – czarna gęsta czupryna z pojedynczymi siwymi włosami, miłe, zielone oczy, ciepłe spojrzenie, nie harmonizujące z ostrymi rysami twarzy i czasami odzwierciedlające zmęczenie światem. Frankie znał Burke’a od siedmiu lat i nie tylko go lubił, ale i szanował. Na początku patronował młodzieńcowi, uważając go za najlepszego reportera, z jakim się kiedykolwiek zetknął. Jeszcze przed kilkoma laty nie miał wątpliwości, że Burke zostanie kiedyś szefem działu miejskiego gazety. Jednak w momencie, gdy wyłoniła się taka okazja, w życiu Burke’a coś się załamało. Szansa na awans przepadła. Billy natomiast popadał w coraz głębszą depresję. Można to było odczytać z jego twarzy. Wyczuwało się tkwiący w nim ból, wyraźnie widoczny w spojrzeniu. Frankie go rozumiał, znał przyczynę cierpienia i w skrytości ducha modlił się, by jego nigdy coś podobnego nie spotkało.

Przerwał smutne rozważania. Teraz stały przed nim problemy o wiele ważniejsze i nie cierpiące zwłoki. Wziął Billy’ego pod rękę i przyspieszył kroku.

– Musisz mnie teraz uważnie wysłuchać – zaczął. – I ja wiem, i ty wiesz, że jutro pewien redaktor naczelny zada w tej sprawie kilka ważnych pytań.

Oczywiście, będzie miał nadzieję, że uzyska odpowiedzi, w wyniku których znajdziesz się na śmietniku. – Frankie wykonał gest mający podkreślić, że to, co mówi, jest niestety prawdą. – Gdyby w podobnej sytuacji znalazł się jeden z otaczających go

piesków, niewiele by się tym interesował. Tu jednak chodzi właśnie o ciebie. Jeśli więc nie otrzyma odpowiedzi, jakiej oczekuje, zacznie się na tobie wyżywać, a już samo to sprawi mu ogromną przyjemność. Masz teraz dwa wyjścia. Możesz mu kazać się odpieprzyć i przez następne trzy miesiące będziesz pracował w Queens. Możesz też pomóc mi zmontować taką opowieść, którą ten facet kupi.

Billy wydawał się niezwykle pochłonięty obserwowaniem ruchu samochodów na Flatbush Avenue.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał w końcu.

– Po pierwsze, wyjaśnij, do diabła, co właściwie zagnało was do Brooklynu?

– Los – rzucił Billy bez zastanowienia, uśmiechając się krzywo. – A tak naprawdę, to pojechaliśmy na kolację do Monte. Whitney słyszała, że spotykają się tam szczyty świata przestępczego. Chciała to zobaczyć. – Ponownie wykrzywił twarz w uśmiechu. – Twierdziła, że to interesujące jeść kolację w otoczeniu rzezimieszków. – Raz jeszcze zachichotał. – Tak właśnie powiedziała.

– Jezus, Maria. – Frankie udawał przerażonego.

– No cóż, pracuje dla „Sunday Magazin”. – Ponowny rechot. – Sądzę, że spodziewała się zobaczyć Ojca Chrzestnego zasuwanego talerz ostryg. A kiedy ten pajac nas dopadł, wracaliśmy właśnie na Manhattan.

Frankie odwrócił się i gestem przywołał Whitney.

– Billy mówił, że pojechaliście do Brooklynu na kolację – zagadnął Frankie, kiedy do nich dołączyła.

– I zgadza się. Wyprawa do Brooklynu to drugi błąd popełniony przeze mnie tego wieczoru. – Zimne spojrzenie, jakie rzuciła Billy’emu, wyjaśniało, co było tym pierwszym błędem.

Frankie zignorował tę uwagę i kontynuował:

– Z meldunku, którego kopię dał mi Murphy, wynika, że wszystko zaczęło się zaraz po jedenastej. Dlaczego zwlekaliście tak długo z telefonem do redakcji?

Policzki Whitney pokrył szkarłatny rumieniec, a jej wzrok powędrował gdzieś w głąb ulicy.

– Grady tak właśnie to rozgrywał – powiedział Billy. – Zawiózł nas do centrum zatrzymań, przeprowadził dokładną rewizję, aresztował i przez jakiś czas przetrzymał w celach. Potem przewieziono nas na siedemdziesiąty trzeci. Tam dopiero zezwolono nam na odbycie rozmów telefonicznych. Przypuszczam, że sierżant, kiedy się dowiedział o całym zajściu, dostał szału. Słyszałem, jak na korytarzu darł się na Grady’ego, ale było już za późno i niczego nie mógł odkręcić.

Frankie spojrział na Whitney. Stała sztywna i wydawało się, iż jest całkowicie zajęta

śledzeniem ruchu ulicznego. Wzmianka o dokładnej rewizji spowodowała, że dziewczyna poczerwieniała. Frankie usiłował sobie wyobrazić tę scenę, kiedy kazano Whitney schylić się i złapać za kostki u nóg. Pewnie z wielkimi oporami wykonała polecenie. A potem pobyt w celi przetrzymali, i to w tej dzielnicy, gdzie ciągle są zatrzymywane dziwki i złodziejki. Pomyślał, że zapewne minie sporo czasu, zanim Billy'emu uda się ponownie wskoczyć do łóżka dziewczyny.

– Idźcie do domu i zapomnijcie o wszystkim. Resztę pozostawcie mnie.

Ten idiota Grady narozrabiał dostatecznie wiele. Przy pomocy naszego nieustraszonego przywódcy na pewno załatwię.

– Ale co dalej? – dopytywała Whitney. – Czy staniemy przed sądem?

Frankie wzruszył ramionami.

– Grady upiera się, że nie wycofa oskarżenia. Nawet jego szef nie może go do tego zmusić, jeśli facet chce rznąć twardziela. Porozumiem się jednak z prokuratorem Okręgu Brooklyn. To polityk, więc wolałby z nami nie zadzierać.

– Nie martwcie się. W najgorszym wypadku poprosi sędziego, by odraczał sprawę i rozpatrzył kwestię zdjęcia jej z wokandy. Oznacza to, że pokażecie się w sądzie i wróćcie do domu, a w sześć miesięcy potem pozew zostanie wykreślony z rejestru. W redakcji ja sam wszystko załatwię. Musicie jednak pamiętać, by nie pisać ani słowa więcej poza tym, co powiedzieliście mnie. Gliniarz był pijany i miał uraz do prasy, a wy byliście tylko przypadkowymi, niewinnymi ofiarami. Koniec, kropka. Kapujecie?

– Wcale nie jestem pewien, czy przejść nad tym do porządku dziennego mruknął Billy. – Sądzę, że Whitney i ja powinniśmy skierować skargę do Sądu Cywilnego.

Frankie popatrzył na niego, zamrugał i zachichotał.

– Idiotyzm. – Palcem wskazującym dotknął piersi Burke'a. – Drogi chłopcze, posłuchaj starego Cheecha i pozwól, by draka jak najszybciej poszła w niepamięć. Nie zapominaj o naszym ukochanym naczelnym. Ty nie należysz do jego ulubieńców. I nie jesteś też wschodzącą gwiazdą na firmamencie prasowym. Lepiej więc daj spokój i pozwól, że ja zajmę się resztą.

Billy westchnął głęboko.

– Cheech, jeśli ten cholerny alkoholik będzie nadal jeździł na patrolu, to prędzej czy później zastrzeli jakiegoś biedaka. Boże, jeżeli on tak zachował się wobec reportera, to pomyśl, jak postąpi z czarnuchem albo Latynosem, który mu się nie spodoba? Dojdzie do kolejnej awantury, a potem następnej.

– To... już... nie... twoje... zmartwienie – odparł Fabio, przy każdym słowie stukając Burke'a palcem w pierś. – Pozwól, że ja zajmę się Gradym. Zrozumiałeś?!

– A ty co zrobisz? – zainteresowała się Whitney.

Frankie popatrzył na nią tak, jakby oczekiwał, że i ona zaproponuje coś głupiego, więc dziewczyna szybko dodała:

– W pełni zgadzam się z tobą. Należy zakończyć sprawę i nie dopuścić do drak w redakcja – Na chwilę zamilkła. – Ale... oczywiście... jestem ciekawa...

Frankie przytaknął. – Dobra, jednak nikomu o tym ani słowa. – Nadał twarzy wyraz zadowolenia i pewności. – Dziś przed południem nasz miły przyjaciel, zastępca komisarza zażąda informacji o miejscu zamieszkania Grady’ego.

A potem nie wykluczam, że odbędzie rozmowę z szefem całej służby patroli ulicznych i wyrazi zaniepokojenie brakiem policjantów w komisariacie gdzieś na przedmieściu, daleko od domu Grady’ego. – W miejsce uśmiechu pojawił się szyderczy smutek. – I wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby irlandzki ciul zakończył karierę jako zamiatacz korytarzy posterunku na jakimś zadupiu. Fabio zachichotał, a w jego oczach zamigotała nieskrywana złość. – Nie wykluczam też, że kilka dni później ktoś zatelefonuje do Grady’ego i zapyta, jak mu się zamiata podłogi i czyści klozety, i czy czasami myśli o dziennikarzach, kiedy wiezie swoje tłuste dupsko do pracy. – Frankie ponownie zaczął się uśmiechać. – Tam w komisariacie siedzi za biurkiem jeszcze jeden pyskaty sierżant, który za tydzień powinien przejść na emeryturę. Przypuszczam jednak, że jego papiery zostaną zagubione. Zawieruszą się na kilka miesięcy. W tym czasie cwaniak ruszy na patrole, i to w śródmieściu, na Times Square, a więc będzie poruszał się piechotą.

Billy patrzył na Frankiego. Oburzenie Cheecha sprawiało mu niekłamaną przyjemność. A Fabio wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego. Głowę miał uniesioną wysoko, a przy tym napuszył się jak kogut, który właśnie zakończył zwycięską walkę. Billy pomyślał, że tak właśnie wygląda człowiek pewien, że wszystko będzie szło po jego myśli. Rzucił okiem na Whitney. Dziewczyna najwyraźniej nie popierała planu rozprawy z Gradym w Sądzie Cywilnym. A bez jej pomocy i oświadczenia sprawa nie miałaby żadnych szans. Billy postanowił więc nie wracać do tematu.

Potrząsnął głową i powiedział:

– W porządku, Cheech. Rozegramy to tak, jak mówiłeś.

Frankie rzucił okiem na Whitney, by się upewnić, czy piękna reporterka nie wniesie żadnych sprzeciwów. Zadowolony, zwrócił się ponownie do Billy’ego:

– Doskonale. Jesteście genialni. Gdzie twój samochód?

– Zostawili go na ulicy.

– Kiedy pokaże się tu adwokat Whitney, zawiozę tam ciebie. – Uśmiechnął się złośliwie. – Jeśli masz nieco szczęścia, to być może jeszcze z tego wozu coś zostało.

Rozdział drugi

Wtorek, godzina 10.00

Wysiadając na siódmym piętrze, Billy Burke był jeszcze na wpół śpiący. Skierował się korytarzem w lewo, do sali przyjęć interesantów odwiedzających redakcję. Wziął z półki kartę obecności i ostemplował ją w automacie.

W poczekalni znajdowało się już kilka osób. W oczy rzucał się wyjątkowo wysoki, trupio wychudzony facet w cylindrze i w czarnym fraku. Dryblas miał ciemną brodę i takie też wąsiki, a na policzku najwyraźniej sztuczny pieprzyk, co w sumie czyniło z niego sobowtóra Abrahama Lincolna. O kilka krzeseł dalej rozsiadła się jakaś kobieta w stroju Cyganki. Z jej uszu zwisały się nad ramionami ogromne, okrągłe kolczyki. Zaraz za nią siedzieli wyraźnie speszeni dwaj panowie sprawiający wrażenie biznesmenów. Kolejne miejsce zajmował mężczyzna w dresie z napisem „New York Yankees” na piersiach, w czapeczce tej drużyny baseballu na głowie. Sportowiec, czy też kibic, ciężko sapał i niezwykle gwałtownie potrząsał głową.

Billy głęboko wciągnął powietrze i szybko przeszedł poczekalnię, kierując się do stojącego w drugim końcu biureczka. Pochylił się nad czytającą coś recepcjonistką i szepnął jej do ucha:

– Dzień dobry, Thelma. Jak zawsze tłok?

– Jak zawsze – powtórzyła podnosząc głowę.

Burke uśmiechnął się do kobiety. Thelma przekroczyła już sześćdziesiątkę.

Jej mąż był korespondentem zagranicznym „Globe” i przeszło dwadzieścia lat temu zginął, relacjonując przebieg wojny w Korei. Wdowa pozostała w praktyce bez grosza. W wyniku interwencji Związku Dziennikarzy zasiadła za biurkiem w sali przyjęć interesantów. Od tamtego czasu rządziła tu żelazną ręką.

Nikomu obcemu bez jej zgody nie udało się wśliznąć do redakcji, a godnych wejścia uznawała niewielu.

Gestem nakazała Burke’owi, by jeszcze niżej pochylił głowę, i wyszeptała:

– Ktoś z tych bzików chce się z tobą widzieć.

Burke spojrział przez ramię i zatrzymał wzrok na Cygance. Dopiero teraz dostrzegł, że trzymała na kolanach kurę. Odwrócił się ponownie do Thelmy i zapytał:

– Masz na myśli wróżkę?

– W samej rzeczy – odpowiedziała, uśmiechając się porozumiewawczo.

– Burke raz jeszcze zerknął za siebie. Nigdy tej kobiety osobiście nie spotkał.

Ona natomiast telefonicznie kontaktowała się z nim od sześciu miesięcy. Dzwoniła

właściwie każdego tygodnia i obiecywała, że skontaktuje go z samym Panem Bogiem. Zapewniała, że będzie znał wszystkie ważne wydarzenia, zanim one nastąpią. Oczywiście za wynagrodzeniem, ale gazecie i tak to się bardzo opłaci. Gdy po raz pierwszy usłyszał tę zaskakującą propozycję, powiedział, że „Globe” musi mieć dowód siły jasnowidzenia. W odpowiedzi Cyganka przepowiedziała katastrofę samolotową, nie podając jednak ani czasu, ani miejsca wydarzenia. Oznajmiła, iż Pan Bóg zdradzi te szczegóły dopiero, kiedy się dowie, że jej zapłacono. Burke obiecał, że porozmawia z naczelnym. Pięć dni potem w Północnej Karolinie spadł wojskowy samolot transportowy. Wróżka natychmiast zatelefonowała. Oświadczyła, że gdyby otrzymała z góry sto dolarów, gazeta mogłaby posłać fotoreportera na miejsce katastrofy. Burke rozłączył się. Kobieta jednak nie zrezygnowała i wydzwaniała nadal.

Burke szepnął Thelmie do ucha:

– Powiedz, że jestem na mieście. – Zawahał się i natychmiast dodał: Albo lepiej, że przeniesiono mnie do jakiegoś oddziału, a moje miejsce zajął Pete Stavos.

Thelma popatrzyła na reportera z udawanym przerażeniem.

– Pete jest jeszcze bardziej zwariowany niż ona. Nie chcę w tym maczać palców.

– Daj spokój, być może tacy się właśnie dogadają. – Ponownie rzucił okiem w głąb sali. Stwierdził, że wróżka ma około czterdziestu pięciu lat. Odwracając głowę w kierunku Thelmy, wyszeptał: – Oni jeszcze mogą zostać kochankami.

– Pete uwielbia kury.

Patrząc Burke’owi w oczy, Thelma westchnęła cicho:

– Wielki Boże, wyobraź sobie, co by było, gdyby jeszcze wydali na świat potomstwo.

Burke wszedł do sali redakcyjnej i skierował się w przeciwległy koniec, gdzie znajdowało się jego biurko. Sala była ogromna i mieściła co najmniej dwieście biurk ustawionych w grupy, każda składająca się z czterech stanowisk pracy. Na każdym blacie stała maszyna do pisania, a obok znajdował się telefon. Przed biurkiem ustawiony był fotel pokryty materiałem imitującym skórę. O fotele ciągle toczyły się boje. Nie starczało ich dla wszystkich, a niektórzy reporterzy uznawali dany fotel za prywatną własność. Na niektórych wypisano nawet nazwiska „właścicieli”, by można było odnaleźć siedzisko, gdyby zostało przesunięte przez nocną zmianę lub czasowo dochodzących. Burke odnosił nieodparte wrażenie, że paru kolegów z większym zapałem walczyło o te fotele, niż stawałoby w obronie cnoty swoich żon. Zabranie fotela prowadziło zazwyczaj do zażartych sporów i długotrwałych nieporozumień.

Burke podszedł do swego biurka i zagłębił się w nie oznakowanym fotelu.

Wziął egzemplarz porannego dziennika. Przeczytał tytuł materiału na czołówce. Artykuł zawierał informację o tym, że sąd w Bostonie nakazał wożenie autobusami do bardziej odległych szkół dwadzieścia jeden tysięcy dzieci szkolnych. Nic go to nie interesowało. Odłożył gazetę i rozejrzał się. Przy jednym z trzech pozostałych biurków tworzących zgrupowanie stanowisk, nazwane przez zajmujących je „Orlim Gniazdem”, siedział Eddie Hartman.

– Mamy wtorek, Eddie. Czy pamiętałeś, by schować fotel Stavosa?

Hartman podniósł krzaczaste brwi, a uśmiech wydłużył jego bujne wąsy:

– Fotel jest w laboratorium fotograficznym. Ten grecki cwaniaczek przez cały dzień będzie się uskarżał, że mebel cuchnie chemikaliami. Być może nawet zagrozi, że poda redakcję do sądu za nagromadzenie szkodliwych dla zdrowia materiałów, a potem wyjdzie wcześniej, by przeświecić sobie płuca.

– A rachunek prześle redakcji – dodał Burke.

Parsknęli śmiechem. Zapowiadała się doskonała zabawa. Stavos był nieobliczalny. Przed rokiem, kiedy gazeta zamieściła komentarz redakcyjny porównujący śledztwo w aferze „Watergate” do domku z kart, Stavos wściekł się do tego stopnia, że wyrzucił przez okno maszynę do pisania. Maszyna poleciała siedem piętér w dół i wybiła dziurę w chodniku przy Czterdziestej Trzeciej ulicy. Tylko cud sprawił, że nie trafiła w grupę uczniów szkoły parafialnej, którzy właśnie wychodzili z budynku po wizycie w redakcji. Następnego dnia po wydarzeniu Hartman, zatwardziały ateista, ogłosił propozycję utworzenia „bezpiecznego świata dla dzieci ze szkół katolickich”. Plan przewidywał zamknięcie Pete’a Stavosa w szpitalu dla wariatów, co z entuzjazmem poparli reporterzy zajmujący pozostałe biurka zgrupowania, w szczególności Tony Rice, przybysz z Wielkiej Brytanii. Część tej kampanii wymierzonej w Greka stanowiła praktyka wtorkowego i czwartkowego chowania jego fotela.

Burke zauważył, że Hartman uśmiecha się do niego nieco ironicznie. Eddie był niewysokim mężczyzną, najwyżej metr sześćdziesiąt pięć, po czterdziestce.

Miał długie, już szpakowate włosy i sumiaste wąsy. Kiedy się uśmiechał, odsłaniał zęby, co sprawiało wrażenie, jakby białe myszki wyglądały zza krzaka.

– O co chodzi? – zapytał Burke.

– Słyszałem, że dziś w nocy zachowałeś się jak krnąbrny chłopczyk. – Hartman był od lat reporterem do spraw kryminalnych, nazywanym przez kolegów Szefem albo Małym Szefem. Opowiadano, że większe chody od niego w policji miał jedynie Frankie Fabio. Burke milczał, a Hartman uśmiechał się coraz szerzej.

– Paczka Sześciu nie będzie uradowana – dodał Eddie, mając na myśli powszechnie nielubianą grupę bossów redakcyjnych, kierowaną przez naczelnego Lenny’ego Twista

i prezesa wydania metropolitalnego, Mitcha Coffee'a. To właśnie Hartman określił ich kiedyś mianem Paczki Sześciu, gdyż w takim gronie wybierali się po pracy na piwo. Ten zwyczaj popijania nie osłabiał jednak energii, z jaką prowadzili redakcję. Wspólnie i każdy z nich osobno byli w stanie złamać karierę poszczególnych dziennikarzy. Robili to, kierując reporterów do drugorzędnych wydarzeń, na nocne dyżury albo wysyłając na całe miesiące do pracy w prowincjonalnych oddziałach redakcji na Long Island albo w New Jersey. Burke i Hartman oraz zajmujący sąsiednie biurka ich koledzy, Tony Rice i Fred Costa, przechodzili już przez to i każdy z nich odsłużył swoje w nocy lub na prowincji.

– Tak, i ja też coś o tym słyszałem. Teraz Cheech zajmuje się sprawą – odpowiedział w końcu Burke.

– Twoje szczęście, kolego. Pamiętaj jednak, że nawet tak ustosunkowany rabi jak Frankie ma ograniczone możliwości. – Hartman zamrugał oczami. Przykro mi, ale pobicie jednego z tych wybrańców niewątpliwie wywoła chęć zemsty ze strony Związku Patrolowców. Oni na ogół o takich rzeczach nie zapominają i mogą być groźni nawet dla Paczki Sześciu.

Burke odwrócił głowę. Zobaczył, że za jego plecami stoi Tony Rice i szczerzy dwa rzędy sztucznych zębów. Brytyczyk miał na sobie jasnobrązowy garnitur, starannie wyprasowaną niebieską koszulę i nowiutki żółty krawat.

– Wielkie nieba! Co ty dzisiaj taki elegancki? Burke udał zdumienie.

Rice roześmiał się sarkastycznie, rozłożył ręce, jakby chciał złożyć dworski ukłon, i odpowiedział:

– Drogi kolego, to po prostu wrodzone poczucie estetyki.

Burke odwrócił głowę w kierunku Hartmana, który właśnie wlepił wzrok w powagę. Eddie i Rice, którego SzeF zwykł nazywać Lordem Haw Haw, od dawna prowadzili wojnę o to, kto jest lepiej ubrany. SzeF był zwolennikiem mody młodzieżowej, luźnych ubrań i kolorowych koszul z wyłożonymi kołnierzykami. W sumie wyglądał jak policjant po służbie. Zdaniem Burke'a ubierał się tak właśnie na złość wytwornemu koledze.

– On przypomina pomocnika modela na pokazie mody – ocenił SzeF. Nie mam racji?

Burke zignorował pytanie. Rice tymczasem opadł na swój fotel i nie przestając się uśmiechać, zapytał Burke'a:

– Ty wstrętny chłopaku, coś ty narozrabiał? Opowiadaj.

– Wczoraj wieczorem wybrał się gdzieś z prześliczną lady Whitney. – SzeF usiłował nadać swej wymowie akcent brytyjski. – I dla przyjemności damy znokautował jednego z granatowych stróży prawa. Niestety, gliniarz nie pojął, o co chodzi, po prostu wsadził naszą dwójkę.

Rice kręcił się w fotelu, nadal ozdabiając twarz szerokim uśmiechem.

– Tak, to mi się podoba. A teraz powiedz prawdę ze szczegółami. Jak zareagowała, czy stała się namiętna? Czy zdarła z ciebie ubranie? Czy kochaliście się tak, że straciłeś resztki rozumu? Gadaj wszystko.

Burke posmutniał.

– Kiedy ją widziałem po raz ostatni, nie odzywała się do mnie.

Rice natomiast uśmiechnął się jeszcze szerzej: – Gra pozorów. Nie mam wątpliwości, że pojechała do domu i do świtu uprawiała masturbację.

– Nie opowiadaj – Szeff udał oburzenie. – Nie życzę sobie, by się onanizowała. Chyba że ja mogę na to popatrzeć.

Rice przysunął się do Burke'a i zapytał konfidencko:

– Powiedz, drogi chłopcze, czy zrobili wam rozbieraną rewizję?

– Burke kiwnął głową.

– Tak.

– O, Boże – wymamrotał Szeff. – Zaraz popuszczę.

Tylko nie tu. Sprzątaczką ci przyłoży – skomentował ktoś z tyłu.

Wszyscy jak na komendę odwrócili głowy w kierunku, skąd dobiegał głos, i zobaczyli Frankiego Fabio. Stał za nimi i obdarzał ich jednym z tych spojrzeń, z którego mogli odczytać, co w rzeczywistości myśli o swoich podopiecznych.

– O, nasz Cheech – ucieszyli się.

– Moi chłopcy – odwzajemnił się Frankie i patrząc na Burke z wyraźnym współczuciem, dodał: – Nasz ukochany Naczelnny chciałby zamienić z tobą kilka słów.

– Doskonale – skwitował ironicznie Burke. – Jeśli jeszcze dowiem się dzisiaj, że mam rakowatego guza w gardle, to już będzie komplet.

Dokładnie zgodził się Frankie. – Trzymaj tylko gębę na kłódkę, a być może nie wywędrujesz do oddziału na Queens. – Podrapał się po nosie i rzekł: – Zaproponowałem twoją kandydaturę do tematu, na którym mu zależy, a więc zachowaj się rozsądnie, a pozostaniesz w centrali.

Burke wydał z siebie ni to westchnienie, ni to warknięcie. – Możesz mi wierzyć, Cheech, że zrobię co w mojej mocy.

Gabinet Lenny'ego Twista miał od frontu ścianę całkowicie oszkloną.

Umeblowanie składało się z ogromnego, metalowego biurka, miękkiego krzesła dla gościa i pokrytej skórą kanapy. Na ścianie za biurkiem wisiały różne nagrody i odznaczenia, jakie Twist otrzymał za pracę reportera. Pośrodku pozostawiono symbolicznie wolne miejsce na Nagrodę Pulitzera, a sam Twist uparcie twierdził, że był

przez jury stale i z rozmysłem pomijany.

Twist siedział za biurkiem. Na końcu nosa tkwiły okulary z połówkami szkieł. Z uwagą studiował pierwszy z materiałów serii omawiającej pogarszający się stan miejskiej kasy. Lenny był niewysokim, kościstym mężczyzną, wyraźnie łysiejącym pomimo zaledwie trzydziestu sześciu lat. Miał blisko osadzone oczy, określane przez Burke'a „oczami prosiaka”. Zdaniem Burke'a facet cechował się przede wszystkim bezwzględnością i egocentryzmem. Nie wahał się przed niczym, by osiągnąć zamierzony cel. Billy przyznawał jednak, że Lenny był doskonałym reporterem i w gruncie rzeczy znakomitym redaktorem naczelnym.

– Frankie mówił, że chciałeś mnie widzieć – zaczął Burke.

– Twist, nie podnosząc głowy znad czytanej kolumny, zapytał:

– Jak długo już pracujesz w tym biznesie?

– Siedemnaście lat – odburknął Billy.

– A jak długo w tej gazecie? – Naczelnym nadal miał opuszczoną głowę.

Burke czuł, że go nerwy ponoszą ale się opanował. On i Twist podjęli pracę w „Globe” niemal dokładnie w tym samym czasie. Obaj byli korespondentami w Wietnamie – Burke dla UPI, a Twist dla Agencji AP. Zawsze rywalizowali ze sobą i raz jeden, a raz drugi wygrywał. Współzawodnictwo kontynuowali w „Globe”. Wkrótce obu uznawano za czołowych reporterów gazety.

Potem stali się kandydatami na stanowiska redaktora naczelnego wydania metropolitalnego. W tym jednak okresie małżeństwo Burke'a zaczęło się rozpadać, a Twist wykorzystał fakt, że życie konkurenta stało się „niestabilne”. Burke otrzymał propozycję objęcia stanowiska zastępcy szefa waszyngtońskiego biura gazety, ale z powodów osobistych odmówił. Począwszy od tamtych czasów, Twist dbał o to, by Burke nie dostał żadnej innej intratnej oferty.

– Pracuję tu od siedmiu lat – odparł Burke w pełni opanowanym głosem.

Twist w końcu podniósł głowę.

– A jakie było twoje ostatnie spotkanie? Poczekaj. Pozwól, że ja przypomnę. – Patrzył znad połówek szkieł. – Chciałeś się zabawić na przyjęciu, zorganizowanym z okazji zamknięcia starej dyrekcji policji. Zalałeś się i usiłowałeś nasiusiać na buty burmistrza.

– To nie ja – zaprzeczył Burke. – To Indianin. – Indianinem nazywano zwalistego reportera Alexa McDermota, który pod wpływem alkoholu zawsze czuł nieprzepartą chęć siusiania na innych. Alex po trzeźwemu był uroczym, utalentowanym reporterem. Razem z Tonym Rice'em pisał najładniejsze reportaże, jakie ukazywały się w gazecie.

– O, bardzo przepraszam – wycofał się Twist. – W takim razie chodziło o trupa,

którego zwędziłeś z domu pogrzebowego.

Burke patrzył tępo w podłogę i milczał. To zdarzyło się przed trzema laty, kiedy waliło się jego małżeństwo, a on sam tego popijał. Sprawa dotyczyła ciała pewnego kolegi, reportera, który pracował dla „New York Post”. Nieszczęśnik miał raka i obiecał swojej dziewczynie, że po jego śmierci to ona zorganizuje żałobne spotkanie nad trumną i sam pogrzeb. Potem zobowiązał najbliższych przyjaciół, w tym i Burke’a, by ta ostatnia wola została spełniona. Po spotkaniu żałobnym i załatwieniu formalności pogrzebowych przez żonę zmarłego, z którą stosunki nieżyjącego reportera były jak najgorsze, kiedy rodzina opuściła dom pogrzebowy na cmentarzu Brooklyn Greenwood, kilku kolegów załadowało trumnę ze zwłokami na jeepa Burke’a i ruszyło w kierunku Westchester Country. Nie zdołali jednak wyjechać z cmentarza. Zostali zatrzymani przez dyrektora domu pogrzebowego, który wniósł przeciwko nim skargę o nielegalny transport zwłok. „Globe”, „Post” i „News” musiały prosić wielu dygnitarzy miejskiego samorządu, by nie wnoszono sprawy sądowej przeciwko reporterom tych redakcji.

– Tym razem było coś całkiem innego. Napity policjant miał pretensje pod adresem dziennikarzy. Ja tu niczego nie planowałem – tłumaczył z wzrokiem wbitym w blat biurka. Nie patrzył na twarz naczelnego. Przyznawanie się przed Twistem do jakiegokolwiek wykroczenia było dla Burke’a szczególnie bolesne. Zmusił się jednak i podniósł wzrok. – Niestety, zachowałem się głupio.

Powinienem zostawić sprawę innym, którzy by załatwili drania lepiej.

Twist wyprostował się w fotelu.

– Chwila szczerości? Jestem zaskoczony.

Burke zignorował sarkastyczny ton i idąc za radą Fabia, milczał.

Twist potrząsnął głową, okazując niezadowolenie.

– W razie potrzeby „Globe” da ci adwokata, ale Frankie mówi, że facet zostanie uziemiony, zanim do czegoś dojdzie. Popatrz na Burke’a. Mówił też, że i ty nie wystąpisz z oskarżeniem. To prawda?

Burke skinął głową.

– Prawda – powtórzył.

– Z przyjemnością stwierdzam, że potrafisz się czasami zachować sensownie. Wcale nie potrzeba nam wojny z glinami o takie gówno.

Burke przemilczał kolejną złośliwą uwagę.

– Doskonale, zostawmy już zabawę. – Rzucił gniewne spojrzenie w kierunku Burke’a. – Niech mi się to jednak nie powtórzy. Rozumiesz?

– Rozumiem.

Twist mruknął coś pod nosem, raczej do siebie niż do Burke’a. Złożył ręce, jakby

chciał czemuś przyklasnąć: – Świetnie, wracajmy do spraw redakcyjnych.

Mam dla ciebie temat. Wyśmienity. – Zamilkł i z uwagą przyglądał się Burke'owi, jakby nie był w pełni przekonany, że wybrał właściwego reportera do zajęcia się tym właśnie zadaniem. Westchnął, sygnalizując, że z oporami podejmuje jednak tę decyzję, i kontynuował:

– Przed kilkoma dniami zatelefonowała do nas pewna pielęgniarka. Pracuje u znanego i szanowanego kardiochirurga. Praktyka na Manhattanie. Wielkie nazwisko. Ordynator kardiochirurgii w szpitalu klinicznym. Szef jednego z wydziałów akademii medycznej. Znana postać w świecie lekarskim. Taka alfa i omega. – Wydawało się, że naczelny sam upaja się swoimi słowami. – No i ten wielki pan doktor ma pewnego pacjenta. Pięcioletniego chłopaka. Dziecko nazywa się Roberto Avalon. Mieszka na Piątej Alei w Brooklynie. Zapewne Portorykańczyk. Ma tylko matkę, Marię Avalon. Powszednia historia. – Twist zmrużył oczy, jakby chciał ruszyć do ataku. – I tylko jedno w tym jest niezwykle. Chłopak ma ubytek w sercu. – Podniósł do góry palce. – Wadę, która prędzej czy później go zabije. – Zamilkł na chwilę dla uzyskania lepszego efektu. – Dzieciak umrze, chyba że zrobią mu operację na otwartym sercu. A taki zabieg to specjalność naszego pana doktora.

Burke poczuł skurcz w żołądku. Doskonały temat. Właśnie taki, który mógł go wyciągnąć z kłopotów. I przynajmniej na razie pozwoli mu na pracę na Manhattanie. Jezu! Bohaterem będzie chory dzieciak, niewinny pięciolatek zagubiony w labiryncie metropolitalnej medycyny. Sama myśl o tym przyprawiała Billy'ego o zawrót głowy. Czy to właśnie było mu w tej chwili potrzebne? Jak jednak odmówić, by nie znaleźć się natychmiast na liście ukaranych, zesłanych na przedmieścia? Patrzył na Twista, który wyprostował plecy i uważnie się mu przyglądał. Naczelny przypominał Burke'owi kocura wypytywanego o to, gdzie zniknął kanarek. Postanowił, że zachowa milczenie i da Twistowi odegrać całą scenę tak, jak sobie tylko życzył.

– Istnieje tylko jeden mały problem – ciągnął opowieść Twist. – Mama małego Roberta nie ma ubezpieczenia, a więc doktor i szpital chcą zabezpieczenia w postaci osiemdziesięciu procent należności, zanim rozpoczną przygotowania do zabiegu.

– A ile taka operacja kosztuje? zainteresował się Burke.

Wzrok Twista stał się lodowaty i drapieżny.

– Dziewięćdziesiąt kawałków. Jeśli moja matematyczna wiedza mnie nie zawodzi, to mama Roberta musi przynieść siedemdziesiąt dwa tysiące. Dopiero wtedy lekarz wyciągnie rękę po skalpel, a szpital przygotowuje łóżko.

Burke poczuł, że ucisk w żołądku zmalął.

Co więc planujesz? – zapytał.

Naczelnny nieco przechylił głowę na bok i nie spuszczać oczu z twarzy Burke'a, powiedział:

– Nie wyglądasz na zdumionego i wcale cię to nie poruszyło.

Burke spojrział na szefa ze współczuciem i bez zająknięcia skłamał:

– Pracuję w tym fachu od siedemnastu lat. Nic mnie nie może zaskoczyć.

A uczucia wypaliły się we mnie już co najmniej przed dziesięciu laty.

Twist zarechotał:

– Boże, a ja zamartwiam się, że ty od dłuższego czasu nie możesz wygrzebać się ze smutku i frustracji. – Podniósł brwi. Chciał wyczytać w oczach Burke'a, czy zrozumiał aluzję do swojego prywatnego życia. – To temat wielki i trudny – kontynuował. – Tu nie potrzeba reportera, który angażowałby się uczuciowo.

– Ja na pewno się nie zaangażuję – wtrącił Burke.

– Doskonale, ponieważ w całej sprawie chodzi o coś znacznie więcej, niż mówiłem.

– Twist rozparł się w fotelu, ręce złożył jak do modlitwy, po czym położył je na tłustym brzuchu. – Czy pamiętasz, jak w latach sześćdziesiątych miasto powołało do życia Administrację Nadzoru Szpitali?

Burke skinął głową.

– Coś sobie przypominam, ale szczegółów nie kojarzę.

Twist przesunął w kierunku reportera paczkę wycinków prasowych.

– Tu znajdziesz wszystko. Przeczytaj. – Ponownie wcisnął się w fotel i złożył ręce na brzuchu. – Na razie pokrótce streszczę ci, w czym rzecz. W tamtych latach miasto miało kłopoty ze znalezieniem ludzi do pracy w społecznych szpitalach, czemu się trudno dziwić, ponieważ te placówki przypominają ogrody zoologiczne. Tak było, i tak pozostało. W każdym razie w całej koncepcji chodziło o to, by prywatne szpitale akademickie przejęły część odpowiedzialności za skład personelu placówek społecznych. Akademie medyczne i ich kliniki miały dostarczać lekarzy ogólnych, internistów, chirurgów i potrzebnych specjalistów. W zamian za to miasto przekazywałoby akademikom i klinikom znaczne sumy na płace dla lekarzy i na pokrycie administracyjnych kosztów programu. Z przeznaczonych funduszy pozostawała jeszcze całkiem spora dola dla akademii. – Twist ponownie pochylił się do przodu. – Nasza miła pielęgniarka twierdzi, że niektóre prywatne szpitale zobaczyły w tym programie sposób na wycyckanie miasta. A teraz zgadnij, kto wyróżnia się w robieniu szwindli.

– Domyślam się, że nasz wybitny kardiochirurg.

– Oczywiście. – Twist klasnął i zaczął zacierać ręce. Sprawiał teraz wrażenie biesiadnika siedzącego przy suto zastawionym stole i właśnie zabierającego się do kolejnego, szczególnie smakowitego dania.

– Na jakie sumy nabierają miasto? – zapytał Burke.

Proceder podobno trwa od lat, a więc w grę wchodzi już niezłe pieniądze.

Pielęgniarka twierdzi, że klinika wprowadziła na listy płac z funduszy miasta wszystkich swoich lekarzy i specjalistów, nawet dochodzących. – Uśmiechnął się złośliwie. – A mowa o kilkuset medykach, którzy co najmniej od pięciu lat czerpią zyski z kasy miejskiej. Mamy więc do czynienia z sumami o siedmiu zerach. Twist położył palec na ustach, dając wyraz temu, że informacja na razie stanowi tajemnicę. – Oczywiście, lekarze ci i specjaliści wcale nie pracują w szpitalach społecznych. Jedynie niektórzy pokazują się tam od czasu do czasu na konsultacje. Podejrzewam, że większość z nich nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, że figuruje na miejskich listach płac. Forsa wpływa do kliniki i tam jest dzielona pomiędzy uczelnie i szpitale. Pielęgniarka uważa jednak, że z list płac wynika coś całkiem innego. Podobno wszyscy lekarze są w społecznych szpitalach każdego tygodnia, czasami przez dwa, trzy, a bywa, że i cztery dni. Czasami pokazują się tam jeszcze interniści, a więc społeczne szpitale nie protestują. Im potrzebny jest każdy dobry specjalista. Oczywiście, pracownicy szpitali społecznych nie wiedzą, kto figuruje na tej liście płac. Nie mają pojęcia, że także chirurdzy powinni się u nich pokazywać i operować. A w tym samym czasie akademia pokrywa z tej puli koszty swojej kliniki i opłaca specjalistów. I w taki sposób faceci, tacy jak nasz wielki chirurg, napychają sobie kieszenie, nie przerywając swojej prywatnej, lukratywnej praktyki. – Twist zwinął się nad biurkiem jak niedźwiedź, który właśnie wyłowił łososia i zabiera się do konsumpcji. – Jak widzisz, chodzi w ogóle o coś więcej. Sprawa chłopca to tylko punkt wyjściowy. – Podniósł do góry palec wskazujący. – Jedynie początek. Spotkasz się z tą siostrzyczką i wydobędziesz informacje natury medycznej. Zbierzesz też wszystko, co się tylko uda, na temat lekarza. Ile zarabia, do jakiego klubu należy, gdzie lubi jadać obiady, czy chadza do opery, na otwarcie wystaw do muzeów i takie tam rzeczy. – Twist pochylił się jeszcze bardziej do przodu i wbił wzrok w Burke'a. – Chcę, byśmy pokazali gościa takim, jakim jest w rzeczywistości, jako Wielkiego Naciągacza.

– Oczywiście, kiedy zdobędziemy materiały.

– Oczywiście – zgodził się Twist. – Musimy wszystko precyzyjnie przygotować. Rozegraj to dokładnie tak, jak Muhammad Ali swoją walkę na ringu.

– Masz latać z wdziękiem motyla, ale kasać jak osa. – Zatarł ręce z taką werwą, jakby chciał z nich wykrzesać iskry. – Zacznesz od sprawy chłopaka i będziesz robił wrażenie, że nic innego nas w ogóle nie interesuje. W rzeczywistości powinieneś poznać każdy szczegół dotyczący lekarza i dyrektora szpitala. Powtarzam: każdy szczegół, na przykład o której rano lecą do kibla. Nasza pielęgniareczka na pewno ci pomoże, choć to dopiero początek. Naprawdę będziesz jej potrzebował, by dotrzeć do list płac i akt

personalnych, w tym dokumentów chirurgów. Otrzymanie tych informacji ze szpitali społecznych nie powinno być dużym problemem. Jeśli personel z tej kliniki czy innej kliniki akademickiej pracuje w szpitalach społecznych, takich jak Belleuve czy Szpital Harlem, to znajdziesz odpowiednie adnotacje w aktach finansowych tych szpitali. By jednak udowodnić, że to zwykła lipa, będziesz musiał dotrzeć do dokumentacji klinik akademickich. Wtedy dopiero zdołamy udowodnić, że lekarze otrzymują pieniądze od miasta, prowadzą zajęcia na uczelniach lub przyjmują w prywatnych gabinetach zamiast pracować w szpitalach społecznych. – Gdy Twist mówił, twarz promieniała mu radością. – Czyż to nie wspaniałe móc udowodnić wielkiemu kardiochirurgowi, że pobierał pieniądze od miasta za konsultację nędzarza w Belleuve, a on w tym właśnie czasie operował matronę z Park Avenue? I pomyśleć, że taki człowiek nie chce pomóc małemu Robertowi, zanim nie otrzyma do ręki osiemdziesięciu procent honorarium!

– Kiedy chcesz, byśmy zaczęli sprawę, i jaki jej nadać rozgłos? – Burke dokładała starań, by w jego głosie nie odezwało się nawet echo emocji.

– Rozgłos jak największy. Po rozmowie z pielęgniarką spotkasz się z *mamacita*. – Ponownie podniósł do góry palec wskazujący. – Musimy zacząć od nakreślenia postaci Roberta. To może być kilka, nawet kilkanaście materiałów.

– Jeśli czytelnicy złapią, a złapią na pewno, jeśli dobrze zaczniemy, możemy temat ciągnąć przez miesiąc. Nawet dłużej. – Zamachał rękami. – Wiesz przecież, jak to robić. Dobra, barwna, ciekawa opowieść. Mały z uwagi na stan zdrowia nie może grać w piłkę. Dowiedz się, kto jest jego ulubionym sportowcem, a załatwimy, by facet go odwiedził. – Podniósł dłoń i na palcach zaczął wyliczać, co należałoby zrobić. – „Globe” założy fundusz dla Roberta. Każdy prawy obywatel będzie mógł wpłacić jakąś sumę na operację. Rozumiesz? – Twist był coraz bardziej zadowolony ze swoich pomysłów. – Trzeba zebrać forszę na zabieg i rehabilitację. To nie powinno być trudne. Oddzielny pokój w szpitalu, pielęgniarka do domu. Nie widzę kłopotów. Powinniśmy zebrać tyle, że mama wróci potem do Portoryko i będzie tam żyła jak królowa.

– A kiedy ruszamy z atakiem na lekarzy i szpitale?

– To zależy od tego, kiedy zbierzesz materiał, by ich przycisnąć do muru. Chodzi o solidne dane. Żadnych luk, żadnej drogi ucieczki ani dla szpitali, ani dla lekarzy czy dla akademii medycznych. Żadnych zakładników. Pojmujesz? – Twist czekał, by Burke potwierdził. Gdy zobaczył kiwnięcie głowy reportera, zarechotał. Przypominasz sobie tego znanego lekarza sprzed kilku lat złapanego przez Służbę Podatkową na oszukiwaniu z odpisami od podatku? Odliczał sumy wydawane jakoby na honoraria dla terapeutów, którzy w rzeczywistości byli zwykłymi oszustami.

– Pamiętam – przytaknął Burke. – Gazeta miała z tym mnóstwo zabawy.

Właśnie – zgodził się Twist, ponownie przyjmując postawę niedźwiedzia zabierającego się do konsumpcji łososia. – A teraz ten lekarz zaprzyjaźniony z oszustami pracuje w interesującej nas klinice. Chcę tego sukinsyna przyszpilić.

Musimy ich dokładnie prześwietlić. Musimy znaleźć każde świństwo, jakim przyozdobili sobie swoje prywatne życie. Kiedy zgromadzimy materiały, dobierzemy się do tyłków tym konowalom i administratorom szpitali. Pokażemy bogatych cwaniaków, którzy nie mają ochoty ratować życia małego Roberta. Ujawnimy ich niebywałe dochody, ich pieprzone podmiejskie kluby. Wykorzystamy każdy argument, do jakiego się dokopujemy. A kiedy podniosą wrzask, co niewątpliwie nastąpi, przytrzaśniemy im jaja tą sprawą okradania miasta. Może nawet dobierzemy się do lekarza, który fałszował zeznania podatkowe. – Wyprostował się i rozłożył ręce. – Wtedy będziemy panowali na polu bitwy. Zapłacą za wszystko. My odegramy rolę wyraziciela opinii publicznej. Zażądamy, by miasto podjęło przesłuchania, powołało komisję dla ustalenia, które z prywatnych szpitali uczestniczyły w tej grze. Zaczniemy dochodzić, ilu dzieciom odmówiono opieki medycznej, podczas gdy te rzezimieszki napychały sobie kieszenie naszymi pieniędzmi. Z łatwością ustalimy bolesne fakty. Jak tylko zaczniemy ciągnąć temat, ludzie sami będą przychodzili do nas z informacjami. – Twist wyprostował się i podniósł oba palce wskazujące do góry. – Do tego czasu jednak niczego nie wiemy, niczego nie szukamy. Chcemy tylko jednego, pomóc biednemu chłopcu.

Nie mamy pojęcia o zachłannym chirurgu, o bezlitosnym personelu, który jak długo nie widzi pieniędzy, palcem nie kiwnie, by ratować komuś życie. Znamy tylko historię biednego Roberta. Zresztą imię zmienimy na Boby. Nie warto opowiadać, że to biedota emigracyjna, która za dziesięć lat będzie się włamywała do domów naszych czytelników. – Złożył ręce i potrząsnął nimi dla podkreślenia swoich racji. – Nie wolno nam zrobić nic, co osłabiałoby wymowę tematu. Nie mamy na celowniku tylko jednego doktora i tylko jeden szpital. Przygwoździmy cały śmierdzący system opieki zdrowia, który odmawia pomocy, podczas gdy lekarze i szpitale obrastają w tłuszcz. – Popatrzył na Burke'a ostrym, twardym wzrokiem. – Za to może być Pulitzer. Dla całego zespołu. Pojmujesz?

Burke poczuł ponowny ucisk w żołądku. Nigdy jeszcze nie widział Twista tak podekscytowanego jakimkolwiek tematem.

– Rozumiem.

– Doskonale. Skontaktuj się teraz z Frankiem. On da ci telefon pielęgniarki.

– Porozmawiaj z nią po południu i rozkręcaj sprawę. Pojedź do Brooklynu, spotkaj się z mamuszką. I rzecz jasna z chłopakiem. Oczywiście nadal wykonujesz swoje zwykłe zadania, ale każdą wolną minutę poświęcasz temu tematowi. Dotarło?

Burke kiwnął głową. Zresztą i tak nie miał innego wyboru.

– Dotarło – powtórzył.

Twist przyglądał mu się jeszcze przez chwilę.

– Dzięki temu możesz zrobić bardzo wiele dla siebie. Naprawić to, co od dawna wymagało reperacji... Pojmujesz?

– Oczywiście.

– Doskonale. – Ponownie spojrzał Burke'owi w oczy. – I jeszcze jedno.

– Jak to rozkręcisz i będziesz potrzebował więcej czasu, przyjdź do mnie.

Wymyślimy coś, żebyś nie zajmował się innymi sprawami.

– Powiadomię cię w odpowiednim czasie.

– Tak, doskonale. I informuj mnie, jak stoją sprawy. Co najmniej raz w tygodniu chciałbym coś usłyszeć od ciebie. – Twist pokazał palcem na drzwi. A teraz znikaj i załatw nam tego cholernego Pulitzera.

Rozdział trzeci

Wtorek, godzina 18.00

I Jennifer Wells, wysoka, szczupła, miała dwadzieścia pięć lat i była prześliczna. Należała do grona kobiet, na których widok mężczyznom zapiera dech w piersiach. Tak w każdym razie oceniał Burke. Do momentu, kiedy otworzyła usta.

Gdy zaczęła mówić, czar pryskał. Miejsce poprzednich zalet zajmowała jakaś zawziętość dominująca w jej zachowaniu. I nie łagodziły tego wrażenia ani niebieskie oczy, ani zwichrzone blond włosy, ani zmysłowe usta.

O tym właśnie myślał Burke, siedząc naprzeciwko pielęgniarki w małym barze przy Columbus Avenue, który Jennifer wybrała na miejsce spotkania.

Twierdziła, że bar znajduje się blisko jej mieszkania i daleko od Szpitala Uniwersyteckiego, co dawało pewność, że nie zobaczy ich nikt z jej kolegów czy koleżanek z pracy.

W trakcie rozmowy telefonicznej Billy wyczuwał w głosie dziewczyny zdenerwowanie, może nawet strach. Teraz jednak górę wzięły gniew i rozczarowanie. Złość nie była skierowana przeciwko konkretnemu człowiekowi, na przykład przeciwko szefowi. Po prostu gniew ten tkwił w niej i nie dało się go ukryć za przemiłym uśmiechem.

Burke nie przejmował się tym specjalnie. Spotykał się z takim zjawiskiem wielokrotnie, szczególnie u osób nie posiadających doświadczenia w kontaktach z dziennikarzami. Wielu przekazywało informacje prasie, kierując się motywami o charakterze moralnym. Jednak prawie zawsze związane to było z jakąś prywatną sprawą, którą chciano załatwić. Dlatego w podobnych przypadkach należało zachowywać szczególną ostrożność.

Chciał się dowiedzieć, jaką własną pieczęć piekła tu jego informatorka, ale jako doświadczony reporter wstrzymał się z wypytywaniem. Przyjdzie czas, to się dowie. Zawsze tak postępował. Ludzie przychodzący do gazety z informacjami nie domyślali się nawet, że dobry dziennikarz zaczynał zazwyczaj od zasięgnięcia informacji na temat samego źródła. Po prostu by się upewnić, że nie zostanie oszukany.

Siedząc po drugiej stronie stołu, uśmiechał się do dziewczyny. Przed nim stała filiżanka kawy, przed nią kieliszek wina. Całe pomieszczenie wypełniała muzyka płynąca z lokalnego systemu stereo.

Jennifer miała na sobie domowe ciuchy. Po powrocie z pracy zrzuciła mundurek pielęgniarki, a nałożyła dopasowane do ciała dżinsy i koszulkę gimnastyczną z napisem

I Love NY. Na blond włosach widniały okulary słoneczne, noszone najwyraźniej dla podkreślenia linii twarzy, nie dla osłaniania oczu.

Burke nie przerywał, kiedy snuła opowieść o pięcioletnim chłopcu skazanym na śmierć przez wrodzoną wadę serca, ale i przez to, że urodził się w ubogiej rodzinie. Billy starannie ukrył, że sprawa budzi w nim mieszane uczucia i że zajmuje się nią z wewnętrznymi oporami. W tej niewątpliwie smutnej opowieści nie było nic szczególnie nadzwyczajnego. Tak w każdym razie widział to jako reporter. Zresztą, tliła się iskierka nadziei. Chłopiec miał szansę ucieczki przed złym losem, i to jedynie dlatego, że Lenny Twist marzył o nagrodzie Pulitzera.

Gdy Jennifer dobiegała do końca opowieści, Burke smutnie pokiwał głową, dając do zrozumienia, że jest głęboko przejęty. – Proszę mi opowiedzieć o swoim szefie – powiedział po chwili. – Chciałbym zrozumieć tego faceta.

Jennifer odchrząknęła.

– To wielki człowiek. Wie pan, co mam na myśli?

– Niezupełnie.

Jennifer ponownie niezbyt ładnie chrząknęła, ale zaraz potem prześlicznie się uśmiechnęła, najwyraźniej z myślą o pozyskaniu sympatii rozmówcy. Burke pomyślał, że dziewczyna ma świadomość tego, jak doskonale wygląda, i w razie potrzeby potrafiła z tego korzystać. Przypominała mu w tym Whitney. Z tym tylko, że w tej siedzącej naprzeciwko dziewczynie tkwił też autentyczny gniew. Zastanawiał się, czy gdyby zasygnalizował, że jest jej wdziękiem urzeczony, to spotkałby się z tym gniewem? Znał kobiety, które tak właśnie reagowały. Staraly się oczarować pięknem i wdziękiem, a kiedy uzyskiwały właściwą na to odpowiedź, wpadały w złość, uznając, że mężczyźni nic nie interesuje, tylko uroki cielesne.

Tymczasem dziewczyna powiedziała:

– To facet bogaty, osiągający sukcesy, biały, w średnim wieku. Czy trzeba coś dodać?

Burke patrzył na nią i po chwili rzekł:

– Znam kilku bogatych, odnoszących sukcesy, białych, w średnim wieku, którzy jednak nie odwróciliby się plecami do umierającego chłopca. – Na moment zamilkł, po czym uzupełnił wypowiedź stwierdzeniem: – Być może niewielu, ale jednak kilku znam.

– Rozumiem. No cóż, doktor Bradford do tych nielicznych nie należy. Uważa, że wszyscy powinni całować ziemię, po której stąpa. – Oczy Jennifer nabrały zimnej, stalowej barwy. – Ten chłopak umiera. To oczywiste. Pozostał mu najwyżej rok. Może jedynie sześć miesięcy albo tylko miesiąc. Wszystko zależy od dalszego przebiegu choroby.

Dziewczyna podniosła leżącą u jej nóg torebkę, otworzyła ją i wyjęła plik dokumentów, który położyła na stole. Burke patrzył na kupkę papierów i starał się powstrzymać uśmiech. Wiedział, że są to fotokopie zeznań podatkowych doktora. Zastanawiał się, czy Lenny Twist zatelefonował do pielęgniarki i prosił, by z tymi właśnie świstkami przyszła na spotkanie.

– Gdzie pani to zdobyła? – zapytał.

Wyciągnęłam z akt biura.

Burke kiwnął głową ze zrozumieniem. Pomyślał, że nie było w tym nic nielegalnego. W każdym razie dla niego. A dla Jennifer Wells? Mogła mieć kłopoty, gdyby ją przyłapano. A jego już w tym głowa, by nikt się nie dowiedział o kradzieży. Nie po raz pierwszy twierdziłby, że dokumenty, jakimi dysponuje, zostały po prostu nadesłane przez nieznanego nadawcę. Ludzie wierzyli, że dziennikarze prędzej dadzą się wsadzić do więzienia, niż zgodzą się na ujawnienie źródła informacji. Takie sytuacje zdarzały się niezmiernie rzadko i tylko wtedy, gdy zwykłe kłamstwo nie wystarczało dla zachowania anonimowości informatora.

W tym konkretnym wypadku oczywistej kradzieży dokumentów, zdaniem Burke'a, rzecz była łatwa do utrzymania w tajemnicy. Mógł więc wykorzystać dziewczynę do przyniesienia także innych papierów. Przedtem jednak musiał otrzymać odpowiedź na kilka pytań.

– Jak długo pani pracuje u Bradforda?

– Około sześciu miesięcy.

Burke nie zdołał ukryć zdziwienia, co spowodowało, że Jennifer najeżyła się. Wyciągnęła rękę i postukała palcami w leżące na stole fotokopie.

– Czy widział pan, ile ten dobry doktor zarobił w zeszłym roku?

Burke pochylił się i wyszukał końcową sumę w rubryce dochodów. Składała się z sześciu cyfr.

– Zarabia ponad dziesięć tysięcy kawałków tygodniowo. Czy pańskim zdaniem nie stać go na to, by pomóc temu biednemu chłopakowi gratis? – Wyczuła, że Burke ma zamiar zaprotestować, więc zanim zdążył otworzyć usta, dodała szybko: – Musi pan wiedzieć, że te dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów za operację nie idzie w całości do jego kieszeni. Tak więc dobry uczynek wcale by Bradforda tyle nie kosztował. Tylko część byłaby dla niego. Oczywiście dostałby sporo, jest przecież głównym chirurgiem. Najwięcej jednak zabiera szpital, potem dostają działkę lekarze z zespołu operującego. Wie pan jednak co? Gdyby mój zwierzchnik rzekł się swojej doli, inni lekarze zrobiliby to samo, a za nimi poszedłby szpital.

Patrzył na nią zdziwiony, po czym zapytał:

– Dlaczego?

– Takie są zasady gry. To Bradford wybiera członków zespołu. Zarabiają dzięki niemu. A więc jeśli powie: „Chłopcy, tylko raz, ale zrobmy coś za frajer”, dziewięćdziesiąt dziewięć procent szansy, że wszyscy się zgodzą. Może im się to nie podobać, ale podporządkują się woli Bradforda. Nie wyśmieją go przecież. Nie będą ryzykowali przyszłych honorariów. Takie właśnie są zasady gry – powtórzyła i potrząsnęła głową. – Proszę mi wierzyć. I dokładnie tak samo postąpiłby Bradford, gdyby przyszedł do niego jeden ze znanych, doświadczonych kardiologów i powiedział: „Hej, Jim, mam szczególny wypadek i potrzebuję twojej pomocy”. – Mówiła szybko, jednym tchem i dopiero teraz zamilkła na chwilę, aby złapać oddech. – Proszę zrozumieć, Bradford nie jest pierwszym kardiochirurgiem, u którego pracuję, i niech mi pan uwierzy, oni wszyscy działają według tych samych reguł.

– A co na to szpital? – zapytał Burke.

– Gdyby Bradford naciskał, szpital by się zgodził.

– Dlaczego?

– Z identycznych powodów jak lekarze i dlatego, że Bradford ma tam wpływ. W każdym szpitalu są tacy Wielcy Faceci. Oni napędzają szpitalom dochody. A co ważniejsze, takie wypadki nie są na porządku dziennym. Samodzielnym chirurgom może się coś podobnego zdarzyć raz na dwa, trzy lata. Najwyżej. Szpital stać więc na to, by takiemu doktorowi czasami ustąpić. Oczywiście administracja tego nie lubi i trzeba ją nieco przydusić, ale w końcu się zgodzi.

– A jakimi pobudkami miałby się kierować Bradford?

Popatrzyła na reportera z nieukrywanym szyderstwem.

– Ponieważ to dobry człowiek, a dobrym należy płacić za cuda, jakie sprawiają. – Na chwilę zamilkła i przyglądała się rozmówcy. – Jest jeszcze sprawa zleceń, jakie wykonują na koszt miasta. Czy pański naczelny nie wspominał o tym panu?

Wspominał przyznał Burke. I bardzo nas to interesuje.

– Ale pomożecie temu małemu chłopcu, prawda? – W jej oczach pojawił się cień wątpliwości i niedowierzania.

– Oczywiście. – Burke robił, co mógł, by nadać swoim słowom wydźwięk całkowitej wiarygodności. – Dla nas to wszystko łączy się w jedną całość. Chłopak jest czołową postacią całego tematu. – Pochylił się do przodu i ściszył głos, by wypowiedź zabrzmiała jeszcze bardziej przekonująco. – Postaramy się znaleźć odpowiednią dokumentację do tej drugiej części tematu. By to zrobić, musimy się dostać do archiwum szpitala i akademii medycznej. Chcielibyśmy pokazać, gdzie tak naprawdę byli lekarze wtedy, kiedy zdaniem urzędników miejskich mieli pracować w Belleuve, w Szpitalu Harlem czy

w jakimś innym, społecznym ośrodku zdrowia. Musimy więc dostać się do listy płac, rozkładu dyżurów, terminów zabiegów, do wszystkich ważnych zapisów. A ja przecież nie mogę wejść do szpitala i powiedzieć, że mi coś takiego jest potrzebne. Uśmiechnął się do niej najlepiej, jak tylko potrafił. – Oczywiście mógłbym to zrobić, ale natychmiast wyrzuciliby mnie za drzwi. – Podniósł do góry palec wskazujący, jakby w geście ostrzeżenia. – A to na dodatek byłoby dla nich sygnałem, czego szukamy, i dałoby im czas na schowanie istotnych materiałów. Wzruszył ramionami. – Potrzebuję pani pomocy, by dostać się do tych akt tak, by nikt o tym nie wiedział. Rozumie pani?

Jennifer najwyraźniej analizowała słowa rozmówcy.

– Dobrze, wprowadzę pana – rzekła po chwili. – Nie będzie to łatwe, ale jednak możliwe. Musi mi pan tylko zagwarantować, że gdyby pana przyłapali, moje nazwisko nie zostanie wymienione. Nie chciałabym zaprzepaścić sobie całej kariery pielęgniarskiej.

– Choćby mnie przypalali rozżarzonym żelazem, pani nazwisko nie padnie. – Mówiąc to, miał poważny wyraz oczu. – Gdybym panią wydał, wyrzucono by mnie z redakcji. – Zamilkł na chwilę. – A teraz serio. Spotkamy się jeszcze raz, aby omówić całą sprawę. Potem już nigdy nie znajdziemy się w jednym pokoju. A jeśliby mnie pytano, zaprzeczę, że panią znam. Natomiast w razie jakichkolwiek problemów czy pytań proszę telefonować do mnie, do redakcji. W ogóle dobrze byłoby, gdyby pani od czasu do czasu zatelefonowała. Ja nie będę się z panią kontaktował. Po co ryzykować? Ewentualnie zadzwonię pod numer, jaki pani poda. – Przyglądał się dziewczynie uważnie, starając się dociec jej reakcji. Wyglądała na spokojną. Dodał jeszcze: Na razie pozostaje nam tylko jedna sprawa. Czy może mi pani znaleźć dostęp do akt?

– Tak, ale ja ich nie mogę zabrać.

– Rozumiem, ale mnie pani wprowadzi? – dociekał Billy.

Jennifer znowu wydała z siebie to chrząknięcie tak bardzo nie pasujące do ładnej, młodej dziewczyny.

– Mówiłam panu, że od sześciu miesięcy pracuję u Bradforda. A od czterech lat w szpitalu. Wiem, jak ten mechanizm działa. Znam jego słabości. Spuściła głowę i dodała ciszej: – Gdyby ludzie wiedzieli, ile tam niedociągnięć, nikt by nie przestąpił progu tej instytucji.

Burke uśmiechnął się i sarkastycznie wykrzywił twarz.

– Jak się za to gruntownie zabierzemy, a na pewno do tego dojdzie, będę od pani potrzebował pomocy w kilku innych sprawach.

Patrzyła na niego uważnie.

– To znaczy? – Podejrzliwość widoczna w jej oczach ujawniła się teraz w jej głosie.

– Po pierwsze, muszę nieco poobserwować doktora Bradforda. I dlatego właśnie wspominałem, żeby pani od czasu do czasu zatelefonowała do mnie.

– Nie rozumiem.

– Chciałbym wiedzieć na przykład, gdzie jada obiady, zwłaszcza gdy wybiera się do jakichś wytwornych lokali. Gdzie rezerwuje stoliki. Szczególnie jeśli idzie z żoną do tak znanych miejsc, jak powiedzmy „Russian Tea Room”. Podniósł obie ręce, by po chwili położyć je na stole. – Może czasami udaje się do opery, na otwarcie muzeum?

Billy dostrzegł w oczach Jennifer błysk zadowolenia. Zaczynała pojmować, o co chodzi, i najwyraźniej plan się spodobał.

– Porównać życie małego Roberta z życiem doktora Bradforda – kontynuował Burke.

– Dobrze by było, gdybym zdobył kilka fotografii utrwalających postać doktora w różnych okolicznościach. Dlatego zależy mi na informacjach, do jakich chadza klubów, kiedy bywa w operze, gdzie jada obiady. Nie musielibyśmy chodzić za nim przez szereg tygodni. Czy mogłaby pani ułatwić nam zadanie?

Oboje się teraz uśmiechali. Burke bawił się swoją filiżanką. Pomyślał, że nadeszła stosowna chwila, żeby nieco przycisnąć pielęgniarkę, by wyjaśniła, jaki ma swój interes w tej całej sprawie.

– Proszę mi powiedzieć trochę więcej o Bradfordzie. Jakim właściwie jest człowiekiem? – Starał się, by jego głos brzmiał całkowicie niewinnie, by nie dostrzegła w tych pytaniach jakiegokolwiek zagrożenia. – Muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia – dodał.

Jennifer patrzyła mu przez chwilę w oczy i w końcu powiedziała:

– To świnia.

Burke parsknął śmiechem. – No, nieźle jak na początek. Dlaczego pani tak go ocenia?

Jennifer nabrała powietrza w płuca i wyrzuciła z siebie informację o tym, że na prośbę Bradforda każdego dnia do pracy szła w spodniach. Rysy jej twarzy wyostrzyły się. Wyraźnie czuła się rozgoryczona.

– Czy to panu coś mówi? – zapytała w końcu.

Burke odnotował, że z głośników popłynęły dźwięki innej piosenki.

Uśmiechnął się w odpowiedzi na pytanie i dodał:

– Oczywiście, że mi mówi.

Do stolika, przy którym siedzieli, podeszła jakaś kobieta w sukience i w modnych pantoflach na bardzo grubej zelówce. Burke zauważył, że zapewne z powodu tych butów szła nieco niezdarnie. Billy nie pojmował, dlaczego młode dziewczęta wkładały tego rodzaju obuwie, z całą pewnością niewygodne, a na dodatek paskudne. Kobieta stanęła

przy siedzących, pochyliła się i pocałowała Jennifer w policzek. Bez słowa usiadła na wolnym krześle przy stole i zaczęła uważnie przyglądać się Burke'owi tak, jakby chciała coś odczytać w jego myślach. Nieproszony gość był wysoką, bardzo atrakcyjną dziewczyną o nazbyt mocno pomalowanych ustach, z ciemnymi cieniami nałożonymi na górne i dolne powieki. Miała dość ostre rysy i drapieżne spojrzenie. Wyglądała na kogoś, kto nie lubi, jak inni mieszają się w jej sprawy. Tak w każdym razie wydawało się Burke'owi.

– To moja współlokatorka – przedstawiła ją Jennifer. – Adele. – A zwracając się do dziewczyny, powiedziała: – To ten pan reporter, o którym ci mówiłam.

Adele skinęła głową i posłała Billy'emu spojrzenie, w którym ten jednoznacznie odczytał ostrzeżenie: „nie próbuj nadepnąć mi na odcisk”.

– Miło panią spotkać – zaczął Burke i posłał jej wyjątkowo miły uśmiech.

Miał nieodparte uczucie, że Jennifer mogła się wycofać z całej umowy, gdyby on nie przypadł do gustu Adele. Dlatego też do uśmiechu dołączył ofertę postawienia drinka.

Adele zaakceptowała propozycję i odwzajemniła uśmiech, co spowodowało, że atmosfera stała się przyjemniejsza. Zamówił kieliszek białego wina, a kiedy zostało podane, usprawiedliwił się, pożegnał i szybko wyszedł. Była to żelazna zasada profesjonalistów – nie pokazywać się publicznie z zarekrutowanym informatorem.

Idąc uśmiechał się sam do siebie. Myślał o doktorze Jamesie Bradfordzie, o takim, jakim odmalowała go Jennifer, o człowieku zdecydowanie utalentowanym, odnoszącym sukcesy i bardzo z siebie zadowolonym. Uśmiech na twarzy Burke'a stawał się coraz bardziej promienny. Billy zastanawiał się nad tym, jak zareagowałby wielki doktor, gdyby się kiedyś dowiedział, ile kosztowała go słabość do spodni Jennifer Wells.

Wtorek, godzina 19.30

Gruby Vinnie Fagen siedział za biurkiem i sprawiał wrażenie wielkiego Buddy z telefonicznymi słuchawkami przystawionymi do każdego ucha. Fagen był ogromnym mężczyzną. Mierzył bez mała dwa metry, ważył ponad sto pięćdziesiąt kilogramów. Przy jego rozmiarach wielkie, metalowe biurko stojące pośrodku pokoju redakcyjnego zdawało się dziecinną zabawką. Okrągła głowa olbrzyma, z krótko przystrzyżoną szczeciną rudych włosów, przypominała gigantyczną jarzynę. Tak to w każdym razie widział Burke, który stanął przed biurkiem i słuchał warkliwych uwag Vinniego wypowiedzianych raz do jednej, a raz do drugiej słuchawki.

– Ta rakietka to dla Klubu Prasowego Nowego Jorku. Zrozumieliście? Nie wiem, czy wyrażam się jasno! – krzyczał Vinnie.

W chwilę potem, nie robiąc żadnej przerwy, wrzeszczał w drugą słuchawkę:

– Odpieprzcie się! Chcemy statek na całą noc. Potem powiemy, kiedy wróci!

Jeśli kierownictwo portu protestuje, my z nim załatwimy!

A w chwilę potem do pierwszej słuchawki:

– Nie, nie, trunki nie. O to postara się Stowarzyszenie Patrolowców, a Związek Strażaków dostarcza piwo. Od was potrzebuję zakąsek. Chcę i na ciepło, i na zimno. Coś dobrego. Musi starczyć na trzysta osób. Na zakończenie tace z serem i zrolowane plasterki salami. Lepiej, żebyśmy byli z tego zadowoleni.

Burke, starając się zachować powagę, przysłuchiwał się, jak Tłuscioch negocjował „darowizny” przeznaczone na doroczny rejs statkiem dookoła Manhattanu, organizowany tradycyjnie przez Klub Prasowy.

Rejsy zaczęto organizować zaledwie przed pięcioma laty, ale stały się popularne i bliskie sercu ich twórcy, którym był Tłuscioch. Odbywano je jednym ze statków kursujących każdego dnia dookoła Manhattanu. Oczywiście, linia dostarczała statek bezpłatnie. Podobnie, za darmo otrzymywano zaopatrzenie bufetu, trunki i pięcioosobową orkiestrę, która przygrywała uczestnikom przejażdżki. Każde z dorocznych spotkań było gwarantowanym sukcesem. Wszyscy, począwszy od burmistrza miasta, poprzez lokalnych polityków i dygnitarzy, po nikomu nie znanych literatów, płacili po pięćdziesiąt dolarów za bilety, przy czym wielu błagało, by mogli je nabyć. Tłuscioch odczuwał autentyczną radość, a rejs dookoła Manhattanu uważał za jedno z dwóch, rzeczywiście ważnych dorocznych wydarzeń w mieście. Drugą taką istotną imprezą był ekskluzywny bal w jednym z luksusowych hoteli, urządzany przez tak zwany Krąg Wewnętrzny. Rejs inicjowały organizacje prasowe, a uczestnicy wydarzenia mieli szansę oglądać polityczny kabaret autorstwa nowojorskich dziennikarzy, którzy dobierali się do skóry wszystkim miejscowym politykom. Dochody z rejsu zasilają nowojorską organizację dziennikarską.

Tłuscioch Vinnie burknął wreszcie „cześć” do każdej ze słuchawek, odłożył je i popatrzył na Burke’a.

– Ho, ho, ho, nasz bohaterski łobuz! – Pstryknął palcami przypominającymi krótkie, pękate parówki. – Pozwól, że zacznę od informacji. Stowarzyszenie Patrolowców wcale nie jest uszczęśliwione. Stałeś się dla nich negatywnym bohaterem miesiąca. Ktoś z ich prezydium pytał nawet, czy i ty będziesz na statku. – Vinnie zachichotał. – Jeśli się wybierzesz, być może już nie wrócisz.

– Oni nie mają poczucia humoru – mruknął Burke. – Mimo wszystko dziwne, że dostarczają drinki, a nie każą, byś sam za nie zapłacił.

– Nie odważyliby się. – Vinnie wzruszył ramionami. – Musisz jednak zrozumieć ich

stanowisko. W tych sprawach zawsze są śmiertelnie poważni. Cholernie nie lubią, kiedy jeden z nich dostaje w dupsko. To dla nich po prostu hańbiące. – Roześmiał się. – Gliniarz nie powinien obrywać. Chyba rozumiesz?

– Ten jednak oberwał. I to potem, jak mi nałożył kajdanki.

– Tłuscioch podniósł brwi do góry.

– Żartujesz?

Burke pogładził się po siniaku widocznym na lewym policzku.

– Mówię serio. Zresztą i ja miałem szczęście. Młody chłopak, wzięty na patrol, w ostatniej chwili wyrwał pijanemu partnerowi broń.

– Pieprzyć całe Stowarzyszenie Patrolowców. Jak zadzwonią, powiem, żeby się cieszyli, że nie kierujesz sprawy do sądu. – Popatrzył badawczo na Burke'a: – Oczywiście nie kierujesz? – W pytaniu wyczuwało się ton troski. A gdy Burke potwierdził skinieniem głowy, Vinnie dodał: – To dobrze.

– Don Cheech już się zajmie tym pijakiem – poinformował Burke. Chciał, by Vinnie wiedział, że on, Billy, wcale się nie wystraszył i nie wycofał.

Tłuscioch ponownie zarechotał. Miał na sobie nylonową koszulę rozpiętą pod szyją i odsłaniającą nieowłosioną pierś, na której na złotym łańcuszku dyndał jakiś wisiołek. Grubas włożył rękę pod koszulę i bezmyślnie się drapał.

– Wierz mi, to, co wymyśli Cheech, będzie o niebo lepsze i bardziej długotrwałe w skutkach niż kara wymierzona przez Sąd Cywilny. Poza tym policjanci nie zaczną na ciebie polowania. – Vinnie zatarł ręce, dając do zrozumienia, że temat został omówiony. – A więc, co mogę dla ciebie zrobić?

Burke wyjął z kieszeni mandat za złe parkowanie i rzucił na biurko Vinniemu.

– Kiedy wróciłem po samochód, znalazłem to za wycieraczką.

Jednym z nieoficjalnych zadań Vinniego w Klubie Prasowym było załatwianie takich mandatów. Odgrywał rolę łącznika pomiędzy światem dziennikarskim a Wydziałem Ruchu Drogowego. Oddawał nie zapłacone mandaty, jakie dostawali reporterzy i dziennikarze wszystkich miejskich gazet, stacji radiowych i telewizyjnych. Załatwiał to tak sprawnie, że żaden członek klubu dziennikarskiego nigdy nie płacił mandatów. W teorii chodziło o pomoc dziennikarzom w wykonywaniu swojej pracy. W rzeczywistości kar nie płacił żaden dziennikarz, bez względu na to, czy popełnił wykroczenie w czasie pracy, czy przy jakiegokolwiek innej okazji. Po prostu taki był dziennikarski przywilej i obejmował również tych, którzy swoje obowiązki wypełniali jedynie w redakcjach.

Vinnie wziął mandat i wsadził do teczki.

– Sprawę uważaj za załatwioną – oznajmił. Masz czas na jedno piwko?

- Nie dziś. Jadę do Brooklynu na wywiad, na którym zależy Twistowi.
- Vinnie ponownie uniósł brwi.
- Tak, polecenia nadchodzące z góry muszą być szanowane.
- Oczywiście, szczególnie przez tych, którzy podpadli i walczą, by nie utonąć.

Vinnie ponownie zarechotał:

- Bądź grzecznym chłopcem, a może poprawisz swoje notowania. Nigdy nie wiadomo, co nas czeka.

Rozdział czwarty

Wtorek, godzina 20.25

Burke patrzył na kamienicę, jedną z ostatnich starych czynszówek, jakie się uchowały w Park Slope, stanowiącym część Brooklynu. Park Slope powoli przeistaczał się w dzielnicę ludzi zamożnych. Było ich tu coraz więcej i coraz bardziej cenili sobie ten rejon metropolii. Zaczynał się przy Prospect Parku, który niegdyś z powodzeniem rywalizował z Central Parkiem. Potem ulice opadały w dół po zboczu wzgórza; stąd wzięła się nazwa dzielnicy. Potem przebiegała Siódma Avenue, potem Szósta, a granicę wyznaczała Piąta. Tam też definitywnie kończyły się kamienice czynszowe, a zaczynał rząd willi i domów jednorodzinnych z brązowego kamienia. Mieszkali tam finansiści, prawnicy i biznesmeni, którzy coraz chętniej uciekali z małych a drogich mieszkań na Manhattanie. Jeszcze dalej znajdowały się budynki handlowe oraz magazyny. Ten fragment dzielnicy zamożniejsi pozostawiali ubogim, gnieźdzącym się w niewielkich, starych mieszkankach. Biedota spotykała się ze swoimi nowymi sąsiadami jedynie w metrze, kiedy jedni i drudzy jechali do różnych zajęć, tak bardzo odmiennych dla przedstawicieli obu grup.

Przed przybyciem przedstawicieli wyższej klasy w Park Slope dominowali Włosi drugiego i trzeciego pokolenia, przeważnie robotnicy pobliskich doków.

I jak we wszystkich miejskich włoskich skupiskach miała tam swoją siedzibę mafia.

Obecnie w tej części Brooklynu nadal utrzymało się trochę Włochów, którzy odparli pokusę odprzedania nowym przybyszom swoich domów i nie opuścili miejsca, gdzie się wychowali i gdzie teraz wzrastały ich dzieci. Pozostali też niektórzy członkowie mafii. Prowadzili oni klub znajdujący się o dwie przecznice od punktu, w którym stał Burke. Bossem tutejszej mafii był niejaki Carmine „Wąż” Persico, podstarzały capo z rodu kolumbijskich kryminalistów. Aktualnie odsiadywał on wieloletnią karę więzienia. Stare, zakorzenione w Park Slope od dziesiątków lat rodziny do pewnego czasu czuły się zagubione. Podobnie zresztą kryminaliści, którzy bronili okolicznych mieszkańców, jednocześnie na nich żerując. Obecnie dotychczasowi panowie tych rewirów byli biedakami mijającymi na ulicach nowych mieszkańców, rankami i wieczorami uprawiających jogging w modnych, drogich sportowych dresach i butach.

Burke przeszedł przez jezdnię i stanął przed domem Marii Avalon. Stary, prostokątny budynek czynszowy ciągnął się wzdłuż Piątej Avenue pomiędzy Pierwszą a Drugą ulicą. Wyższe piętra zajmowali wynajmujący mieszkania, czego widomy dowód stanowiła bielizna susząca się na drabinkach przeciwpożarowych lub w oknach. Parter

zajmowały sklepy i różnego rodzaju punkty usługowe, od pralni począwszy, na winiarniach skończywszy. Przed sklepami z odzieżą, na chodniku, odbywała się wyprzedaż, a napisy na wystawach informowały, że sklep zostanie zamknięty i wyzbywa się całego towaru po minimalnych, okazyjnych cenach.

Brama do budynku była wciśnięta pomiędzy zakład ślusarski i winiarnię.

Zaraz za bramą znajdowało się coś w rodzaju niewielkiego przedsionka z potwornie zdemolowanymi skrzynkami pocztowymi, które swój wygląd zawdzięczały niewątpliwie miejscowym chuliganom szukającym czeków przesyłanych z zapomogi społecznej.

Kolejne drzwi prowadziły na klatkę schodową. Burke ostrożnie obejrzał się, czy nie idzie za nim któryś z tych łobuzów. Wąskimi schodami wszedł na drugie piętro, wylawiając zapachy dochodzące z rozlicznych kuchni. Zawsze zastanawiał się, dlaczego w domach zamieszkałych przez ubogich rozchodzą się tego rodzaju aromaty. Jako dziecko, po tym jak ojciec zginął w wypadku, mieszkał w podobnym budynku i zawsze nie znosił tego zapachu. Wstydził się przed odwiedzającymi go kolegami. Kuchenne wonie wiązały się w jego pamięci z ubóstwem i poniżeniem.

Wyszedł na korytarz na drugim piętrze i zorientował się, że dom podzielony jest na dwie połowy. Mieszkanie Marii Avalon, 2C, znajdowało się w tylnej części budynku. Burke delikatnie zapukał do drzwi. Otworzyła starsza, szczupła i czysto ubrana kobieta. Miała miłą, kulturalną twarz. Najwyraźniej nie robiła nic, by ukryć swój wiek, a z pewnością przekroczyła pięćdziesiątkę. Patrzyła na nieznanego z wyraźnym zaciekawieniem.

– Pan z gazeta? – zapytała z silnym akcentem hiszpańskim, robiąc błędy gramatyczne.

Burke usiłował ukryć zdziwienie. Kobieta wydawała mu się w zbyt podeszłym wieku jak na matkę pięcioletniego syna.

Tak, jestem z „Globe”. To ja telefonowałem po południu.

– Ja – postukała palcem w pierś – być Consuelo Torres. Matka Marii. Roberto *abueta*. Babka Roberta – dodała szybko, patrząc, czy zrozumiał.

Burke poczuł się głupio.

– A matka Roberta... pani córka, jest tutaj?

– Kłąć Roberta do łóżko. On chce tu jeszcze zostać, jak usłyszeć, że ktoś przyjsć, ale... – Uśmiechnęła się i złożyła ręce przy twarzy, pokazując, że chłopak zasypiał. Potem wzięła Burke’a za ramię i wprowadziła do mieszkania. – Chodź, chodź do środka zaprosiła.

Burke znalazł się w niewielkim pomieszczeniu pełniącym zapewne funkcję jadalni i salonu. Uderzyły go dwie rzeczy, pokój był umeblowany ubogo, a jednocześnie lśnił

czystością. Podłogę pokrywało stare linoleum, dokładnie wymyte i zapastowane. Na linoleum leżał dywan ze sztucznego włókna, tworząc ciepłą atmosferę.

Meble, stare, zapewne kupione na wyprzedaży lub otrzymane od Armii Zbawienia, były odrestaurowane. Pod ścianą stała wielka kanapa. Obok znajdowały się dwa zupełnie nie pasujące do reszty krzesła, dostawione do dwóch stolików, na których ustawiono porcelanowe lampy, model z lat pięćdziesiątych. Na ścianie wisiała seria taniutkich litografii i cała kolekcja fotografii przedstawiających małego chłopca z różnymi dorosłymi. Burke zrobił szybki wzrokowy przegląd pokoju. W jednym kącie stał czarno-biały telewizor, a nad nim, jak uszy królicze, wyrastała pokojowa antena w kształcie V. Właśnie nadawano znany serial. Burke dokładnie słyszał głosy aktorów, ale obraz ustawicznie drgał i falował. Billy zacisnął zęby. Stary odbiornik, ustawicznie zły obraz, nic nie pomagająca antena w kształcie znaku zwycięstwa – wszystko to pamiętał ze swojego dzieciństwa. Pomyślał, że przeżycie lat w takim miejscu, jak to, już samo w sobie było zwycięstwem.

Babka przeprosiła go i powiedziała, że idzie powiadomić córkę. Burke podszedł do okna. Patrzył na widok rozciągający się na tyłach budynku. Widział zbocze wzgórza wznoszące się do linii Pierwszej i Drugiej ulicy. Tam właśnie zaczynała się enklawa eleganckich domów.

Zaczął się zastanawiać, jakie to uczucie, kiedy każdego dnia zagłada się do ogrodów innych ludzi? Gdy patrzy się na ich kwiaty, na bezpieczne, prywatne otoczenie, w którym chowają się dzieci bogaczy, wiedząc, że czegoś podobnego nie zazna się nigdy w życiu.

Rozważania przerwał odgłos otwieranych drzwi. Burke odwrócił głowę i po raz pierwszy zobaczył Marię Avalon. Miała na sobie dżinsy i niebieską bluzeczkę, której kolor podkreślał barwę błyszczących, brązowych oczu. Cera kobiety przypominała kawę z mlekiem.

Pani Avalon wyglądała prześlicznie. Burke zdumiał się, dlaczego go to zaskoczyło. Mierzyła około metra sześćdziesięciu, była szczupła o idealnie proporcjonalnych kształtach, choć ani ubraniem, ani postawą nie starała się tego podkreślać. Uśmiechając się, szła w jego kierunku. Zatrzymała się i wyciągnęła rękę na powitanie. Robiła wrażenie osoby poważnej.

– Jestem Maria Avalon. Pan Burke z „Globe”, prawda? – Wysławiała się bardzo poprawnie, jedynie z bardzo lekkim akcentem latynoskim.

Wymienili uścisk rąk. Billy poczuł szorstkość dłoni kobiety pracującej fizycznie. I to go też zdziwiło, choć czego innego mógł się spodziewać?

– Mów mi Billy – poprosił.

Uśmiechnęła się jeszcze promienniejsze, a w jej oczach zamigotały figlarne iskierki.

– To jak ten burkliwy kozioł z bajki. – Zaśmiała się. – Czytałam o nim właśnie Robertowi. On bardzo lubi tę historyjkę.

Burke odwzajemnił uśmiech.

– Miałem nadzieję, że spotkam chłopca.

Maria nagle spoważniała, jakby się nad czymś zastanawiała lub usiłowała sobie coś przypomnieć. Westchnęła.

– On tak bardzo się męczy. Przez tę chorobę... – Ostatnich słów najwyraźniej wolałaby nigdy nie wypowiadać.

– Możesz mi o tym opowiedzieć? Co mówi lekarz?

– Zanim Maria się odezwała, do pokoju weszła jej matka.

– Mister Burke, pan chce kawę?

– Tak, bardzo proszę.

– Ja nie, mam. – Maria ściszyła głos. – Robi bardzo mocną kawę. Gdybym wypija wieczorem, nie mogłabym zasnąć.

Matka z kuchni krzyknęła coś po hiszpańsku.

– Usłyszała mój komentarz – wytłumaczyła gościowi Maria. – Mówi, że nie wiem, co to dobra kawa. – Pokazała na kanapę i krzesła. – Proszę siadać.

Postaram się przedstawić stanowisko szpitala i lekarza.

Przez następnych piętnaście minut Burke słuchał, a w stojącej przed nim filiżance stygła kawa. Opowieść Marii pokrywała się z relacjami Jennifer Wells, z tym że nie wyczuwało się w niej nuty niechęci i krytyki pod adresem Jamesa Bradforda, który domagał się zapłaty za konieczny zabieg. Burke doszedł do wniosku, że Maria była po prostu przyzwyczajona do takiego traktowania.

Wszyscy biedacy muszą się do tego przyzwycząić.

– Co ty właściwie robisz? Gdzie pracujesz?

– W firmie produkującej odzież damską. – Zawahała się, jakby się zastanawiała, czy powiedzieć więcej. – W zeszłym roku chodziłam jeszcze na studia zaoczne do Brooklyn College. Zaliczyłam pierwszy rok. Miałam nadzieję, że jak ukończę studia, dostanę lepszą pracę. – Ponownie zamilkła. – Potem jednak okazało się, że Roberto jest chory, i nie mogłam zostawiać go na tak długo... Zaczęła mieć pewną trudność z wymawianiem poszczególnych słów.

– Zrezygnowałaś?

Skinęła głową.

– Musiałam. I tak po pracy nie zostaje mi zbyt wiele czasu dla Roberta.

A potrzebujemy pieniędzy.

Burke usiłował sobie wyliczyć, ile taka kobieta może zarobić tygodniowo

w zakładzie szyjącym odzież. Oczywiście, ktoś zatrudniał ją na czarno. Gdyby tak nie było, należałaby do jakiegoś związku zawodowego i posiadałaby ubezpieczenie. Postanowił jednak temat odłożyć na później i nie wyciągać informacji o nieuczciwym pracodawcy.

– Zajmijmy się pieniędzmi dla Roberta – powiedział wreszcie. – Czy masz te pieniądze lub możliwość ich otrzymania?

Maria pochyliła się do przodu i zaczęła mówić szybko, nerwowo:

– Mogę dostać drugą pracę. Oddawałabym im wszystko, co tam zarobię.

Każdego tygodnia. Żeby mi tylko pozwolili tak płacić.

– Nawet za cenę tego, że nie spędzisz ani minuty z synem?

Popatrzyła na niego jak na człowieka, który nagle zgłupiał.

– Jeśli operacja nie zostanie wykonana, to już nie będę potrzebowała czasu dla Roberta... – Nagle zamilkła, a jej oczy wypełniły się łzami. Otarła je ręką.

Dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów spłacać z dodatkowej pracy? Trudno się dziwić, że ani Bradford, ani szpital nie chcą słyszeć o tego rodzaju propozycji, pomyślał Burke.

Zaczerpnął powietrza.

– Sądzę, że możemy pani pomóc. Mówię o gazecie.

Ciągle pochylona do przodu, chłoneła słowa Billy'ego z największą uwagą.

– W jaki sposób? – zapytała. – To strasznie dużo pieniędzy.

– Napiszemy o Robercie. O jego chorobie. Mamy nadzieję, że czytelnicy przyjdą z pomocą.

Wzięła Burke'a za rękę i mocno ją ścisnęła.

– Tak uważasz? Myślisz, że pomogą?

Burke odniósł wrażenie, jakby z jej dłoni płynął do niego jakiś prąd. Maria była bardzo atrakcyjna. Odsunął od siebie takie myśli. Nie mógł sobie pozwolić na podobne odczucia. – Tak, przypuszczam, że pomogą – powiedział pospiesznie. – Jeśli temat zostanie dobrze przedstawiony. Czytelnicy będą poruszeni i to spowoduje, że otworzą serca i portfele.

Za ich plecami rozległ się jakiś odgłos. Oboje odwrócili głowy. W drzwiach pokoju stał mały chłopak. Bardzo szczupły, właściwie filigranowy i kruchy. Miał natomiast wielkie, brązowe oczy. Dziecko było bardzo ładne. Patrzyło na nich bojaźliwie, a po chwili ukryło twarz za pluszowym niedźwiadkiem trzymanym w rękach.

– Roberto, dlaczego nie jesteś w łóżku? – Maria zerwała się na nogi i podeszła do synka. Podniosła go bez wysiłku i przytuliła do siebie. Dzieciak szeptał jej coś do ucha, a ona odwróciła głowę w kierunku Burke'a i uśmiechnęła się.

– Mówi, że usłyszał głos i chciał zobaczyć mężczyznę, z którym rozmawiałam.

Uważa ciebie za kogoś bardzo ważnego. – Przeniosła wzrok na syna i zaśmiała się. – Wścibski urwis. – Jeszcze mocniej przytuliła małego do siebie, pocałowała w noski i, nadal trzymając dziecko na ręku, zajęła poprzednie miejsce na kanapie.

Roberto siedział teraz na kolanach mamy i wtulał twarz w jej ramię. Równocześnie z zainteresowaniem przyglądał się reporterowi.

To niespodziewane pojawienie się chłopca spowodowało, że Burke poczuł się jakoś niepewnie. Starał się zbagatelizować emocje i kontynuować swoją pracę, a więc usiłował wciągnąć małego do dyskusji.

– Ile masz lat? – Dzieciak nie odpowiadał, więc Billy dodał: – Założyłbym się, że cztery.

Chłopczyk wyciągnął rączkę i pokazał pięć palców.

– Pięć? Nie wierzę. Tak naprawdę myślałem, że masz co najmniej dziewięć.

Roberto niemal wcisnął się w ramię matki, ostrożnie spojrział na Burke'a, rzucił słowo:

– Pięć – po czym ponownie dał nura w objęcia Marii.

Burke patrzył, jak ręka kobiety pieściła syna, głaskała. Maria szepnęła coś chłopcu na ucho, potem odwróciła go na kolanach tak, że siedział teraz z twarzą skierowaną do gościa. Mały uśmiechał się, najwyraźniej speszony i onieśmielony, ale już się nie chował.

Przyglądając się twarzyczce Roberta z bliska, Burke czuł się zaszokowany.

Z odległości całego pokoju chłopiec wydawał się szczupły, mizerny, jak ktoś po przebytej właśnie grypie. Dopiero teraz jednak Billy dostrzegł, jak bardzo zapadnięte i podkrążone były małe oczka. Ogarnął wzrokiem całą postać. Zobaczył wystające spod pidżamy, oplakanie cieniutkie rączki i nóżki. Dziecko rzeczywiście umierało. Ta myśl poraziła Burke'a. Poczul się jak intruz, jak ktoś, kto znalazł się w miejscu, w którym zdecydowanie nie powinien być. Przyszedł do ich domu, wiedząc, że chłopak stoi u progu śmierci, ale tak naprawdę nie pojmując tego, wzbraniając się przed przyjęciem bolesnego faktu do wiadomości.

Usiłował te myśli odsunąć, by skoncentrować się na rozmowie. Pochylił się w kierunku dziecka i możliwie jak najbardziej miękko głosem, powiedział:

– Ja pracuję dla gazety, Roberto. Chciałbym napisać na twój temat. Czy opowiesz mi o sobie coś, to, co powinienem wiedzieć, by opowieść była ciekawa?

Twarz malca spoważniała. Chłopiec skinął głową na znak, że się zgadza.

Burke wyciągnął rękę:

– No to piątka.

Roberto uściskał wąż dłońmi dwa palce ręki reportera i ponownie przytulił się do mamy. W jego brązowych oczach pojawiły się figlarne iskierki. Uśmiechnął się i, jakby

zawstydzony, raz jeszcze schował twarz w ramieniu matki. Ta pocałowała go w głowę, po czym powiedziała:

– No, a teraz czas, by ktoś poszedł już spać do łóżka.

Mały nie zaprotestował. Zresztą nic dziwnego, oczy same mu się zamykały. Burke patrzył, jak Maria niosła synka do sypialni. Nie potrafił się uwolnić od pytania, które zaczęło go nagle prześladować: czy za rok, a może za sześć miesięcy będzie jeszcze mogła sprawować swoje matczyne obowiązki?

Gdy Maria wróciła, Burke miał już w rękach reporterski notes i długopis.

– Obiecałem twemu synowi, że napiszę piękną opowieść. – Uśmiechnął się, usiłując stworzyć odpowiednią atmosferę niełatwej rozmowy. Musiał przecież zadać szereg pytań dotyczących spraw bardzo osobistych. Chciał, by czuła się jak najmniej skrepowana, by wierzyła, że ani on, ani gazeta nie wyrządzą jej krzywdy. Nie miał przy tym żadnej pewności, czy mógłby to zagwarantować z czystym sumieniem.

Maria zagryzła wargi, westchnęła, w końcu powiedziała:

– Jeśli to pomoże Robertowi, opowiem o wszystkim.

Trzy godziny później

Burke, z notatkami w ręku, zagłębił się w miękkim, pokrytym skórą fotelu.

Stopy w skarpetkach oparł na podobnej do fotela kanapie. Te dwa meble były jedynymi luksusami w tym bardzo oszczędnie urządzonej mieszkaniu. Ta skromność wynikała z cen mieszkań na Wschodniej Stronie Manhattanu. Nawet za tak mało komfortowe trzypokojowe lokum, które nazywał teraz swoim domem, płaciło się bająćskie sumy. Skromność w umeblowaniu nic jednak nie przeszkadzała Billy'emu, ponieważ dość często przebywał poza domem i bardzo rzadko przyjmował gości. Poza tym windy działały tu dobrze, a z okna w kierunku południowym na Manhattan rozciągał się wspaniały widok. W dodatku budynek był czysty, dobrze administrowany i w przeciwieństwie do miejsca, w którym Billy mieszkał w dzieciństwie, nie roznosiły się po korytarzach żadne kuchenne zapachy.

Burke zabrał się do notatek natychmiast po powrocie. Rozmowa z Marią trwała przez dwie godziny. Zapisał w tym czasie prawie połowę notesu.

Roberto urodził się w Nowym Jorku, dwa lata potem, jak Maria z mężem przyjechali tu z Ponce, miasta leżącego na południowym wybrzeżu Portoryko.

Burke spędził tam przed laty wakacje. Przypominał sobie elegancki hotel, w którym mieszkał, sznur dorożek oferujących turystom przejażdżkę krętymi uliczkami miasteczka i bulwarami wzdłuż wspaniałych, przeważnie pustych plaż.

Oglądał i inne części miasta, brudne, biedne przedmieścia, gdzie w budach mieszkali tubylcy usiłujący sprzedać turystom kraby czy ryby wyłowione z morza. Maria pochodziła właśnie z tych zapuszczonych przedmieść. Razem ze swoim młodym mężem uciekli do Nowego Jorku w poszukiwaniu czegoś lepszego, innego życia. To nowe życie, jakiego pragnęli, okazało się jednak zbyt trudne dla męża. Nie potrafił przełamać bariery językowej, dostosować się do stylu życia w wielkiej metropolii. Już w drugim roku pobytu w Nowym Jorku zaczął znikać nocami. Włóczył się po ulicach z jakimiś koleżkami. Wkrótce zetknął się z narkotykami. Zaczęło się od marihuany, potem przyszła kolej na heroinę. Gdy Maria się o tym dowiedziała, ubłagała go, by poddał się kuracji odwykowej. Wtedy też zaszła w ciążę i zagroziła, że odejdzie od niego, jeśli nie skończy z narkotykami. Zapisał się na spotkania odwykowe w lokalnym ośrodku. Ich życie powróciło mniej więcej do normalności. Potem urodził się Roberto, dziecko od samego początku chorowite, co powodowało, że każdy zaoszczędzony dolar wydawany był na lekarzy i lekarstwa. Mąż Marii najwyraźniej nie potrafił sprostać nowemu wyzwaniu. Ponownie zaczął znikać z domu, czasami na całe dni. Po jakimś czasie Maria pojęła, że wrócił do narkotyków. Powiedziała, że go wyrzuci, że nie zgodzi się, by mały rósł w towarzystwie narkomana. Wierzyła, że ta groźba pomoże mu zerwać z nałogiem. On jednak bez protestu i bez oporów opuścił dom. Po prostu uciekł. Może wyjechał do Portoryko, może gdzie indziej. Nigdy się nie dowiedziała. Zresztą, było jej wszystko jedno. Wystąpiła o rozwód i zmieniła mieszkanie w nadziei, że mąż nigdy już ich nie odnajdzie.

Z Portoryko przyjechała matka Marii i razem walczyły z przeciwnościami losu. Początkowo sprzątały mieszkania. Maria wieczorami uczyła się angielskiego, otrzymała pracę kelnerki i w tym czasie zapisała się na zaoczne studia dla dorosłych w Brooklyn College.

Potem stan zdrowia Roberta zaczął się pogarszać, co spowodowało, że całe dotychczasowe życie Marii załamało się. Chłopak z dnia na dzień opadał z sił.

Maria miała już względnie stałą pracę w przemyśle konfekcyjnym. Była jednak zmuszona do rezygnacji z nauki, by więcej czasu spędzać z dzieckiem. Początkowo lekarze nie umieli postawić konkretnej diagnozy. Potem jednak internista ze znajdującej się w sąsiedztwie kliniki doszedł do wniosku, że Roberto ma wrodzoną wadę serca, niewielki ubytek, który jednak powiększa się w miarę upływu czasu. To było powodem słabości i kruchości chłopca.

Burke odłożył notatki i sięgnął po szklanekę z bourbonem, która stała na stoliku przysuniętym do fotela. Pomyślał, że taka opowieść nie zadowoli Lenny'ego Twista. Brakowało w niej niewinnej czystości, w jakiej się naczelny lubował. Nie były to dzieje

biednej, ale kochającej się rodziny, która nieoczekiwanie stanęła przed przygniatającą ją rzeczywistością. Twist jednak przejdzie zapewne do porządku nad tym fragmentem opowieści, jeśli najważniejsza część spełni jego oczekiwania. Będzie się domagał, by Burke pominął incydent z narkotykami, by napisał po prostu, że ojciec nie wytrzymał napięcia, jakie stwarzała choroba dziecka, i po prostu opuścił rodzinę. Każe Burke'owi skoncentrować się na heroicznej walce Marii, opisać walkę samotnej, młodej kobiety, pozbawionej wszelkiej pomocy i mogącej polegać jedynie na własnej matce.

Obie sprzątają cudze domy. Czytelnicy muszą przejąć się ich losem i tragedią małego chłopca, żyjącego w cieniu śmierci. Burke nie miał złudzeń, jaki scenariusz będzie forsował Twist z myślą o korzyściach dla gazety.

Billy pociągnął łyk alkoholu i dostrzegł drzenie swojej dłoni. Ta opowieść najwyraźniej mu nie leżała. Chciałby o niej zapomnieć. Przede wszystkim wolałby nie spotykać się z tym umierającym chłopcem.

Patrzył przez chwilę na przeciwległą ścianę. Na znajdujących się tam regałach stało kilka fotografii przedstawiających kobietę i dziecko. Przyglądał się im każdego dnia. Przypominały mu dawne życie. Na zdjęciach widniały Julia i Annie, żona i córka.

Na ulubionym zdjęciu Billy'ego siedziały obie przed niewielkim, piętrowym budynkiem na starannie wystrzyżonym trawniku. Kupili ten dom, kiedy Julia była w ciąży. Typowe posunięcie dla przedstawicieli klasy średniej. Uciekali z zatłoczonego Manhattanu, by ich dziecko miało dość przestrzeni do zabawy, do biegania, do spotkań z innymi dziećmi. Patrzył teraz na żonę. Na ramiona spadały jej loki ciemnych włosów. Na twarzy miała szeroki uśmiech kobiety szczęśliwej. Radość widziało się też w jej oczach. Julia tuliła do siebie dwuletnią córeczkę.

Billy widział potem, jak to szczęście gasło, by wkrótce rozwiać się całkowicie. Dwupółletnia Annie nieoczekiwanie zaczęła mieć problemy z wysławianiem się i w ciągu następnego sześciu miesięcy ostatecznie zamilkła. Po niedługim czasie pojawiły się trudności ruchowe, początkowo raczej śmieszne, z czasem coraz bardziej kłopotliwe. Pediatrzy, do jakich się zwracali, śmiali się z ich obaw, ale sytuacja się pogarszała. W ciągu następnego roku patrzyli, jak córeczka powoli wycofuje się z kontaktów z otaczającym ją światem. Coraz wyraźniej zamykała się w sobie. Wolała obcować ze swoimi zabawkami niż z rodzicami.

Annie miała pięć lat, kiedy postawiono diagnozę – zespół Kanner'a, autyzm wczesnodziecięcy. Rok później lekarze orzekli, że stan dziecka nie ulegnie poprawie. Zaproponowano umieszczenie małej w zakładzie specjalistycznym. On i Julia opierali się. Walczyli o to, by stworzyć dziecku odpowiednie warunki w domu.

Ostatnie zdjęcie zrobiono dwa tygodnie przed ulokowaniem Annie w instytucie

specjalistycznym, gdzie pozostawała do chwili obecnej. Na tej fotografii córka siedzi koło matki w ogrodzie. Wokół widać kwiaty zasadzone przez Julię. Piękne rośliny dramatycznie kontrastują ze wzrokiem dziecka, pustym, nie dostrzegającym niczego. Julia wygląda na przygnębioną. Uśmiech z tych pierwszych zdjęć przeobraził się w nieokreślony grymas, a oczy matki stały się tak samo puste i bezbarwne jak oczy córeczki.

W sześć miesięcy później żona odeszła od niego. Nie rozwiedli się, załatwili jedynie separację. Pozostanie przy Billym wydawało się dla Julii zbyt bolesne. Początkowo widywali się niekiedy, ale te spotkania nasilały jedynie jej poczucie winy, z jakim sobie nie potrafiła poradzić. Przestali się więc umawiać. Czasami całkowicie przypadkowo krzyżowały się ich drogi, przeważnie w instytucie, gdzie przebywała córka. Telefonowali do siebie jedynie wtedy, kiedy należało podjąć jakieś decyzje dotyczące Annie.

Julia wróciła do pracy w jednym z magazynów, jako dziennikarka, i w ciągu trzech lat awansowała do rangi zastępcy naczelnego. O ile dobrze wiedział, nie spotykała się z nikim, i bardzo wątpił, by kiedykolwiek wyszła za męża. Był też przekonany, że nawet gdyby do tego doszło, nigdy nie zgodziłaby się na jeszcze jedno dziecko. Zresztą podobnie jak i on.

Powrócił myślami do Marii Avalon, do jej matki i do Roberta – do „małego chłopca”, jak naczelnicy chciałby go nazywać. Gdyby nie Twist, Billy nigdy by o tych osobach nie usłyszał. Gdyby nie ambicje Lenny’ego dotyczące nagrody Pulitzera, Maria i jej mały chłopczyk pozostałby częścią ogromnego tłumu cierpiących i poniżanych biedaków. Twist marzył o nagrodzie i dla niej chciał postawić pod pręgierz lekarzy i administratorów szpitali, nieczułych na tragedie takich dzieciaków, jak Roberto. Czy warto było przykładać do tego rękę? Może i tak, ale Burke zdawał sobie sprawę z dwuznaczności sytuacji i czuł narastającą w nim chęć zdystansowania się wobec całej sprawy. Zadanie zleczone przez Twista nie było dla niego. Naczelnicy pragnął napiętnować niewątpliwych łobuzów i otrzymać za to nagrodę. A gdyby w grę nie wchodził Pulitzer, czy ktoś zainteresowałby się losem Roberta? Czy „Globe” i czy on, Billy Burke, zajęliby się tym tematem? I co w takiej sytuacji miał myśleć o swojej gazecie i o samym sobie?

Nabrał w płuca powietrza i łyknął bourbona. Bez wątpienia nie mógł uciec od tego tematu. Gdyby odrzucił propozycję, zostałby przez Twista uznany za jednostkę niepotrzebną w redakcji do opracowywania innych liczących się tematów. Przeniesiono by go na boczny tor, do oddziałów w Queens, w New Jersey lub na Long Island, gdzie zajmowałyby się drobnymi, lokalnymi sprawami.

Oczywiście, mógł odejść z redakcji. Miał nazwisko i opinię, które pozwoliłyby mu dostać pracę w większości znaczących tytułów, ale nie w Nowym Jorku.

O to już zatroszczyłby się Lenny Twist. Wykorzystałby swoją pozycję, by zamknąć niewygodnemu reporterowi drzwi do nowojorskich redakcji. A Twist wiedział, że Burke nigdy nie wyjechałby z miasta, gdzie w instytucie przebywała jego córka. Tak więc podobało mu się czy nie, Billy musiał zająć się tą sprawą. Zrobi to, co mu zlecono. Takie było życie i należało zakończyć ponure rozważania. W najbliższej przyszłości losy Marii i Roberta znajdą się w rękach redakcji i jego samego. Po co zatem pogarszać sobie nastrój i szarpać nerwy niepotrzebnymi myślami.

Ponownie popatrzył na fotografie i zaczął się zastanawiać, czy w najbliższym czasie nie rozczaruje jeszcze jednego dziecka i jeszcze jednej matki. Jak mówiła ta pielęgniarka od Bradforda? Chłopak ma najwyżej rok życia. A może sześć miesięcy. Jeśli jednak sprawy pójdą źle, zostanie mu tylko miesiąc. Billy zmusił się, by skończyć z tymi rozważaniami. Trzeba wrócić do rzeczywistości. Łyknął bourbona. Niedługo wybierał się do Annie. Załatwił już sobie wolny dzień w pracy. Za dwa dni będą urodziny córeczki. Uprzytomnił sobie, że jeszcze nie kupił prezentu. Zastanawiał się, co należałoby dać dziewięcioletniej dziewczynce, żyjącej w świecie, którego nie potrafił sobie nawet wyobrazić.

Prezent jednak musi być. Coś wymyśli. I jeśli pozostanie w instytucie przez cały czas odwiedzin, być może spotka Julię.

Rozdział piąty

Burke pojawił się w redakcji o dziewiątej czterdzieści pięć rano i natychmiast został wyznaczony do puszczenia materiałów. Zwykle wykonujący tę pracę Harry Milligan zatelefonował i poinformował, że jest chory. W tym samym czasie reporterzy gazety zajmowali się trzema morderstwami popełnionymi w nocy.

Burke planował rozpoczęcie pracy nad materiałem o Robercie i właściwie sam siebie przekonał, że tego właśnie chce najbardziej. Mógł pisać w domu, ale teraz już było za późno. Ogarnęła go wściekłość. Niepotrzebnie pokazał się w redakcji tak wcześnie. Wiedział przecież, zresztą jak wszyscy inni reporterzy pracujący w „Globe” dłużej niż pół roku, że gdy sekretarz redakcji potrzebował kogoś do jakiejś pracy, wyznaczał pierwszego lepszego, na którego się natknął.

Dlatego właśnie dziennikarze pragnący uniknąć takich przydziałów nie pokazywali się w pracy z samego rana. Burke był ugotowany. Musiał siedzieć i czekać na telefony od reporterów, by odpowiednio zakwalifikować dane morderstwo do „dobrych morderstw” albo do „złych morderstw”.

Taką decyzję osoba prowadząca numer musiała podejmować przynajmniej pięć razy każdego dnia, co wynikało oczywiście z liczby morderstw popełnianych w metropolii. Klasyfikacja zbrodni zawsze budziła w Burke’u rozgoryczenie. Do „złych morderstw” zaliczano takie, których ofiarami padali czarni lub Latynosi, w żargonie redakcyjnym określani nazwami *banjos* lub *bongos*.

Takie morderstwa jako tematy z reguły odrzucano. Oczywiście, zdarzały się sytuacje, kiedy uśmiercenie kogoś z tej grupy uznawano za fakt godny opublikowania. Wyjątki takie następowały wtedy, gdy śmierć poniosła postać znana lub piastująca jakieś stanowisko; gdy morderstwa dokonał przez przypadek policjant na służbie; gdy ofiarą padała niewinna matka albo małaletnia osoba, zabita w wojnie gangów czy poległa w katastrofie.

„Dobre morderstwo” dotyczyło białego, a już ideałem było, jeśli ofiarą była młoda, biała kobieta zaduszona własnym biustonoszem w jej eleganckim mieszkaniu w zamożnej dzielnicy Upper East Side. Takie podziały Burke uważał za rodzaj szaleństwa, ale od dawna zaprzestał walki z jednoznacznym rasizmem praktykowanym w nowojorskich mediach. Po prostu poddał się, czując bezsilność wobec zasad uznawanych za racjonalne przez prasę, radio i telewizję. Przekonał się, że takie reguły są nie do obalenia. Tym bardziej że ci, którzy mogliby je zmienić, w ogóle nie chcieli słuchać argumentów na rzecz dokonania czegoś podobnego. Sprawa była niesłychanie

prosta. Biali kupowali gazety, słuchali radia, oglądali dzienniki telewizyjne i w ogóle nie wykazywali cienia zainteresowania morderstwami popełnianymi w gettach. Czarni i Latynosi nie odbierali przekazów masowych, co oznaczało, że informacje dotyczące tych grup społecznych nie miały żadnej wartości dla prasy. Burke wątpił w zasadność tej logiki, zdawał sobie jednak sprawę, że jest ona bardzo głęboko zakorzeniona i kształtuje stanowisko kierujących mediami. A jednak kiedyś odważył się na sugestię, że zarówno czarni, jak i Latynosi mogą też być zainteresowani wiadomościami w mediach, w szczególności gdyby zaczęło do nich docierać, że informacje te bezpośrednio wpływają na ich życie. Stanowisko takie przedstawił kiedyś na zebraniu dziennikarzy „Globe” i zostało ono wysłuchane ze zdumieniem. Nikogo nie przekonało to, że istnieją przecież tytuły wydawane właśnie dla społeczności czarnej i latynoskiej, takie jak magazyn „Ebony”. Obecni uznali, że Billy Burke nie płynie głównym korytem zasad, jakimi kierowała się nowojorska prasa.

O jedenastej trzydzieści Burke został zwolniony z pełnienia obowiązków w sekretariacie redakcji. Wszystkie trzy morderstwa okazały się mało ciekawe.

Dwa z nich dotyczyły rasowo obcych, a ofiarą zabójstwa popełnionego na Times Square padł wprawdzie biały, ale narkoman, a środowisko ćpunów było jednym z tych, które nie budziły zainteresowania redakcji. Reporterowi zajmującemu się wydarzeniem na Times Square polecono jednak, by raz jeszcze sprawdził, czy zamordowany nie należał kiedyś do grona szanowanych obywateli, tylko potem się potknął i spadł do rynsztoka. W takim wypadku zdarzenie można by opisać.

W czasie pracy w sekretariacie Burke puścił dwie informacje. Jednana temat pożaru w Brooklynie, gdzie uratowano troje dzieci, i jedną o starszej pani potrąconej na ulicy przez pijanego taksówkarza. Potem Burke powrócił do swojego „Orlego Gniazda”. Eddie Hartman i Tony Rice, przyklepieni do telefonów, pracowali nad jakimiś tematami. Czwarty członek tej paczki, Fred Costa, siedział z nogami wyciągniętymi na biurku i starannie czyścił sobie paznokcie u rąk.

Obok niego, na blacie, stała butelka szampana.

- Jak rozumiem, miałeś jakąś nową katastrofę drogową – stwierdził Burke.
- Autobusową – uściślił Fred. – W Idaho. Wycieczka starszych emerytów.
- Czterech zabitych. Kilkunastu rannych. – Twarz Costy promieniała zadowoleniem.
- Jedna z największych tego rodzaju katastrof współczesności.

Burke potrząsnął głową ze zrozumieniem.

- Oczywiście dostałeś delegację na dwa dni?
- Co najmniej. Costa zamrugał oczami, poprawił kołnierzyk śnieżnobiałej nylonowej koszuli i węzeł wielkiego, kolorowego krawata. – Jestem pewien, że redakcja zażąda

wywiadów z rodzinami ofiar – dodał po chwili.

Costa specjalizował się w tematyce transportowej. To zazwyczaj on pisał doniesienia o katastrofach samolotowych, kolejowych i o tym, co zdarzało się na autostradach. Był równocześnie znanym podrywaczem i miał zawsze mnóstwo przyjaciółek, z czego część pracowała w agencjach, z którymi utrzymywał kontakty jako reporter. Fred uważnie przeglądał serwisy agencyjne, szukając informacji o wypadkach, które mogłyby interesować gazetę. Kiedy znajdował ciekawe doniesienie, szybko pisał krótki materiał i leciał z nim do sekretariatu, potem telefonował do żony na Long Island i oznajmiał, że ma katastrofę i musi wyjechać z domu na dzień albo dwa. W ten sposób zyskiwał wolny wieczór na randkę zjedną ze swoich dziewczyn. Być w pełni zabezpieczony, miał odpowiednią umowę z centralą telefoniczną gazety. Telefonistki, za marnych dziesięć dolarów, przyjmowały listę prawdziwych lub zmyślonych numerów, pod jakimi mógł znajdować się reporter, by w razie potrzeby łączyć tam rozmowy. System ten powodował, że Costa był zawsze kryty. Jeśli dzwoniła żona, telefonistka przełączała na podany telefon, a tam zajmująca się reporterem dziewczyna podnosiła słuchawkę i zgłaszała się na przykład: „Idaho”, „Hilton”. Potem niby łączyła z pokojem gościa, a w rzeczywistości oddawała słuchawkę Fredowi.

Burke przestał się interesować Costą i jego seksualnymi intrygami. Podniósł słuchawkę swojego aparatu i zatelefonował do Brooklynu do mieszkania Avalon. Poprzedniego dnia umówił się na rozmowę z Robertem. Kiedy telefon odebrała babka chłopca, powiedział, że nie zdąży na umówioną godzinę i poprosił o przesunięcie spotkania na popołudnie.

W chwilę potem wykręcił numer do Whitney Morgan, do redakcji. Uznał, że nadszedł czas na ponowne naprawienie ich stosunków.

Gdy w słuchawce usłyszał głos dziewczyny, odezwał się:

– Chciałbym się z tobą zobaczyć.

Po chwili milczenia dziewczyna odparła:

– Nie jestem pewna, czy chciałabym z tobą rozmawiać. – Z miękkiego tonu jej głosu Burke nie wyłowił nuty zagniewania, a nawet wyczytał sygnał, czy prośbę: „Przytul mnie”.

Whitney pracowała w „Sunday Magazin”. Billy wyobrażał sobie dziewczynę siedzącą w jej malutkim pokoiku, w jednym z pięciu, w jakich lokowano piszących reportaże. Miała bardzo wygodne stanowisko w redakcji. Zatrudniano pięciu reporterów, a każdy miał dwa do trzech tygodni na przygotowanie jednego materiału. Specjalnością Whitney były długie artykuły na temat popularnych osobistości. W swoich tekstach potrafiła zmieszać z błotem przedstawionych bohaterów, ale robiła to jednocześnie tak

delikatnie i z pozorami takiej niewinności, że rzadko kiedy wpływały skargi. W ostatnio opublikowanym artykule opisywała naczelnego redaktora pewnej gazety, który miał o sobie nadmiernie wygórowane mniemanie. Whitney ukazała o nim całą gorzką prawdę.

Naczelnym jednak odebrał te wynurzenia jak najbardziej pozytywnie i zaproponował śmiałej dziennikarce intratną pracę u siebie.

– Bardzo mi przykro za to, co stało się tamtej nocy. Sądzę, że powinniśmy pogadać – powiedział Burke. – Moglibyśmy zjeść kolację. Wybierz miejsce.

Ponownie chwila milczenia w słuchawce. Dobry znak.

– Nie chcę rozmawiać w redakcji – odezwała się w końcu. – Kup coś chińskiego, byle nie było za ostre, i wpadnij do mnie do domu za pół godziny. Dobrze?

Billy odchylił krzesło do tyłu i popatrzył w sufit. Kolacja w jej mieszkaniu musi się skończyć tam, gdzie zawsze, w łóżku. Życie okazało się dla Burke'a łaskawe.

– W takim razie do zobaczenia za trzydzieści minut.

Gdy odłożył słuchawkę, zauważył, że Tony Rice uśmiecha się do niego.

– Co tak głupawo szczerzysz zęby, ty brytyjski lalusiu? – burknął.

– Czyżby miłość ponownie rozkwitała, drogi kolego? – Rice odpowiedział pytaniem, nie przestając się uśmiechać.

– Zaraz rozkwitnie siniak na twoim brytyjskim nosie, drogi kolego – warknął Burke bez cienia złości.

– Dołącz temu londyńskiemu fagasowi – podjudzał Fred Costa.

Rice wydał wargi i parsknął.

– Boże, uwielbiam, kiedy wy, Amerykanie, stajecie się agresywni. Na razie nie nadwerężaj się, koleś. Zachowaj siły na randkę, a jak wrócisz, opowiesz mi wszystko ze szczegółami.

Burke zamierzał wygłosić ostrą ripostę, gdy za jego plecami rozległ się nieoczekiwany trzask. Odwrócił głowę i zobaczył kręcące się siedzenie fotela, wprowadzone w ruch kopnięciem Stavosa. Pete kopnął ponownie, tym razem tak silnie, że fotel się wywrócił.

– Co się stało, drogi chłopcze? – Tony Rice najwyraźniej starał się ukryć złośliwy uśmiech.

Stavos był niskim, krępy, barczystym mężczyzną o nieproporcjonalnie dużej głowie. Sprawiał wrażenie chłopca w męskim garniturze, a do tego wizerunku nie pasowały jedynie szpakowate włosy i wydatny nos.

– Mój drogi, co się dzieje? – odezwał się ponownie Rice.

– Pieprzone goryle – wycharczał Stavos.

Fred Costa, nie zdejmując nóg ze stołu, odwrócił głowę w kierunku Stavosa

i wykrzywiając twarz w uśmiechu, zapytał:

– Czy ponownie urodziny Pattycake?

– Oczywiście jej – wrzasnął Stavos. – Ta cholerna gorylica obchodzi jubileusz co trzy miesiące. – Spojrzał w kierunku, gdzie stały biurka dziennikarzy puszczających materiały, i darł się teraz na całą salę. – A ja relacjonowałem każde urodziny tej wstrętnej małpy! Każde! Ponieważ te dupy, co prowadzą redakcję, nie mogą znaleźć nikogo innego do napisania pieprzonego materiału o jakiejś pieprzonej małpie i jej pieprzonym torcie urodzinowym.

Twarz Stavosa poczerwieniała z wściekłości. Pete miał już ponad pięćdziesiąt lat. Burke zawsze uważał, że to nadciśnieniowiec, i wyobrażał sobie, że kiedyś Stavos upadnie na środku hali redakcyjnej i wyzionie ducha.

– Ile lat liczy sobie w tym roku nasza ukochana Pattycake? zapytał Tony Rice.

Pattycake była dumą ogrodu zoologicznego w Bronxie, pierwszym i jedynym gorylem, który się urodził w zoo. Dzieci szkolne uwielbiały gorylicę, w znacznym stopniu dzięki materiałom zamieszczanym w „Globe”, w szczególności relacjom z jej urodzin. Reportaże natomiast nieodmiennie pisał Pete Stavos. Uroczystości jubileuszowe zwierzęcia stały się przedmiotem żartów, które śmieszyły wszystkich, z wyjątkiem Stavosa.

Pete zwrócił się do Rice’a, patrząc przez przymknięte oczy. Najwyraźniej nie był pewien, czy kolega się z niego nie naigrawa.

– Ma siedem lat – rzucił ze złością. – Jeśli cię to tak interesuje, czemu ty nie napiszesz o tym informacji, pieprzony angielski garbie?

– Peterze, najmiłszy Peterze, ani mi w głowie zabierać ci taki kapitalny temat. – Szeroko otwarte oczy Rice’a miały wyraz absolutnej niewinności. Poza tym nie potrafiłbym włożyć w tekst tyle serca, tyle uczuć, ile ty zawsze wkładałeś przez minione lata.

Stavos nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem.

– Ty skurczybyku. Chrzanisz tak, jak te gnoje z sekretariatu. – Śmiech przeszedł w ponowne charczenie. – Mówiłem im, by odpowiednio się zabrać do tematu. Należałoby poinformować czytelników, że każdego roku ta durnowata małpa zarzucana jest bananami, których nie ma dla biednych dzieciaków z Południowego Bronxu. Im nikt nie urządza przyjęć urodzinowych.

– I co na to nasi koledzy? zainteresował się Burke. Po raz pierwszy od kilku lat Stavos powiedział coś rozsądnego.

– Uważają, że materiały dotyczące Pattycake doskonale się sprzedają, a nędzarze z Południowego Bronxu czytają najwyżej „El Diaro”. Rasiści.

– Odrażające – skomentował Eddie Hartman. Na chwilę przymknął oczy i poruszył wężami. – Powinniśmy właściwie załatwić małpizona. Warto by do tego zaangażować facetów ze stacji telewizyjnej na Mulberry Street. Już nawet widzę tytuły: „Pattycake zamordowana przez gangsterów. Gorylica zasypiana bananami. Reszta wiadomości w TV o jedenastej”.

– To mi odpowiada – stwierdził Stavos. – Zapłacę tym durniom, byle zezwolili mi na obsługę pogrzebu małpy – dodał, podnosząc głos tak, by wszystko usłyszały osoby na stanowiskach sekretariatu redakcji.

– A dlaczego sam jej nie załatwisz? – wtrącił się Costa. Zdjął nogi z biurka i odwrócił się do Stavosa. – Kiedy nikt nie będzie patrzył, otworzymy klatkę.

– Ty zasadzisz się za rogiem w jakiejś ciężarówce, a gdy nasza ukochana Pattycake wylezie, ty – bum, i po wszystkim. Nie ma już więcej urodzin gorylicy. – Costa był najwyraźniej zadowolony z wymyślonego przez siebie planu. – Do diabła, na dodatek jeszcze zdarzyłby się wypadek komunikacyjny. Potem objeżdżałbym ogrody zoologiczne w całym kraju i opisywałbym reakcje.

Tony Rice popatrzył na Costę z wyraźną dezaprobatą.

– Jestem zdumiony, że zgon tego szlachetnego zwierzaka chcesz wykorzystać jako okazję do spotkania z dupami.

– Nie, nie, nie! – Hartman zagłuszył wszystkich. – Pomysł z ciężarówką jest nazbyt złożony. Złapiesz gumę, wyczerpie się akumulator i wszystko spieprzone. W drodze do Bronxu wpadnijcie do sklepu gospodarstwa domowego i kupcie trutkę na szczury. A potem niepostrzeżenie wrzucicie ją do klatki. Najlepiej schowajcie w torcie urodzinowym. Jeden kęs i Pattycake wędruje do małego rajku. A gdyby was nakryli, my wyjaśnimy, że czasami zachowujecie się niepoczytalnie. Możemy też poświadczyć, że sekretariat was zmuszał do popełnienia tego morderstwa.

– To niby Pete chwilowo ma być wariatem? – zainteresował się Burke.

– Nie zwracajcie na niego uwagi – uspokajał Hartman. – I nie martwcie się. Załatwię wam sędziego, który nienawidzi małpizonów.

Frank Fabio krzyknął od strony sekretariatu, by Stavos ruszył tyłek, bo się spóźni na urodzinowe przyjęcie w zoo.

– Już idę! Już lecę! – odkrzyknął Stavos, po czym zniżając głos do szeptu, dodał: – A po drodze wpadnę do sklepu gospodarstwa domowego.

Burke popatrzył za wybiegającym z hali Stavosem, po czym zwrócił się do Hartmana:

– Bardzo dobrze, Eddie. Ciekawe jednak, co zrobisz, jeśli ten świr rzeczywiście otruje gorylicę? Pewnie wystąpisz wtedy w roli współuczestnika morderstwa.

– Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości – zgodził się Costa. – Dziesięć lat w więzieniu za współudział w gorylobójstwie.

– Przykro mi, ale i ja będę zeznawał przeciwko tobie – włączył się Hartman. – Módl się, żeby gorylica go dopadła i wybiła mu głupie myśli z głowy.

Mieszkanie Whitney Morgan znajdowało się pięć minut drogi od redakcji „Globe”, na drugim piętrze niewielkiej kamienicy wciśniętej pomiędzy dwa ogromne bloki stojące przy Lexington Avenue.

Wilgotni od potu leżeli obok siebie na wielkim łóżku Whitney, a przyniesione przez Burke’a chińskie dania stygły na stole w pokoju obok.

Burke, jak tylko przekroczył próg, zaczął się usprawiedliwiać za przygodę, jaka spotkała ich w Brooklynie, a Whitney od razu zabrała się do rozpinania jego koszuli. Teraz części ich ubrania leżały na podłodze w obu pokojach, zaznaczając drogę wiodącą do łóżka.

Billy oparł głowę na jednej ręce, drugą zaś gładził delikatną, klasycznie piękną twarz Whitney. Dziewczyna miała małe, idealnie kształtne piersi, długie, szczupłe nogi, a całe ciało o doskonałych proporcjach zawodowej tancerki.

Pamiętał, jakie wrażenie zrobiła na nim, kiedy zobaczył japo raz pierwszy w hali redakcyjnej.

– Nie chcesz mówić o tamtej nocy? – zapytał. – Ciągle czuję się winny za to, co ciebie spotkało.

Whitney uniosła głowę znad poduszki, ze zdziwieniem popatrzyła na Burke’a szmaragdowymi oczami, po czym przeniosła wzrok na sufit i uśmiechnęła się.

– Daj spokój – powiedziała. – Wiem, że to nie twoja wina... Niecałkowicie twoja. Sądzę tylko, że można było tego uniknąć. – Ponownie się uśmiechnęła. – Boże, nigdy nie zapomnę celi, do której mnie wsadzili. Siedziały tam jeszcze dwie, zupełnie niesamowite prostytutki.

– Dlaczego?

– Żałuj, że ich nie widziałeś. Obie ubrane były w obcisłe spodenki i przezroczyste staniki. Jedna z nich na brzuchu, tuż pod pępkiem, miała wymalowaną żółtą, uśmiechniętą twarzyczkę, od której wychodziła strzałka prowadząca do krocza. – Whitney zachichotała. – Panienki myślały, że jestem ich koleżanką po fachu. Kiedy powiedziałam, że tego wieczoru nie byłam w pracy, jedna oznajmiła, że dopisało mi szczęście, bo akurat wszyscy, którzy się trafiali, mieli olbrzymie.

– Olbrzymie? – Burke w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– No, te wiszące.

– Ach tak. – Dopiero teraz do niego dotarło.

– Dziewczyna wyznała, że po obsłużeniu kilku klientów tak ją bolało, że nie mogła usiąść. – Whitney zagryzła dolną wargę, jakby czegoś nie chciała powiedzieć, ale się zdecydowała: – Powiedziała mi, że ostatni facet miał grubego i długiego na dwadzieścia centymetrów, ale miękkiego. – Oczywiście Whitney rozszerzyły się ze zdumienia. – Widziałeś kiedyś takiego wielkiego, bo ja oczywiście nigdy.

Burke wybuchnął śmiechem.

– Nigdy się dokładnie nie przypatrywałem. A już na pewno nie mierzyłem. Kiedy grywałem w piłkę, szliśmy razem pod prysznic, ale nie oglądałem kolegów poniżej pasa. Nie chciałem, żeby ktoś uznał, że jestem źle wychowany. – Popatrzył na własne podbrzusze, po czym przenosząc wzrok na Whitney, powiedział: – Miło mi, że ze mną nie masz takich problemów.

– Kłamiesz, kłamiesz – zaśmiała się. – Wszyscy pragnęlibyście imponować kobietom wielkimi rozmiarami penisa.

– Tak, do wieku lat osiemnastu. Potem każdy zaczyna rozumieć, że to bez znaczenia. – Pochylił się i pocałował dziewczynę w czubek nosa. – Jeśli jesteś zainteresowana, mogę ci kogoś polecić. Opowiadają, że Fred Costa ma ogromnego.

– Naprawdę?

– Jakiś przyjaciel Costy mówił, że Fred pod tym względem mógłby konkurować z ogierem.

Whitney pokręciła głową:

– To mi chyba nie pasuje.

– On jednak jest z tego zadowolony.

– Jego sprawa. Facet ustawicznie lata za babami. Mam nadzieję, że kiedyś w nocy żona mu to wreszcie utnie.

Burke przyciągnął ją lekko do siebie i zapytał:

– Ty byłąbyś zdolna zrobić coś podobnego?

– Whitney zaśmiała się i palcem stuknęła go w pierś.

– Jasne. Uczyniłabym to z wielką przyjemnością.

– Burke pogłaskał Whitney po biodrze.

– Nie sądzę, bym teraz spokojnie zasnął przy twoim boku.

– Popatrzyła na Burke'a chytrze.

– Ty możesz się tu czuć bezpiecznie. Dobrze wiem, że jesteś nadal zakochany we własnej żonie. – Zaczęła się bawić włosami porastającymi jego pierś. I wcale mi to nie przeszkadza. Chcę ciebie, bo odpowiada mi twoje ciało. Przeciągnęła się jak kotka. – Moje życie jest dokładnie zaplanowane. Na razie nie myślę jeszcze o domu czy rodzinie.

– Ponownie pogłaskała go po piersi i przyciągnęła do siebie. – Co wcale nie oznacza, że nie byłabym zazdrosna, gdyby się okazało, że interesujesz się innymi dziewczynami.

Ponownie pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Rozumiem. Ponieważ moja żona nie chce, bym wracał, pozostanę przy jednej kochance.

Rzuciła mu kokieteryjne spojrzenie.

– Do momentu, dopóki się tobą nie zmęcę – zawyrokowała.

Wydało się jej, że w oczach Billy’ego dostrzegała smutek. Burke usiadł i mruknął:

– No to załatwione. – Sięgnął po zegarek.

– Musisz iść? – zapytała z udawanym rozczarowaniem w głosie. Odgrywała małą dziewczynkę, którą w rzeczywistości nie była.

– Tak. – Ponownie pocałował Whitney w czoło, dostosowując się do jej gry – Jak poszła rozmowa?

Opowiedział o spotkaniu z małym, chorym chłopcem i o tym, jak to Twist chciał przyszpilić nieuczciwych, samolubnych lekarzy. Na razie pominął wszelkie szczegóły finansowej strony całej afery. Wiedział, że gadulstwo było jedną z podstawowych wad reporterów.

– Niebywała historia – stwierdziła Whitney. – Taki temat może cię ponownie wyciągnąć na sam szczyt.

Burke poczuł się dotknięty tymi słowami. Czy miały oznaczać, że spadł?

A jeśli tak, czy było to powszechnie widoczne? Nawet dla pracujących w „Sunday Magazine”, w dodatku niedzielnym w zasadzie odizolowanym od reszty redakcji?

– Minie jeszcze sporo czasu i trzeba będzie wiele zrobić, zanim zaczniemy zbierać plon – powiedział wymijająco. – Trzeba zgromadzić mnóstwo materiałów. To, co dotyczy chłopca, stanowi dopiero wstęp. Redakcja zamierza wyjść daleko poza ten temat, a chłopakowi chce załatwić operację.

– Bez tego nie przeżyje, prawda?

– Podobno.

– Biedak. Musisz zmiękczyć serca starszych stetryczalnych dam, by przesłały pieniądze. A co potem z tym chirurgiem? Pewnie nawet nie wyjdzie na ulicę, bo ludzie będą go sobie pokazywali palcami.

Burke pomyślał, że taka perspektywa sprawia Whitney radość. Prawdopodobnie nie jej jedynej. Od czasów „Watergate” nastroje w kręgach pracowników mediów uległy dramatycznym przeobrażeniom. Już nie wystarczało ujawnienie zła, które dokuczało ludziom. Teraz trzeba było jeszcze postawić winnego pod pręgierzem. Uznawano też, że sprawca musi ponieść publiczną karę, nawet jeśli działał jedynie jako część złego

systemu. Burke'owi przypominała się historia, jaką opisywał przed laty. Był wtedy młodym reporterem w agencji UPI, przydzielonym do biura w Newark. Pewnego komisarza policji oskarżono w tym czasie o przyjmowanie łapówki od mafii za pomoc w przeprowadzaniu jakichś niezwykle dochodowych transakcji. Sprawa wydała się dzięki podsłuchowi założonemu przez FBI. Informacja o całej aferze przedostała się do prasy, a komisarz został przykładowo ukarany. Postawiono go przed sądem i otrzymał wyrok. Wkrótce potem Burke znalazł się przypadkowo przed domem byłego komisarza. Zauważył, że przy schodkach zrobiony jest zjazd dla kogoś poruszającego się na wózku. Od sąsiadów dowiedział się, że żona ukaranego policjanta cierpiała na stwardnienie rozsiane. Walka z postępującą chorobą trwała od lat i pożarła cały rodzinny majątek. Rodzina znalazła się na skraju bankructwa. Burke był zaszokowany. Ani on, ani nikt z jego kolegów piszących o sprawie nie wiedział o chorobie kobiety. Trudna sytuacja życiowa komisarza oczywiście nie usprawiedliwiała korupcji, ale pozwalała zrozumieć. Mieli do czynienia z nieszczęściem, którego nie znali i nie rozumieli. Ten ludzki element sprawy znikł w ogóle z pola widzenia. Dziś, nawet gdyby zdawano sobie sprawę z istnienia takich okoliczności, zostałyby one zignorowane. Obecnie prasa brała pod uwagę zupełnie inne kryteria i zmiana podobnego nastawienia była na razie niemożliwa. Po aferze „Watergate” media stały się bezgranicznie bezlitosne.

– Jak sądzisz, kiedy zbierzesz cały materiał? – pytała Whitney.

– To, co dotyczy chłopca, zdobędę niemal natychmiast. Podczas gdy będą publikowali teksty o Robercie, ja zajmę się szukaniem dalszych faktów. A jak długo to potrwa? – Wzruszył ramionami. – Tydzień, dwa. Wszystko zależy od tempa zdobywania informacji.

– Boże, sama chętnie zabrałabym się za taki temat – westchnęła Whitney. Przyszpilić sukinsyna, który bez skrpułów skazuje dzieciaka na śmierć. Jezu, on przypomina mi moich krewnych.

Rozdział szósty

Roberto siedział na kanapie i co chwila zerkał w kierunku kuchni, gdzie babka przygotowywała obiad. Dochodziła piąta. Odgłosy tłuczenia, krajania i szatkowania ucichły. Do pokoju wdarły się natomiast zapachy czegoś duszonego i smażonego. Burke z pewnym zdziwieniem stwierdził, że aromaty drażnią go i przeszkadzają mu się skupić. Po chwili uświadomił sobie, że jest po prostu głodny. Pomyślał o nie tkniętym chińskim daniu pozostawionym w pokoju Whitney. Kuchenna krzątająca się, a Burke poczuł się zadowolony, że właśnie w tej chwili przebywa w mieszkaniu Marii. Ile to czasu minęło od dnia, w którym był świadkiem przygotowywanego w kuchni posiłku.

Z chłopcem rozmawiał już od dobrych dwóch godzin. Mówili o szkole, o kilku tygodniach, jakie spędził w przedszkolu, zanim zachorował, o jego ulubionych serialach telewizyjnych, a wreszcie o ukochanej drużynie baseballowej, Yankees.

– A którego gracza najbardziej lubisz? – zapytał Burke.

Chłopak przez chwilę zastanawiał się, po czym jego twarzyczka rozjaśniła się dziecięcym uśmiechem wyrażającym entuzjazm.

– Roberta Ramireza – powiedział. – Jest najlepszy. Najcelniej rzuca.

Burke uśmiechnął się. Ten gracz zespołu Yankees był również znany z awantur, jakie miewał z policją, kiedy nocami powracał do domu.

– Sądzę, że darzysz go szczególną sympatią, bo ma na imię Roberto – stwierdził Burke.

Dzieciak był najwyraźniej zakłopotany.

– On jest bardzo opanowany. Poza tym pochodzi z Portoryko – odparł po chwili.

– Czy to, że przybył z Portoryko, pozwala mu zachowywać spokój w trudnych sytuacjach?

W oczach malca zatańczyły figlarne iskierki.

– Oczywiście – odparł z absolutną pewnością.

Burke parsknął śmiechem, a Roberto zachichotał. Ramirez w rzeczywistości był Kubańczykiem, urodzonym i wychowanym w Miami, ale Burke nie widział powodów, by rozczarowywać chłopca. Położył na stole gazetę, jaką przyniósł, i otworzył na stronie sportowej. Pośrodku kolumny widniało wielkie zdjęcie Ramireza wykonane na boisku w trakcie meczu. Napis nad fotografią głosił: „Kryzys Ramireza trwa”.

Roberto jednak nie umiał czytać, więc zadowolił się samą podobizną. Nagle zeskoczył z kanapy i zapiszczał:

– Tak właśnie gra Ramirez. – Zanim Burke zdołał go powstrzymać, chłopiec już

biegał po pokoju, pokazując, jak wyglądają rzuty wyimaginowanej piłki. Po kolejnym podskoku stanął zadyszany. Najwyraźniej miał kłopoty z oddychaniem. Burke podszedł do dziecka i wziął je na ręce. Trzymając Roberta, wyczuwał nierównomierne bulgotanie małego serduszka. Burke przeraził się i odniósł wrażenie, że i jego serce zaczyna bić nienaturalnie szybko.

– Jak się czujesz? – zapytał chłopca, sadzając go na kanapie. – Podać ci szklankę wody? – Nie miał pojęcia, jak zachować się w takiej sytuacji, jak pomóc Robertowi.

Maluch zaprzeczył ruchem głowy. Oddech zaczynał powracać do normy.

– Na pewno? – niepokoił się Burke. – Twoja mama obedrze mnie ze skóry, kiedy wróci i dowie się, że zawiozłem cię do szpitala.

Chłopak uśmiechnął się.

– Już w porządku. Nawet nie jestem zmęczony. – Chciał zeskoczyć z kanapy, ale Burke złapał malca za rękę.

– Poczekaj. Jeszcze chwilę siedź spokojnie. Pokazać ci, co napisałem dla gazety? – spytał, pragnąc odwrócić uwagę Roberta i przytrzymać go na miejscu.

Oczy pięciolatka otworzyły się szerzej.

– To ty coś napisałeś? – Był najwyraźniej zaciekawiony. – Czy coś na temat baseballu? O Robercie Ramirezcie?

Burke zaprzeczył ruchem głowy.

– Niestety nie. Nic tak interesującego. – Zaczął mówić o gazecie. Tłumaczył, na czym polega jego praca w redakcji. Pokazał reportaż. Dotyczył bandyty, który sterroryzował kasjera i porwał worek z pieniędzmi. W worku była jednak petarda wypełniona farbą. Złodziej wybiegł z banku, zatrzymał taksówkę, wskoczył do środka i kazał jechać. Kiedy samochód ruszył, przestępca zajrzał do worka, by stwierdzić, czy ma pieniądze. Musiał przecież zapłacić taksówkarzowi. W tym momencie petarda wybuchła, a czerwona farba oblała bandytę. Gdy na miejscu wydarzenia pojawił się wóz patrolowy, policjanci zastali taksówkarza spuszczonego manto złodziejowi za to, że zabrudził wnętrze taksówki. Burke starał się opisać całe zajście możliwie barwnie, z humorem. Zauważył jednak, że opowieść nie zrobiła na chłopcu żadnego wrażenia. Dodał więc, że tę informację przedrukowały wszystkie gazety w metropolii. To zafascynowało Roberta i teraz z zainteresowaniem przyglądał się drukowanym szpaltom.

– To, co napiszę o tobie, także będzie we wszystkich gazetach sprzedawanych danego dnia – powiedział.

Roberto patrzył na druk, przez chwilę zastanawiał się, po czym zapytał:

– To ty napiszesz dla każdej gazety osobno?

Burke starał się zachować powagę. Pytanie było zaskakujące, naiwne, ale nie

pozbawione logiki. Wyobraził sobie, jak powieła swój tekst dla każdego egzemplarza gazety. Nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć.

Z kłopotu wybawiło go pojawienie się babki Roberta. Kobieta znów przyniosła kawę. Podała mu kawę zaraz po jego przyjściu, a potem ustawicznie dolewała do na pół wypitej filiżanki. Babcia poruszała się na palcach, jakby wchodziła do kaplicy. Burke mówił, że może zostać z nimi w pokoju i przysłuchiwać się rozmowie. Ona jednak stanowczo odmawiała i twierdziła, że nie będzie mu przeszkadzała w pracy. I teraz też cichutko weszła z dzbankiem w ręce, uzupełniła zawartość filiżanki i zawróciła w kierunku kuchni.

Chłopak zapomniał o gazecie. Zapytał babkę o coś po hiszpańsku. Burke rozumiał kilka słów. Prawdopodobnie chodziło o obiad. Babka odpowiedziała: – *Arroz eon Pallo*, co potwierdziło jego przypuszczenia.

Otworzyły się drzwi. Weszła Maria Avalon. Pokój wypełnił się uśmiechem, najpiękniejszym, jaki Burke kiedykolwiek widział. Chłopak z widocznym wysiłkiem ześlizgnął się z kanapy i podbiegł do matki. Burke zdał sobie sprawę, że mały poruszał się znacznie wolniej niż poprzednio. Poczul się za to odpowiedzialny.

Maria wzięła synka na ręce, pocałowała w policzek. Dziecko z uśmiechem przytuliło się do mamy. Gdy Burke zbliżył się do nich, zaczął się usprawiedliwiać:

– Bardzo mi przykro, sędzę, że zmęczyłem Roberta. Przed chwilą miał jakieś kłopoty z oddychaniem.

W oczach Marii pojawił się cień smutku. Kiwnęła głową, najwyraźniej bagatelizując przeprosiny.

– Wszyscy go męczymy. Raz wygląda doskonale i czuje się dobrze, a chwilę potem zupełnie opada z sił.

Podeszła z Robertem do kanapy i usiadła, sadzając go sobie na kolana. Pociągnęła nosem.

– Tu coś całkiem nieźle pachnie. Wydaje mi się, że mama pragnie zaimponować swoją kuchnią. Przypuszczam, że zaprosi cię na obiad.

Burke był zaskoczony.

– Ależ nie chciałbym... – szukał odpowiedniego słowa. – Nie chciałbym przeszkadzać w waszym życiu rodzinnym.

Maria uśmiechnęła się.

– Bardzo prosimy. Nie mamy żadnych innych możliwości podziękowania za to, co dla nas robisz. Roberto na pewno się ucieszy, jak zostaniesz. Wiem o tym. – Popatrzyła na synka.

Dziecko ponownie przytuliło się do matki i szepnęło jej coś do ucha. Maria zaśmiała

się.

– Prosi, żebyś jeszcze nie wychodził. Mówi też, że nie piszesz o baseballu w swojej gazecie. – Podniosła brwi. – To prawda?

Burke wyciągnął rękę i pogłaskał chłopca po policzku:

– Tak, przykro mi, ale to prawda.

– A przynajmniej znasz kogoś, kto pisuje o baseballu?

Oczywiście – odparł. – A specjalizuje się w relacjach z meczów Yankees.

Maria pochyliła się nad synem, który słuchał tej wymiany zdań z szeroko otwartymi oczami.

– No więc zostań na kolację, dobrze? – poprosiła Maria, a natychmiast po niej odezwał się Roberto:

– Czy ten, który pisze o Yankees, mógłby mnie kiedyś odwiedzić?

– Burke wybuchnął śmiechem.

– Tak ci na tym zależy? Zobaczą, co da się zrobić.

– Hura, hura! – krzyknął uradowany chłopak, podskakując na kolanach matki.

Obiad przygotowany przez Consuelo Torres okazał się niebywałą ucztą.

Potrawy były słodkie, aromatyczne, pełne przypraw nie znanych Burke'owi.

Smakowały tak, że zwykła kura z ryżem w owocach i jarzynach stawała się rajem dla podniebienia.

– Przepyszne, pani Torres – ocenił Burke. – Jadam wyłącznie w restauracjach i całkowicie zapomniałem, jak smakuje jedzenie domowe.

Consuelo pochyliła głowę i nieco przymrużyła oczy.

– Pan nie być żonaty? Nikt panu nie gotować?

Burke zauważył, że Maria poruszyła się na krześle, a w chwilę potem Consuelo drgnęła. Domyślił się, że córka trąciła matkę pod stołem nogą. Z trudem opanował uśmiech.

– Owszem, jestem żonaty – wyjaśnił. – Od trzech lat żyjemy jednak w separacji.

Consuelo odsunęła się nieco od stołu, by znaleźć się poza zasięgiem nogi Marii, i zapytała:

– Nie macie rozwodu?

Burke pokiwał głową.

– Nigdy nie poruszaliśmy tego tematu. Żadne z nas tego nie poruszało. Po prostu nie zależy nam na rozwodzie.

– A dzieci?

– Mamo. – Maria nie mogła już wytrzymać. – Nie można być tak wścibskim.

Consuelo machnęła ręką, jakby odpędzała od siebie uwagi córki.

– Mamy dziewięcioletnią córkę – odpowiedział Burke. – Jutro są jej urodziny. – Wiedział, jakie będzie kolejne pytanie, i modlił się, żeby ono nie padło.

– To córka być z żoną?

Burke spuścił oczy i ponownie zaprzeczył ruchem głowy.

– Jest chora, pani Torres. Mieszka w specjalnym ośrodku. – Widział, że kobieta się spieszyła, nadał swojej twarzy wyraz, który by świadczył, że się nie gniewa. – Ze względu na stan zdrowia, musi przebywać pod odpowiednią opieką.

W oczach Marii i Consuelo widział smutek i współczucie. Matka Marii wyciągnęła rękę i pogłaskała jego dłoń.

– Mieć zdjęcie córki?

Burke wyjął fotografię z portfela, tę samą, którą trzymał na regale. Julia i Annie siedzą obok siebie na ławce w ogrodzie.

Consuelo trzymała zdjęcie tak delikatnie jak kruchy skarb, potem podała je Marii.

– Śliczna dziewczynka. *Muy, muyhermosa* – powiedziała do Burke'a miękkim głosem.

Dalszą rozmowę przerwał dzwonek telefonu, co pozwoliło Billy'emu powstrzymać się od wszelkiej odpowiedzi. Maria tymczasem odebrała telefon i po chwili, wyciągając słuchawkę w jego kierunku, powiedziała:

– Do ciebie, z redakcji.

Gdy tylko Burke przyłożył słuchawkę do ucha, został zasypany potokiem słów. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że telefonował nocny dyżurny „Globe”. Sam Soule bez żadnych wstępów zaczął opowiadać o jakimś morderstwie, do którego doszło w katolickim kościele. Kościół, jak informował dyżurny, znajdował się zaraz za rogiem ulicy, przy której Billy właśnie przebywał.

Soule kontynuował jednym tchem:

– Zrozum, jesteś najbliżej miejsca wydarzenia. Musisz się tam udać natychmiast. Właśnie podsłuchaliśmy relacje na sieci łączności policyjnej. Ofiarą padła jakaś zakonnica. Gliniarze już kogoś złapali i będą go wieźli na Manhattan. Ja wysłałem fotografa. Jeśli rzeczywiście zakonnica została zamordowana, wyciągnij wszystko, co tylko zdołasz. Słyszysz? Musimy mieć jak najwięcej informacji. To nasza czołówka na jutro, chyba że wypowiedzieliśmy komuś wojnę. Jeśli się uda, pomów z proboszczem. Pogadaj z prowadzącym śledztwo.

Obiecuj mu złote góry za wywiad. Zrozumiałeś?

Burke patrzył w sufit i potrząsał głową. Soule był idiotą, który wpadał w panikę za każdym razem, gdy w trakcie jego dyżuru dochodziło do jakiegoś bardziej sensacyjnego

wydarzenia. Przed czterema laty przyszedł do nich z gazety w New Jersey, ale nadal nie miał zielonego pojęcia o Nowym Jorku. A już Brooklyn czy Queens były dla niego jak kraje za oceanem.

– Rozumiem, tylko nie podałeś mi adresu, Sam – odezwał się wreszcie Burke. – Bardzo by mi się przydał.

– A właśnie, zapomniałem. – Billy słyszał szelest przerzucanych papierów. Soule wreszcie znalazł właściwą kartkę. Kościół, który miał być zaraz za rogiem, znajdował się w części Brooklynu zwanej Bay Ridge, oddalonej o dobrych piętnaście minut jazdy taksówką. Burke zanotował adres.

Odłożył słuchawkę, po czym odwrócił się do obu kobiet i do chłopca. Maria ciągle jeszcze trzymała w ręce zdjęcie jego żony i córki.

– Mam złą wiadomość – powiedział. – Przykro mi, ale teraz muszę was opuścić...

Przed kościołem stało kilka policyjnych radiowozów najwyraźniej pospiesznie zaparkowanych, bo drzwi miały pootwierane, a reflektory włączone. Wejście do świątyni Niepokalanej Marii blokowała taśma policyjna. Wchodząc po schodach, Burke zobaczył dwóch detektywów stojących obok bariery. Jednego z nich znał. Był to Mike Hanrahan, grubas o czerwonej twarzy, sierżant nie rozstający się z wielkim cygarem. Poznali się przed rokiem w Brooklynie, kiedy Burke odbywał kilkumiesięczną karę „zesłania”.

Hanrahan zwrócił się do nadchodzącego reportera, wyjął cygaro z ust i wycelowując je prosto w nos Burke’a, powitał go słowami:

– Słyszałem o tobie, kochaniutki. Wpadasz, by coś napisać czy by dokopać jakiemuś gliniarzowi?

– By napisać – wyjaśnił Burke, wyciągając rękę na powitanie. – Poza tym wcale nie jestem pewien, czy udałoby mi się tobie dokopać.

Hanrahan silnie uściśnął reporterowi dłoń i uśmiechnął się.

– Dobrze, że nie próbujesz. Miałem fatalny dzień, więc wolałbym unikać konfliktów. – Wsadził cygaro w usta nie przerywając. – A więc, co robisz w Brooklynie? Czy ta mała burda w siedemdziesiątym ósmym spowodowała, że ponownie znalazłeś się na wygnaniu?

– Niewiele brakowało, ale nie. – Burke odpowiedział uśmiechem na uśmiech. – Po prostu byłem w okolicy prywatnie, a nocny dyżurny mnie złapał i kazał zająć się tą sprawą. Co się tu właściwie dzieje?

Twarz Hanrahana spoważniała.

– Jeśli masz słaby żołądek, lepiej nie wchodź do środka. A jeśli zdrowy, też nie radziłbym. – Końcem cygara pokazał w stronę kościoła. – Siostra zakonna. Miała

sześćdziesiąt osiem lat. Wygląda na to, że przyłapała lumpa, który łomem rozwałił puszkę. Chciała go zapewne przepędzić, a została zgwałcona i podcięto jej gardło.

– Złapaliście faceta?

Hanrahan tym razem wyciągnął rękę z cygarem w kierunku radiowozów.

– Siedzi na tylnym siedzeniu w radiowozie. Patrol przejeżdżał właśnie w momencie, kiedy facet zbiegał po schodach, cały zakrwawiony. Teraz opowiada, że gliny go pobili i jest ofiarą policyjnej brutalności. To ja pierwszy go przesłuchałem.

– Chciałbym zobaczyć ciało i porozmawiać z tym facetem. – Burke rozejrzał się dookoła i dodał: Zanim pojawi się konkurencja.

Hanrahan zachichotał.

– A nie chciałbyś przypadkiem pocałować mnie w dupę, choć nawet o to nie proszę.

– Daj spokój, Mike.

Hanrahan przyjrzał się uważnie reporterowi.

– Dobrze – zgodził się wreszcie. – Jesteśmy ci to winni za tę drakę w siedemdziesiątym ósmym. Znam tego ciula Grady’ego. Już przed laty powinni go wylać z policji. – Ponownie wyjął cygareto z ust i wycelowując jego czubek w oko Burke’a, dodał ostrym głosem: – Oczywiście w niczym ci nie pomagałem. Rozumiesz?

– Oczywiście, Mike. Nawet z tobą nie rozmawiałem.

– Nigdy mnie nie widziałeś, ty pieprzony pismaku.

Ciało zakonnicy leżało w kałuży krwi. Burke mógł dokładnie obejrzeć tę ponurą scenę, gdyż policyjny fotograf wykonywał właśnie zdjęcia, które zapewne przez lata będą się śniły dwunastu nieszczęśliwym członkom ławy przysięgłych w procesie mordercy.

Burke patrzył z narastającym przerażeniem. Przede wszystkim uderzała go nagość zakonnicy. Czarny habit i bielizna, zdarte z kobiety, zostały odrzucone na kamienną podłogę. Ciało leżało z rozłożonymi rękami i nogami. Włosy na wzgórku łonowym były siwe. Burke szybko przeniósł oczy na głowę zamordowanej. Pokryta krwią twarz wyglądała upiornie. Usta były rozwarte w niemym krzyku. Od ucha do ucha, poprzez szyję, przebiegała głęboka rana. Ofiara miała poderżnięte gardło. Billy ponownie opuścił wzrok. W rękach ofiary tkwił różaniec. Palce zaciskały się na figurce Chrystusa rozpiętego na krzyżu. Burke odwrócił głowę i jęknął:

– O, Jezu.

– Tak, tak, mówiłem, jak to wygląda – rozległ się cichy głos Hanrahana. A ten sukinsyn twierdzi, że policjanci go pobili.

Burke rzucił okiem w głąb świątyni. W świetle palących się świec kościół wydawał

się swojski i niemal przytulny. Billy widział w półmroku figury świętych. Wciągnął powietrze w płuca i nagle poczuł zapach wysychającej krwi.

Odwrócił się i szybko wyszedł na zewnątrz.

– Trudno wytrzymać – powiedział do idącego za nim Hanrahana.

– Tak, chłopcze. Ostrzegałem, że można się wyrzygać – potwierdził detektyw.

Stanęli przed wejściem do kościoła, a Burke łączywie wdychał wilgotne, nowojorskie powietrze. Spojrzał w lewo i zobaczył przylegający do kościoła budynek szkoły parafialnej.

– Czy zakonnica tu uczyła? – zapytał.

Hanrahan przytaknął.

– Przełożona mówiła mi, że około dwudziestu lat. Ty też chodziłeś do szkoły katolickiej?

Burke potwierdził skinieniem.

– Tak, przez osiem lat.

– Obrywałeś od zakonnicy?

– Owszem, ale nie częściej jak raz na tydzień.

– To znaczy, że byłeś dobrym chłopcem – ucieszył się sierżant. – Zamordowana przed trzema laty przeszła na emeryturę. Zajmowała się kościołem.

– Zmieniała kwiaty, świece, dbała, by kielichy były napełnione. To samo właśnie robiła tu dziś wieczorem.

Burke raz jeszcze wziął głęboki oddech i zapytał:

– Masz nazwisko siostry i tego drania?

Hanrahan podał dane, przypuszczalny czas morderstwa i pojmania uciekającego zabójcy.

– Złapali go natychmiast. Mamy narzędzie zbrodni. Na nim wiele śladów krwi zamordowanej. Dysponujemy wszystkim, co trzeba. Brakuje tylko jednego.

– Czego? – zainteresował się Burke.

– Krzesła elektrycznego. – Hanrahan wyjął z ust cygaro i splunął na ziemię. – Nadal zamierzasz mówić z tym skurczybykiem?

– Chciałbym.

Detektyw machnął cygarem w kierunku jednego z radiowozów, przy którego tylnych drzwiach, po każdej stronie, stali policjanci.

– Siądziesz na przednim siedzeniu i będziesz rozmawiał przez siatkę. A potem zabieraj stąd swój tyłek, zanim się pokażą inne wampiry prasowe.

Krzyknął do obu policjantów pilnujących wozu i pokazując ręką na Burke'a kiwnął potakująco głową.

Reporter uściskał ramię sierżanta.

– Dziękuję, Mike. Jestem twoim dłużnikiem.

– Jasne, irlandzki ciulu. Tylko o tym nie zapomnij.

– Ty jesteś pieprzonym gliniarzem? – zapytał facet siedzący na tylnym siedzeniu radiowozu, oddzielonym od przedniego grubą, zapewne stalową siatką.

Burke pokazał legitymację prasową. Zatrzymany nazywał się William Racine, ale w jego środowisku nazywano go Willie Rancid. Był to mały, chudy facet o zapadłej twarzy i skórze przypominającej stary, zbutwiały papier gazetowy.

– Czy powiesz mi, Willie, co się tu wydarzyło? – zapytał Burke. – Chcielibyśmy stanąć po twojej stronie.

Willie mocno zacisnął szczęki. Lok tłustych włosów opadał mu na czoło.

Wargi miał spuchnięte, a twarz nabrzmiała.

– Czy ty mnie uważasz za idiotę? – wycharczał.

Burke popatrzył na ulicę i przyszło mu do głowy, że gdyby nie to, że ciągle jeszcze go mdliło, uśmiełby się tak ze swojego pytania, jak i z odpowiedzi. „Czy ja cię uważam za idiotę?” Wchodzisz do kościoła i chcesz rozbić puszkę z datkami na ubogich. Łapie cię na tym sześćdziesięcioośmioletnia zakonnica, a ty ją gwałcisz i mordujesz. Potem sam, zlany jej krwią, uciekasz i natychmiast wpadasz w ręce dwóch gliniarzy, którzy na pewno jechaliby się gdzieś napić kawy i zjeść po pączku. Nie, Willie, wcale nie uważam cię za idiotę. Ponownie przeniósł wzrok na zatrzymanego.

– A więc co, Willie, wolisz, żebym opisał wydarzenie na podstawie relacji gliniarzy? Mnie wszystko jedno. – Burke położył rękę na kłamce i zrobił gwałtowny ruch, jakby zamierzał wysiąść z wozu. Zatrzymał go jednak piskliwy głos Williego.

»– Te pieprzone gliny nieźle mi dołożyły – mówił.

Burke cofnął się do wnętrza wozu, oparł o siedzenie i powiedział:

– Gliniarze mówią, że straszyłeś ich nożem.

– Kłamię – sapnął zatrzymany. – To oni wyjęli nóż z mojej kieszeni. Natychmiast mnie skuli. Jak ich miałem straszyć? Kłamię – powtórzył.

»– A dlaczego zabiłeś zakonnice, Willie?

Facet zaczął podskakiwać na tylnym siedzeniu. Zachowywał się tak, jakby był pod wpływem narkotyków.

– Człowieku, ja nikogo nie zabiłem. Ten nóż podrzuciły mi gliny. Jestem niewinny. Absolutnie niewinny.

Burke pokręcił głową.

– Willie, jeśli chcesz, żebym ci pomógł, ty musisz teraz pomóc mnie. Wcześniej

powiedziałeś przecież, że policjanci wyjęli ci nóż z kieszeni. Wybiegłeś z kościoła. Z pieniędzmi zrabowanymi z puszki.

– Ja się do tej puszki nawet nie zbliżałem. – Willie wrzeszczał na całe gardło. – A ta pieprzona zakonnica obłapiała mnie, jeszcze zanim otwarłem to cholerne pudło.

Burke patrzył na niego przez chwilę, zastanawiając się, jakie procesy zachodziły w tym małym mózdzku zatrutym narkotykami.

– Widzisz, Willie – powiedział wreszcie. – Jeszcze mogę zrozumieć, dlaczego ją zabiłeś. Nie pojmuję jednak, dlaczego zgwałciłeś tę kobietę. Ona miała sześćdziesiąt osiem lat.

– Człowieku, stara baba dostała to, co się jej należało. Rzuciła się na mnie, wrzeszczała i biła. Nie miała prawa tego robić. Nawet nie pozwalala mi stamtąd spacerować. Dostała za swoje. To wszystko.

Burke wysiadł bez słowa. Willie coś tam jeszcze wrzeszczał i protestował, ale Billy nie zwracał na to uwagi. Materiał w gazecie jednoznacznie przedstawi czytelnikom fakty. A co z Williem? Spędzi zapewne trzydzieści lat w celi z takimi zboczeńcami jak on. Najwyżej będą się jeden drugiemu dobierać do dupy.

Burke ruszył ulicą. Naprzeciwko szedł jakiś kilkunastolatek. Biały, z warkoczykiem. Miał na sobie wpuszczone w buty dżinsy i koszulkę z napisem na piersi. Na przewieszonym przez ramię pasku wisiało radio nadające młodzieżową piosenkę. Burke nie znosił tej ryczącej muzyki, tak jak nienawidził typów podobnych do tego młokosa.

Billy poczuł dotknięcie ręki na ramieniu. Odwrócił głowę. Obok stał jeden z policjantów, który zapytał:

– To co, napisze pan, że dołożyliśmy temu zatrzymanemu draniowi?

Burke przypatrywał się policjantowi. Niewysoki, krępy facet, liczący sobie około dwudziestu dwóch, trzech lat. Jego twarz wyrażała jednak cynizm i złość.

W tym momencie chłopak z radiem zrównał się z nimi, a wrzask radia zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Gdy małolat oddalił się o kilka kroków, Burke powiedział:

– Sądzę, że Hanrahan miał rację.

– Dlaczego? – Policjant był wyraźnie zaskoczony.

– Burke ruszył, a odpowiedź krzyknął przez ramię:

– Powiedział, że powinniście byli zastrzelić tego szmatławca.

Rozdział siódmy

Silny zapach środków odkażających nie był w stanie zabić unoszącego się w powietrzu odoru uryny. Idąc długim korytarzem, Burke uświadomił sobie, że ten zapach kojarzy mu się teraz z córką. Tak samo jak z nią kojarzyły się te pomalowane na zielono, zawsze dokładnie wymyte i puste ściany; to jednobarwne linoleum pokrywające podłogę i okrzyki dobiegające od czasu do czasu z poszczególnych pokoi.

Wszędzie dookoła panował nastrój smutku. Ponura atmosfera ciążyła tym, którzy musieli żyć w tych murach, i tym, którzy przychodzili w odwiedziny.

Przekroczenie progu ośrodka wywoływało długotrwałe przygnębienie.

Nie cierpiał tych wizyt od samego początku. Miał nadzieję, że z czasem uczucie to zaniknie. Niestety, tak się nie stało. Pozostawało i zakorzeniało się jeszcze mocniej. Uświadamiając to sobie, miał poczucie winy, co jednak niczego nie zmieniało.

Z naprzeciwka nadchodziła pielęgniarka, pani w średnim wieku, czarna, o miłym, łagodnym spojrzeniu. Poznali się w okresie kilku minionych lat.

– Dzień dobry, pani Collins – powiedział.

Kobieta popatrzyła na prezenty, jakie niósł, i uśmiechnęła się, odsłaniając sztuczne zęby.

– Widzę, że mamy urodziny – zagadnęła.

Burke poczuł nagły przypływ złości. Zamierzał powiedzieć, że oni nic dzisiaj nie mają. To są urodziny Annie. Mimo wszystko zmusił się do uśmiechu i zapytał:

– Jak się ona dzisiaj czuje?

– Ma dobry dzień – odparła pielęgniarka. – Jest już pańska żona. Przyniosła tort.

Burke zmusił się do kolejnego uśmiechu. Dobry dzień, pomyślał. Bez histerycznych wybuchów. Annie będzie się bawiła zabawkami, nieświadoma lub niezainteresowana tym, że są przy niej rodzice. Pozostanie w swoim dalekim, samotnym świecie, niedostępnym dla nikogo i tajemniczym. Dobry dzień. Taki, w którym matka będzie ukradkiem ocierać gorzkie łzy, a ojciec marzyć w duszy, by znaleźć się gdzieś w innym miejscu.

Otworzył drzwi do pokoju Annie i stanął w progu. Dziewczynka siedziała na kolanach Julii z podkulonymi nogami, właściwie w pozycji płodu. Dopiero od niedawna Annie pozwalała, by ją trzymano w objęciach. Julia uśmiechała się do niego. Była wyraźnie odprężona i zadowolona. Córka patrzyła z zaciekawieniem na ojca, być może zastanawiając się, kto to jest. Gdy taka myśl przebiegła mu przez głowę, poczuł ucisk w okolicy serca. Odsunął więc bolesne przypuszczenia i uśmiechając się, powiedział:

– Cześć.

– Cześć. Przychodzisz na urodzinowe przyjęcie? – Julia ucałowała główkę córki.

– Oczywiście, że na przyjęcie – potwierdził. Cmoknął Annie w policzek i wyciągnął w jej kierunku pudełko opakowane w kolorowy papier ze złotą rączką do niesienia. Żywe barwy najwyraźniej zafascynowały dziewczynkę. Najbardziej spodobała się jej złota rączka, wydarła ją z pudełka i zaczęła się nią bawić, nie interesując się zawartością pudła.

– Nie zajrzysz do środka? – zapytał. – Przypuszczam, że znajdziesz tam coś naprawdę fajnego.

– I ja też chciałabym zobaczyć. Pomóż mi, proszę. – Julia przysunęła do siebie pudło i zaczęła je rozpakowywać. Annie jednak to nie zaciekało. Obracała w palcach złotą rączkę, z zainteresowaniem przechylając główkę. Właściwy prezent zignorowała.

Burke obserwował, jak Julia powoli otwiera pudełko, starając się, by czynność ta przyciągnęła uwagę dziewczynki. Annie jednak nie reagowała. Sprawiała wrażenie zagubionej gdzieś w czasie i przestrzeni. Burke nadal stał i przyglądał się żonie i córce. Przypominał sobie, jak to przed kilkoma laty czuł ogromną radość, kiedy patrzył na nie obie.

Ciemne włosy Julii były teraz krótsze. Tam, na zdjęciu, opadały jej na ramiona. Teraz przykrywały najwyżej połowę uszu. Obecna fryzura jeszcze bardziej podkreślała delikatne linie twarzy. Brązowe oczy żony wydawały się nieco przyćmione. Billy wiedział, że to z powodu aktualnego nastroju, zmęczenia, może smutku. Dobry dzień zwracał jej oczom blask. Miała właśnie trzydzieści cztery lata, a więc była w wieku, w którym u kobiet występują pierwsze objawy przemian wynikających z upływu czasu. Mimo wszystko Julia nadal była pełna wdzięku jak wtedy, kiedy ją poznał i kiedy go urzekła.

Przeniósł wzrok na córkę. Dziewczynka urodą dorównywała matce. Miała miękkie, ciemne włosy jak Julia, długie, zaczesane do tyłu i splecione w mały warkoczyk. Rysy twarzy też odziedziczyła po mamie. Nie ulegało wątpliwości, że wyrośnie na śliczną kobietę. Szczególnie urzekały go jej oczy. Wielkie, o łagodnym spojrzeniu, brązowe i... puste. Burke nieraz się modlił, by odzwierciedliły jakieś uczucia czy myśli. Annie patrzyła w tej chwili w przeciwległy róg pokoju, ale trudno było się domyślić, co widzi.

– Kochanie, popatrz, popatrz. – Julia wyciągnęła z pudła lalkę. Zerknęła na Burke'a i uniosła lekko brwi.

Billy kupił córeczce bardzo obecnie popularną lalkę nazywaną Madame Alexander. Miała twarz żywego człowieczka. Ubrana była w szkocką spódniczkę i białą bluzeczkę. Jej niebieskie oczy, puste i nieruchome, przypominały oczy Annie. I to skojarzenie usiłował odsunąć od siebie. Za Madame Alexander zapłacił aż siedemdziesiąt pięć

dolarów, a teraz jego córka spoglądała na lalkę z absolutną obojętnością.

– Jaka ona śliczna, Billy – dobiegł go głos Julii. – Takie lalki trzyma się na widocznych miejscach. Warto ją mieć w swojej kolekcji.

Patrzył na żonę, wsłuchując się w miękki, przyjemny głos. Pomyślał, że to ona była mu wdzięczna za ten prezent dla córki. Wyciągnął rękę i pogłaskał Annie po głowie.

– Annie może się nią bawić, kiedy tylko będzie chciała – powiedział.

– A teraz czas na urodzinowe przyjęcie – oznajmiła Julia. – Madame Alexander też zaprosimy. – Wsadziła lalkę w ręce córki, a ją samą postawiła na podłodze. Podeszła do niewielkiego stolika i zaczęła wyjmować tort. Burke usiadł na krześle, z którego wstała Julia, i ponownie pogłaskał małą po głowie.

– Dziewczynka przytuliła do siebie lalkę i nieoczekiwanie wpakowała się ojcu na kolana.

Billy był zaszokowany. Z trudem łapał powietrze. Po chwili wahania objął Annie. Kiedy ją puścił, odwróciła główkę w stronę ojca i z wyraźnym zainteresowaniem patrzyła mu prosto w oczy. Nagle wyciągnęła rączkę i delikatnie dotknęła palcem łyzy, powoli spływającej Billy’emu po policzku. Potem odsunęła dłoń i z zainteresowaniem obserwowała wilgotny czubek własnego palca, jakby przyglądała się dziwnemu, nie znanemu stworzeniu.

Burke uświadomił sobie, że jego córka nigdy nie płakała, nawet kiedy ją coś bolało. Teraz ze zdumieniem spoglądała na małe kropelki wolno toczące się po twarzy ojca.

Zapalili dziewięć świeczek, zdmuchnęli je i złożyli Annie życzenia. Julia wręczyła Annie śliczną, wieczorową sukienkę. Prezent całkowicie niepraktyczny, zakupiony przez matkę, która marzyła, by jej córeczka chodziła na jakieś przyjęcia.

Julia wyczuła, że mąż właśnie o tym pomyślał, bo odwróciła się do niego i powiedziała:

– Nie mogłam się powstrzymać, by tego nie kupić.

Z oczu Julii wyczytał, że chciała, aby Annie założyła nową kreację. Wiedziała jednak, że taka propozycja może się spotkać z pełnym złości oporem.

Patrzył, jak Julia złożyła sukienkę i spakowała z powrotem do pudełka. Wstał, podszedł do córki i klęknął obok niej.

– Annie, przymierz sukienkę – szepnął. – Ty i lalka będziecie w nowych pięknych strojach.

Annie patrzyła gdzieś w przestrzeń, jakby słowa ojca docierały z jakiegoś nieokreślonego punktu, i niespodziewanie, w milczeniu zaczęła rozpinać prosty, czerwony bezrękawnik, jaki miała na sobie.

Razem kroczyli po miękkiej, wiosennej murawie. Takie spacerowały Annie

wyraźną przyjemność, więc starali się wychodzić z córką przy okazji każdej wizyty. Dziewczynka szła przed nimi, nadal niosąc swoją nową lalkę.

Na sobie miała szykowną sukienkę, prezent od matki.

Burke zerknął na Julię. Patrzyła na córkę, a smutne oczy dawały najlepszy wyraz nurtującym ją uczuciom. Była drobna, mierzyła najwyżej metr sześćdziesiąt. Billy nigdy dokładnie nie pojął, jak taka filigranowa osoba mogła urodzić dziecko. Przez moment myślał o tym, że może lepiej by się stało, gdyby nie zdołała wydać na świat potomka, ale natychmiast sam siebie skarcił.

– Czytałam dzisiaj twój materiał w gazecie – odezwała się Julia. – Czy ten potwór naprawdę powiedział, że zakonnica dostała to, na co zasłużyła?

Fakt, że żona przeczytała jego tekst, sprawił mu przyjemność. Choć ta akurat publikacja niewiele znaczyła. Ważne jednak to, że Julię nadal interesowały jego artykuły.

– Tak właśnie powiedział. I tak rzeczywiście myślał.

– Straszne – westchnęła. – Patrzeć na ciało biednej siostry, a potem rozmawiać z tym kretyńcem. – Pokiwała głową.

Burke przypomniał sobie nagie ciało starej zakonnicy, wyraz przerażenia i zdumienia na jej martwej twarzy, palce zaciśnięte na figurce Chrystusa zwisającej u różańca. Oglądanie takich widoków stanowiło część jego pracy. Już nawet nie uważał tego za coś wstrząsającego. Przejawy dzikiej brutalności stały się od lat częścią zawodowego życia i nawet nie analizował uczuć, jakie w nim budziły. Raczej co pewien czas martwił się, że nie wywoływały w nim żadnych emocji. Jednak w przypadku morderstwa, z jakim zetknął się wczoraj wieczorem, było inaczej. Patrząc na obnażone zwłoki, poczuł się dosłownie chory. Uzmysłował sobie, że kiedy przestanie w ogóle reagować, będzie to sygnał, że należy zmienić pracę. A w każdym razie obiecywał sobie, że to zrobi.

– Rzeczywiście ohydna zbrodnia – przyznał. – To jedno z takich wydarzeń, które chciałoby się pozostawić dla innych reporterów. – Mówił całkiem szczerze, a jednocześnie jednak czuł coś w rodzaju dumy, że właśnie jemu zlecono napisanie reportażu o tej zbrodni. Zastanawiał się, czy Julia to zrozumie, czy w ogóle ktoś by go rozumiał. Postanowił nie ryzykować i zmienił temat. – Zacząłem pracować nad inną sprawą, od której powinienem się chyba trzymać z daleka.

Opowiedział Julii o Robercie, a także o finansowych matactwach w szpitalach. Wyjawiał wszystko, bo darzył ją całkowitym zaufaniem.

– Biedny chłopak. Przynajmniej są przy nim dwie niezwykle silne i odważne kobiety. – Julia zastanawiała się nad czymś przez moment, popatrzyła na Billy'ego i zapytała: – Dlaczego miałbyś się od tego trzymać z daleka?

Z jej tonu odczytał, że w rzeczywistości już zna odpowiedź.

– Ten temat ma dla mnie podtekst osobisty i bolesny. Nie chcę zbliżyć się do jeszcze jednego dziecka potrzebującego pomocy, tym bardziej że może się okazać, że ja nie jestem w stanie dać tej pomocy. – Potrząsnął głową. – To jednak nie wszystko. Istnieje w tym temacie coś, wobec czego nie potrafię zająć stanowiska. Nie wiem, czy mogę i czy chcę być uczciwy.

– Z powodu Annie i jej doktorów?

Przytaknął, patrząc na idącą przodem córkę.

– Mam pretensje i żal do lekarzy. Tyle lat im zajęło postawienie rozsądnej diagnozy.

Szli przez chwilę w milczeniu. Julia pochyliła głowę i utkwiała wzrok w trawniku. Wreszcie rzekła:

– To bez znaczenia. Szybkie rozpoznanie niczego by nie zmieniło.

– To miało znaczenie dla nas – sprzeciwił się. Chciał powiedzieć więcej.

– Zamierzał dodać, że być może jeszcze byliby razem, ale się wycofał. Czy rzeczywiście późna diagnoza wpłynęła na decyzję żony?

Julia wzięła go za rękę. Nadal nosiła obrączkę. Uznał to za odpowiedź, choć nie sądził, by była zgodna z prawdą.

– Zapomnij o gniewie i pretensjach i pomóż temu biednemu chłopcu powiedziała. – Wiem, stoi przed tobą niełatwe zadanie, ale istnieje okazja, by zrobić coś ważniejszego niż pisanie o morderstwach i różnych wyrzutek. Na dłuższą metę może ci to wyjść na dobre – stwierdziła, a po chwili jeszcze dodała: – W wielu sprawach.

Po tej wypowiedzi odniósł wrażenie, że dzięki udzieleniu wsparcia chłopcu, zdoła wymazać wszystkie swoje winy. Zastanawiał się, czy rzeczywiście byłoby to możliwe.

Uścisnął jej rękę i zaśmiał się.

– Mogę poprosić ciebie, byś pomogła mi w dokonaniu oceny mojego życia. Oczekuję spowiedzi, pokuty i odpuszczenia.

Julia zaśmiała się również.

– Nie potrzebujesz nikogo, by rozliczyć się z własnym sumieniem, Billy.

– Sam sobie doskonale radzisz. – Ona też uścisnęła jego rękę. – Gdybyś jednak kiedykolwiek chciał na ten temat pomówić, zawsze jestem gotowa.

– Niewykluczone, że w końcu zwrócę się do ciebie zakończył Burke.

Rozdział ósmy

Gerard LaFrancois podejrzliwie patrzył na Burke'a, mrużąc jedno oko.

– No więc, zakało rodu ludzkiego, komu chcesz dzisiaj popsuć dzień?

Burke smutno pokiwał głową.

– Jeny, Jeny. Co ty wygadujesz? Czyż nie przychodzi ci do głowy, że po prostu wpadłem, by ciebie zobaczyć?

Jeny gwałtownie pokręcił głową.

– Boże, co za kłamstwo. Kłam jednak dalej. Uwielbiam, jak to robisz.

Burke przysiadł na skraju biurka, obok egzemplarza nowej powieści Saula Bellowa „Humboldt's Gift”. Jeny był człowiekiem ogromnej inteligencji, a jednak wszystko, co prezentował światu, stanowiło grą obliczoną na pokaz. Kiedyś przedstawił Burke'owi dzieje swego życia, a w każdym razie wersją, którą w tym dniu uznawał za prawdziwą.

Urodził się w Queens przed trzydziestu kilku laty i przez pierwszych osiemnaście lat życia musiał znosić religijny fanatyzm matki, ortodoksyjnej katoliczki. Potem wyjechał na studia i przemianował się z Geralda Francisa na Gerarda LaFrancois. Burke nie miał pojęcia, co w tej opowieści odpowiadało prawdzie.

Przy innej okazji Jeny opowiedział bowiem, że matka była niegdyś akrobatką w cyrku, po czym dodał, że odziedziczył po niej talent, ale „wykorzystuje go w sposób o wiele bardziej interesujący i ekscytujący”.

Jeny westchnął jak człowiek zrezygnowany, wstał i specjalnie wytrenowanym, drobnym kroczkiem powodującym kołysanie bioder, podszedł do kredensu. Był niewysokim, chudym facetem, choć on sam preferował słowo „filigranowym”. Miał krótko przycięte blond włosy i idealnie równo przystrzyżone wąsiki pod wielkim nosem przypominającym gąsienicę. Nagle patrząc gościowi w oczy, zapytał:

– No o co chodzi? Ja jestem tylko małym, zapracowanym urzędnikiem.

Wiesz o tym.

Burke uniósł wzrok, jakby zamierzał się modlić o więcej cierpliwości. Wiedział, że Jeny usiłuje wyprowadzić go z równowagi. Zdawał sobie jednak też sprawę, że przy wszystkich swoich dziwactwach LaFrancois był człowiekiem bardzo kompetentnym. Zajmował stanowisko zastępcy do spraw finansów i administracji i z racji tego dzierżył w ręce klucze do dokumentów oraz spraw, do których Burke chciał się dorwać. Biuro szefa działu finansowo-administracyjnego nadzorowało wszystkie transakcje miasta i miało prawo kontroli instytucji otrzymujących fundusze z budżetu metropolii. Burke od lat pracował nad możliwie dobrymi kontaktami z Jerrym i zażyłość ta już wielokrotnie

przyniosła mu znaczne korzyści. Seksualne skłonności LaFrancoisa nic go nie obchodziły.

– Muszę rzucić okiem na listy płac wybranych miejskich szpitali – powiedział Burke.
– W szczególności interesują mnie dochody lekarzy, chirurgów, internistów i innych, którzy pracują w prywatnych szpitalach korzystających z dotacji miasta w ramach Planu Wspierania Placówek Zdrowia.

Jerry popatrzył kpiarsko.

– Idź więc do szpitali i tam zapytaj. To nie są tajne akta.

– Drwisz ze mnie – obruszył się Burke. – Wiesz, jak lekarze wzajemnie się wspierają. Po pierwszej mojej wizycie wszystkie szpitale dostaną ostrzeżenie.

– Natychmiast wyrośnie mur nie do przebicia.

Jerry gwizdnął.

– I chcesz, abym ja wykonał za ciebie brudną robotę?

– To jedyna możliwość. Twoje biuro może poprosić o te informacje, bo musicie na przykład przygotować sprawozdanie roczne albo sporządzić statystyczne dane dla przyszłego budżetu. Jeśli ja zapytam...

Jerry ruchem ręki dał znak, by nie ciągnął dalej.

– Przejdźmy do sedna sprawy. Kochaniutki, powiedz jasno, w czym rzecz.

Po co mieszasz w to moje biuro, a najważniejsze – mnie?

Burke zrobił oburzoną minę, ale po chwili całkiem serio powiedział:

– Widzisz... – szukał odpowiednich słów. – Sprawa wygląda tak, że być może twój szef będzie mógł przeprowadzić bardzo poważne śledztwo. A obaj wiemy, jak cholernie chciałby kiedyś zostać burmistrzem. Właśnie ty możesz stać się facetem, który poda mu taką okazję na srebrnej tacy.

– Zanim wy cokolwiek opublikujecie?

– Dogadamy się. Twój ukochany zwierzchnik oficjalnie zajmie się sprawą w dniu, w którym my wydrukujemy szczegóły. A jeśli ty nam pomożesz, nadamy na początek coś, czego jeszcze sami nie wykorzystamy.

Jerry wyraźnie zastanawiał się chwilę, potem powiedział:

– Umowa stoi. Doskonale. Rozumiem. Ale i ciebie będzie to kosztowało. – Uśmiechnął się obleśnie, a potem zaśmiewał się serdecznie, widząc przerażenie na twarzy Burke'a. – Spokojnie. Nie zamierzam naruszać twojego homoseksualnego dziewictwa. – Mrugnął i dokończył: – Poprzestanę na dobrym obiedzie w jakiejś bardzo drogiej i wytwornej restauracji.

– No to dogadaliśmy się. – Burke odetchnął z ulgą.

Jerry również sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Spotkamy się u ciebie w redakcji w poniedziałek popołudniem. Będę miał informacje. – Uniósł brwi. – Szpitale, mówisz? Czy opowiadałem ci kiedyś, że myślałem przed laty o tym, by zostać pielęgniarzem? – Obliznął wargi. – Boże drogi, pomyśl o tych wszystkich młodych studentach medycyny, ślicznych chłopcach wałęsających się po korytarzach szpitalnych ze stetoskopami na szyi. To zbyt podniecające, by opisać słowami.

Burke spędził całe popołudnie na pisaniu pierwszego odcinka opowieści, której Twist nadał tytuł „Tragedia małego chłopca”. Ten człowiek prawie wszystko obdarzał przymiotnikiem „mały”. Jennifer Wells to dla niego „mała pielęgniarka”, Roberto „mały chłopiec”, matka Roberta to *mamacita*, czyli „mała mama”. Burke nie wiedział, czy takie przyzwyczajenie wynikało z faktu, że sam Lenny był mizernej postawy, czy z wyolbrzymionego poczucia własnej wartości albo też z lekceważenia prawie wszystkich i wszystkiego, z czym się stykał. Bez względu na przyczynę, taki sposób bycia denerwował Burke’a i stawał się dla niego uciążliwy. Billy starał się jednak kontrolować, by nie popaść w poważne kłopoty.

Pierwszy artykuł miał być przeznaczony do niedzielnego wydania. Zdecydował o tym Twist, dodając, że lektura musi chwytać za serce i spowodować, że czytelnicy sami sięgną do portfeli, zanim ktokolwiek ich o to poprosi.

Burke zawzięcie pracował nad materiałem. Chciał, by tekst różnił się od dotychczasowych reportaży. Nie zamierzał olśniewać odbiorców melodramatycznym opisem niedoli Roberta. Pragnął dać czytelnikowi prostą, jasną, nieegzaltowaną opowieść o chorobie chłopca, który miał pięć lat, uwielbiał baseball i powinien z innymi dziećmi bawić się w przedszkolu, który mógłby żyć normalnym życiem, gdyby ciężko pracująca matka zdołała zarobić dość pieniędzy, by zażegnać wiszące nad nim niebezpieczeństwo. To oczywiście była sama esencja, delikatna prośba o pomoc. Kolejny materiał ukazałby się w połowie tygodnia, by przypomnieć czytelnikom „Globe” o sprawie. W tym artykule Burke postanowił opisać zafascynowanie Roberta baseballlem. Nowojorczyki byli fanatykami tego sportu i uwielbiali opowieści o czołowych zawodnikach, szczególnie jeśli ci utrzymywali kontakty z chorymi dziećmi. Do legendy wręcz przeszli popularni sportowcy, przed laty opiekujący się pewnym umierającym chłopcem. Burke tę słabość postanowił wykorzystać bez najmniejszej żenady. Zmobilizował szefa redakcji sportowej „Globe”, Stanę Evansa, do nakłonienia gracza drużyny Yankees, Roberta Ramireza, by przed meczem złożył wizytę choremu dziecku. Zadanie okazało się łatwe. Ramirez został niedawno zatrzymany przez policję po jakiejś awanturze w nocnym lokalu o nie najlepszej reputacji. Został za to ukarany przez klub i pod znakiem zapytania stanęły

negocjacje i podpisanie z Yankees kontraktu na przyszły rok. Tak więc Ramirez szczególnie teraz potrzebował dobrej prasy, a propozycja Evansa była nie do odrzucenia. Tak w każdym razie uznał agent gra; cza. Evans opowiadał potem Burke'owi:

– Uświadomiłem facetowi, że jego podopieczny powinien odwiedzić chłopca i zachowywać się jak święty Franciszek z Asyżu. Jeśli odmówi, niech zapomni o tym, że „Globe” napisze o nim cokolwiek dobrego. Z łatwością się domyślisz, jaką dostałem odpowiedź od agenta.

Okolo trzeciej Burke zakończył pracę nad tekstem i poszedł pokazać go Twistowi. Po uzyskaniu od naczelnego błogosławieństwa, dopilnował, by materiału nie przetrzymano w sekretariacie. Piętnaście po trzeciej dotarł do pokoju reporterów sportowych, gdzie natrafił na Roberta Ramireza. Gracz siedział rozparty w fotelu i grzebieniem czesał swoją bujną fryzurę, która zapewne sprawiała mu kłopoty podczas nasadzania kasku, jaki nosili gracze na boisku. Obok gwiazdy baseballu stał mężczyzna w jasnej, błyszczącej koszuli i żółtym krawacie. Stan Evans przedstawił Jacka Freemana, agenta Ramireza.

Ramirez mierzył nie więcej jak metr sześćdziesiąt pięć. Był jednak dobrze zbudowanym i umięśnionym facetem, o twarzy rozpieszczonego, niegrzecznego chłopaka. Miał na sobie obcisłe spodnie, kwiecistą koszulę rozpiętą na piersi, co pozwalało podziwiać ciężki, złoty łańcuch wiszący na szyi. Burke od razu poczuł dziwną niechęć do sportowca.

Freeman przedstawił Ramireza i głośno westchnął, gdy ten nawet nie spojrzał w kierunku dziennikarza. Szef działu sportowego zza biurka obserwował całą scenę. Potrząsnął głową i zajął się jakąś rozmową przez telefon.

– Jak długo to potrwa? – zapytał wreszcie Ramirez z bardzo wyraźnym akcentem hiszpańskim. Nadal ignorował Burke'a, przypatrując się z zainteresowaniem własnym paznokciom. – Jeszcze przed meczem chciałbym zjeść kolację – dodał po chwili.

Burke stanął przed rozpartym w fotelu gwiazdorem, pochylił się tak, że jego twarz znajdowała się tuż przed twarzą sportowca, i akcentując każde słowo, powiedział:

– Na dole stoi samochód z kierowcą. Przed mieszkaniem chłopca czeka na nas redakcyjny fotoreporter. Droga zabierze nam około dwudziestu minut. Moment odczekał, jakby dawał Ramirezowi czas na przetrwanie informacji. Całość potrwa tyle, ile trzeba. – Ponownie chwila przerwy. – A jeśli chłopak nie będzie uśmiechnięty i zadowolony, ty też nie będziesz zadowolony z tego, co przeczytasz o sobie w gazecie. Rozumiesz, Robercie? – Ostatnie słowa zaakcentował tak, aby zasygnalizować swoje niezadowolenie.

Ramirez po raz pierwszy popatrzył na reportera.

– Chcesz mnie nastraszyć?

Burke wyprostował się i z góry patrzył na siedzącego.

– Tak, właśnie tak.

Ramirez powoli, jakby z ociąganiem podniósł się z fotela. W jego ociężałych ruchach kryła się wyraźna groźba. Stał teraz tuż przed Burke'em, a złowieszcza poza zaczęła się ulatniać. Sportowiec pojął, że jest ponad głowę niższy i znacznie szczuplejszy od przeciwnika, który, sądząc po spojrzeniu, nie zawaha się przed wykorzystaniem swojej przewagi.

Agent podszedł do swojego klienta i położył mu rękę na ramieniu. Powiedział przy tym cicho, ale stanowczo:

– Opanuj się. Bez głupstw, dobra?

– Doradź swemu chłopcu, by zachowywał się kulturalnie – rzucił Burke. Samochód czeka przed wejściem. Idzicie czy nie. Wybierajcie. – Wyrzuciwszy to z siebie, Burke odwrócił się i wyszedł z pokoju. Skierował się prosto do windy.

Burke usiadł koło kierowcy, pozostawiając tylne siedzenie dla Ramireza i agenta. W drodze Freeman wychwalał talenty swego klienta i zapewniał, że będzie on czołową gwiazdą zbliżającej się rundy rozgrywek. Skarżył się też na prasę, która stale czepiała się Ramireza. Sportowiec przez cały czas milczał, wyglądał przez okno i robił wrażenie absolutnie znudzonego.

Gdy przejeżdżali mostem Brooklyńskim, Burke odwrócił się i zaczął ich przygotowywać do spotkania z Robertem. Zaczął od tego, co sam napisał we wstępie do relacji na temat „małego chłopca”.

– Bobby Avalon to bardzo chory dzieciak. Niewiele maluchów ma tak poważne kłopoty ze zdrowiem. – Popatrzył na Ramireza, który nie odrywał oczu od okna i nadal sprawiał wrażenie krańcowo znudzonego. Jego agent, Jack Freeman, słuchał natomiast uważnie i kiwał głową na znak, że doskonale wszystko rozumie. – Chłopak urodził się z wadą serca – kontynuował Burke. – Jego stan ulega pogorszeniu. Przypuszcza się, że nie pozostało mu wiele życia.

Ramirez ciągle patrzył przez szybę, a Freeman nieustannie potakiwał. Burke czuł się coraz bardziej rozdrażniony, ale ciągnął dalej:

– Matka tego pięciolatka szyje odzież w zakładzie konfekcyjnym, ale zarabia niewiele. Pracuje nielegalnie, nie ma ubezpieczenia. Ojciec uciekł od nich i nie wiadomo, gdzie obecnie się znajduje. Był jednak narkomanem, więc nie ulega wątpliwości, że on chłopcu nie pomoże, nawet gdybyśmy go odnaleźli.

– Małym opiekuje się babcia, kiedy matka wychodzi do pracy.

– Chłopak jest wielkim zwolennikiem Roberta, prawda? – zapytał Jack Freeman. Agent ustawicznie i przy każdej okazji zabiegał o interesy swojego klienta.

– Tak, uwielbia Ramireza. Głównie dlatego, że facet gra w Yankees, a to ukochana drużyna dzieciaka. Oczywiście, liczy się również to, że obaj noszą takie samo imię.

To ostatnie stwierdzenie wyrwało sportowca ze stanu ośpienia. Odwrócił wreszcie głowę i zapytał:

– Chłopak lubi mnie, ponieważ nosimy takie samo imię? – Z tonu zapytania można było wywnioskować, że gwiazdor nie jest w stanie w to uwierzyć.

– On skończył dopiero pięć lat – wyjaśnił Burke. – Ogromnie mu imponuje, że wielka sława baseballu też ma na imię Roberto.

– O rany! – Ramirez wydawał się uradowany i pokazując palcem sam na siebie, rzucił: – Powiedz małemu, że ja też jestem Bobby.

Burke rzucił okiem na kierowcę, który dla odmiany nosił imię Eddie. Był to wielki, czarny młodzieniec, najwyżej dwudziestoletni, który musiał rzucić naukę, by pomagać matce i młodszemu bratu. Jedyna różnica pomiędzy nim a Ramirezem polegała na tym, że Eddie nie potrafił tak daleko wybijać piłki.

Prowadząc samochód, Eddie wyraźnie słuchał rozmowy i potrząsał głową. Burke w odpowiedzi Ramirezowi warknął:

– Dobrze.

– Co właściwie trzeba, by ratować chłopca? – Zainteresował się Freeman. – Myślę, że pieniędzy.

– On musi mieć operację na otwartym sercu – wytłumaczył Burke. – To jego jedyna szansa. Trzeba opłacić lekarzy, szpital, opiekę pooperacyjną i lekarstwa. Razem może dojść do dziewięćdziesięciu kawałków. Chirurdzy i szpital domagają się na wstępie osiemdziesięciu procent należnego. Dopiero jak dostaną forszę, zaczną ostrzyć noże.

Freeman aż zagwizdał. Ramirez milczał.

– Mamy nadzieję, że zbierzemy te pieniądze od czytelników – dodał Burke. – Oczywiście wy, panowie, też możecie wypisać czek.

– Hej, a dlaczego twoja gazeta nie zapłaci rachunku? – wtrącił się nagle Ramirez.

Burke odwrócił się w kierunku sportowca i uśmiechając się odpowiedział:

– Ponieważ gazetę prowadzą biznesmeni, którzy uważają, że ich rola ogranicza się do zarabiania forsy. W tej pracy nikogo nie obchodzą małe, umierające dzieciaki.

Ramirez chrząknął.

– Człowieku, my również jesteśmy biznesmenami. Też mamy swoje interesy i wydatki.

Freeman pochylił się do przodu i powiedział:

– Pan będzie łaskaw nie cytować Roberta. Jakaś rozsądna dotacja na pewno wchodzi w grę.

Ramirez natychmiast zareagował ze złością:

– Rozumiem, że mówisz w swoim imieniu. Dostajesz dziesięć procent od każdej zarobionej przeze mnie sumy. Jak chcesz wypisywać czek, wypisuj. Nawet zaraz.

Freeman nie wytrzymał i wybuchnął:

– Rozumiem, że rozmawiamy całkowicie prywatnie. Jeszcze nawet nie widziałeś chłopaka.

Burke ponownie się uśmiechnął i odwracając się do kierowcy, dodał:

– Róbcie, jak chcecie. Każdy decyduje za siebie, prawda, Eddie?

– Jasne – przytaknął młodzieniec za kierownicą. – Ja ciągle się martwię o portfel mamy.

Stanęli za niebieskim plymouthem, który na drzwiach miał wielki napis „Globe”. Z wozu wygramolił się Jimmy Cogan, jeden z najlepszych fotoreporterów gazety. Obszedł samochód i otworzył bagażnik. Jimmy był wysokim, szczupłym chłopakiem o stale uśmiechniętej twarzy. Na piersi i na ramieniu miał dwie kamery nikon i kilka obiektywów. Burke opuścił szybę, a Cogan zajrzał do wnętrza wozu.

– Roberto wcale nie wygląda na przejętego tą wizytą.

Ramirez zignorował uwagę, natomiast z zainteresowaniem przyglądał się budynkowi, przed jakim stanęli.

– To tu idziemy? – zapytał. – Straszliwa rudera. Będziemy mieli wielkie szczęście, jeśli nas nikt nie zaatakuje. Dlaczego nie zamówiliście ochrony policji?

– Następnym razem zawieziemy cię na Park Avenue – burknął Billy, po czym zwrócił się do Freemana. – Pilnuj go. Opiszę dokładnie i prawdziwie, jak odnosił się do małego.

– Nie martw się. Roberto ubóstwia dzieci. – Usiłował zrobić sympatyczną i przyjacielską minę. – Jakie są szanse chłopca?

– Podobno niewielkie – odpowiedział głośno Burke. – Z całą pewnością niewielkie.

Burke wysiadł, a Freeman coś nerwowo szeptał do ucha swemu klientowi.

Cogan wydawał się ubawiony rozdrażnieniem Burke’a, powiedział bowiem:

– A ty czego oczekiwałeś? Pojawienia się Alberta Schweitzera? Gdyby facet nie potrafił grać w piłkę, pracowałby w myjni samochodów. – Pochylił się do okna samochodu i krzyknął do wnętrza: – Hej, Eddie, uważaj na mój samochód. Jak obrabują Ramireza, mogą się dostać do kamer.

– Bez obaw – odkrzyknął Eddie. – Będą tak obładowani złotymi łańcuchami, że już niczego innego nie udźwigną.

Gdy drzwi od mieszkania otwarto, oczy Roberta Avalona zrobiły się okrągłe jak spodki. Stał schowany za babkę, wychylając jedynie główkę spoza jej spódnicy. Burke rano zadzwonił do Marii Avalon i poinformował, że po południu Ramirez odwiedzi Roberta, a Maria niewątpliwie powiedziała o tym chłopcu. Chłopczyk spodziewał się więc wizyty i sprawiał teraz wrażenie dziecka, które po raz pierwszy patrzy na Świętego Mikołaja.

Jako pierwsi próg przestąpili Burke i Cogan. Za nimi szedł nadęty Ramirez, a pochód zamykał Freeman, odgrywający rolę sekretarza grzecznie podążającego za szefem. Burke nie mógł się oprzeć myśli, że zaledwie przed pięciu laty, kiedy Ramirez rozpoczynał zawodniczą karierę, taki Freeman najprawdopodobniej nie przyjmowałby telefonów nie znanego nikomu sportowca.

Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, w Ramirezie zaszła nieoczekiwana przemiana. Przykucnął przed chłopcem tak, że ich twarze znajdowały się na tej samej wysokości, i powiedział:

– Cześć, chłopie. Wiesz, kim jestem?

Oczy dziecka błyszczały, a rozpromieniona twarzyczka świadczyła, że był wniebowzięty.

– Roberto Ramirez. Ty grasz dla Yankees. Masz tak samo na imię jak ja.

Sportowiec rzucił krótkie spojrzenie w kierunku Burke'a.

– Tak, to prawda – przytaknął. – I założyłbym się, że i ty kiedyś będziesz grać w naszej drużynie. – Nie odwracając oczu od chłopca, wyciągnął rękę do tyłu, a Freeman natychmiast podał mu wielki, błyszczący afisz. Ramirez rozwinął plakat ze swoją podobizną. Sportowiec stał z gotowym do uderzenia kijem baseballowym. Ramirez wręczył dziecku zdjęcie, a Burke zauważył u dołu autograf z napisem „Dla Roberta od Roberta. Wyzdrowiej. Jesteś potrzebny Yankees”.

Gwiazdor odczytał dedykację na głos, a twarz małego pojaśniała jeszcze bardziej. Ramirez wziął Roberta na rękę, zaniósł na kanapę i posadził obok siebie.

Burke nie mógł wyjść z podziwu. Baseballista był teraz serdeczny, odprężony, bezpośredni. Puste, znudzone spojrzenie stało się wesołe, żywo reagujące na każde słowo malca. Przeszli na hiszpański i rozmawiali jak starzy przyjaciele. Na wszystko, co mówił zawodnik, chłopak reagował wybuchami radości i podekscytowania.

Cogan pstrykał zdjęcie po zdjęciu, a Burke odciągnął Freemana na bok i szepnął mu do ucha, że jego klient okazał się niezłym aktorem.

– To bardzo skomplikowana osobowość – odparł agent, najwyraźniej występując w obronie podopiecznego.

Burke wzruszył ramionami. Może należało przyznać rację Freemanowi, a może rzeczywiście Ramirez posiada talent aktorski i kiedyś rozpocznie karierę w Hollywood, zbijając jeszcze większy majątek?

Maria Avalon zasapana wpadła do domu kilka minut przed piątą. Z pracy pozwolono jej wyjść wcześniej, a od metra po prostu cały czas biegła. Ramirez siedział na kanapie, trzymając na kolanach Roberta. Obok zawodnika miejsce zajęła babka. Za plecami sportowca stał Freeman, a Jimmy Cogan krążył i robił mnóstwo zdjęć.

Na widok Marii Ramirez wstał, nie puszczając małego z objęć. Nadal zachowywał się szarmancko, a jego serdeczność wywarła na Marii ogromne wrażenie. Babka siedziała, uśmiechając się, wyraźnie uszczęśliwiona. Stół zastawiony przekąskami, sałatkami i napojami przysunięto do kanapy. Z tego, co na stole, najchętniej korzystał krążący po pokoju Cogan.

Maria, bardzo przejęta całą sytuacją, dziękowała Ramirezowi. Opowiadała, jak bardzo jej syn go podziwiał, jak zawsze w gazecie szukał jego zdjęć.

Chłopak pokazywał mamie fotografię z autografem, a plakat trzymał tak, jakby to była najświętsza relikwia. Od momentu, w którym dostał ten prezent, nie wypuszczał go z ręki.

W chwilę potem Maria podeszła do Burke'a i uściśnięła mu dłoń.

– Dziękuję, Billy. – W oczach błyszczały jej łzy szczęścia. Burke pojął, że wszystko, co robili dla chłopca, ona przyjmowała jako błogosławieństwo niebios. To, co jego cieszyło, jej sprawiało radość trudną do opisanie.

– Pan Ramirez sam chciał tu wpaść i spotkać się z Robertem skłamał gładko. – Uważa, że to bardzo wyjątkowe dziecko.

Wyciągnął rękę i pogłaskał malca po głowie, a Roberto zeskoczył nagle z kolan Ramireza i mocno objął dziennikarza. Burke podniósł chłopca i przytulił do piersi. Wydało mu się, że czuje bicie małego, schorowanego serduszka. Billy'ego niespodziewanie ogarnęła fala radości, a jednocześnie wzruszenia. Zdał sobie sprawę, że podobne szczęście przeżywał wtedy, gdy tuliła się do niego Annie. Z tym jednak, że tamte chwile minęły dawno i niestety nie powracały.

Rozdział dziewiąty

Telefon zbudził Burke'a o siódmej.

– Poznajesz mnie? – odezwał się ktoś męskim, głębokim głosem, niemal drżącym z podniecenia.

– Co? – zapytał Billy, jeszcze niezbyt przytomny.

– W słuchawce rozległ się chichot:

– Obudź się i powiedz, czy poznajesz mnie po głosie.

Burke zaczął powoli rozumieć, o co chodzi. Potrząsnął głową, by spędzić resztki snu. Kto to dzwoni? Ach tak, Dezi. Grant Desvernine.

– Już poznaję – rzekł w końcu.

– Dobrze. Nazwisk nie wymieniamy. Wy, reporterzy, lubicie nagrywać rozmowy telefoniczne.

– Ja nie nagrywam. Teraz nie nagrywam – zapewnił Burke.

– Bez nazwisk – powtórzył mężczyzna. – Rozumiesz?

– W porządku. Zgoda.

– To słuchaj. Wczoraj wieczorem mieliśmy porwanie. I to niebagatelne.

– Uprowadzono jednego z chłopców Edwina Kaufmana. Wiesz, o kim mowa?

Burke usiadł na łóżku. Czuł się tak, jakby ktoś poraził go prądem. Edwin Kaufman był założycielem i szefem sieci tanich domów towarowych CENTO, działających w całych Stanach Zjednoczonych. Kaufman, wielka postać w świecie biznesu i gruba ryba w środowisku amerykańskiej społeczności żydowskiej, uchodził za człowieka zaprzyjaźnionego z dwoma ostatnimi premierami Izraela i za nieoficjalnego doradcę obecnego lokatora Białego Domu w Waszyngtonie. Od dłuższego czasu krążyła plotka, że rozważana jest kandydatura Kaufmana na ambasadora. Chodziły też słuchy, że sam Edwin odrzucał wszelkie propozycje.

Burke sięgnął po długopis i notes, jakie leżały na stoliku obok łóżka.

– Którego syna porwano? – zapytał. – O ile pamiętam, Kaufman doczekał się trzech męskich potomków.

– I jednej córki dodał Dezi. – Uprowadzono Arthura. Tego dwudziestodwulatka. Właśnie ukończył studia na Uniwersytecie Nowojorskim. Domagają się dwóch milionów w gotówce.

– Kiedy chłopak zniknął?

– Wczoraj, późnym wieczorem. Twój kumpel z prasy mogą już coś wiedzieć. Są bardzo podekscytowani. – Ze słuchawki popłynął złośliwy chichot. Tym razem te sępy

z prasy czeka jednak niemiła niespodzianka.

– Jaka?

– Wygląda na to, że nasz ukochany wódz przygotował małą pułapkę, by trzymać pismaków z daleka od całej sprawy. Plan zakłada, że pokręcicie się w pogoni za własnym ogonem do chwili, kiedy szefuńcio będzie gotowy, aby wyjść na scenę i osobiście o wszystkim poinformować publiczność.

W tym momencie Burke zrozumiał motywy, jakimi kierował się Dezi, telefonując do niego. Grantowi chodziło o coś znacznie ważniejszego niż przekazanie informacji na temat wydarzenia ogromnej dla dziennikarza wagi. Desvernine i Burke od lat byli przyjaciółmi. Poznali się jeszcze w czasach, gdy Grant zajmował stanowisko szefa sekcji zorganizowanej przestępczości w nowojorskim biurze FBI. Nawet dość ściśle ze sobą współpracowali. Burke, na wyraźną prośbę Deziego, zamieszczał w gazecie artykuły na temat pięciu rodzin mafijnych działających w Nowym Jorku. Teksty były różnego rodzaju: od opisów wojen toczonych pomiędzy danymi rodzinami, po relacje z rozrób wynikających z nieporozumień wewnątrz poszczególnych gangów. Każda podana publicznie wiadomość zawierała ziarno prawdy, gdyż krwawych rozrachunków w świecie przestępczym wcale nie brakowało. W materiałach znajdowała się jednak także spora porcja zmyśleń i kłamstw, obliczonych na sianie zamętu i niepewności, szczególnie w kręgach prostych „żołnierzy” rodzin mafijnych. Prasa bardzo ceniła mafijne opowieści, a jednocześnie doskonale służyły one celom Desvernine’a. Wprowadzały zamieszanie w szeregach mafii. Członkowie przestępczych organizacji czuli się niepewnie, a nawet zaczęli drżeć o własne życie. A ponieważ z reguły chodziło o ludzi skorumpowanych, niektórzy z nich z własnej woli łądownali wreszcie w biurze Desvernine’a i godzili się na odgrywanie roli informatorów.

Tak to wyglądało do czasu, kiedy stanowisko szefa biura FBI w Nowym Jorku objął jeden z asystentów zastępcy dyrektora FBI, John Patrick Henry.

Henry uważał się za gorącego patriotę. Jego biblią była konstytucja Stanów Zjednoczonych, z wyjątkiem poprawek Pierwszej i Piątej, gwarantujących wolność słowa i to, że nikt nie będzie zmuszany do składania zeznań przeciwko sobie samemu. Obie te poprawki Henry uważał za poważny błąd popełniony przez twórców państwa i prawa. W szczególności gardził on prasą. Obejmując nowojorskie biuro, zakazał więc swoim podwładnym wszelkich kontaktów z dziennikarzami, chyba że wyjątkowo osobiście wydał zezwolenie. Dezi nie zignorował ustalenia, za co słono zapłacił. Henry dobrał mu się do skóry, tylko doskonała opinia i lata pracy spowodowały, że Dezi nie został przeniesiony na prowincję. Henry jednak znalazł sposób, by się na nim odegrać. Odsunął go od pracy operacyjnej i awansował, kierując jednocześnie na stanowisko czysto

administracyjne. Desvernine, chcąc nie chcąc, stał się typowym urzędasem. Takie telefony, jak ten właśnie, były formą zemsty Deziego na szefie, którego nienawidził.

– Co więc twój wódz wymyślił? – zapytał Burke.

– Kaufman ma trzy apartamenty w różnych częściach miasta. Dwa wykorzystywane są jako miejsca spotkań i załatwiania interesów, a jeden, bardzo luksusowy przy Park Avenue, róg Siedemdziesiątej Ósmej, to mieszkanie.

– I tam jest teraz Kaufman?

A właśnie... posłuchaj. Taka informacja na polecenie naszego ukochanego szefa wypłynęła z biura Kaufmana. Henry wie doskonale, że wiadomość rozejdzie się w kręgach prasowych, a reporterzy i fotoreporterzy zlecą się do apartamentu przy Park Avenue jak muchy do gówna. I o to chodzi. Kaufman tymczasem w rzeczywistości przyjedzie do mieszkania u zbiegu Piątej Alei i Siedemdziesiątej Czwartej. Tam, w towarzystwie Henry'ego oraz innych agentów będzie czekać na instrukcje porywaczy. W tym czasie Biuro zrobi całe przedstawienie przy Park Avenue. Przed domem zaparkuje się szereg samochodów FBI. Agenci zablokują wejście do budynku. Kiedy już sprawa przekazania okupu zostanie załatwiona, oczekujących facetów powiadomi się, że wszystko rozegra się gdzieś pod miastem, powiedzmy w New Jersey albo w Connecticut.

Gdzieś daleko i na pewno w przeciwnym kierunku do tego właściwego.

– A okup wyjedzie oczywiście z Piątej Alei?

– Zgadłeś.

– Czy jeszcze ktoś o tym wie? – zapytał Burke.

– Tylko ty – zapewnił Dezi. – Znasz mnie przecież, kolego.

Zanim Burke zdążył otworzyć usta, zaprzyjaźniony funkcjonariusz FBI odłożył słuchawkę.

Burke zatelefonował do „Globe” i poprosił o połączenie z Twistem.

– Wpadł tylko na pół godziny – informował dyżurny. – Mamy tu niezłą sensację. Połowa reporterów jest w drodze do redakcji. Kogoś porwano. Dzwoniłem do ciebie, ale linia była zajęta.

– Daj mi Twista. Wiem coś o tym wydarzeniu.

W chwilę potem w słuchawce odezwał się wyraźnie zniecierpliwiony głos Twista:

– O co chodzi?

– Zadzwoił do mnie mój człowiek z FBI – zaczął Burke. Potem powiedział o planie Henry'ego.

Twist chrząknął, potem przez chwilę panowało milczenie. Lenny się zastanawiał. Wiedział, że Burke ma doskonale i wiarygodne informacje z nowojorskiego biura FBI.

Nie wiedział, kto jest informatorem, bo Burke zawsze odmawiał ujawnienia nazwiska gościa, ale z doświadczenia Twist wiedział, że z tego źródła otrzymywało się informacje na wagę złota.

– Doskonale – odezwał się wreszcie. – Zrobimy tak: pojedziesz we wskazane miejsce. Tam będzie już na ciebie czekał fotoreporter. Upewnisz się, że w apartamencie są Kaufman i Henry. Wtedy prześlesz do Henry'ego informację. Powiesz mu, że chcemy wyłącznego prawa do zdjęć, jak Kaufman czeka na telefon porywaczy. Na fotografii powinien być Henry i inni ludzie z FBI, którzy przebywają w mieszkaniu. My z naszej strony obiecujemy, że niczego nie opublikujemy do momentu zwolnienia chłopaka. Jeśli się zgodzi, zachowamy milczenie, a nawet weźmiemy udział w tej jego zabawie przy Park Avenue. Daj jednak wyraźnie do zrozumienia: jak się będzie stawiał, ściągniemy mu na głowę wszystkich dziennikarzy z całej metropolii.

Burke pomyślał o porwanym chłopcu i jego rodzinie. Poczul się wobec nich winny za grę, w jakiej zamierzał uczestniczyć. Równocześnie podziwiał Twista i styl, w jakim naczelny rozgrywał tę sprawę. Doskonała zagrywka z punktu widzenia interesów gazety. Lenny nie domagał się prawa do wywiadu. Kaufman byłby głupcem, gdyby właśnie w takiej chwili zgadzał się na wywiady.

A Henry, niezależnie od swojego negatywnego stosunku do prasy, też by się na coś takiego nigdy nie zgodził. W każdym innym wypadku mógłby się pożegnać z karierą w FBI. Twist nie domagał się również prawa do informacji o aresztowaniu podejrzanych, czego prawdopodobnie żądaliby mniej doświadczeni naczelni. Nawet gdyby im taką wyłączność obiecano, wątpliwe, by dotrzymano słowa. Istniało ogromne niebezpieczeństwo przecieku, chociażby w dyrekcji policji, a inne tytuły rzuciłyby się wściekle na Henry'ego, gdyby się rozeszło, że zagwarantował informację tylko jednej gazecie.

Twist chciał czegoś, co Henry mógł z łatwością obiecać i wypełnić, a swoje postępowanie tłumaczyć potem jako konieczność. Po wszystkim Henry oskarżałby oczywiście „Globe” o stworzenie sytuacji zagrażającej życiu porwanego w wyniku ingerencji w przebieg akcji ratunkowej. Oczerniałby, wyklinał, ale to wszystko nie wychodziłoby poza cztery ściany jego biura. Natomiast „Globe” stałby się właścicielem fotografii na wagę złota. Tylko poprzez „Globe” zdjęcia dotarłyby do całej liczącej się prasy świata. A on, Lenny Twist, zostałby bohaterem dnia, głównie dla tych, którzy decydują o jego dziennikarskiej karierze.

– Czy nie za wiele nacisków na rodzinę Kaufmana? – zapytał Burke. – Nie są w łatwej sytuacji – powiedział to raczej dlatego, by uspokoić sam siebie niż w nadziei, że naczelny zmieni zdanie.

– Edwin Kaufman jest silnym facetem. – Natychmiast zareagował Twist. Da sobie radę. A Henry to ciul, któremu należy się nauuczka. Coś ci się w tym planie nie podoba?

– Ależ skąd – odparł nieco ironicznie Burke.

– To dobrze. A więc zasuwaj. I bądź z nami w kontakcie. Chcę wiedzieć absolutnie o wszystkim.

Gdy Burke przybył na miejsce, przed budynkiem przy Piątej Alei czekał już Jimmy Cogan. Kamery i obiektywy, zazwyczaj zwisające mu na brzuchu, tym razem były starannie schowane. Najwyraźniej uprzedzono fotoreportera, że ma nie zwracać na siebie uwagi.

– Cześć. Zaczynamy się coraz częściej spotykać. Będą plotki na nasz temat.

– Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele – odburknął Burke. – Jak na mój gust jesteś za chudy. Wolę chłopców pulchnych.

Mylisz się. Znawczy mówią, że im mięso bardziej przy kości, tym smaczniejsze. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu i głową wskazał na budynek, przed którym stali. – Co tu mamy? Wezwali mnie przez radio i niczego nie chcieli powiedzieć. Przekazali, by do nich w ogóle nie wydzwaniać. Co się dzieje?

Burke w kilku zdaniach wyjaśnił sytuację.

– No widzisz, dobrze zgadywałem. Tam są już federalni – ucieszył się Cogan. – Zajrzałem do środka i zobaczyłem dwóch facetów odpalantowanych w służbowe garniturki. Stoją najwyraźniej na warcie, jak dwa żołnierzyki.

– Czy mają te dziwaczne buty?

– Oczywiście!

Burke odetchnął.

Dezi jak zawsze poinformował dokładnie, a Twist ponownie wyjdzie na bohatera. Burke popatrzył w głąb korytarza.

– Idziemy pogadać. Już czas, żeby zepsuć humor Johnowi Patrickowi Henry’emu.

Burke i Cogan weszli do holu i ruszyli w kierunku agentów. Regulamin nie pozwalał funkcjonariuszom FBI ujawniać się, chyba że byłoby to niezbędne dla dalszego przebiegu operacji. W każdym innym wypadku mieli się wtapiać w otoczenie i unikać sytuacji, w których ktoś mógłby ich zdekonspirować. Burke patrzył na agentów. Byli to chłopcy w połowie czwartej dekady życia, starannie ogoleni, wystrzyżeni, w garniturach i krawatach. Burke z trudnością opanował uśmiech. Dwaj tajniacy robili wrażenie facetów idących w niedzielę do kościoła. Na dodatek marynarka każdego z nich miała wyrzuszenie pod ramieniem po lewej stronie. Obaj nosili identycznie skrojone garnitury, takie same buty.

W ten sposób ubierali się wszyscy agenci, a wynikało to stąd, że jeszcze stary J. Edgar Hoover zawarł umowę z pewną firmą w Bostonie, która ubierała pracowników FBI. Reporterzy więc bez trudu identyfikowali federalnych, jeśli ci na dodatek ukrywali pod marynarką broń.

Gdy podeszli do agentów, Burke powiedział:

– Chłopcy, chciałem prosić, byście przekazali panu Henry’emu pewną informację.

Obaj tajniacy jakby zeszywnieli, wymienili szybkie spojrzenia, a jeden z nich odpowiedział:

!– Nie mam pojęcia, o kim mówisz, kolego.

Burke wzruszył ramionami.

– W porządku. Pomyliłem się. Wydawało mi się, że pilnujecie wstępu do apartamentu. My tam właśnie idziemy. Wyjmuj aparaty fotograficzne, Jimmy zwrócił się do fotoreportera.

Chcieli przejść, ale agenci zastąpili drogę. Obaj byli wzrostu Burke’a i wyglądali na takich, co mogli z powodzeniem wyrzucić intruzów na ulicę.

– Tam nie ma wstępu – powiedział jeden z agentów.

Burke zrobił proszącą minę, przy czym wyjął legitymację reporterską:

– Jak chcecie, bawimy się w ciuciubabkę, choć lepiej by było, gdybyście przekazali panu Henry’emu tę informację. Ostrzegamy, że jeśli się sprzeciwicie, za pół godziny przybędzie tu kilkuset dziennikarzy i fotoreporterów, a także telewizja z kamerami. Wasz ukochany szef na pewno wolałby tego uniknąć. – Burke ponownie wzruszył ramionami i dodał: – A teraz róbcie, jak uważacie.

Obaj uzbrojeni mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Co przekazać? – spytał w końcu jeden z tajniaków.

Burke streścił warunki Twista.

– Zaczekajcie – warknął agent, odwrócił się i poszedł do windy. Drugi pozostał na miejscu, blokując drogę reporterom. Milcząc stał nieruchomo.

Minęło jakieś piętnaście minut i pierwszy z agentów ukazał się w rozsuniętych drzwiach windy. Miał najwyraźniej uradowany wyraz twarzy. Burke odebrał to jako zły znak. Uznał, że nie pozostaje mu nic innego jak nadrabiać bezczelnością, wobec czego również wykrzywił twarz w impertynenckim uśmiechu.

Agent zbliżył się i patrząc na notes w ręku Burke’a wyrecytował:

– Pan Henry przypomina, że utrudnianie federalnego śledztwa jest przestępstwem karanym więzieniem. – Zamilkł i oczekiwał reakcji reportera.

– Przekaż, że czuję się pouczony. – Burke przez cały czas uśmiechał się bezczelnie. – Czy jeszcze coś?

– Tak. – Twarz agenta znów rozjaśnił uśmiech pełen satysfakcji. – Pan Henry kazał panu Burke’owi odpieprzyć się i zniknąć.

Billy parsknął śmiechem.

– Powiedz panu Henry’emu, że jego wiadomość przyjąłem i przekażę swojemu naczelnemu. – Odwrócił się i zrobił kilka kroków, ale stanął i rzucił przez ramię: – Dodaj jeszcze, by pan Henry pilnował tyłka, bo może po nim oberwać.

Zabawa właśnie się zaczyna.

Przeszli na drugą stronę Piątej Alei. Gdy dotarli do Central Parku, stanęli, a Burke ręką pokazał na budynek, który właśnie opuścili.

– Ten apartament ma ogromny taras.

– Cogan zaczął się śmiać.

– Czyżbyśmy myśleli o tym samym?

Chyba tak. Zadzwoń zaraz do Twista i uzyskaj zgodę.

– To mi się podoba – stęknął Cogan.

Helikopter leciał niziutko nad Central Parkiem. Burke, siedząc na murze oddzielającym park od chodnika, patrzył w górę i wyraźnie widział Jimmy’ego Cogana, który w zabezpieczających szelkach wychylał się z otwartego wjazdu maszyny i celował obiektywem w kierunku tarasu na pierwszym piętrze budynku.

Helikopter nalatywał dwa razy, zanim został ustawiony tak, jak wymagała tego sytuacja. Maszyna w końcu zawisła w powietrzu i Burke widział dokładnie, jak Cogan robił zdjęcia. Potem helikopter uniósł się i odleciał w stronę lądowiska East Side Heliport.

Burke nie zeskakiwał z muru. Siedział i wpatrywał się w taras. Nie czekał długo na pojawienie się Johna Patricka Henry’ego. Szef FBI spojrział w górę, a potem przechylił się przez balustradę i patrzył na ulicę. Po chwili dostrzegł Burke’a. Reporter pomachał Henry’emu ręką.

Gdy federalny zniknął z pola widzenia, Billy wziął mały radiowy aparacik nadawczy i nastawił na długość fal, na jakiej porozumiewali się pracownicy „Globe”.

– Jimmy, masz, co potrzebujemy? – zapytał.

Po chwili rozległ się głos Cogana, tłumiony nieco przez szum helikoptera:

– Genialnie, Billy, genialnie. Wyszli na taras. Henry, Kaufman i jeszcze jacyś faceci z FBI. Nastawiłem automat i zrobiłem cały film. Sfotografowałem nawet pokój i telefon. Szczęście nam dopisało.

– Faktycznie, Jimmy. Dobra robota. Spotkamy się w redakcji. – Burke zachichotał i dodał: – Albo przyjedziesz z pieniędzmi na kaucję, by mnie wypuścili.

Burke zobaczył Henry'ego wychodzącego z budynku. Za szefem krok w krok maszerowali dwaj agenci.

Przeszli przez jezdnię i skierowali się do Burke'a. Henry był średniego wzrostu, średnio szczupły, o średnio miłej i ładnej twarzy. Taki pan Średni, przyszło Burke'owi do głowy. Z wyglądu wódz przypominał typowego urzędnika.

Teraz twarz miał czerwoną i wykrzywioną ze zdenerwowania, a krawat przekrzywiony. Henry podszedł do Burke'a. Szczęki zacisnął tak mocno, że aż drgały mu mięśnie policzków.

– Ty, właśnie popełniłeś federalne przestępstwo.

Burke rozejrzał się dookoła i zapytał całkiem spokojnie:

– Siedzenie na murze jest przestępstwem? Nie słyszałem, by Kongres podjął taką uchwałę.

Henry zakipiał z wściekłości.

– Przysłałeś tutaj helikopter, bo nie spełniłem twoich żądań. Utrudniłeś FBI śledztwo. A to jest federalne przestępstwo, mój panie.

Burke przymrużył oczy i pochylił głowę.

– Przestań, kochaniutki – rzekł opanowanym głosem. Helikopter był kilkanaście metrów ponad moją głową. Ty znajdowałeś się bliżej niego niż ja.

– A fotograf, z którym przyszedłeś, siedział tam tak sobie, przez przypadek?

Burke ześlizgnął się z muru.

– Być może to rzeczywiście był on. Nie mam jednak pewności. Ja cały czas tkwiłem tutaj. – Schował do kieszeni notes reporterski. – Jeśli chcesz aresztować kogoś z „Globe”, to doradzam, byś zaczynał od osoby, która wydaje fotoreporterom polecenia odnośnie poruszania się helikopterem. Przykro mi, ale reporter, taki jak ja, nie ma wpływu na podobne decyzje. Wzruszył ramionami. Najlepiej skontaktuj się z szefem wydania metropolitalnego albo z naczelnym koncernu prasowego. Tak czy inaczej, musisz iść na samą górę. Uśmiechnął się ironicznie, wiedząc, że to jeszcze bardziej wyprowadzi Henry'ego z równowagi. Uśmiech ten mówił bowiem: „Odpieprz się, ty arogancki cwaniaku”.

– Jeśli jednak zrobisz coś takiego – kontynuował Billy – stary pedał Hoover przekręci się w grobie, a ty ubabrasz w gównie całe swoje Biuro.

Wzmianka o homoseksualście Hooverze spowodowała, że Henry zeszywniał. Należał kiedyś do grona „chłopców Hoovera”, do wąskiego kręgu agentów, którzy robili karierę pod okiem i przy poparciu szefa. Dzięki tej opiece Henry doszedł do stanowiska zastępcy dyrektora. Od Deziego i z innych źródeł Burke słyszał, że właśnie Henry nadzorował prowadzoną przez Hoovera nielegalną akcję podsłuchów telefonicznych,

kontroli korespondencji i szpiegowania osób oraz grup uznanych przez byłego dyrektora za „antyamerykańskie”.

Śmierć Hoovera położyła kres dalszej karierze Henry’ego. Przeniesienie go do Nowego Jorku uznawano za formę degradacji, jeśli nawet nie pod względem pozycji w hierarchii, to w zakresie władzy, jaką dysponował. Szczególnie obecnie, wobec nastrojów, jakie zapanowały w Waszyngtonie po aferze „Watergate”, działalność Henry’ego w minionych latach rzucała na niego cień, a dalsza kariera stawała pod znakiem zapytania.

Szef FBI patrzył na dziennikarza.

– Sądziś, że jesteś taki mądry? Coś ci powiem, Burke. Ja ciebie dopadnę.

Nawet jeśli nie tym razem, to bądź spokojny, że o tobie nie zapomnę. I prędzej czy później skopię ci tyłek. – Robił wrażenie człowieka głęboko przekonanego o prawdziwości swoich słów. – A na dodatek bardzo się mylisz, jeśli masz złudzenia, że kiedykolwiek otrzymasz choćby najmniejszą informację z FBI.

Burke parsknął śmiechem.

– Od czasu kiedy ty wkroczyłeś do Biura w Nowym Jorku, ja od was nigdy niczego nie dostałem. Podobnie zresztą jak moi koledzy z pracy. – Mrugnął i dodał: – W każdym razie nie oficjalnie.

Henry spiorunował Burke’a spojrzeniem i wyrzucił z siebie:

– Kto ci powiedział, że jestem tutaj?

– Ptaszki. Coś tam na ten temat szczebiotały. – Burke zachichotał. – Kochany, czas na mnie. Muszę przygotować w redakcji materiał i opisać zdjęcia.

– Wspomnę też o niedbałym wyglądzie niektórych osób. – Pokazał palcem na przekrzywiony krawat, a Henry szybko poprawił węzeł pod szyją. – Zresztą, mam nadzieję, że na zdjęciu nie wyszedłeś aż tak źle. Teraz wyglądasz nie najlepiej, na pewno nie spodobałbyś się swojemu dyrektorowi Hooverowi.

Po powrocie do redakcji Burke dowiedział się, że Twist był przeszczeniwy i uradowany zdjęciami. Dlatego właśnie Billy’emu powierzył napisanie materiału na temat porwania, a przy okazji artykuł o tym, jak FBI bezskutecznie usiłowało wyprowadzić prasę w pole.

– Dołóż im instruował Twist. – Bądź jednak ostrożny. – Uśmiechnął się złośliwie i w następnym zdaniu dodał: – A, do diabła z ostrożnością. – Machnął lekceważąco ręką. – Napisz, jak się wygłupili, jak część prasy czekała przed mieszkaniem Kaufmana, a my pojechaliśmy tam, gdzie należało... Niech to wylezie na światło dzienne.

Burke kiwnął głową, że rozumie. I jemu to odpowiadało. Już widział oczami duszy,

jak naczelni „Timesa”, „Newsa”, „Posta”, sieci radiowych i telewizyjnych zgrzytali zębami.

– Tak właśnie napiszemy – zapewnił. – A co z pilotem helikoptera?

Twist chrząknął.

– Próbują się do niego dostać. Henry rozmawiał z kontrolą lotów. Domaga się, by zawieszono pilotowi licencję na maksymalny okres, czyli na sześć miesięcy.

– Kto mu to wynagrodzi?

– Zapewniliśmy facetowi wyrównanie pensji na cały okres zawieszenia licencji – zapewnił Twist. – Musiałem to obiecać, by go w ogóle skłonić do startu. – Twist porozumiewawczo mrugnął. – Rozmawialiśmy jednak z przyjaciółmi w Waszyngtonie. Pomogą.

Burke wiedział, że ci „przyjaciele” to ludzie o znacznych wpływach. Zapytał więc:

– Sądziś, że uda się uniknąć kary dla pilota?

– Jestem przekonany, że tak. Najwyżej poprzemy kogoś w wyborach. To wystarczy.

– Twist rzeczywiście był pewny swego.

Burke zaczął zbierać wszystkie informacje. Dostarczali ich reporterzy zajmujący się różnymi aspektami porwania. Burke nie odchodził od telefonu. Ustawicznie napływały nowe wiadomości. Kiedy telefony milczały, Billy przeglądał dokumenty dotyczące Edwina Kaufmana, jego rodziny, a w szczególności syna, który padł ofiarą porwania. Była to ciężka i niełatwa praca – przebijanie się przez akta, wycinki, depesze, a potem odsuwanie tego wszystkiego, by dopisać kolejny akapit artykułu. Na dodatek co chwila pokazywał się Twist lub ktoś inny z kierownictwa redakcji i przez ramię czytał materiał. Jedni chwalili, inni ganili, czasami rzucali sugestie, które raz wydawały się Burke’owi cenne, a raz bezużyteczne.

Przy biurku stojącym obok miejsca pracy Burke’a, przy telefonie siedział Eddie Hartman. On zbierał informacje od policji. Porwanie z reguły wiązało się z przekraczaniem granicy stanów, a więc podpadało pod jurysdykcję FBI. Biuro było o tego rodzaju śledztwa bardzo zazdrosne, ale nigdy nie udawało się całkowicie zrezygnować ze współpracy z policją. Pilnowano więc, by lokalni stróże prawa działali wyłącznie w określonych ramach i nie zbliżali się do samego jądra zagadnienia. Nakazywano też, by policja o sprawie nie rozmawiała z nikim poza agentami FBI. Oczywiście tego rodzaju polecenia nie były przestrzegane, w szczególności kiedy w grę wchodziło wydarzenie tak bardzo interesujące media, jak porwanie syna multimilionera. Policjanci, podzielający niechęć swoich szefów wobec FBI, przekazywali dziennikarzom każdą informację, jaką tylko zdołali uzyskać.

O szóstej piętnaście po południu Eddie Hartman odłożył słuchawkę i zaczął się zaśmiewać.

– Nie uwierzysz – powiedział wreszcie do Burke’a. – Na pewno ci się spodoba, choć to zupełnie niewiarygodne.

– O czym mówisz? – zapytał Burke, nie przestając pisać. Spieszył się, gdyż za piętnaście minut zamykano wydanie nocne, które ukazywało się o północy.

– Poza tym trzeba było przygotować materiał do wydania porannego, kupowanego przez nowojorczyków jadących do pracy.

Hartman przestał chichotać i rzekł już całkiem poważnie:

– Złapali porywaczy.

– Słucham?

– Złapali porywaczy – powtórzył Eddie.

Burke podniósł głowę i krzyknął w kierunku stanowiska sekretariatu:

– Lenny, chodź tu szybko. – Potem odwrócił się do Hartmana. – Mów wszystko od początku.

Eddie uśmiechnął się.

– Przyskrzynili drani. Jednak to jeszcze nic. FBI spieprzyła sprawę z okupem. O czwartej, zgodnie z poleceniem, podrzucili dwa miliony, a porywacze drapnęli wory z forszą i zniknęli.

– Bujasz? – Burke z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

Hartman wypiął pierś, zdając sobie sprawę, jak ważny stał się w tej chwili.

– Federalni mieli obserwować podrzucone pieniądze, jednak niestety nie znają parku w Brooklynie i weszli nie tym wejściem, którym należało. W efekcie spóźnili się dziesięć minut.

– I kiedy przyszli na miejsce... – domyślał się Burke.

– Właśnie. Gdy wreszcie dotarli do celu, pod drzewami już nic nie było.

– Ani śladu po porywaczach i workach. Pustka. Gównno.

Burke z niedowierzaniem kręcąc głową, włożył czystą kartkę papieru w maszynę, by napisać nowy materiał.

– Posłuchaj dalej – kontynuował Hartman. – Dwóch nowojorskich gliniarzy z wydziału narkotyków jechało przez Greenwich Village i na Christopher Street zobaczyli dwóch obdartusów z worami na śmiecie pod pachami. Policjanci nie mieli pojęcia o całej operacji. Wydawało im się, że wpadli na dostawców narkotyków niosących ogromny towar. – Hartman ruchem ręki dał do zrozumienia, co zrobili patrolowcy. – Byli przekonani, że łapią hurtowników i już wyliczali sobie premie dodawane później do emerytury. – Ruszyli za rzekomymi handlarzami i za nimi weszli

do jakiegoś budynku. A kiedy tamci otworzyli drzwi do mieszkania, nasi chłopcy wtargnęli do środka. I kogo tam zobaczyli? Małego Arthura Kaufmana. Siedział sobie na kanapie i popijał piwo.

Był sam?

– Zgadłeś, koleś. Nikt go nie pilnował. Oglądał w telewizji kryminał. Ci dwaj zworkami okazali się narkomanami. Arthur spotkał ich dwa tygodnie wcześniej w barze S&M, gdzie zbierają się pedały.

– Niezła komedia? Chłopak chciał wykiwać tatusia?

– Na to właśnie wygląda. Arthur oczywiście zaprzecza. Twierdzi, że ci dwaj porwali go, kiedy w barze dowiedzieli się, kim jest.

– A jak tłumaczy, że siedział w mieszkaniu sam?

– Podobno był przekonany, że jeden z porywaczy został w przedpokoju i zastrzeliłby go, gdyby chciał uciekać.

– Na którym piętrze jest mieszkanie?

– Na parterze. I ma mnóstwo okien, przez które chłopak mógł spokojnie wyskoczyć. I to zamyka całą opowieść.

Twist stojący obok Burke'a słuchał relacji Eddiego. Burke szybko zmienił papier w maszynie, napisał kilka słów i podał kartkę naczelnemu, mówiąc:

– Nowa depesza.

Twist przeczytał na głos: „Dwóch czujnych detektywów policji nowojorskiej uratowało Arthura Kaufmana i zatrzymało dwóch podejrzanych mężczyzn, po tym jak FBI zawaliło operację przekazywania okupu, co nieomal pozwoliło porywaczom na ucieczkę z pieniędzmi. Wydarzenia rozegrały się wczoraj wieczorem”.

Twist spojrział na Burke'a i zapytał:

– Jesteś tego pewien?

Billy, który właśnie podnosił słuchawkę telefoniczną, by gdzieś zadzwonić, pokazał ruchem głowy na Hartmana i powiedział:

– Eddie ma doskonale kontakty w policji i stamtąd dostał tę wiadomość.

– To pewne informacje – przytaknął Hartman.

Twist krzyknął do osób przy stanowiskach sekretariatu wydania miejskiego:

– Zostawić miejsce na nową depeszę. Henry doda do tego komentarz. Potem zwrócił się do Hartmana i poprosił: – Opowiedz mi dokładnie, jak to właściwie było?

Hartman od początku zaczął relacjonować przebieg wydarzeń, podczas gdy Burke łączył się z rzecznikiem prasowym biura miejskiego FBI.

– Tu Billy Burke z „Globe” – przedstawił się. – Chciałbym porozmawiać z panem Henrym.

Prośbę przyjęto z dużą niechęcią, co odzwierciedlało powszechnie złe stosunki pomiędzy prasą a biurem nowojorskim. Odpowiedziano, że kierownictwo nie ma teraz czasu, a ponadto przygotowywana jest konferencja prasowa...

Burke nie dał rozmówcy dokończyć.

– Posłuchaj, tępaku – zaczął, a potem odczytał fragment komunikatu, jaki właśnie napisał. – Oto informacja, jaką dajemy w najbliższym wydaniu. Gazetę łamiemy za piętnaście minut, więc twojemu szefowi pozostało jeszcze dziesięć minut na dorzucenie paru słów od siebie. Jeśli się nie zdecyduje, dodamy, że FBI odmawia wszelkich komentarzy i lecimy z gazetą. Jasne?

Rzecznik zaczął coś mętnie tłumaczyć, ale Burke przerwał mu wypowiedź. Dziesięć minut, zrozumiano? – Odwiesił słuchawkę.

– Świetnie – poparł go Twist. – Zamieścimy wszystko, co Henry nam powie. Przekażemy też informacje zdobyte przez Eddiego. Nieudolność FBI. Murowana sensacja. Trzeba to jednak rozgrywać ostrożnie. Kaufman ma ogromne wpływy. Podkreślcie, że wiadomość pochodzi od wysokiego rangą oficera nowojorskiej policji. Dajcie pełne zeznania chłopaka. Napiszcie o jego spotkaniu z tymi dwoma facetami w barze, o tym, że znaleziono go w mieszkaniu samego, jak popijał piwo i gapił się w telewizję. Nad tym nie ma się co więcej rozwodzić. Nasi czytelnicy doskonale rozumieją, w czym rzecz. Postaram się o kontakt z Kaufmanem, ale to najprawdopodobniej strata czasu. On nigdy publicznie nie przyzna, że własny synek tak go wyrolował. – W tym miejscu Twist zachichotał. – Trzeba dać nowe podpisy pod zdjęciami. Tatus i federalni czekają na telefon, a junior w tym czasie niezłe się bawi.

Pat Henry zatelefonował dwanaście minut później. Burke nadal pisał pospiesznie nowy tekst, a Twist stał mu za plecami i zaglądając przez ramię, czytał powstający artykuł.

– Cześć, Pat – Burke przyjął telefon. – Znasz już treść naszej nowej informacji?

– Wy sukinsyny – warknął Henry. – To absolutne gówno! Gówno! – powtórzył z naciskiem. Z drugiej strony łączy dolatywała cała litania okrzyków i przekleństw tak głośnych, że Burke trzymał słuchawkę co najmniej pół metra od ucha. Wreszcie zdołał przerwać urągania i zapytał:

– Czy to twój komentarz, Pat?

– Ty, posłuchaj mnie, Burke. Niczego nie komentuję. Ja tylko ostrzegam, że skopię ci tyłek, jeśli choć słowo z tego ukaże się w prasie.

– Będzie doskonały cytat, Pat. – Wypowiadając tę uwagę, Burke starał się powstrzymać od śmiechu, co mu się nie w pełni udawało.

– Od kogo macie te bzdury? – domagał się odpowiedzi Henry.

– Z nie ujawnionych źródeł. I tak też napiszemy.

– To bezwzględny, brutalny atak na FBI. A ty jesteś tego współuczestnikiem. Ty marna, cholerna dziennikarzyno. Ty sukinsynu!

Burke przerwał mu ponownie:

– Poczekaj, Pat. Oddam słuchawkę naczelnemu.

Halo, Pat. Tu Leonard Twist. Mamy jakieś problemy? – Słuchając Henry’ego, Twist uśmiechał się coraz bardziej ironicznie, a jego zadowolenie najwyraźniej wzrastało. Czasami rzucał do słuchawki: Tak... rozumiem... aha.

Wreszcie kiedy Henry zakończył tyradę, Lenny spokojnie wyjaśnił stanowisko „Globe”. – Pat, to jest normalne. Znam fakty. Pochodzą z wiarygodnego źródła.

Ja całkowicie ufam Billy’emu Burke’owi i innym naszym reporterom, którzy te informacje zbierali. – Potem ponownie słuchał słowotoku szefa FBI i znów uśmiechał się szyderczo. – Pat, jak rozumiem, nie zamierzasz dać nam swojego komentarza. Z radością stwierdzam, że masz tu wielu przyjaciół w naszej redakcji. Na chwilę zamilkł, po czym ciągnął dalej: – Przed kilkoma godzinami przekazałem ci przez Billy’ego Burke’a pewną prośbę. Jeden z agentów powtórzył Burke’owi twoją odpowiedź. Był przy tym jeszcze nasz fotoreporter. A odpowiedź brzmiała: „Niech pan Burke się odpieprzy”. Nieładne postąpiłeś. Jeśli więc o nas chodzi, o „Globe”, to z całym przekonaniem mówimy: Odpieprz się od nas. – Twist, nie czekając na reakcję rozmówcy, odłożył słuchawkę i powiedział do Burke’a: – Miałeś rację. Ten facet wcale nie jest zabawny. No, a teraz do roboty, chłopaki.

Wydarzenia dnia dobiegły końca około dziewiątej wieczorem. Pat Henry odbył w komendzie policji miejskiej konferencję prasową. Starał się ratować to, co było jeszcze do uratowania. Pokazał się w towarzystwie komisarza policji, którego zaprosił zgodnie z radą szefa korpusu detektywów, również obecnego na spotkaniu z prasą. Henry najwyraźniej próbował nadrabiać bezczelnością i pewnością siebie. Pochwalił dwóch detektywów policyjnych z wydziału narkotyków za to, że pierwsi znaleźli się „na scenie”, co pozwoliło im na dokonanie aresztowania. W podtekście należało rozumieć, że agenci FBI byli tuż za nimi, czego jednak żaden reporter w swoich relacjach nie potwierdzał. Poinformował, że Arthur Kaufman rzeczywiście znał swoich porywaczy, ale już nie nadmienił, że znajomość ta została zawarta w barze S&M, w miejscu spotkań homoseksualistów. Pomiął również fakt, że młody Kaufman przebywał sam, kiedy tamci dwaj udali się do parku, aby podjąć okup. Nie wspomniał również, co się stało z pieniędzmi przeznaczonymi na okup.

W sali redakcyjnej „Globe” wszyscy śledzili konferencję prasową Henry’ego

i wiadomości na temat porwania przekazywane przez stacje telewizyjne i radiowe. Po wysłuchaniu relacji stało się jasne, że jedynie „Globe” dysponował informacjami, które pominął szef miejskiego Biura FBI, a które Eddie Hartman uzyskał z komendy policji. Takie sytuacje zdarzały się bardzo rzadko w praktyce prasowej i na sali panowała rzeczywiście świąteczna atmosfera. Twist zamówił dla swoich pracowników trzy skrzynki piwa.

Burke, siedząc na skraju biurka sekretariatu wydania miejskiego, opowiadał Frankowi Fabio o przygodzie z helikopterem. Dopijał przy tym drugą puszkę piwa.

Fabio zaśmiewał się.

– Co mówisz? Naprawdę? Jimmy Cogan wisiał na szelkach z helikoptera i robił zdjęcia staremu Kaufmanowi, Henry’emu i innym ciulom z FBI, którzy stali na tarasie i osłupiali gapili się na sprytnego fotoreportera?

– Tak właśnie było. W każdym razie do momentu, gdy Henry wybiegł na ulicę, dopadł mnie i zarzekał się, że dobierze mi się do tyłka. Najchętniej powołałby mnie w rekruty.

Fabio podniósł do góry wyciągnięty palec wskazujący, jakby chciał ostrzegać.

– I może mu się to udać. Wyobrażam sobie, że w mundurze będzie ci do twarzy.

– Nic z tego. Na uniwersytecie z trudem zaliczyłem studium wojskowe.

– Nigdy nie mogłem się nauczyć czyszczenia karabinu. Zebrałem największą liczbę upomnień w historii uczelni.

Ze swojego gabinetu wypadł nagle Twist i podbiegł do Burke’a.

– Mamy problem – powiedział niezwykle zaaferowany.

Burke poczuł, jak ciarki przebiegły mu po plecach. Czyżby w materiale, który napisał, znalazły się jakieś poważne błędy?

– Co się stało? – zapytał.

– Właśnie dzwoniła babka małego. – Twist nerwowo pstrykał palcami, nie mogąc przypomnieć sobie nazwiska.

– Roberta Avalona? – zasugerował Burke.

– Tak, właśnie tak. Szukała ciebie. Ponieważ twój telefon nie odpowiadał, przełączono do mnie. Kobieta strasznie histeryzowała. Właściwie trudno ją było zrozumieć. Wygląda na to, że chłopaka zawieźli do Szpitala Kaledonia w Brooklynie. Nie zdołałem dopytać, o co dokładnie chodzi, ale domyślam się, że stało się coś złego. Lepiej byś tam pojechał i zrobił rozeznanie. Weź wóz redakcyjny z kierowcą.

Burke poczuł w żołądku ostry skurcz. Nie powiedział ani słowa. Odwrócił się i biegiem ruszył przez korytarz. Gdy stał przed windą, dobiegł go głos Twista:

– Jak już zdobędziesz jakieś informacje, zadzwoń do sekretariatu. Gdyby mały

wykitował, trzeba o tym napisać.

Rozdział dziesiąty

Pędził szerokim korytarzem oddziału kardiologii, rzucając okiem w głąb mijanych pokoi pacjentów. Wciągał powietrze pełne zapachów środków antyseptycznych. Odnotował szuranie kłapek noszonych przez pielęgniarki i personel szpitalny. Nie mógł od siebie odpędzić myśli, że być może znalazł się w miejscu, w którym zakończy życie mały, kruchy Roberto.

Podszedł do biurka, za którym siedziała dyżurna pielęgniarka. Kobieta patrzyła na niego z zaciekawieniem, ale bez sympatii.

– W informacji powiedziano mi, że na to piętro przywieziono Roberta Avalona.

– Już jest po godzinach przyjęć – oznajmiła zimno pielęgniarka, dając Billy’emu do zrozumienia, że należy opuścić szpital.

– Wiem, ale...

– Pan jest członkiem rodziny?

– Przyjacielem rodziny. Dopiero teraz otrzymałem wiadomość i wpadłem.

– Może będę mógł coś pomóc.

– Wszystko w porządku, sestro. – Głos dobiegał spoza jego pleców. Odwrócił głowę. Za nim stał wysoki, bardzo szczupły mężczyzna w wieku około czterdziestu lat. Ubrany był w biały fartuch, a z jednej kieszeni wystawał stetoskop. Burke przeczytał napis na plakietce: „dr Wilfred Salazar”, i przypomniał sobie, że właśnie ten lekarz skierował Roberta na badania do doktora Jamesa Bradforda.

Salazar obszedł biurko i stanął obok dyżurnej pielęgniarki.

– Nazywam się Billy Burke. – Burke wyciągnął rękę do lekarza.

Salazar podał mu dłoń i skinął głową. Miał szczupłą, długą twarz, rzadkie włosy i wydatny nos. Uwagę jednak zwracały jego brązowe oczy, łagodne, pełne troski. Burke natychmiast poczuł sympatię do nie znanego mu człowieka.

– Wiem, pan jest reporterem – powiedział Salazar. – Czytałem w dzisiejszej gazecie pański artykuł o Robercie. Bardzo mi się podobał.

Burke uświadomił sobie, że on sam tego materiału nie przeczytał. A z reguły zawsze to robił, by sprawdzić, czy mu nie skrócono tekstu. Dziś jednak od rana zajęty był sprawą Kaufmana i zauważył jedynie informację, że czytelnik znajdzie artykuł dotyczący porwania na trzeciej stronie, najważniejszej i najbardziej prestiżowej w całej gazecie. Tam właśnie zamieszczano najlepsze materiały, jakie „Globe” miał do zaoferowania.

– Jak Roberto? – zapytał.

– To bardzo chory chłopak. Pan zresztą wie. Ustabilizowaliśmy jego stan.

– To niestety wszystko, co jesteśmy w stanie zrobić. – Przez twarz lekarza przebiegł cień smutku. – Z uwagi na pański artykuł, chłopca traktują tutaj jak kogoś bardzo ważnego. Ma wspaniałą opiekę.

– Czy znajduje się w niebezpieczeństwie?

Doktor pokiwał głową.

– Nie bezpośrednio. Nie w tej chwili. My jednak niewiele możemy mu pomóc. Dziecko słabnie. A każdy taki epizod jak ten powoduje, że Roberto ma coraz mniej czasu. W końcu nadejdzie dzień, w którym organizm przestanie reagować na leki. – Podniósł rękę, jakby się poddawał. Tak to w każdym razie odebrał Burke. – Jeśli dopisze nam szczęście, być może zmniejszymy liczbę ataków, dzięki czemu zapewnimy chłopcu sześć miesięcy życia. Jednak nie więcej. A i to należałoby raczej nazwać marną egzystencją.

– Mnie powiedziano, że Roberto może przeżyć jeszcze nawet rok – powiedział Burke.

– Obawiam się, że to nadmierny optymizm. Szczególnie gdyby powtarzały się takie sytuacje jak dzisiejsza.

Burke'owi wydawało się, jakby ktoś nałożył mu na plecy ogromny ciężar.

Słyszał już równie złe rokowanie, ale słowa wypowiedane tu, w szpitalu, brzmiały dosadniej. – Czy mogę go zobaczyć? – zapytał.

Salazar pokiwał głową.

– Sądzę, że tak. Pańska wizyta na pewno dobrze mu zrobi. Sprawia wrażenie, jakby chciał, by się o niego bardzo troszczono. Jest przestraszony. Tak jak jego mama i babka. Siedzą teraz u chłopca.

Szli korytarzem w kierunku pokoju Roberta. Burke położył rękę na ramieniu Salazara. Stanęli.

– Czy ma pan możliwość wywarcia nacisku na doktora Bradforda albo na szpital? – zagadnął Billy.

Na twarzy lekarza pojawił się smutny uśmiech.

– Ja leczę ubogich, panie Burke, więc się nie liczę w środowisku lekarskim. Nie zarabiam kroci i innym też w tym nie pomagam. To bardzo proste.

– A gdyby...

Salazar przerwał mu ruchem ręki.

– Panie Burke, domyślam się, czego by pan oczekiwał ode mnie. Niestety, nie mogę sobie pozwolić na zatargi z wpływowymi kolegami po fachu. – Potrząsnął głową, dając do zrozumienia, że sam tego żałuje. – Ja jestem po prostu żebrakiem. Tym, który stale prosi, a najczęściej o to, czego tamci nie chcą dawać. Czasami jednak spełniają moje

prośby. Gdybym jednak ich zaatakował, już nigdy bym niczego nie dostał. A tym samym wyrządziłbym krzywdę swoim pacjentom.

Ruszyli korytarzem. Teraz z kolei Salazar wziął Burke'a pod ramię.

– To jednak nie oznacza, że nie mogę panu przekazywać informacji – szepnął. Stawiam tylko jeden warunek: moje nazwisko nie będzie wymieniane.

Roberto zobaczył Burke'a w momencie, w którym reporter przestąpił próg pokoju. Uśmiechnął się, nie unosząc nawet główki z poduszki, i lekko pomachał ręką. Ten gest wyraźnie osłabionego chłopca wzruszył Burke'a. Billy starał się jednak ukryć przyptyw emocji.

Obok łóżka siedziała Maria Avalon. Podążając za wzrokiem syna, odwróciła głowę. Jej śliczna twarz nosiła wyraźne ślady załamania. Kobieta miała podkrążone oczy i zaciśnięte usta. Popatrzyła na Burke'a żalonym wzrokiem.

Wstała, podeszła do dziennikarza, stanęła tuż przed nim i nieoczekiwanie położyła mu głowę na piersi.

– Dziękuję, że przyszedłeś. – W głosie Marii wyczuwało się ogromne zmęczenie, wynikające zapewne nie tylko z braku snu. Podniosła głowę i spojrzała Billy'emu prosto w oczy. Wtedy też najprawdopodobniej uświadomiła sobie, że stoi za blisko, gdyż dała krok do tyłu. – Na pewno wydzwaniała do ciebie moja matka... przeszkadzamy ci w pracy. Mama była jednak przerażona, że nie wpuszczą nas do szpitala. Uznała, że tylko ty możesz nam pomóc.

Wbiła wzrok w podłogę. Potrząsała głową tak, jakby nie potrafiła uwierzyć w to, co się działo. Burke położył jej rękę na ramieniu. Miał ogromną ochotę objąć i przytulić Marię. Sam jednak przeraził się tego pragnienia. Nie powinien sobie pozwalać na podobne gesty. Dał pół kroku do tyłu.

Odwrócił się teraz w kierunku chłopca i mrugnął do niego. Roberto usiłował zrobić to samo. Burke ze wszystkich sił starał się nie okazywać wzruszenia, ale widok małego, bladego, osłabionego chłopca coraz bardziej wpływał na jego stan emocjonalny.

Koło łóżka siedziała babka i raz po raz głaskała wnuka po głowie. Chciała coś powiedzieć, ale najwyraźniej słowa nie mogły jej przejść przez zaciśnięte gardło. Przerażonej kobiecie mocno drżały wargi.

Billy stanął obok chłopca, maskując smutek i zaniepokojenie.

– Co się dzieje, stary? – powiedział jowialnie. – Dlaczego znalazłeś się w łóżku?

– Mama mówi, że zbyt długo się bawiłem. Dlatego zachorowałem – wyjaśnił i mrugnął figlarnie.

Burke udał, że jest zagniewany:

– Bawiłeś się za długo? Jezu, wiesz przecież, że musisz się zachowywać ostrożnie, byśmy mogli razem pracować nad artykułami. A czy widziałeś dzisiaj swoje zdjęcie w gazecie?

Roberto uśmiechnął się promiennie. Z jego twarzy zniknął wyraz zmęczenia i słabości.

– Oczywiście. Są wspaniałe. Mam gazetę u siebie, w pokoju. Babcia mówiła, że jesteś doskonałym dziennikarzem.

– A coś ty myślał, że przyślą jakiegoś gamonia, żeby pisywał o tobie?

– Czy ten artykuł robi ze mnie kogoś znanego? – zapytał chłopak słabym, ledwo słyszalnym głosem.

Burke zaśmiał się i kiwnął głową.

– Jasne. Wszyscy o tobie czytali.

W oczach Marii pokazały się łzy.

– Oczywiście, wszyscy – powtórzyła, a potem zwróciła się do Burke'a: Kazał sobie kupić jeszcze jedną gazetę. Ma teraz dwie. Szalenie mu się spodobało, co napisałeś.

Burke ponownie przeniósł wzrok na chłopca i udawał uradowanego.

– To doskonale – mówił. – Poczekaj jednak do środy. Tylko trzy dni. W gazecie znów ukaże się twoje zdjęcie. Tym razem z Robertem Ramirezem. Wtedy już każdy twój kolega będzie wiedział, jaki jesteś ważny. Staniesz się najpopularniejszym chłopcem w całym mieście.

Chłopak był wyraźnie podekscytowany. Usiłował usiąść, ale babka go powstrzymała. Dziecko ponowiło prośbę, ignorując zakaz.

– Jak sądzisz, czy Roberto Ramirez odwiedzi mnie jeszcze? – zapytał Burke'a malec.

Billy nie zastanawiając się ani sekundy, gładko skłamał:

– Kiedy się dowiedział, że zachorowałeś, zatelefonował do mnie. Powiedział, że Yankees niestety wyjeżdżają na rozgrywki. Kazał cię pozdrowić i powiadomić, że jutro prześle ci piłkę. Taką do baseballu, z jego podpisem.

Oczy małego otworzyły się szeroko, a twarzyczka stała się jednym wielkim uśmiechem. Burke wiedział, że Yankees na swoim stadionie sprzedawali podpisane przez zawodników piłki. Postanowił, że pojedzie tam jutro rano i kupi jedną dla Roberta. Gdyby nie było z autografem Ramireza, sam z łatwością podrobiłby podpis.

– Kiedy dostanę piłkę? Jutro? – dopytywał z ożywieniem pięciolatek. Burke przeraził się, by silne podniecenie znów nie nadwerżyło serca Roberta.

– Tak, tak, na pewno dostaniesz jutro – uspokajał Billy. – Ramirez powiedział mi jednak, że w zamian za ten prezent musisz być grzeczny i robić dokładnie to, co mówi matka, babcia i pan doktor. Dobrze?

Chłopak poprawił się w łóżku i odpowiedział cichutko:

– Dobrze. Będę bardzo posłuszny. – Położył się, jak chciała babka, i pozwolił poprawiać sobie poduszkę i troskliwie okrywać się kocem. Mimo to wpatrywał się w dziennikarza z wyrazem figlarniej psotliwości na twarzy.

Burke skinął głową i powiedział:

– Tak właśnie trzeba, a jutro przyniosę ci piłkę.

– Obiecujesz? – Roberto ponownie szeroko otworzył oczy.

– Obiecuję.

– Doskonale.

Gdy wyszli na korytarz, Maria wzięła Burke'a za rękę.

– Byłeś kochany – powiedziała. – Świetny pomysł z tą piłką. Widziałeś, jaki Roberto był szczęśliwy? Uważa, że Ramirez jest wspaniały, ale ty jeszcze wspanialszy.

Burke tępo patrzył na ścianę i przyszło mu do głowy, że w swoim życiu nie znalazłby niczego, co mogłoby uzasadniać takie opinie. Przeniósł wzrok na Marię.

– On ma wspaniałą matkę i babkę – odezwał się w końcu. – Z tego powinien sobie zdawać sprawę. – Nie puszczając jej ręki, dodał: – Wyglądasz na zmęczoną. – Potem, wskazując głową na drzwi do pokoju Roberta, zapytał: Co się właściwie stało?

Oczy Marii przepełniało poczucie winy.

– Zabrałyśmy go na boisko, gdzie bawił się z innymi dziećmi. Wtedy zrobiło mu się słabo i zemdleł. – Po policzkach kobiety potoczyły się łzy. – To moja wina. Doktor Salazar uprzedzał, że nie wolno tego robić. Roberto nie ma na takie zabawy wystarczająco silnego serca.

Maria zaczęła cicho płakać, a Burke odruchowo objął ją rękami, przytulił i lekko głaskał po plecach.

– To nie twoja wina. Nie twoja – powtarzał.

Rozdział jedenasty

Siedzieli koło okna w niewielkiej restauracji na East Side, znajdującej się bardzo blisko redakcji Julii. Było południe. Chodnikami Madison Avenue przewalały się tłumy. Burke zwykle unikał lokali oferujących wyłącznie bezmięsne dania. Nie podobały mu się ciagoty Julii do wegetarianizmu. Twierdził, że nie można zaspokoić głodu smażonymi jajkami i sałatą. Dziś jednak się zgodził na tę indiańską restaurację. To on zaproponował Julii obiad. Potrzebował jej rady i chciał, by rozmowa przebiegała w takiej atmosferze, w jakiej Julia sobie życzyła. Gotów był zjeść to, na co ona miała ochotę.

– Pomyśl tylko: wykluczając z jadłospisu mięso, przedłużasz życie jakiejś niewinnej krówce – powiedziała Julia.

– Krowy jedynie brudzą łąki paskudnymi kupami mruknał.

– Dziennikarze brudzą świat jeszcze ohydniej – odparowała.

Zadzwoił do niej rano, po długiej i burzliwej wymianie zdań z Leonardem Twistem. Burke prosił, by na czas pracy nad tematem „Mały chłopak” naczelny zwolnił go z innych redakcyjnych obowiązków. Tłumaczył, że ze względu na zły stan zdrowia dziecka musi się bardzo spieszyć, gdyż pomoc może okazać się spóźniona. Twist początkowo nie chciał się zgodzić, ale w toku rozmowy ustąpił, w szczególności kiedy się dowiedział, że Burke jest już w kontakcie z biurem kontroli miejskich finansów. Teraz reporter bez problemu prześledzi, jak wydawane są przez Szpital Uniwersytecki dotacje i zorientuje się, czy lekarze z tego szpitala, korzystając z funduszy miejskich, pracują jednocześnie w placówkach społecznych.

Pod sam koniec wizyty Twist powiedział coś, co wstrząsnęło Billym. Już wszystko sobie wyjaśnili i Burke wstał, by wyjść, gdy wypowiedziane przez Twista słowa spowodowały, że stanął nieruchomo.

– Chcę, byś tych skurczybyków przygwoździł – mówił naczelny. – Zrób to, a mamy Pulitzerza w kieszeni i nikt nam tego nie odbierze. Zdobędziemy nagrodę, nawet gdyby chłopak wykitował.

Julia potrząsnęła głową, słuchając powtórzonych przez Burke'a słów Twista.

– Bardzo typowe – skomentowała.

Widział, że w jej oczach zapaliły się isierki gniewu. Pomyślał, że w odróżnieniu od większości ludzi Julia, kiedy wpadała w złość, wyglądała jeszcze piękniej.

– Myślę, że wszyscy wydawcy są tacy – ciągnęła Julia. – Nie dostrzegają świata, jaki kryje się poza tytułami ich gazet.

Billy początkowo sądził, że żona miała na myśli Twista, z którym kiedyś

wielokrotnie się spotkała. Tymczasem ona mówiła w ogóle o ludziach z mediów. Być może nawet o samej sobie.

– Czytałam twój materiał na temat porwania – powiedziała, kiedy się uspokoiła. – Sporo w nim aluzji, że porywacze spotkali ofiarę w barze, w którym zbierają się geje. Już sobie wyobrażam stada reporterów węszących wokół tego biednego chłopca, by zdobyć informacje dotyczące jego życia seksualnego.

– Z tego, co mi rano wpadło w ucho, wynika, że FBI bardzo się stara stłumić tę ciekawość. – Chciał jeszcze coś dodać, ale Julia dokończyła za niego:

– Ale wasi szefowie byli przekonani, że powodem są pieniądze i kontakty ojca, prawda?

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu potwierdzającego jej domyślność.

– I stawiają pytanie, czy syn uczestniczył w konspiracji przeciwko ojcu.

– Czy uknuł wszystko, aby wypruć ze starego forszę – dorzucił.

– Jeśli tak, to chłopak zapewne siedzi już w ciupie. – Ponownie potrząsnęła głową. – Im jednak chodzi o coś innego. O to, by podniecać i fascynować czytelników. Tylko tym się kierują. Pragną przyłapać kogoś na niewłaściwym postępowaniu.

– To dobry temat, jeśli jest prawdziwy – stwierdził Burke. Jako współautor artykułów dotyczących porwania, czuł się odpowiedzialny za poczynania prasy. Ponownie uświadomił sobie, że opinia Julii ma dla niego ogromne znaczenie. Pomyślał o roli, jaką odegrał w wysłaniu helikoptera. Nie myślał wtedy o uprowadzonym chłopcu, ale o tym, by się dostać do Pata Henry'ego i zrealizować zamówienie redakcji.

Julia dostrzegła niepewność męża. Wyciągnęła rękę ponad stołem i położyła swoją dłoń na jego dłoni.

– Wcale nie krytykuję twego materiału. Po prostu podałeś fakty, jakie poznałeś. Mówię o tych wszystkich próbach, o wysiłkach zrobienia z tego sensacji. To służy już wyłącznie prasie, nikomu poza tym nie jest potrzebne i nikt się nie troszczy, ile w tym prawdy i komu może szkodzić.

Słowa Julii zaboląły Burke'a. Niestety, w znacznej mierze odnosiły się do niego samego. Billy wiedział, jakie zadania przydzielono reporterom na porannej odprawie. Wyznaczone tematy były rzeczywiście nastawione na rozdmuchiwanie sensacji. Tak jednak prowadziło się gazetę. Media żyły z kontrowersyjnych wydarzeń.

To stanowiło źródło sukcesów. Billy sam siebie przekonywał, że Julia była po prostu naiwna, uważając, że można zmienić reguły gry. W szczególności teraz, kiedy afery „Watergate” dała środkom masowego przekazu takie poczucie siły.

– Powinieneś o tym wszystkim pamiętać, zajmując się sprawą tego małego, chorego chłopca – ciągnęła. – Nie wolno ci dopuścić, by dzieciak stał się pionkiem w rozgrywce

służącej interesom prasy. Jeśli skupisz się na ujawnianiu machlojek lekarzy i szpitali, biedny Roberto może się zgubić i zostać zapomniany w tej całej wojnie.

Burke skinął głową. I on myślał o tym samym.

– Postaram się to kontrolować. Zadbam o interesy chłopca. Jutro damy niewielką informację, że znalazł się ponownie w szpitalu. Wypuścilibyśmy tę wiadomość dzisiaj, ale był nawał materiałów dotyczących porwania. W środę opublikujemy artykuł o tym, że małego odwiedziła gwiazda sportu, zawodnik baseballu. Trzeba przyzwyczaić czytelnika do tematu, zainteresować problemem.

Kiedy to złapie, zaczniemy zbiórkę pieniędzy na pokrycie kosztów operacji. Na opłacenie lekarzy i szpitala.

Po wyrazie twarzy zorientował się, że Julia żywi poważne wątpliwości, czy taka akcja może się udać. Uświadomił sobie, że gdzieś w głębi serca również nie wierzył w powodzenie. Zastanawiał się, czy przypadkiem i on sam nie należy do naiwniaków.

– Biedny mały chłopczyk. Mam nadzieję, że jednak odniesiecie sukces powiedziała bez entuzjazmu.

Burke bezmyślnie bawił się stojącą przed nim szklanką piwa. Potem popatrzył na żonę. Teraz wydawała mu się o wiele piękniejsza niż w ostatnich latach ich pożycia, kiedy była przybita troską o chorą córkę. Miała na sobie szytą na miarę niebieską bluzeczkę, doskonale dobraną do brązowych oczu i średniej długości włosów o złotym odcieniu. Starannie ułożona fryzura podkreślała delikatne, a jednocześnie wyraziste linie twarzy Julii. Zdał sobie sprawę, że nadal ją kocha. Bardzo pragnął, by mogli być razem. Niestety, stan córki stawiał przed nimi zbyt wiele przeszkód, tworzył sytuacje niemożliwe do rozwiązania, a nawet do omawiania. Billy wiedział, że gdyby podjęli próbę zejścia się, cały ból by powrócił. Chociaż zależało mu na zmianie, nie miał wątpliwości, że Julia lepiej się czuła, prowadząc samotne życie.

Odsunął szklankę z piwem i złożył ręce.

– Faktem jest, że w rzeczywistości wolałbym nie zajmować się tym tematem. Nie chciałybyśmy zawieść jeszcze jednego dziecka, które potrzebuje mojej pomocy. Ani jeszcze jednej matki liczącej na moje wsparcie.

Julia zamrugała oczami i na chwilę zacisnęła usta.

– Ty w niczym nie zawiniłeś wobec Annie – odezwała się w końcu. – Wiem dokładnie, co czujesz, bo ja czułam to samo. I oczywiście nigdy nie rozczarowałeś mnie. Po prostu nie potrafiliśmy sobie poradzić z problemem... – Na chwilę zamilkła, a potem dodała: – Razem nie potrafiliśmy.

Te ostatnie słowa zabolowały Burke'a. Słyszał je nie po raz pierwszy, ale nigdy nie zdołał się z nimi pogodzić.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział. – Obawiam się, że nazbyt przywiązuję się do tego chłopca. – Zaśmiał się i potrząsnął głową. – Boże, on rzeczywiście zaczyna mi być bliski.

– Tego w zasadzie nie sposób było uniknąć. – Mówiąc to, przyglądała się Billy’emu uważnie. – A co z matką Roberta? – W głosie Julii wyczuwało się napięcie i strach. – Czy ona także przestała być dla ciebie obcą osobą?

Zawahał się i po chwili milczenia odpowiedział:

– Przypuszczam, że wobec obydwójga straciłem dystans.

Ponownie położyła rękę na jego rękę.

– Mam nadzieję, że do matki się nie zbliżysz. Ucierpieliby na tym wszyscy nie zainteresowani.

Burke nie zareagował, a ona kontynuowała:

– Twoje artykuły dotyczące chłopca są doskonałe. – Wiedziała, że komplement poprawi Billy’emu samopoczucie. – Czytałam ostatni materiał w niedzielnej gazecie. To jeden z najlepszych tekstów, jakie kiedykolwiek napisałeś – powiedziała z pełnym przejęciem i na pewno szczerze. – Bardzo mnie poruszył. – Julia podniosła kieliszek z winem i patrzyła w głąb szkła, jakby tam, na dnie mogła znaleźć uspokojenie. Odstawiła kieliszek, nie kosztując trunku, i ponownie spojrzała na męża. – Nikt inny tak dobrze nie poradziłby sobie z tematem – oceniła. – Wiem, że będziesz walczył o tego chłopca. Trzymam kciuki i zawsze służę pomocą.

Opuszczając restaurację, Burke czuł ulgę. Uzyskał coś w rodzaju błogosławieństwa Julii, a w każdym razie obietnicę jej pomocy. Była zainteresowana sprawą i gotowa się zaangażować. Podobnie jak on sam. Nie wolno mu tylko zepsuć tak fantastycznego tematu. Załatwi Robertowi operację, a przy pomocy Jennifer Wells znajdzie na dodatek sposób, by dostarczyć Twistowi wymarzoną nagrodę.

Burke stanął na krawężniku i zatrzymał taksówkę. Teraz jechał na stadion Yankees. Musiał kupić piłkę do baseballu z inicjałami klubu, sfalszować podpis Ramireza i dostarczyć prezent chłopcu.

Rano dodzwonił się do szpitala i rozmawiał z Marią. Roberto miał zostać wypisany o jedenastej, zaopatrzone w niezbędne lekarstwa. Burke rzucił okiem na zegarek. Dochodziła druga, a więc Maria z chłopcem powinna właśnie opuszczać szpital. Wcześniej musiała zapewne wypełnić szereg papierów, a potem odbyć krępującą rozmowę z administracją, by wytłumaczyć, że nie ma ubezpieczenia i nie może pokryć rachunku. Wyobrażał sobie, co ta kobieta przeżywała. Tak jakby ciężka choroba dziecka była zbyt małym nieszczęściem.

Burke poczuł, że w mózgu zabręczał mu dzwonek ostrzegawczy. Nie wolno mu się było nadmiernie angażować. Należało pomóc chłopcu i uciekać. I tak nie zdołałby zmienić życia Avalonów. Wzbudzenie fałszywych nadziei byłoby zbyt okrutne zarówno dla nich, jak i dla niego.

Do redakcji powrócił około piątej. Kiedy wpadł do mieszkania w Brooklynie, Roberto spał, a Maria była już w pracy, by nadrobić czas, jaki spędziła w szpitalu.

Piłkę zostawił babci chłopca, odmówił wypicia kawy i szybko się wycofał.

Na biurku leżał pakiet nadesłany przez Gerarda LaFrancois z biura finansów miejskich. Dokumenty owinięto w zwykły, szary papier pakunkowy, bez żadnych pieczętek i bez imienia nadawcy. W razie śledztwa Burke mógł z czystym sumieniem powiedzieć, że materiały nadesłał jakiś anonimowy czytelnik.

Przez następne pół godziny Billy przeglądał papiery. Zawierały wykaz godzin przepracowanych w miejskich szpitalach Belleuve i Harlem przez lekarzy z uniwersyteckiej kliniki i ze szkół medycznych. Za pracę tę otrzymywali zapłatę z kasy miejskiej. Dokumenty dotyczyły trzech minionych lat, a łączna suma wypłat przekraczała cztery miliony dolarów.

Burke spojrział na zegarek. Dopiero minęła szósta. Jeszcze za wcześnie, by telefonować do Jennifer Wells. Chciał na jutro rano załatwić sobie dostęp do akt finansowych Szpitala Uniwersyteckiego. Jennifer zapewniała, że mu w tym pomoże. Nadszedł właśnie czas, by pielęgniarka doktora Jamesa Bradforda spełniła obietnicę.

Burke zebrał dokumentację i zamknął w biurku. Reporterzy, osoby z natury ciekawskie, uważnie czytali każdy świstek pozostawiony na wierzchu. Informacja była przecież towarem. Dobry dziennikarz zbierał wszelkie wiadomości, bez względu na ich aktualną użyteczność, i przechowywał tak, jak dzieci pieniądze w skarbonce. I jak dzieci większość chwaliła się tym, co właśnie zdobyła. W barach, w których spotykali się reporterzy, zawsze odbywała się giełda informacji.

Burke właśnie zamykał szufladę, gdy na blacie umieściła swój zgrabny tyłeczek Whitney Morgan. Założyła nogę na nogę i puściła do Billy'ego oko.

– Cześć, żeglarzu – powiedziała. – Dawno się nie widzieliśmy. – Lekko machnęła nogą i uśmiechała się promiennie.

Burke odpowiedział uśmiechem, imitując jak tylko potrafił Bogarta.

– Byłem zajęty. Fascynujące tematy, ważne wiadomości. Wiesz jak to jest, kochanie.

– Oczywiście, wielki reporterze. Nigdy ani chwili wypoczynku. – Przechyliła głowę do tyłu i roześmiała się. To spowodowało, że jej piersi wyprężyły się pod białym sweterkiem. Burke wpatrywał się w zgrabną sylwetkę Whitney jak wygłodniały psiak

w ociekającą tłuszczem kostkę. – Znajdziesz jednak trochę czasu, by postawić dziewczynie drinka... – Na chwilę zamilkła dla lepszego efektu. – Któż może wiedzieć, co stanie się potem?

Burke rozejrzał się po sali. Jedyнным reporterem znajdującym się w pobliżu był Eddie. Hartman trzymał przy uchu słuchawkę telefoniczną, ale najwyraźniej nasłuchiwał szczebiotania Whitney. Popatrzył na piękną dziennikarkę i uśmiechnął się.

– Niebywale interesująca propozycja – skwitował Burke.

– Jasne. – Ponownie posłała mu uśmiech. – Kiedy wychodzisz?

– Tylko uzgodnię coś z sekretariatem i już mnie nie ma.

– Doskonale. – Zsunęła się z biurka. – Zadzwoń, jak będziesz gotowy.

Burke odprowadził Whitney wzrokiem. Za plecami usłyszał chichot Hartmana.

– Zamknij się, Eddie – burknął. – Siedź na tyłku i ani słowa.

Hartman ponownie zachichotał.

Burke wszedł do sekretariatu wydania miejskiego. Tu znajdował się mózg redakcji. Właśnie zakończyła pracę dzienna zmiana, więc w pomieszczeniu panowała atmosfera odprężenia i spokoju. Pracownicy obejmujący nocny dyżur słuchali przekazywanych im informacji.

Frank Fabio siedział za biurkiem, z rękami złożonymi na karku, zjedną nogą opartą o blat. Nad nim, z wyrazem zdumienia na twarzy, stał Ben Rostantino. W dłoniach trzymał sprawozdania finansowe reporterów.

Rostantino był kontrolerem finansowym działu informacji i odpowiadał za budżet tej części redakcji.

Ben rzucił plik papierów na biurko Fabia, który jako szef reporterów zatwierdzał sprawozdania z wydatków przedkładane przez dziennikarzy i fotoreporterów. Zazwyczaj składał podpis bez czytania rozliczeń i bez żadnych uwag.

– Musisz mi to wyjaśnić, Frankie – mówił Rostantino. – Jestem absolutnie zdumiony.

Fabio popatrzył na niego i uniósł brwi. Rostantino, niewysoki grubasek, o włosach przyprószonych siwizną, dobiegał pięćdziesięciu pięciu lat. Miał okrągłą, miłą twarz i niezależnie od swojej funkcji uważany był za jednego z najsympatyczniejszych pracowników zespołu. Ben zawsze bardzo dokładnie kontrolował budżet redakcyjny.

– Benny, drogi przyjacielu. Wyjaśnianie spraw niejasnych to moja specjalność. Czyżby któryś z chłopców wszedł w kolizję z twoją maszynką do liczenia?

Rostantino rzucił wzrokiem na dokumenty leżące na biurku Fabia i powiedział:

– Tak, aż siedmiu. Jestem jednak przekonany, że będziesz potrafił to wytłumaczyć.

Fabio jeszcze wyżej uniósł brwi, nadając twarzy wyraz zdumienia.

– Tylko siedmiu? A cóż ci niegodziwcy zrobili?

Rostantino zwrócił oczy ku górze, jakby szukał rady i pomocy w niebiosach.

– Jak wynika z rozliczeń, siedmiu z nich tego samego dnia podejmowało burmistrza obiadem.

Fabio wziął do ręki zestawienia i przeglądał je, najwyraźniej udając, że jest ogromnie zainteresowany lekturą.

Przypatrujący się tej scenie Burke oczekiwał na odpowiedź Fabia. Zgodnie z powszechnie panującym zwyczajem, reporterzy nie ujawniali źródeł informacji, zarówno przed kierownictwem redakcji, jak i przed prokuratorem lub adwokatem, czyli przed osobami, które w różnych okolicznościach mogły się zainteresować wydatkami dziennikarza. Najczęściej w rozliczeniach podawali, że jedli obiad z burmistrzem, radnym miasta albo politykiem. Rzekomo zapraszani z reguły potwierdzali, że rzeczywiście byli na takim obiedzie. W minionych latach Burke przedłożył setki rozliczeń za obiady z różnymi osobistościami, od szefów policji począwszy, na gubernatorze skończywszy.

Fabio położył raporty przed sobą na biurku i starannie wyprostował papiery, jakby się obawiał, że mogą być pomięte. Doskonale wiedział, w czym rzecz.

Sam wielokrotnie podawał podobne informacje w swoich rozliczeniach. Rozumiał również, że takie praktyki denerwowały administrację redakcyjną, która starała się ograniczać, i tak bardzo rozrośnięte, wydatki działu. Wziął do ręki długopis i zaczął parafować poszczególne rozliczenia.

– Nic złego tu nie znajduję – oznajmił.

Naprawdę? – Rostantino z trudnością powstrzymywał śmiech. I on oczywiście doskonale zdawał sobie sprawę, na czym ta gra polega, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Po prostu wykonywał swoje obowiązki i uważał, by mu coś nie przycięło paluchów.

– Jeśli tak, to może byś mi wytłumaczył, w jaki sposób siedmiu twoich reporterów tego samego dnia podejmowało burmistrza obiadem? Ja z kolei przekażę wyjaśnienia swoim zwierzchnikom.

Fabio potrząsnął głową, jakby rozmawiał z nic nie pojmującym dzieciakiem.

– Benny, Benny, Benny. Wiesz przecież, jakim żarłokiem jest nasz burmistrz. Może jeść, jeść, jeść, bez końca.

Rostantino wreszcie nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem. Wziął rozliczenia z biurka i zaczął się wycofywać. Jeszcze rzucił przez ramię:

– To fantastyczne, Frankie. Jeśli kiedyś napiszę książkę o naszej redakcji, to nikt nie uwierzy, co się tu dzieje.

Fabio mruknął w kierunku Burke'a:

- Jak widzisz, sprawa załatwiona. A co mogę zrobić dla ciebie, miły chłopcze?
- Chciałbym jedynie poinformować, że jutro prawie cały dzień będę poza redakcją.
- Te przekręty w Szpitalu Uniwersyteckim, o których wspominał mi nasz wódz?
- Właśnie.
- Niech cię Bóg prowadzi, synu.
- I ja o tym marzę.

Burke powrócił do swego biurka i wykręcił wewnętrzny do Whitney.

– Za dwie minuty w windzie. Dobrze? – Zaśmiał się, słysząc jej odpowiedź, i odłożył słuchawkę.

Eddie Hartman patrzył na niego ciekawie.

- Nie znoszę, kiedy komuś tak świetnie idzie, a mnie nie – mruknął.
- Założyłbym się, że u ciebie to normalka – odparował Burke.
- Odpieprz się – warknął Eddie.

Burke ruszył do wyjścia, ale jeszcze w drzwiach dodał:

- Nie trać, stary, nadziei.

Rozdział dwunasty

Następnego dnia rano Burke wpadł do redakcji, by zabrać materiały, jakie dostał mu Jeny LaFrancois z biura finansowego miasta. Wieczorem poprzedniego dnia rozmawiał telefonicznie z Jennifer Wells i dziewczyna zgodziła się na spotkanie w kawiarni trzy przecznice za Szpitalem Uniwersyteckim. Uważała, że zarchiwizowaną dokumentację szpitalną najlepiej przeglądać w porze obiadowej lub wieczornej, kiedy przychodziła nocna zmiana. Wtedy właśnie Billy mógłby najspokojniej poszperać w aktach lekarzy. Ona pomogłaby mu wejść do szpitala i ominąć niezbyt uważnie sprawdzających wartowników.

Burke przejrzał zapiski od Jerry'ego i wybrał materiał dotyczący chirurgów i anestezjologów z placówek akademickich, którzy najprawdopodobniej pobierali od miasta pieniądze za pracę wykonywaną w szpitalach Belleuve i Harlem.

Postanowił zacząć od ostatniego roku. Uznał bowiem, że oszuści w miarę upływu lat nabierali pewności siebie, a jednocześnie stawali się coraz mniej ostrożni.

Miał do zbadania akta zwykłych lekarzy, ale postanowił się zająć tym, co mogło być najciekawsze, najbardziej sensacyjne. Należało sprawdzić, czy na przykład chirurg X nie krajał pacjenta Y dokładnie w tym samym czasie, za jaki płacono mu za wykonywanie zabiegu w niezbyt prestiżowym szpitalu miejskim.

Burke właśnie zebrał potrzebną dokumentację, gdy w sali pojawił się Eddie Hartman. W ręku miał walizę, a na sobie elegancki, jasnoniebieski garnitur, białą koszulę z wyłożonym na marynarkę kołnierzykiem i chustkę w kieszonce na piersi.

– Wybierasz się na majówkę? – zapytał Burke.

– Nie, do Wielkiego Grodu nad jeziorami, do Chicago.

– Do Stolicy Gangsterów? Co cię zmusza do opuszczenia naszego przytulnego miasteczka?

Hartman postawił bagaż obok krzesła i nadał swojej twarzy pogrzebowy wyraz.

– Wygląda na to, że wczoraj wielki Amerykanin i ukochany przywódca mafii, don Sam Giancana, przeniósł się na tamten świat. – Zrobił ręką ruch, jakby sobie podrzynał gardło. – Doliczono się siedmiu kul w jego głowie. Oczywiście samobójstwo.

– Najprawdopodobniej depresja spowodowana ustawicznymi niepowodzeniami w próbach rozprawienia się z Fidelem Castro – dorzucił Burke.

– Nie było w tym winy Giancana – zaprotestował Hartman. – Castro nie znosi włoskiej kuchni i wszyscy wiedzą, że nie zabije nikogo, chyba że facetów zajadających się włoskim spaghetti we włoskich restauracjach.

Burke pokiwał głową.

– Coś takiego. Castro ocalał dzięki alergii na włoską kuchnię.

– Ty jesteś pierwszy, któremu to mówię. – Hartman usiadł, spoważniał i bez cienia kpiny zwrócił się do kolegi: – Wyświadczyłbyś mi małą przysługę przed wyjazdem?

– O co chodzi?

– Czy twój informator z nowojorskiej FBI mógłby dać pocziwemu Hartmanowi jakiś kontakt w Wydziale Zorganizowanej Przeszłości w chicagowskim biurze federalnym?

– Zapytam – zgodził się Burke. – Zajmiesz się morderstwem i ewentualnym następcą Giancany?

– Tak. Jeszcze opiszę pogrzeb. To będzie niewątpliwie miłe wydarzenie.

– Mam nadzieję, że zabrałeś odpowiednie ubranie?

– Czarna koszula, biały krawat.

– Buty?

– A niech to, wiedziałem, że o czymś zapomniałem.

Burke sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do Deziego. W kilka minut potem wręczył Eddiemu karteczkę z numerem.

– To domowy telefon szefa wydziału w Chicago. Facet nazywa się Vincent Insulata. Mój przyjaciel uprzedzi go, że się odezwiesz.

– Jesteś genialny – ucieszył się Hartman.

Jennifer Wells czekała już w tylnej salce kawiarni. Burke wchodząc zauważył, że była nieco zdenerwowana, a na strój pielęgniarki narzuciła płaszcz przeciwdeszczowy mimo pięknej pogody. Zwrócił również uwagę, że miała na sobie spodnie, zgodnie z życzeniem doktora Jamesa Bradforda.

– Spóźnił się pan – zganiła Burke'a, gdy usiadł przy stoliku.

Spojrzał na zegarek. Była jedenasta trzydzieści pięć, co znaczyło, że dziewczyna czekała zaledwie pięć minut.

– Przepraszam, nie mogłem złapać taksówki.

Na stoliku koło Jennifer leżała wypchana torba papierowa. Pokazał na nią brodą i zapytał: – To dla mnie?

Przesunęła torbę w jego stronę, a on zerknął do środka. Znalazł tam stetoskop i biały lekarski fartuch, na którym widniała plakietka z napisem: Doktor John Rourke, chirurg.

– To wszystko, czego mi potrzeba? – zapytał Burke.

Jennifer wykrzywiła twarz w szyderym uśmiechu. Burke ponownie doszedł do wniosku, że dziewczyna stawiała się po prostu brzydka, kiedy wpadała w złość.

– Jeśli będzie pan odgrywał lekarza i zachowywał się pewnie, nikt pana o nic nie zapyta. – Potem wyjaśniła dokładnie, gdzie znajdowały się akta i jak się do nich dostać. Przez cały czas z twarzy Jennifer nie znikał niemły grymas złości. – Proszę tylko wejść bez najmniejszego wahania, wyszukać dokumenty i dać urzędnicze, by zrobiła panu kopie. Im bardziej będzie pan arogancki, tym większe wzbudzi pan zaufanie. Studenta czy stażystę od razu by spławili.

– Chirurga jednak każdy potraktuje uprzejmie. Tam wszyscy obawiają się o swoją pracę.

– A jak jest z nocną zmianą?

– Tak samo, tylko wtedy pracuje mniej ludzi. Zapewne będzie pan musiał sam sobie zrobić kopie. Proszę pamiętać, aby się podpisać jako doktor Rourke.

– A co to za jeden, ten doktor Rourke?

Jennifer wykrzywiła usta.

– Pracuje z Bradfordem. Teraz wyjechał z żoną na wakacje do Europy. Założę się, że w tym czasie pobiera wynagrodzenie za pracę w Belleuve... Aha – przypomniała sobie o czymś i sięgnęła do torebki. – Grafik urlopów Bradforda i Rourke'a. Obejmuje minione cztery lata. Jest tam też spis konferencji, w jakich uczestniczyli, i lista ich pacjentów. Do tego dochodzi wykaz obecności Bradforda w klubie golfowym, gdzie doktor bywa zawsze w środy. I jeszcze zapis jego spotkań towarzyskich w ostatnich tygodniach. Był w muzeum na otwarciu jakiejś wystawy. Wasz fotoreporter mógł mu zrobić zdjęcie w smokingu.

Burke szybko przejrzał wręczone papiery. Znalazł tam również artykuł Bradforda dla jednego z pism medycznych. Obok tekstu widniała fotografia lekarza.

Burke uznał, że należało chylić czoło przed skrupulatnością dziewczyny. Przyszło mu do głowy, że gdyby poważnie zachorował, chciałby, aby właśnie ona się nim opiekowała. Oczywiście, zakładając, że czułaby do niego sympatię.

– Czy nie istnieje niebezpieczeństwo, że w archiwum ktoś zna doktora Rourke'a? – zapytał.

Jennifer popatrzyła na Billy'ego zdumiona.

– Bradford i Rourke nie mają żadnych kontaktów z ludźmi na tak niskim szczeblu. Tam przychodzi jedynie personel obsługujący lekarzy. Gdy pojawi się sam chirurg, urzędnicy będą podnieceni, nawet potracą głowy. Pańską obecność uznają za zaszczyt.

Burke rozważał słowa Jennifer.

– Mówiła pani, że najbezpieczniej wpaść do archiwum wieczorem, prawda?

– Oczywiście, choć nie jest to konieczne.

– Zastanawiam się, czy mogę napotkać tam innego lekarza, znającego doktora

Rourke'a.

– Bez obaw. Proszę tylko nie wchodzić na piętro, gdzie znajduje się chirurgia. Niech pan też nie zagląda do stołówki lekarskiej, do kawiarni i pokoju wypoczynkowego dla chirurgów.

– To jest osobna kawiarnia dla lekarzy? – zdumiał się Burke.

– A co pan sądził, że będą jadałi ze zwykłymi śmiertelnikami? – Pogłaskała Billy'ego po ręce. – Jeszcze musi się pan wiele nauczyć na temat zwyczajów panujących w kręgach lekarskich.

Do Szpitala Uniwersyteckiego Burke wybrał się dopiero o ósmej wieczorem. Tak właśnie sobie zaplanował po spotkaniu z Jennifer. Przejrzał uważnie dokumentację i sporządził wykaz prywatnych zajęć doktora Jamesa Bradforda.

Zajął mu to całe popołudnie. Potem wrócił do siebie, do mieszkania, przespał się, by odzyskać formę po nocy spędzonej w łóżku Whitney. Zjadł bez większego apetytu jakieś gotowe i odgrzewane danie obiadowe. Potem założył białą koszulę oraz krawat, gdyż uznał, że tak właśnie noszą się panowie doktorzy.

W fartuchu lekarskim, ze stetoskopem wystającym z kieszeni, Burke kroczył korytarzem pierwszego piętra szpitala. Poruszał się z możliwie maksymalną pewnością. Nie mógł się pozbyć strachu, że nagle ktoś idący przed nim dostanie zawału i upadnie. Nie potrafił sobie wyobrazić, co by zrobił, kiedy kilkanaście pielęgniarek skupionych wokół leżącego oczekiwałoby, że to on uratuje faceta. Odpowiedź przyszła mu sama do głowy. Postąpi identycznie jak w sytuacji, gdyby ktoś zechciał sprawdzić jego tożsamość. Będzie nadrabiał bezczelnością. Uda zniecierpliwionego, a w dogodnym momencie po prostu weźmie nogi za pas.

Sztywny, wyniosły, pewny siebie szedł w kierunku archiwum akt szpitalnych, skinieniem głowy odpowiadając na ukłony przechodzących pielęgniarek.

Ktoś powiedział: „Dobry wieczór, doktorze”, co umocniło Burke'a w przekonaniu, że nie budzi podejrzeń.

Archiwum zajmowało długie pomieszczenie wypełnione wysokimi regałami, gdzie leżały akta w kolorowych teczkach i segregatorach. Salę od wejścia oddzielała drewniana barierka, za którą stało kilka biurek oraz stolików, z czego tylko dwa były zajęte. Mężczyzna i kobieta patrzyli na wchodzącego, który najwyraźniej traktował archiwum jak swój prywatny gabinet.

– W czym mogę pomóc, doktorze? – zapytał młody mężczyzna, wstając zza biureczka.

– W niczym, dziękuję. Muszę tylko sprawdzić coś w aktach chirurgów. Sądzę, że

wiem, gdzie się znajdują. – Mówił takim tonem, jakby wydawał polecenia. Przypuszczał, że tak właśnie odzywałby się prawdziwy doktor Rourke.

Młody człowiek był grubym okularnikiem, z okrągłą, pucołowatą twarzą, pokrytą czerwonymi plamami. Włosy miał źle przystrzyżone. Z kieszeni białej koszuli wystawało kilka długopisów. Dziewczyna, dwudziestokilkuletnia, stanowiła zupełne przeciwieństwo swojego kolegi: zuchwała mina, starannie uczesane blond włosy, ładna buzia. Patrzyła nieco melancholijnie niebieskimi, wielkimi i błyszczącymi oczami. Obcisły, błękitny pulower uwydatniał kształtny biust. Kiedy się pochylała, piersi opierały się o blat biurka.

Taka ekipa urzędników dyżurujących w archiwum jeszcze bardziej umocniła pewność Burke'a, że wszystko pójdzie gładko. Młody mężczyzna będzie raczej zajmował się swoją koleżanką niż panem doktorem szperającym w aktach archiwum. Ponadto, urzędnik zostawi lekarza w spokoju, by w obecności dziewczyny nie postawić się w nieprzyjemnej sytuacji.

Kłopoty nadeszły z całkiem nieoczekiwanej strony.

Archiwistka wstała i uśmiechając się zalotnie, podeszła do rzekomego lekarza.

– Jeśli pan doktor chce jakichś kopii, to chętnie zrobię – zaoferowała i nie czekając na odpowiedź, włączyła stojącą nieopodal kserokopiarkę.

Burke już miał na końcu języka prośbę, by dziewczyna swoją zgrabną pupcię posadziła z powrotem na krześle. Taka reakcja byłaby właściwa szczególnie dlatego, że urzędnik z jednoznacznym błyskiem zazdrości w oczach obserwował każdy ruch blondynki.

– Jeśli zajdzie potrzeba, sam poproszę o pomoc – powiedział ostatecznie.

Starał się, by jego zimny głos wyrażał wyższość i zniecierpliwienie. Miał nadzieję, że to zniechęci dziewczynę. Ona jednak nie rezygnowała. Burke wybrał więc inny sposób postępowania. Wyciągnął z kieszeni banknot pięciodolarowy i podając go urzędnicze, poprosił:

– Niech pani, z łaski swojej, przyniesie nam trzy kawy? Jestem na nogach od czwartej rano i za chwilę zasnę. – Uśmiechnął się miło, co miało podkreślać jego zmęczenie.

Blondynka wzięła pieniądze i powiedziała:

– Pan powinien być w łóżku. – Uśmiechnęła się przy tym figlarnie, jakby chciała dodać: „Z kimś, kto by pana zrelaksował?”

– Dla mnie czarna – dorzucił Burke i skierował się do regałów.

Nie patrzył za wychodzącą dziewczyną, ale był pewien, że kołysała biodrami.

W chwilę potem podszedł do niego młody urzędnik. Burke pomyślał, że już woli towarzystwo tego chłopca niż wyraźnie szukającej okazji do flirtu dziewczyny.

– Ja zrobię kopie, jakie panu potrzebne, doktorze odezwał się urzędnik. Wendy nawet to potrafi spieprzyć.

Burke uznał, że teraz należało się zachować po koleżeńsku.

– Aha, to jedna z tych oferm. Szpitale pełne są takich.

– Owszem, ale miło na nie popatrzeć. – Urzędnik wyszczerzył żółte zęby.

Burke rozmawiał, a jednocześnie grzebał w aktach. Natrafił na nazwisko „Bradford”, przy którym było napisane: „Kardiochirurg. 14 maja, 1975”. Billy sprawdził coś w swoich notatkach i uśmiechnął się. Z akt znajdujących się w archiwum wynikało, że Bradford operował kogoś w Szpitalu Uniwersyteckim, a jednocześnie za ten dzień otrzymał zapłatę z urzędu miasta za pracę w Belleuve. A więc Burke zdobył już pierwszy dowód. Zwrócił się do urzędnika:

– To, czego szukam, wymaga koncentracji. Kiedy Wendy wróci, mógłbyś ją czymś zająć?

Młody człowiek wyglądał na uradowanego.

– Oczywiście, doktorze. Nie ma problemu.

W dwie godziny później Burke miał pełną kopertę fotokopii akt będących świadectwem działalności chirurgów w ciągu minionych sześciu miesięcy. Jeszcze cztery takie wizyty i dokumentacja będzie pełna. Ruszył w kierunku drzwi.

Urzędnik przygotowywał się do wyjścia, a Wendy siedziała na swoim miejscu i uśmiechała się do lekarza.

– Znalazł pan, czego szukał, doktorze? – zagadnęła.

– Nie wszystko. Czeka mnie jeszcze moc roboty – odpowiedział Burke.

– Chętnie bym pomogła. – Posłała mu prowokujące spojrzenie.

– Jesteś tu każdego wieczoru? – zapytał, oczekując odpowiedzi odmownej.

– Trzy razy w tygodniu. Mam zbyt wiele zajęć na akademii, bym mogła siedzieć tu codziennie.

Burke był zdumiony. Dziewczyna nie wyglądała mu na studentkę.

– Który rok? – zainteresował się.

– Drugi. Za rok rozpocznę pracę przy chorych.

Burke’owi przyszła do głowy pewna myśl. Pochylił się nad biurkiem urzędniczkim i powiedział:

– Być może będziesz mi potrzebna.

– Twarz Wendy pojaśniała.

– O, jakże się cieszę!

Burke uśmiechem odpowiedział na uśmiech i całkiem swobodnie zaczął wygłaszać

kłamstwo na temat tego, czego szukał w archiwum.

– Usiłuję zebrać propozycje dotyczące czasu pracy wolontariuszy w szpitalach miejskich, w Belleuve i w Harleemie. Chodzi częściowo o zgranie tego z programem nauki w akademiach medycznych. Niestety, mimo moich próśb urzędnicy nie zdołali zebrać odpowiednich informacji.

– Ja mogę to zrobić – zaofiarowała się Wendy. – Mam rozkład zajęć. Dostajemy na początku roku, by wybrać grupy i wykładowców.

Burke poczuł, że szanse na powodzenie rosną.

– Potrzebne mi są materiały za okres minionych trzech lat – wyjaśnił i szybko dodał: – Usiłuję ustalić, ile mamy wolnego czasu, i odeprzeć wszelkie argumenty, że jest go zbyt mało.

– Na pewno uda mi się zebrać dokumentację za okres trzech lat. Trzeci rok też tkwi gdzieś w aktach. – Przez chwilę się zastanawiała. – Archiwizujemy tu wiele dokumentów, bo znaczna część zajęć odbywa się właśnie w szpitalu.

– W każdym razie dla studentów od trzeciego roku. – Popatrzyła na niego z wyrzutem. – Przecież pan wie o tym.

Burke uśmiechnął się, jakby przyjął do wiadomości jej uwagę i akceptował własne niedopatrzenie.

– Pokażę panu, gdzie trzymamy te materiały, a pozostałe przyniosę ze szkoły.

– Świetnie. Oczywiście, nie ma pośpiechu – dodał. – Wystarczy, że dostanę akta za kilka dni. – Na moment zamilkł, pragnąc nadać większe znaczenie swoim słowom. – Bardzo byłbym wdzięczny, gdyby cała sprawa pozostała między nami. Pragnąłbym uniknąć sprzeciwów ze strony kolegów, zanim uzyskam, czego potrzebuję.

Wendy uśmiechnęła się.

– Będę cicho jak myszka – zapewniła. – Podobno mężczyźni nie znoszą gadatliwych bab.

Burke aż jęknął w duszy i pomyślał, że rewolucja feministek przybiera najbardziej dziwaczne formy. Odsunął jednak od siebie te rozważania, a głośno powiedział:

– Jestem pewien, że pod tym względem ty nie masz się o co martwić.

Następnego ranka, gdy Burke wkroczył do sali redakcyjnej, Fred Costa z zapalem stuknął w klawisze maszyny do pisania.

– Niewątpliwie pracujesz nad jakimś wielkim tematem – rzucił w kierunku kolegi Burke.

– Wcale nienowym. – Costa mówiąc, nie wyjmował z ust ogromnego cygara. – To nasza coroczna sensacja z dziedziny transportu, atak na parkingi dyplomatyczne. W tym

roku mamy apelację pewnego radnego, który domaga się zniesienia przywilejów parkowania dla pojazdów DC.

Burke zagłębił się w swoim siedzisku, odczuwając radość, że nie on zajmował się problemami transportu miejskiego. Sprawa parkowania samochodów z tabliczkami DC stanowiła żelazny temat ukazujący się ku radości czytelników przynajmniej raz w roku na łamach gazety. Równocześnie był to temat dwuznaczny i pełen fałszu, co zawsze zdumiewało Burke'a. Wszyscy dyplomaci otrzymywali pozwolenie oznaczenia swoich wozów skrótami DC. To upoważniało ich do parkowania w miejscach wyznaczonych w pobliżu placówek dyplomatycznych i misji akredytowanych przy ONZ. Ponadto dyplomaci parkowali gdzie popadło i nie otrzymywali za to mandatów. Prasa nowojorska miała natomiast na samochodach tabliczki z napisem NYP i mogła parkować w wyznaczonych dla niej miejscach rozrzuconych po całym mieście. Dziennikarze też parkowali, gdziekolwiek im się podobało, a nie zapłacone mandaty zwracali przez Klub Prasowy. Kiedyś, przed laty, Burke opisał w swoim felietonie te dwa sposoby parkowania, co jednak niewiele zmieniło. I nic dziwnego, ponieważ tekstu nie opublikowano.

Billy nigdy nie przestał się dziwić tej podwójnej moralności i od lat zabierał się do napisania artykułu, w którym ujawniłby hipokryzję mediów. W gazetach jednak nadal z lubością opisywano „skandal”, jakim były przywileje parkingowe dyptomatów. I bardzo podobnie traktowano takie tematy, jak podróże i podarunki fundowane przez rozmaite firmy różnym politykom. Prasa zaciekle krytykowała ten obyczaj, a jednocześnie sama korzystała z darmowych przelotów, hoteli, biletów teatralnych, cyrkowych i na mecze sportowe. Bezpłatnie spożywali posiłki w restauracjach, a ponadto gratis udostępniano im pomieszczenia w budynkach różnych urzędów. „Globe” miał takie lokale w Waszyngtonie, w Albany i w samym Nowym Jorku, w ratuszu miejskim. Za wodę, światło, ogrzewanie płacili podatnicy.

Burke nie po raz pierwszy pomyślał, że roztrząsanie sprawy przywilejów parkingowych dla dyptomatów jest czystą hipokryzją. A jednak sam wielokrotnie korzystał z darmowych biletów do teatru i na mecze sportowe. Przed rokiem zaprosił mieszkającego za miastem swego ukochanego wuja na mecz na stadionie Yankees, potem na obiad do pewnej znanej restauracji, a wreszcie zakwaterował krewnego w jednym z ekskluzywnych hoteli. Jedynym wydatkiem, jaki przy tej okazji poniósł, były opłaty za przejazdy taksówkami. Sam przed sobą się usprawiedliwiał, że tak robią przecież wszyscy.

Zadumę, w jakiej się pograżył, przerwał mu ktoś, kładąc rękę na jego ramieniu. Billy odwrócił głowę i zobaczył Lenny'ego Twista. Naczelny ruchem głowy wskazał swój

gabinet i powiedział:

– Muszę wiedzieć, jak leci. Możesz teraz?

Burke przytaknął:

– Zaraz do ciebie wpadnę. – Zebrał notatki i pochylając się nad Fredem Costą, powiedział przyciszonym głosem: – Dziwne, że za te informacje o parkingach DC nie postawiono ci jeszcze szampana. Sądziłem, iż wszystko skończy się przyjęciem redakcyjnym.

Costa zerknął znad maszyny i burknął:

– To lokalny temat, kolego, i poza dyplomatami z Nowego Jorku nikt się tym nie podnieca.

Burke poklepał go po ramieniu.

– W grę wchodzi jednak tysiące miejsc parkingowych. Sekretariat redakcji chciałby zapewne, byś zgłębił całe zagadnienie.

Costa wzruszył ramionami i udając przejętego, jęknął:

– Nigdy o tym nie pomyślałem. A niech to...

Przed drzwiami do gabinetu stali Twist i Arnie Goodman, jeden z politycznych reporterów gazety. Twist właśnie rugał Goodmana za jakiś materiał, a dziennikarz słuchał z wypiekami na twarzy.

– Prosiłem, byś napisał artykuł na temat pieprzonego systemu zakupów dokonywanych przez miasto – warczał Twist. – A ty mi przynosisz pełne drobiazgów sprawozdanie dotyczące wyposażenia biur miejskich.

– Sądziłem, że o to właśnie chodziło – usprawiedliwiał się słabym głosem Goodman.
– Ja...

Twist nie dał mu dokończyć.

– Gdzie ty masz głowę, Arnie? Nowy Jork to finansowe szambo. Wszyscy o tym wiedzą. Mamy teraz najgorszy kryzys w historii. Pomyśl, Arnie. Fakt numer jeden: największe miasto kraju staje się niewypłacalne. Fakt numer dwa: politycy rządzący miastem dali plamę. Teraz wybrali tego przekłętego bankiera na szefa Korporacji Wspomagania Miasta, by ich wykupił. Kto za te błędy jest odpowiedzialny? Kogo oskarżać? Potrzebujemy wyjaśnień. – Powiedziawszy to, Twist zamachał kartkami z materiałem Goodmana. – A ty, co mi dałeś? – kontynuował. – Jakaś opowieść o tym, jak władze miasta wyrzucają przez okno nasze pieniądze. – Przymknął oczy i pokręcił głową, dając tym samym wyraz przekonaniu, że ma do czynienia z głupolem. Potem ponownie spojrzął na Goodmana. – Musimy podać nazwiska polityków miejskich, których by można było zapędzić do kąta. A ty z czym przychodzisz? Z opisami, jak

miasto zmienia sprzęt biurowy używany zaledwie od dwóch lat. Zmieniają... no to co? Rząd federalny od wieków marnuje forszę podatników. Potrzebujemy faktów, nazwisk, konkretnych ludzi! Tu nic takiego nie ma. – Po tych słowach cisnął kartki z tekstem Goodmana i patrzył, jak ten usiłował je złapać. – Chciałbym wiedzieć, który z dygnitarzy miejskich zamawiał to cholerne wyposażenie, i co łączy drania z dostawcami.

– A może nic ich nie łączy – zaprotestował Goodman. – Może nastąpiła zwykła transakcja...

Twist ponownie przerwał mu w połowie zdania:

– Nie wciskaj mi takich kitów, Arnie. To na kilometr pachnie łapówką. Twoim zadaniem jest znalezienie dowodów. Wszystko mi jedno, czy faceci spotkali się na jakimś przyjęciu, na którym zbierano na fundusze wyborcze, czy przy innej okazji. To w każdym razie konspiracja i musimy zdemaskować jej członków.

Pomyśl o tym, Arnie – Twist postukał się w głowę. – Przypomnij sobie „Watergate”. Mineły już dni, kiedy relacjonowaliśmy jedynie działalność rządu. Teraz piszemy o wypadkach decydentów, ale i to nie wystarcza. Musimy podać, kto napieprzył i dlaczego. I grzebiemy się w sprawie tak długo, aż znajdziemy odpowiedzi, na które czeka czytelnik. Aż dotrzemy do prawdy i doprowadzimy polityków do hysterii. I właśnie to jest twoim zadaniem. A jeśli tego nie potrafisz, znajdę kilkunastu innych na twoje miejsce. Rozumiesz?

Goodman gorliwie przytakiwał naczelnemu. Po chwili Burke w milczeniu patrzył za odchodzącym kolegą. Sam fakt, że stał się świadkiem tego rodzaju rozmowy, powodował, że i on poczuł się upokorzony. Bez słowa wszedł za Twistem do gabinetu.

Lenny usiadł za biurkiem i złożył przed sobą ręce jakby do religijnej kontemplacji. Burke poczuł chęć przyłożenia szefowi w ten jego wystający nos.

– No dobrze, a teraz ty – odezwał się Twist. – Co do tej pory znalazłeś?

Burke zrezygnował z wymarzonego ataku i zrelacjonował wyniki poszukiwań materiałów kompromitujących lekarzy. W miarę jak referował, zauważył, że spojrzenie Twista łagodniało, a twarz utraciła rysy surowej bezwzględności.

– To, co znalazłeś, dotyczy tylko minionych sześciu miesięcy, prawda?

– Tak.

– A jak daleko w przeszłość zamierzasz się posunąć?

– Jakies trzy lata. Chciałbym pokazać, że fałszerstwo trwa od dawna.

– Bardzo dobrze. Inaczej szpitale zaczęłyby tłumaczyć, że to wszystko jest jedynie pomyłką popełnioną przez urzędników administracji. Kiedy będziemy dysponowali materiałami za okres trzech lat, każdy, kto uciekałby się do takiej wymówki, zostałby po prostu wyśmiany. – Twist postukał ołówkiem w blat biurka. – Jak sądzisz, ile czasu ci to

zajmie?

– Jeśli dopisze mi szczęście, tydzień, góra dwa.

Twist przymrużył oczy, a Burke domyślał się, że naczelny kalkuluje czas.

– Nic się nie pali, w szczególności jeśli publika się zainteresuje. A materiały muszą mieć solidne uzasadnienie. – Twist ponownie zastanawiał się nad czymś. Nie wiem, czy zdołam zwolnić cię na dwa tygodnie od zwykłych obowiązków reportera. Spróbuję, ale nie mogę obiecać. Przechylił się ze swoim krzesłem do tyłu. – Teraz potrzebowalibyśmy więcej materiałów odnośnie małego chłopca.

Jeszcze nie wystosowaliśmy prośby, a już zaczyna napływać forsa. – Z powrotem usiadł prosto za biurkiem. – Prezes wydawnictwa jest podniecony. Uważa, że złapaliśmy wyjątkowy temat. A ja, oczywiście, nie chciałbym go rozczarować.

On tymczasem zatwierdził już budżet na nadanie sprawie rozgłosu. Rozlepimy plakaty reklamowe, wydrukujemy ulotki. Chłopcy roznoszący gazety dostaną odpowiednie skarbonki. Takie same puszki ustawimy również w kioskach z prasą. My natomiast musimy podsycać zainteresowanie dzieciakiem.

Burke słuchał tego ze zdumieniem. Nie spodziewał się, że sprawa chwyci tak szybko. Dotarło również do niego, jak bardzo tematem zaczynał być zainteresowany Twist. A to oznaczało jedno – działalność Billy'ego Burke'a, jako reportera i autora materiałów, nabierała szczególnego znaczenia. Oczywiście, takie tematy ciągnięte przez dłuższy czas przysparzały dodatkowych kłopotów i wiele zależało od zwykłego szczęścia i przypadku. Na dodatek w prasie zawsze tak bywało, że to, co jednego dnia wydawało się genialne, następnego przeistaczało się w szmirę. Skomplikowane zagadnienia, drażone całymi tygodniami, były towarem niestabilnym. Dlatego wszyscy wydawcy tak chętnie przerzucali się z jednej sensacji na drugą. Nawet jeśli tematyka tej pierwszej nie została jeszcze do końca wyeksploatowana.

– Co myślisz o pokazaniu poświęcenia matki i babki małego? – zasugerował Burke.
– To bardzo sympatyczne i atrakcyjne panie. A my o nich jedynie zdawkowo wspominaliśmy. – Zobaczył na twarzy Twista wyraz niesmaku, a w oczach powątpiewanie. Dlatego szybko dodał: – Wszystko to powiążemy z osobą chłopca. Pokażemy, jak walczą ze złym losem. Jak są przerażone, że pomoc może przyjść poniewczasie.

Twist nie pozbył się wątpliwości, ale najwyraźniej dostrzegał już coś, co go zaciekawiało.

– Masz rację. Trzeba spróbować. Pamiętaj jednak, że w tle zawsze musi się znajdować zarys małej, białej trumienki. Oczywiście, nie opisuj tego dosłownie, ale dobitnie zasugeruj czytelnikowi, że ten mały... jak mu tam na imię... może z łatwością

zawędrować do domu pogrzebowego. – Mrugnął do Burke'a. A wiem, że potrafisz tak pisać. Im więcej łez wyciśniesz z oczu odbiorców, tym lepiej dla nas.

Burke wzruszył ramionami i mruknął:

– To jest niegodziwe, Lenny. Naprawdę niegodziwe.

– Co ty wygadujesz? – oburzył się naczelny. – Chcesz przecież, by mały miał operację, prawda? To zabierz się do porządnego pojękiwania. Czytelnik musi zaszlochać, sięgnąć po chustkę do kieszeni, a przy okazji wyjąć portfel. Twist zatarł ręce i wstał, dając sygnał, że rozmowa skończona. – O to właśnie chodzi. O kasę, rozumiesz? O kasę, kasę, kasę – powtarzał wykrzywiając twarz.

Rozdział trzynasty

Maria Avalon popatrzyła na zegar wiszący na ścianie. Była czwarta czterdzieści. Jeszcze dwadzieścia minut dzieliło ją od spotkania z Billym Burke'em.

Telefonował i pozostawił wiadomość u Rose. Kierowniczka uśmiechała się głupawo i dogadywała jej coś na temat nowo poznanego mężczyzny. W rzeczywistości Maria mogła sobie jedynie życzyć, by znalazł się ktoś, kto chciałby dzielić z nią życie i być dobrym ojcem dla Roberta.

Rozważając, nie przestawała pracować. Ręce automatycznie wykonywały określone ruchy. Myśli Marii krążyły daleko od zakładu krawieckiego. Rozwinęła na stole belę materiału, rozprostowała i wygładziła fałdy, po czym przyłożyła formę. Zrobiła to tak, by jak najmniej tkaniny zostało zmarnowane. Krojczy uwijał się przy stole obok. Zaraz podejdzie do jej stanowiska, a wtedy ona zakończy na ten dzień pracę.

Maria pomyślała o Burke'u. Billy. To imię dobre dla małego chłopca, a nie dla dorosłego faceta. Według oceny Marii, Burke miał około trzydziestu pięciu, góra czterdziestu lat. Był przystojnym mężczyzną, choć nie wybitnie pięknym, w przeciwieństwie do jej eks-męża. Sprawiał jednak wrażenie zmęczonego. To dostrzegało się w jego oczach. Było coś, co go musiało gnębić, całkiem tak, jak ją przytłaczała choroba Roberta. Oboje zbyt dobrze poznali życie.

Poprawiła wykrój, by jeszcze bardziej oszczędzić materiał. Nadal jednak myślami krążyła wokół osoby dziennikarza. Nagle uświadomiła sobie, jaką jest idiotką. Ciężko westchnęła. Co ktoś taki jak on mógłby zobaczyć w ubogiej Latynosce? W dziewczynie pracującej w zakładzie konfekcyjnym, której wieczory zajęte były chodzeniem wokół chorego synka. W kimś niewykształconym, kto nic o niczym nie wiedział. Ręce nie przerywały pracy, a w głowie zaświtało ostrzeżenie – przestań się wygłupiać. Billy każdego dnia spotyka się z różnymi osobistościami, rozmawia z nimi, chodzi na obiady, słucha ich odpowiedzi na ważne pytania.

Co by było, gdyby zaprosił ją na obiad z jakimś dygnitarzem? Boże, wszyscy pękaliby ze śmiechu. Ona w jednej ze swoich starych sukienek, nie mająca pojęcia, co powiedzieć w ogóle, nie rozumiejąca, o czym mowa. Maria usiłowała myśleć o czymś innym, ale obraz Billy'ego powracał. Przypomniała sobie scenę ze szpitala, kiedy się przytuliła do Burke'a, a on ją uspokajał. Boże, jak przyjemnie było znaleźć się w silnych, męskich ramionach. Billy tak bardzo różnił się od Latynosów, których spotkała kilkakrotnie w Klubie Hiszpańskim, dokąd chodziła w nadziei, że pozna kogoś ciekawego. Tamci patrzyli na nią z pożądaniem, w tańcu dotykali jej pośladków

i z reguły mówili, że jest bardzo seksowna. Czasami, przez krótką chwilę, ona także czuła pożądanie. Jej ciało dopominało się o kogoś, kogo mogłaby pokochać. Jak bardzo pragnęła znaleźć taką osobę.

Raz jeszcze poprawiła materiał. Po prostu musiała coś zrobić z rękami. Na chwilę wspomniała męża. Przez dłuższy czas wierzyła Miguelowi. Byli przecież jeszcze dziećmi, kiedy tu przyjechali. Bardzo go kochała. Teraz nawet nie potrafiła zrozumieć dlaczego. Potem on narkotykami zabił miłość i pochował tak głęboko, że już nie umiała jej odnaleźć. Nie wiedziała, dlaczego tak bardzo kiedyś potrzebowała Miguela.

Billy, choć nosił imię małego chłopca, był prawdziwym mężczyzną.

Ta myśl wstrząsnęła Marią. Przecież on miał żonę i dziecko. Nie rozwodził się, bo w głębi serca tego nie chciał. Zapewne też chodził z jakąś dziewczyną, śliczną, inteligentną, podobną do jego żony. Maria wiedziała, że kobieta, z którą Burke żył w separacji, była dobrą matką. Na zdjęciu widziała jej oczy wpatrzone w dziecko.

– Maria!

Podniosła głowę i zobaczyła Rosę zbliżającą się kaczkowatym krokiem.

Tłuste ciało kierowniczkki podskakiwało przy każdym ruchu. Nieruchoma pozostawała jedynie blond fryzura usztywniona mocnym lakierem.

– Pan Singer chce z tobą rozmawiać – powiedziała Rosę.

– O Boże, co takiego zrobiłam? – przeraziła się Maria.

– Rosę wzruszyła ramionami.

– Nikt nie wie, co mu może wpaść do głowy. – Machnęła grubą dłonią. On zawsze z czymś niespodziewanie wyskoczy. Trzeba jednak pamiętać, że podpisuje nasze wypłaty. Idź więc i uśmiechaj się do niego. Bądź miła. Zachowuj się tak, by coś mu drgnęło w spodniach. To uszczęśliwi Singera, a on wtedy uszczęśliwi nas.

Maria ruszyła za Rosę w kierunku biura, oszklonej altany usytuowanej pośrodku hali krawieckiej. Wewnątrz biura znajdowało się jeszcze jedno przeszklone pomieszczenie – gabinet Berta Singera.

Weszła do szefa i z ulgą zobaczyła, że firanki na oknach były zaciągnięte.

To ją uspokoiło. Kiedy Singer kogoś wyrzucał, robił to zawsze przy odsłoniętych firankach, wrzeszcząc i wymachując rękami. Singer informował wszystkich zatrudnionych, że praca w tym interesie zależy tylko i wyłącznie od niego, i można ją łatwo stracić, jeśli nie potrafi się jego zadowolić.

Gdy weszła, Singer kazał zamknąć drzwi. On sam siedział za wielkim biurkiem. Śnieżnobiała koszula i czarny, jedwabny krawat szefa błyszczały w świetle lampy wiszącej nad blatem. Singer był niewysokim facetem, niewiele wyższym od Marii, w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, krótko ostrzyżonym, ze starannie

wypielegnowanymi paznokciami. Mogło się wydawać, że jest całkiem przystojnym i sympatycznym mężczyzną, ale dobre wrażenie zniknęło, kiedy się spojrzano Singerowi w oczy. Wzrok miał zimny i ostry, nawet kiedy starał się być miły.

Singer założył ręce na karku i przechylił się z fotelem do tyłu.

– Czytałem o tobie w gazecie – powiedział. – Chciałbym wiedzieć, czy masz zieloną kartę. Na wszelki wypadek, gdyby z Biura Emigracyjnego przyszli i zaczęli sprawdzać. Oni też przeglądają prasę.

Maria zauważyła, że szef przyglądał się jej nogom. Podnosił powoli wzrok od kostek po kolana i uda.

– Jestem z Portoryko, a więc nie potrzebuję zielonej karty.

– Tu wielu twierdzi, że pochodzi z Portoryko – mruknął Singer. – A potem Biuro Emigracyjne sprawdza i okazuje się, że są z Nikaragui, Kostaryki czy Bóg wie skąd. Nie chcę mieć kłopotów. Podniósł oczy i patrzył teraz na jej twarz takim wzrokiem, jakby wyceniał wartość dziewczyny.

– Jutro przyniosę z domu świadectwo urodzenia – powiedziała Maria.

Singer skinął głową.

– W porządku, dostarcz mi ten dokument. Tak na wszelki wypadek, gdyby wpadła jakaś inspekcja. Znajdą jednego podejrzanego i kontrolują wszystkich. A potem jest fura kłopotów. – Znow rozparł się w fotelu i powrócił do oglądania nóg pracownicy. – Wiesz – zaczął ponownie – że ty byś się tutaj bardzo przydała. Gdybyś chciała, mogłabyś pracować w biurze. Dobrze się prezentujesz, a ja lubię ładne dziewczyny wokół siebie. Klientom też jest przyjemnie, kiedy są obsługiwani przez takie ślicznotki. – Popatrzył Marii w oczy. Musiałabyś być jednak miła. Rozumiesz? – Chwilę milczał. – Gdyby cię ktoś poklepał po tyłeczku, nie wolno by ci było robić awantur. Wiesz, co mam na myśli?

Zaczął się z kolei przyglądać jej piersiom, i to tak natarczywie, że instynktownie przysłoniła je rękami.

– Podoba mi się moje dotychczasowe zajęcie – odparła. – Lubię pracować z dziewczynami i z krojczykami.

Singer wzruszył ramionami, jakby zlekceważył ten argument.

– W biurze zawsze lepiej zarobisz. Może nawet załatwi ci się ubezpieczenie. Bardzo byś pomogła synowi.

Maria spuściła oczy i zacisnęła usta. Kiedy się odezwała, wyczuwało się, że stara się ukryć wzburzenie.

– Rozmawiałam z agencją ubezpieczeniową. Zastanawiam się nad wykupieniem polisy. Mówią, że ubezpieczenie będzie obejmowało Roberta, bo tu się urodził i tu zachorował.

Singer nachmurzył twarz i zamachał rękami:

– Wiem, to normalne. Tu jednak dostałabyś więcej pieniędzy. Oczywiście, jeśli potrafisz być przyjazna, nie odmawiać zaproszeń na spotkania po pracy.

Maria nabrała powietrza w płuca.

– Lubię to, co robię, panie Singer – powtórzyła dobitnie. – A wieczory muszę poświęcać synowi.

Singer nie przestawał machać ręką, jakby odpędzał jej słowa:

– Dobra, dobra. Pomyśl jednak o sobie. Nic nigdy nie wiadomo. A może postanowisz spróbować. I spodoba ci się. A jutro koniecznie przynieś świadectwo urodzenia. Rosę zrobi kopię i wsadzi do akt.

Rozdział czternasty

Burke już czekał, gdy Maria wyszła z windy. Przedarł się przez spieszący ku wyjściu tłum, wziął ją pod rękę i ruszyli z prądem.

– Boże, czy ci ludzie uciekają przed pożarem?

Maria uśmiechnęła się do dziennikarza.

– Tak jest codziennie. Każdy chce pierwszy dotrzeć do metra. Jeśli wygra wyścig, złapie jeszcze miejsce do siedzenia.

– A co, w metrze panuje tłok?

Ponownie się zaśmiała.

– W godzinach szczytu, owszem, każdy jednak ma nadzieję, że dopisze mu szczęście.

Wyszli na ulicę i stanęli na krawężniku. Burke wyciągnął rękę.

– Zatrzymam taksówkę. W samochodzie z całą pewnością wygodnie usiądziemy.

– To za drogie – zaprotestowała.

– Jedną z jasnych stron naszej pracy jest zwrot kosztów. My jeździmy, a redakcja płaci.

Chciała coś odpowiedzieć, ale tuż za ich plecami rozległ się nagle śmiech.

Odwrócili głowy. Kilka kroków od nich stał przeraźliwie chudy człowiek. Jego jasne blond włosy były rozczochrane, a oczy świeciły dziwnym blaskiem. Wyglądał na dwadzieścia pięć lat. Młodzieniec liczył zwinięte w rulon banknoty i co chwila wybuchał śmiechem. W pewnym momencie podciągnął jedną nogawkę i wsunął zwitek pieniędzy za skarpetę. Wyprostował się i ponownie zarżał.

– Boziu, jak to dobrze wyjść ze szpitala – wykrzyknął radośnie. Potrząsał głową i przechylał ją raz w jedną, raz w drugą stronę, w czym przypominał Burke'owi ptaka. – Jak wspaniale być bogatym! Mieć pieniądze, by wydawać je na dziewczęta.

Nagle odwrócił się gwałtownie i zaczął maszerować środkiem chodnika.

Stawiał długie kroki i nadal potrząsał głową. Przeszedł kilkanaście metrów, stanął, zawrócił i ruszył w przeciwnym kierunku. Idąc, ciągle wykrzykiwał: – Jak to dobrze wyjść ze szpitala! Jak wspaniale mieć pieniądze na dziewczęta!

Maria i Burke parsknęli śmiechem.

– Kto to? Czy nagrywają jakąś audycję telewizyjną? – zdumiała się Maria.

Chudzielec najwyraźniej usłyszał jej słowa, bo zatrzymał się i dzikimi oczami patrzył kobiecie prosto w twarz.

– Jestem szeryfem z Nottingham – wyjaśnił. – Jak cudownie być szeryfem!

Dał krok w ich kierunku, a Burke wysunął się przed Marię.

– Doskonale, szeryfie. Może jednak przystopujesz?

Młodzieniec stanął i zamrugął.

– Kochany – powiedział Burke. – Właśnie widziałem Robin Hooda o jedną przecznicę stąd.

Facet zrobił wielkie oczy i zapytał:

– Gdzie?

– Tam, za rogiem. Jeszcze możesz go złapać.

– I złapię – wrzasnął. – Jak wspaniale być szeryfem z Nottingham. – Odwrócił się we wskazanym kierunku, po czym ruszył biegiem.

Burke i Maria patrzyli za nim, śmiejąc się do rozpuku. W tym momencie minął ich samochód policyjny. Poruszał się wolno w panującym na jezdni tłoku. Radiowóz włączył syreny. Biegący chodnikiem chudzielec stanął, obejrzał się i zaczął energicznie wymachiwać rękami, krzycząc: – Taxi, taxi!

Burke potrząsnął głową.

– Wygląda na to, że nasz szeryf chce jak najszybciej wrócić do Nottingham. – Odwrócił się w kierunku jezdni, podniósł rękę i teraz on zawołał: Taxi! Potem mrugnął do Marii i parodiując rozczołańca, powiedział: – Jak wspaniale mieć pieniądze, by zaprosić dziewczynę na przejażdżkę taksówką.

Maria zasłoniła usta dłonią.

– Z ciebie też niezły wariat. Aresztują nas.

– Nic nam nie zrobią. – Nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego. – Jestem kimś. Gliny będą się bały. Jeśli nie wierzysz, zapytaj Roberta.

Zajechała taksówka korporacji *Checker*. Burke szybko otworzył drzwi.

Checker był droższy od innych firm taksówkowych, ale za to dysponował wielkimi limuzynami, w których bez trudu mieściło się pięciu pasażerów, a dwie osoby jechały wręcz w luksusowych warunkach. Maria wślizgnęła się na tylne siedzenie, rozsiadła wygodnie i z ciekawością rozglądała po wnętrzu wozu.

Burke siadł obok pani Avalon i podał kierowcy jej adres.

Wspaniałały wóz – szepnęła. – I pomyśleć, że są ludzie, którzy każdego dnia tak właśnie dojeżdżają do pracy. – W jej słowach wyczuwało się zazdrość.

Najprawdopodobniej nie wyobrażała sobie tego rodzaju codziennego wydatku.

Burke każdego dnia rano jeździł taksówką do redakcji. Przypomniawszy sobie pewien incydent sprzed kilku miesięcy z udziałem Franka Fabia. Spieszyli właśnie na jakiś wieczorny mecz na stadionie Yankees i nie mogli złapać taksówki.

Burke zaproponował, by pojechali metrem.

– Nigdy nie podróżuję z brudasami – skomentował Fabio.

Teraz, patrząc na siedzącą obok Marię, Billy zdał sobie sprawę, ile w tamtych słowach było okrucieństwa.

– Domyślam się, że nieczęsto korzystasz z taksówki – odezwał się po chwili.

– Pani Avalon zatrzepotała rzęsami, lekko się zaczerwieniła i powiedziała:

– Nigdy jeszcze nie jechałam taksówką.

Maria trzymała rękę na siedzeniu. Burke dotknął spracowanej dłoni i lekko ją uściśnął. Kobieta obróciła ku niemu twarz i uśmiechnęła się. Pomyślał o swoich planach na ten wieczór. A chciał ponownie wpaść do archiwum Szpitala Uniwersyteckiego, a potem odwiedzić Whitney. Teraz jednak doszedł do wniosku, że obie te wizyty mogą poczekać.

– Co myślisz o tym, byśmy wstąpili do ciebie, zobaczyli Roberta i matkę, a następnie, jeśli babcia zgodzi się posiedzieć z chłopcem, wyskoczylibyśmy na kolację i do kina. Grają dwa filmy, podobno całkiem dobre. Jeden nosi tytuł *Szczęki*, a drugi to *Lot nad kukulczym gniazdem*.

Maria patrzyła na dziennikarza i ze zdumienia mrugała oczami. Burke przestraszył się, że posunął się za daleko, bo szybko dodał: – Dobrze, wystarczy kolacja. Opowiem ci, co się dzieje, i przedstawię dalszy plan działania.

– Możemy zjeść w domu – wydusiła wreszcie. – Nie musisz mnie nigdzie zabierać. – Była wyraźnie speszona. Burke zrozumiał, że nie oczekiwała takich propozycji.

– Chciałbym jednak gdzieś ciebie zaprosić. – Mówiąc to, ponownie uściśnął jej rękę. – Zabierzemy Roberta, jeśli tak wolisz. Filmy są zbyt późno, by je obejrzał, ale z pewnością ucieszy się z wizyty w restauracji.

Oczy kobiety pojaśniały. Pomysł zaproszenia Roberta niezwykle się jej spodobał. Chłopak zapewne nigdy jeszcze nie jadł w porządnym lokalu.

Nagle jednak radosne iskierki w jej oczach przygasły.

– Boję się, że to byłoby dla niego za bardzo męczące – powiedziała smutnym głosem.

– My jednak możemy pójść – powiedział szybko. – Posiedzimy trochę z Robertem. Potem on pomaszeruje do łóżka, a my udamy się na kolację. Znam doskonałą restaurację w Coney Island. Tam dają najlepsze kraby, takich na pewno nie jadłaś. – Ponownie uściśnął jej rękę. – Oczywiście pojedziemy taksówką.

Zaśmiała się:

– Dwie jazdy taksówką jednego dnia. Mama uzna, że postradaliśmy zmysły.

– Trzy – poprawił. – Musimy przecież wrócić.

– W takim razie mama będzie całkowicie przekonana, że powariowaliśmy.

- Burke pokiwał głową i udając głos obłąkanego, zaczął pokrzykiwać:
- Jak wspaniale mieć pieniądze i wydawać je na dziewczęta!

Restauracja „Gargiulo” znajdowała się o jedną przecznicę od bulwaru nadbrzeżnego, w starym domu towarowym. Sala jadalna była wysoka na dwa piętra. Stoły stały w równych rzędach, a wszyscy włoscy kelnerzy przekroczyli pięćdziesiątkę. Niezbyt przyjemna okolica nie cieszyła się najlepszą opinią.

Coney Island to niebezpieczna dzielnica po zapadnięciu mroku. Wiezorami już prawie nikt nie wybierał się bulwarem na spacer i nie wychodził na pobliską plażę. „Gargiulo” nie utracił jednak lojalnych klientów, przede wszystkim nowojorczyków wysoko oceniających tutejszą kuchnię. Goście zresztą nie stykali się z mieszkańcami dzielnicy. Wjeżdżali samochodami na starannie strzeżony parking lokalu.

Burke patrzył, jak Maria studiuje menu. Miała na sobie prostą, jasnoniebieską letnią sukienkę i lekki biały szal na szyi. Przypominała Burke’owi młodą dziewczynę na pierwszej randce. Na pewno też nie podporządkowywała się modzie. Billy ubrany był w marynarkę, bawełnianą koszulę i dżinsy. W dni, w które musiał być bardziej oficjalny, wkładał szare spodnie i krawat. Garnitur wyciągał z szafy jedynie na szczególne okazje, śluby i pogrzeby. Zazwyczaj ubierał się na sportowo i jak przypuszczał, nigdy nie zaoferowano by mu pracy w tak prestiżowych redakcjach, jak „Times”. Zresztą on sam nie chciałby tam pracować. Po prostu lubił pisać i ubierać się zgodnie ze swoim własnym upodobaniem.

Maria opuściła menu i popatrzyła na reportera zdziwionym wzrokiem.

Tu nie ma cen – powiedziała.

Burke uśmiechnął się.

– I nie powinno być. Panowie dostają karty z cenami. Panie nie powinny się tym interesować. – Pokręcił głową. – Przyznaję, że to wbrew prawnym ustaleniom dotyczącym równości płci, ale tak jest niewątpliwie elegancko.

– A jak ma kobieta zrozumieć, że mężczyzna nazbyt hojnie szasta pieniędzmi?

– Może zwracać uwagę na subtelne sygnały ze strony partnera.

– Jakie sygnały?

– Na przykład: kobieta zamawia pierwsza. Po niej składa zamówienie współbiednik i nagle oświadcza, że jest na diecie, więc prosi jedynie o sałatę i szklankę czystej wody. Fundator może dać znak bardziej dosadnie. Przypuśćmy, że zemdleje.

Maria zaśmiała się.

– Są jeszcze inne sygnały?

– Tak. Mężczyzna przepasza, wychodzi do toalety...

– I nie wraca – wtrąciła.

– Właśnie.

– Czy potrzebujesz iść do toalety?

– Zaraz się przekonam – udał, że jest speszony.

Maria śmiała się jeszcze, kiedy przyszedł kelner, by przyjąć zamówienie.

Burke nie powiedział jej, że w „Gargiulo” żaden reporter czy wydawca nigdy nie płacił za konsumpcję. Dziennikarze zostawiali jedynie napiwek. Obawiając się, że ta informacja postawi go w niezręcznej sytuacji wobec Marii, zaraz po przyjsciu poprosił kierownika sali o wystawienie rachunku. Szef kelnerów patrzył na Billy’ego ze zdumieniem. Potem przysłał im do stolika butelkę znakomitego wina.

Zjedli kolację. Kiedy popijali kawę, Burke powiedział Marii, że już zaczęły wpływać pieniądze na operację Roberta. Wyjaśnił, że z końcem tygodnia rusza kampania propagandowa, a on chciałby napisać artykuł o dzielnych opiekunkach małego chłopca.

Maria niezbyt zainteresowała się tym pomysłem. Była całkowicie zafascynowana wiadomością o pieniądzach na operację syna. Zaczęła wypytywać Burke’a, ile już wpłynęło i jak długo potrwa zbieranie niezbędnej kwoty.

– Nie mam pojęcia, ile wpłynęło – tłumaczył. – Funduszami zajmuje się całkiem inny dział wydawnictwa. Postaram się jednak dowiedzieć. – Zauważył, że jej broda się trzęsła. Wziął bliską płaczu Marię za rękę. – Sądzę, że akcja potrwa szereg tygodni. Może miesiąc, może dwa. Dostaniemy jednak to, czego nam potrzeba. Obiecuję.

W jej oczach ukazały się łzy. Szybko otarła je serwetką.

– Teraz muszę przygotować kolejne materiały – kontynuował. – Na wszelki wypadek, gdyby mnie gdzieś wysłano. Gazeta będzie zamieszczała dwa teksty tygodniowo, by utrzymać zainteresowanie tematem. Tak więc chciałbym mieć jakieś pięć artykułów gotowych do publikacji.

Maria najwyraźniej nie wiedziała, co odpowiedzieć. Głęboko westchnęła i po chwili odezwała się:

– Ty wiesz lepiej. Zrobię wszystko, o co poprosisz.

– Wiesz, że z końcem tygodnia zdjęcia Roberta pokażą się w autobusach i na stacjach metra w całym mieście? Twój synek stanie się sławnym chłopcem. – Uśmiechnął się figlarnie. – Ludzie będą go prosili o autografy. Mam nadzieję, że potrafi się podpisać?

Maria cichutko załkała, a w jej oczach ponownie pokazały się łzy.

– Tak. Nauczyłam go przed rokiem.

Burke kazał taksówkarzowi poczekać, sam natomiast odprowadził Marię do drzwi. Stanęli przed jej mieszkaniem, a ona odwróciła się do Billy'ego i położyła ręce na jego ramionach, potem lekko pocałowała go w policzek.

– Dziękuję, Billy – wyszeptała. – Dziękuję za wszystko.

Instynktownie objął kobietę. Patrzył z bliska na jej śliczną twarz i dotarło do niego, że bardzo, ale to bardzo chciałby pocałować Marię.

– Nie ma o czym mówić powiedział. Pochylił się i cmoknął ją w czoło. – Wpadnę jutro i zaczniemy pracować nad następnym materiałem.

Maria przytaknęła i dała krok do tyłu. Dostrzegł pewne ociąganie się w jej ruchach i ponownie miał ochotę przyciągnąć ją do siebie. Wiedział, że tego nie wolno mu zrobić, co jednak nie zmniejszyło pragnienia.

Już odwracał się do wyjścia, gdy ona nagle podeszła, zarzuciła mu ręce na szyję i lekko, delikatnie pocałowała. Czuł ciepło powabnego ciała i dokładnie pojmował, jak bardzo pragnie Marii.

Kobieta tymczasem otworzyła drzwi do mieszkania, powiedziała: Dobranoc, i zanim się zorientował, zniknęła za drzwiami.

Gdy Burke wszedł do piwiarni „Costello” o dziesiątej trzydzięci wieczorem, pomieszczenie wypełniał tłum klientów. Piwiarnia i restauracja na Czterdziestej Czwartej Wschodniej była znanym lokalem dziennikarskim. Przez pięć wieczorów tygodnia przesiadywali tu reporterzy, wydawcy i korespondenci zagraniczni, gadając, plotkując, przekrzykując się wzajemnie. Wieczorna wizyta w „Costello” stanowiła po prostu obowiązek większości dziennikarzy pielęgnujących wieloletnie tradycje nowojorskie. Długi, mahoniowy bar przecinał cały lokal od drzwi frontowych po łóżka i stoliki ustawione w końcu sali. Na regałach za barem znajdowały się przeróżne zabytkowe trofea, a wśród nich laska, którą kiedyś Ernest Hemingway złamał na własnej głowie, zakładając się o to z Johnem O’Harą. Obok wisiały rysunki Jamesa Thurbera. Artysta czasami płacił nimi rachunki. Pewien reporter „Daily News” przyniósł wypchanego rekina, ukradzionego z jakiegoś hotelu na Florydzie. Z pyska potężnej ryby wystawała butelka whisky.

W chwili, kiedy Burke przestąpił próg lokalu, przed barem odbywał się właśnie wiec korespondentów zagranicznych. Podobne akcje zdarzały się niemal każdego wieczoru. Pośrodku rozwrzeszczanego tłumu stał Tony Rice, odgrywając rolę przewodniczącego obrad. Tony powitał Burke’a tak, jakby reporter powracał z dalekiej podróży zagranicznej. Podobnie zachowali się zresztą i inni.

Burke uściśnął kilka dłoni, poklepał paru facetów po plecach i znalazł sobie wolny

stolik naprzeciwko centralnej części baru. Zamówił whisky i patrzył z uznaniem, jak barman John po mistrzowsku przyrządzał drinka, nie roniąc ani jednej kropli płynu. John dorzucił do trunku kilka kostek lodu, potem ruchem doskonałego magika cyrkowego wyjął z rąk Burke'a dwadzieścia dolarów. Zamachał banknotem, obrócił między palcami i zielony papierek zniknął.

Wykonawszy tę sztuczkę, barman rzucił w kierunku Burke'a:

– Uważaj, drogi chłopcze, uważaj.

Barman często demonstrował swoje talenty, którymi potrafił zwodzić nieświadomych turystów. A znał tych trików wiele i dzięki nim wypełniał sobie kieszeń. Starzy bywalcy mawiali, że John zarabia rocznie trzydzieści tysięcy na napiwkach i drugie trzydzieści, okradając nowych gości.

Burke podniósł szklankę i wyciągnął ją w kierunku barmana, dając do zrozumienia, że pije jego zdrowie, po czym wziął łyk bursztynowego płynu. Miał przed sobą długi wieczór i pragnął podlać go alkoholem. Zdarzenie pod drzwiami mieszkania Marii wytrąciło Billy'ego z równowagi. Początkowo myślał o wizycie u Whitney, ale szybko z tego zrezygnował. Skok do łóżka innej dziewczyny niczego by nie rozwiązał. Burke patrzył na stojącą przed nim szklanicę.

Poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Gdy odwrócił głowę, ujrzał uśmiechniętego Tony'ego Rice'a.

– Coś ty dziś taki samotny, drogi chłopcze – zagadnął Tony. – Czekaliśmy na kogoś, kto postawi nam drinka. Trudno wytrzymać w towarzystwie tych zagraniczników.

– Brytyjczycy przeważnie są bez grosza przy duszy – zgodził się Burke.

– Nie da się tego ukryć. W każdym razie zapraszam do naszej kompanii.

Nie jestem dziś w odpowiednim nastroju, kolego – tłumaczył Burke. – Ciężkie myśli, poważne problemy.

– Doskonale, pozwól, że odegram rolę mateczki. – Rice, nie proszony, usiadł na krześle obok. – Postaw mi scotcha, a ja naleję ci nieco oliwy do głowy.

Burke zamówił drinka, a potem rozejrzał się po sali, szukając wzrokiem żony Tony'ego.

– A gdzie ukochana Theona? – zapytał.

– Pracuje, a przynajmniej tak mówiła. – Rice uśmiechnął się gorzko. Nie zdołał ukryć smutku w oczach.

Theona pracowała dla nieco snobistycznego magazynu i przed kilkoma laty przeżyła romans z pewnym fotoreporterem. Tony dowiedział się o tym i w Burke'a znalazł powiernika, któremu mógł się wyzalić. Po jakimś czasie małżonkowie wrócili do siebie, ale ból pozostał w sercu Tony'ego. Burke nigdy nie powiedział przyjacielowi, że

ponowne zejście się uważał za błąd. Wielokrotnie też żałował swojej wstrzemięźliwości.

– A więc, drogi chłopcze, co wywołało tę desperację, praca czy przygoda miłosna? – Wzrok Tony’ego stał się łagodny i przyjazny. Burke nie wątpił, że Rice rzeczywiście chciał mu pomóc.

– Obawiam się, że jedno i drugie po trochu. – Łyknął drinka w nadziei, że alkohol zagłuszy rozterki. – Pracuję nad tematem dotyczącym chorego chłopca. Nazbyt się do dzieciaka zbliżyłem, zbyt mocno się zaangażowałem.

– Bardzo niedobrze – zmartwił się Rice. – Czy chodzi o kontakt emocjonalny z dzieckiem, czy z jego matką? Z twoich materiałów wnioskuję, że ta kobieta jest bardzo sympatyczna.

Burke uśmiechnął się.

– Chodzi o jedno i o drugie – wyznał szczerze. – Znasz mnie, Tony. Nigdy nie potrafiłem tylko częściowo spieprzyć sobie życia.

– To prawda, która dotyczy nas wszystkich. – Rice złożył ręce na brzuchu. Jak wiesz, nie jestem odpowiednią osobą do udzielania porad w sprawach sercowych. Gdybym jednak znalazł się na twoim miejscu, zrobiłbym coś prostego.

– To znaczy?

– Poczekałbym.

– Wcale mądra rada. – W głosie Burke’a odezwała się kpina.

– Tak, na pewno niegłupia. – Rice łyknął scotcha i mówił dalej: – Ten mały rzeczywiście umiera?

Burke poczuł, że pytanie wywołało u niego skurcz serca, reakcję bardziej gwałtowną, niżby sobie życzył.

– Umiera. To fakt. Chyba że w niezbyt odległej przyszłości zostanie zoperowany. Jeśli nie, pożegna się z tym światem.

Rice pokiwał głową.

– To właśnie czyni całe wydarzenie wyjątkowym. I z uwagi na dziecko, i z innych powodów. A ty wiesz, że do każdego tematu należy podchodzić z dużym dystansem. Jeśli masz nadal nad tym pracować, musisz trzymać emocje na wodzy. – Potrząsnął głową, jakby się czemuś bardzo dziwił. Taki temat trafia się niezwykle rzadko, Billy. Nadarzyła ci się okazja, by zrobić coś dobrego, a nie, jak to zwykle bywa, dobrać się do skóry jakiemuś draniowi. – Patrzył Burke’owi prosto w oczy, delikatnie się uśmiechając. – Zazdroszczę ci, kolego.

Ja też chciałbym mieć choć jedną szansę, aby dokonać czegoś wielkiego. – Rice patrzył teraz gdzieś w przestrzeń i bezmyślnie bawił się szklanką. – Matka chłopca bez wątpienia czuje się teraz bezbronna – kontynuował. Ponownie łyknął drinka. –

Oczywiście wyobrażam sobie, że i chłopak musi być bezbronny. Ale i ty, przyjacielu, jesteś bezbronny, może nawet bardziej niż oni. I ten cały ciężar trudnej sytuacji spada akurat na twoje barki. Ponownie zwrócił się w kierunku Burke'a. – Jeśli coś pójdzie źle, to właśnie ty możesz okazać się najbardziej poszkodowanym. A nie chciałbym być świadkiem podobnego dramatu. Już teraz cierpisz z powodu tego małego.

– Dam sobie radę. Muszę. Jestem twardy. – Sam wyczuł ton przechwałki w swoich słowach.

– Oczywiście. Nie ma wśród nas słabeuszy – zgodził się Rice, który schował głowę pomiędzy ramiona i zrobił infantylną minę. Był to wyraz dezaprobaty wobec siebie samego, ale również i wobec Burke'a. – Tyle w każdym razie mogę ci dziś poradzić. Rób swoje, nie angażując się zbyt mocno. Następnie odczekaj co najmniej miesiąc, aby wszystko przycichło. Tak by każde z was mogło powrócić do swego codziennego życia. Każde z was – podkreślił. – A dopiero potem, jeśli będziesz czuł to, co czujesz teraz, złap za słuchawkę.

Burke wstał, dopił drinka i położył rękę na ramieniu Tony'ego.

– Dzięki za dobrą radę. Mam nadzieję, że znajdę dość rozsądku, by się do niej dostosować.

– I ja mam nadzieję. – Rice ponownie zrobił dziecinną minę. – Wychodzisz?

Burke skinął głową.

– Do domu, do łóżka.

– Szkoda, myślałem, że jeszcze troszkę pogawędzimy.

– Kiedy indziej. Obiecuję uspokajał Burke.

– W takim razie posłucham sobie różnych fascynujących historyjek, jakie tu opowiadają panowie koledzy. Wszystko to już słyszałem wczoraj i przedwczoraj, i przedprzedwczoraj. Muszę jednak czekać na ukochaną żonę.

Burke zignorował ton ironii wyraźnie brzmiący w głosie Rice'a i rzekł:

– Powiedz Theonie, iż żałuję, że się nie spotkaliśmy.

– Oczywiście, drogi kolego, na pewno przekażę. Będzie niepokieszona. Ziewnął, przysyłając ręką usta. A teraz słydwaj i kładź się do łóżeczka.

Rozdział piętnasty

– Mamo, ty chyba zwariowałaś. – Maria palcami obu rąk postukała się w czoło. Mówiły po hiszpańsku, jak zawsze kiedy były same, a gesty stanowiły integralną część rozmowy.

Maria patrzyła na matkę i kiwała głową. Obie zmywały w kuchni naczynia po obiedzie. Maria wyjęła kolejny talerz ze zlewozmywaka i trzymając przed sobą, potrząsała nim gwałtownie.

– To wariactwo. Możemy skończyć w więzieniu. Tego byś chciała?

Consuelo wzniosła oczy.

– Louie zapewnia, że nic podobnego się nie stanie. Twierdzi, że jego pracodawcy opłacają policjantów.

– A ty mu wierzysz? Wiesz, dla kogo pracuje? Dla gangsterów z następnej ulicy. Dla tych, co cały dzień siedzą sobie w klubie, drapią się po brzuchach i czekają na ludzi, którzy przynoszą im pieniądze. I ty chcesz się u nich zatrudnić?

– Louie mówi, że we dwie możemy zarobić pięćset dolarów na tydzień.

– Czasami nawet więcej. A musimy jedynie zbierać od ludzi pieniądze, a potem jemu powiedzieć, czego chcieli.

– Pięćset dolarów?

– A właśnie. Odkładałybyśmy na operację Roberta. W cztery tygodnie zdobyłybyśmy dwa tysiące dolarów. Zaniesiemy je doktorowi i obiecamy, że tyle będziemy wpłacać każdego miesiąca. A gdyby gazeta zbierała, to jeszcze więcej. Wtedy kardiochirurg zgodziłby się na przeprowadzenie operacji. – Wzięła córkę za rękę. – Nie musiałybyśmy czekać i żyć w strachu, że pieniądze przyjdą za późno. – To ostatnie zdanie wypowiedziała z naciskiem, a Maria odwróciła się, by powstrzymać łzy.

– Mamo, boję się – powiedziała cicho. – Każdego dnia budzę się rano przerażona, że Roberto będzie miał kolejny atak, a ja już nie zdołam mu pomóc. Ale to... to...

– Porozmawiaj z Louie. Wcale nie musisz się zgodzić. Po prostu porozmawiaj. On mówi, że przeczytał o Robercie w gazecie i chce pomóc.

– Ale to jest niezgodne z prawem, mamo.

Consuelo potrząsnęła głową najwyraźniej niezadowolona.

– Jakie prawo? Wszyscy w sąsiedztwie tkwią w tym interesie. I my też możemy zarobić. Jak wielu ludzi dookoła. Sądzisz, że policja zaaresztuje całą dzielnicę?

– Nie wiem, mamo. A co się stanie z Robertem, jeśli my znajdziemy się w więzieniu?

– Porozmawiaj z Louie – powtarzała uparcie Consuelo. – On ci wytłumaczy. Każdego wieczora, do siódmej trzydzieści zastaniesz go u fryzjera.

– Billy przyjdzie o ósmej. Wiesz, chce rozmawiać z nami o kolejnym artykule.

– Teraz jest kilka minut po siódmej. Idź i pogadaj z Louie. Zdasz wrócić na czas. – Ponownie wzięła córkę za rękę. – Proszę, zrób to dla Roberta. Rozmowa przecież nikomu nie zaszkodzi.

Maria ukryła twarz w dłoniach i zamknęła oczy.

– Dobrze, pójdę. Niczego jednak nie obiecuję.

Maria poczuła, że coś pociągnęło ją za spódniczkę. Spojrzała w dół. Przed nią stał Roberto i patrzył jej w oczy. Drobniutka twarzączka była blada. Maria schyliła się i podniosła synka.

– Ja chcę już do łóżka – powiedział, tuląc się do mamy.

– Dobrze się czujesz? – Miała wrażenie, że mały zasypia na stojąco. Główka chwiała mu się, jakby była dla niego za ciężka. – Na pewno wszystko w porządku?

– Jestem tylko zmęczony.

Maria spojrzała na matkę, która stała koło nich i głaskała wnuczka po plecach. Consuelo patrzyła pełnymi smutku oczami. Wyglądała tak, jakby już straciły Roberta. Maria przytuliła chłopca mocniej do siebie i ruszyła do sypialni.

– Położę cię do łóżka i o czymś ci poczytam – powiedziała.

– O koziołku. – Roberto przeszedł na angielski. – To moja ulubiona bajka.

Sprawiała wrażenie nieobecnej, zdenerwowanej, a Burke nie potrafił się domyślić powodu takiego zachowania. Może przyczyną był ich wczorajszy mały flirt? Mało prawdopodobne. Chodziło raczej o coś innego. Rozmyślał o tym, jadąc taksówką z Whitney z jej mieszkania w kierunku dzielnicy południowej.

Whitney nalegała, by wybrali się do „Pałace”, najslawniejszej w Nowym Jorku, owianej swoistą legendą dyskoteki. Burke żałował, że przed dwoma tygodniami obiecał dziewczynie wyprawę. Mieli spędzić szalony wieczór w tłumie osób znanych i nieznanych, a przede wszystkim szukających emocji, sensacji i przygody.

Myślami powrócił do Marii. Ponownie zapytała, ile pieniędzy zebrał „Globe”, a on powiedział, że po pierwszych publikacjach napłynęło dwa tysiące dolarów. Była wyraźnie rozczarowana. Zapewniał ją, że taki odzew stanowi doskonałą zapowiedź na przyszłość. Gazeta nawet nie ogłosiła jeszcze zbiórki, a kiedy to zrobią, wtedy dopiero sypną się pieniądze.

Poczuł się nagle winny, że zgodził się na ten głupi wieczór w „Pałace”.

Przed wizytą u Marii wpadł do kliniki i wziął wiele dokumentów od roznamiętnionej

Wendy. W ciągu godziny spędzonej w szpitalu przejrzał jeszcze sporo różnych akt. Teraz wyrzucał sam sobie, że nie pozostał dłużej. Należało możliwie szybko zgromadzić cały materiał.

– Boże, jaki ty jesteś markotny. Zachowujesz się jak facet prowadzony na gilotynę.

Burke odwrócił głowę do Whitney i ofiarował jej beczelnie fałszywy uśmiech.

– Robisz wrażenie skazanego na śmierć. Na podium z gilotyną wprowadzają cię dwie piękne dziewczyny. A potem buch...! – Przecięła powietrze wyciągniętą dłonią. – Głowa spada do kosza i po wszystkim. To by się czytelnikom podobało. – Uniosła wskazujący palec dla podkreślenia wagi swoich słów. Nie jesteś przyjemniaczkiem i nie warto trzymać cię przy życiu. I właśnie dlatego... fiuttt. – Ponownie przecięła powietrze wyciągniętą dłonią obrazującą gilotynę. Whitney przymrużyła oczy i nadała twarzy wyraz absolutnej niewinności. – Wiem, że lepiej nie wywoływać wilka z lasu, ale z taką miną rzeczywiście możesz znaleźć się w kolejce do egzekucji.

– Nigdy – zaoponował gorąco. – Już samo twoje towarzystwo czyni ze mnie pięknego i wartościowego człowieka.

– To przestań zgrywać smutasa. Przynajmniej udawaj, że moja obecność sprawia ci radość.

Pochylił się do przodu i pocałował ją w policzek.

– Ależ ja się bardzo cieszę, że jestem z tobą. A pobyt w „Pałace” jakoś przeżyję.

– A więc co cię gnębi?

– Ten przeklęty temat.

Whitney wybuchnęła śmiechem.

– Billy, tylko ty jesteś do czegoś takiego zdolny. Każdy inny gotów byłby zamordować, by zdobyć okazję zajęcia się tą sprawą. Koledzy z redakcji są zieloni z zazdrości. Taka sensacja! Staniesz się najbardziej znanym reporterem w mieście. Jeśli wszystko zagra, zdobędziesz materiał na książkę.

Burke patrzył w okno taksówki.

– W tym właśnie problem – mruknął.

– W czym? – zapytała.

– W tych wszystkich „jeśli”. Jeśli zagra, jeśli mi się uda, jeśli zdążę... A co najważniejsze, jeśli ten słodki dzieciak nie umrze, zanim zbierzemy dość pieniędzy, by go ratować.

Whitney przewróciła oczami.

– Ale nieznośny facet z ciebie, Billy. – Zdenerwowała się. – Ty masz kontrolę jedynie nad tym, co piszesz. Wszystko inne jest poza tobą. – Wzięła go za rękę i kontynuowała: – Nawet gdyby się stało najgorsze, to i tak masz dość materiału na

książkę. O biednym chłopcu, który zmarł lub który żyje w nędzy, bo nikt nie chciał zagwarantować mu opieki lekarskiej. To nadal fascynujący temat. Czy ty tego, na Boga, nie dostrzegasz? – Whitney poczuła, że Billym wstrząsnął dreszcz, więc szybko dodała: – Oczywiście, nikt nie chce, by cała historia zakończyła się śmiercią chłopca. Wszyscy życzą małemu, by przeszedł operację i powrócił do zdrowia. Ale jest coś ważniejszego niż jeden nieszczęśliwy dzieciak. Spójrz na sprawę w ten sposób. Im więcej informacji, wydarzeń, napięcia, tym opowieść bardziej wartościowa.

Gadała, pytowała, wylewała potoki słów, byle złagodzić swoją wcześniejszą wypowiedź na temat losów chłopca. Burke słuchał, patrząc w okno. Zrozumiał, że Roberto stał się towarem, który można było dobrze sprzedać. Pojmował, że tego nie dało się uniknąć. Zaczął się dziwić sam sobie. A może wiedział o tym od samego początku, tylko się nie przyznawał? Odwrócił głowę w kierunku Whitney.

– Teraz widzę to wyraźniej – oświadczył. – Wiem, że masz rację. Zdaję sobie też sprawę, że takie podejście, być może najrozsądniejsze, wcale nie jest proste.

Chociaż niewykluczone, że to jedyny sposób, by zapewnić chłopcu operację. Potrząsnął głową. – Teraz jednak, gdyby dziecko umarło, cały temat załamałby się.

Czuję większą presję, niżbym tego chciał i niż jestem w stanie wytrzymać.

Whitney, patrząc gdzieś przed siebie, powiedziała:

– Wielki temat, wielka presja.

– Tak, ale do tego dochodzą jeszcze kwestie całkiem osobiste.

– Whitney spojrzała na Burke’a uważnie.

– Masz na myśli swoją córkę? – zapytała.

– Skinął głową.

Taksówka zatrzymała się przed „Palace”, lokalem zajmującym sale dawnego kina w budynku o frontonie przyozdobionym potężnymi markizami zwisającymi nad chodnikiem. Dochodziła już północ, ale przed kasą ustawił się długi ogonek biegnący Czternastą ulicą aż do następnej przecznicy. Wysiedli z taksówki i ruszyli w kierunku początku kolejki. Wejście do dyskoteki zamknięte było z dala widocznymi linami i łańcuchami. Poza tą barykadą kręciło się kilku ochroniarzy o posturach zawodowych zapaśników.

Jeden z osiłków zastąpił drogę Whitney i Burke’owi. Billy wyciągnął kartę prasową. Zanim tu przyjechali, zadzwonił do właściciela „Palace” i załatwił sprawę wejścia.

– William Burke i Whitney Morgan – powiedział do ochroniarza. – Jesteśmy na waszej liście.

Burke przyglądał się oczekującym osobom. Tuż obok niego stała młoda dziewczyna

o blond włosach tak mocno nalakierowanych, że stały dęba, a jej głowa przypominała słoneczko otoczone promieniami z obrazka dla dzieci.

Dziewczyna liczyła najwyżej dwadzieścia lat. Miała na sobie czarną minisukienkę właściwie niczego nie zasłaniającą i tak wąski biustonosz, że ukazywał brązową otokę sutków. Towarzysz blondynki, młodzieniec z gęstymi bokobrodami, ubrany był w czarną, wizytową marynarkę włożoną na podkoszulek. Na jego czole tkwiły lotnicze okulary przeciwsłoneczne. Billy usłyszał, że Whitney zachichotała. Odwrócił głowę. Ona również przyglądała się tej dziwacznej parze.

Whitney pochyliła się w stronę Burke'a i szepnęła:

– Podoba mi się ta kreacja. Znakomicie pokazuje się w niej cyce. – Zachichotała ponownie. – Popatrz, zaraz jej w ogóle wyskoczą na zewnątrz. Nie wydaje mi się jednak, by były tej klasy, jakiej się wymaga w „Pałace”. – Jeszcze bardziej ściszyła głos. – Ona usiłuje oszukać Matkę Naturę – wyrecytowała powiedzonko ściągnięte z jednej z popularnych reklam telewizyjnych. Zaśmiała się raz jeszcze i dodała: Każdy jednak może mieć nadzieję, nawet taka siksa.

Słyszałam, że stare studio telewizyjne na Pięćdziesiątej Czwartej Zachodniej chcą przerobić na dyskotekę. Tam ta Panna Cyc powinna popróbować szczęścia.

Whitney miała na sobie również czarny, choć zdecydowanie mniej wyzywający strój niż blondynka. Burke był w swoim tradycyjnym „uniformie”, w sportowej marynarce, w dżinsach i bawełnianej koszuli. Obserwując tłumek, pomyślał, że powinien chociaż wziąć przeciwsłoneczne okulary. Choć trochę by się upodobnił do reszty zgromadzonych.

– Panie Burke, proszę wejść – poinformował powracający ochroniarz. Rzeczywiście zostaliście oboje umieszczeni na liście naszych stałych gości.

Burke usłyszał pomruki dolatujące od strony kolejki. Najprawdopodobniej w ten sposób oczekujący wyrażali swoją zazdrość. Może też zauważono jego legitymację prasową. Billy pochylił się i szepnął Whitney do ucha:

– Ojej, chyba będę tu wpadał każdego wieczora.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Możesz nawet wyciągnąć Pannę Cyc z ogonka i zabrać ze sobą. Bóg raczy wiedzieć, co dostaniesz w zamian.

Whitney powiedziała to półgłosem, tak że słowa doleciały do stojących w kolejce, bo skąpo ubrana panienka nagle odezwała się:

– Hej, możecie się odpieprzyć. – Wyciągnęła rękę i złapała Whitney za ramię. – Nie bądź taka ważna!

Whitney strząsnęła dłoń blondynki i patrząc lodowatym wzrokiem, powiedziała

ostro:

– Wcale nie jestem ważna, ale jako dziennikarka innych kreuję na ważniaków. Ty, słodka, nie masz jednak szans.

Dziewczyna najwyraźniej zbaraniała, a oni odwrócili się i weszli do lokalu.

Przeszli przez poczekalnię i wkroczyli do sali. Od razu runęła na nich wrzaskliwa muzyka i oślepiła ich fontanna różnokolorowych świateł. Po prawej mieli bar, przy którym panował nieprawdopodobny ścisk. W ustawicznie zmieniającym się oświetleniu migotały różne kolory ludzkich twarzy, włosów, ubrań.

Rozgadani, ożywieni i kolorowi ludzie przypominali Burke'owi szalonego chudzielca spotkanego na ulicy. Wszyscy tu mieli takie miny, jakby byli zadowoleni, że właśnie zostali wypuszczeni ze szpitala.

Burke uparł się, by Whitney poszła z nim na balkon, gdzie znajdował się drugi, nie tak bardzo oblegany bar, i skąd mogli patrzeć na tańczących. Whitney początkowo była naburmuszona i oskarżała Burke'a, że uciekał od parkietu. Potem się jednak rozchmurzyła, gdyż zrozumiała, że lepsze towarzystwo usadowiło się właśnie na balkonie, by z góry patrzeć na rozbawione masy. Ku strapieniu Burke'a i na balkonie znajdował się mniejszy parkiet, na który natychmiast zaciągnęła go Whitney. Podrygiwali więc w takt muzyki, ściśnięci przez spocone ciała innych tancerzy. Burke zorientował się jednak, że na ogół były to ciała ładnych, zgrabnych panienek, i o ile sam taniec nie sprawiał mu przyjemności, to z zainteresowaniem przyglądał się otoczeniu. Szczególnie damskiemu.

Tuż obok nich pojawiła się jakaś dziewczyna w sukience z głębokim dekoltem na plecach, odsłaniającym początek rowka oddzielającego oba pośladki. Whitney zauważyła, czemu się Billy przygląda, natychmiast ustawiła się pomiędzy nim a częściowo roznegliżowaną osobką i krzyknęła:

- Jeszcze raz spojrzysz na jej tyłek, a dam ci wycisk.
- Jestem zawodowym obserwatorem. Nic na to nie poradzę.
- Jeśli tak, to dzisiejszą noc spędzisz w swoim własnym łóżku.
- Burke zrobił przerażoną minę.

Nie będziesz taka okrutna – rzucił i zwrócił oczy ku górze.

Orkiestra zamilkła, a oni precyzyjnie się do baru. W tym momencie spiker zapowiedział piosenkę Bruce'a Springsteena.

– Nie wiem, czy ci mówiłam, że usiłuję z nim zrobić wywiad. – Musiała krzyknąć, by mógł ją usłyszeć poprzez hałas robiony przez orkiestrę.

- Z kim?
- Z Bruce'em Springsteenem.

Billy pokręcił głową, by pokazać, że mu to zaimponowało. Springsteen znalazł się tego samego tygodnia na okładkach „Time’a” i „Newsweeka”. Po raz pierwszy oba magazyny równocześnie wiodący materiał numeru poświęciły tej samej postaci.

– Poćwiartuję faceta na kawałki i zrobię z niego omlet.

– Dlaczego?

Ponownie wyciągnęła Burke’a do tańca, a gdy znaleźli się w centrum podrygującego tłumu, krzyknęła mu prosto do ucha:

– Jest w nim coś, co mnie odrzuca.

Kiedy oddalili się od siebie o pół kroku, Burke zobaczył, że Whitney śmieje się.

Rozdział szesnasty

O dziewiątej rano, następnego dnia, Lenny Twist wszedł do gabinetu prezesa wydawnictwa. Jim McGowan siedział za ogromnym biurkiem i popijał kawę z wielkiego kubka, na którym widniał napis „Publikujemy wszystkie informacje, jakie nam odpowiadają”. Była to parodia sloganu „New York Timesa”, szczególnie ulubiona przez McGowana, jako że jego zdaniem doskonale wyznaczała różnicę pomiędzy konserwatywnym „Timesem” a nowoczesnym i swawolnym „Globe”.

Zanim awansował na stanowisko prezesa, McGowan pracował jako szef waszyngtońskiego biura „Globe” i według opinii Twista nabył wszystkich złych cech kogoś nawykłego do ssania rządowego cycka. Tak więc McGowan przedkładał materiały wywodzące się z konferencji prasowych oraz oficjalnych komunikatów nad informacje zbierane przez reporterów.

– Łap się za fotel, Lenny. Łap – wrzasnął McGowan. Miał rubaszny sposób bycia, co zdecydowanie nie odpowiadało Twistowi. Prezes był zwalistym facetem, wysokim na metr osiemdziesiąt kilka centymetrów, czego Twist nie lubił jeszcze bardziej. Na ścianach gabinetu wisiało mnóstwo zdjęć McGowana z kilkoma kolejnymi prezydentami, z różnymi głowami państwa i innymi znanymi osobistościami. Znajdowała się tam fotografia prezesa z Richardem Nixonem i Elvisem Presleyem, wykonana w Białym Domu w 1970 roku. Na zdjęciu widniały autografy zarówno prezydenta, jak i piosenkarza. Twist zazdrościł McGowanowi tych cennych trofeów, więc zawsze koncentrował się na żeglarskim zegarze wiszącym również na ścianie. McGowan uchodził bowiem za zapalonego żeglarza, a Twist w głębi ducha żywił nadzieję, że łajba prezesa kiedyś zatonie, pociągając za sobą sternika, którego Twist nie znosił. Poza tym śmierć McGowana otworzyłaby drogę do dalszych awansów jemu, Leonardowi Twistowi.

Naczelny wydania metropolitalnego, Mitch Coffee, już siedział na długiej, skórzanej kanapie. Twist usadowił się obok niego. Za plecami McGowana stała tablica, na której wywieszono plakaty i ulotki będące elementem kampanii propagandowej, jaką „Globe” miał rozpocząć za dwa dni.

McGowan przeciągnął ręką po siwiejących włosach, potem wskazując na wystawkę zapytał:

- No, co o tym myślicie?
- Znakomicie – ocenił Twist. – Jak długo zamierzamy prowadzić akcję?
- Dwa tygodnie, z możliwością przedłużenia o tydzień, jeśli będą obiecujące

rezultaty. – McGowan wziął puszkę na datki z podobizną Roberta Avalona i napisem „Pomóż uratować małego chłopca”. – Ci, co reklamują się u nas, są bardziej niż chętni – ciągnął prezes. – W przyszłym tygodniu ustawiąuszki w swoich sklepach, magazynach, warsztatach. – McGowan uśmiechnął się do obu słuchających. – Bardzo wielu pragnęłoby wystawić te skarbonki u siebie, ale oferujemy je jedynie sklepom i lokalom, które się u nas reklamują. Kompletujemy właśnie listę firm zamieszczających reklamy w „Globe”. Opracowujemy również specjalny znaczek informujący, że dana placówka bierze udział w akcji ratowania małego chłopca. Zrobi się z tego wielka kampania działająca na rzecz wszystkich, którzy w niej uczestniczą, i zachęcająca innych do reklamowania się na naszych łamach.

– To mi się podoba – stwierdził Mitch Coffee. Naczelny wydania metropolitalnego był wysokim, tęgawym panem dobiegającym pięćdziesiątki. Wyraźnie łysiał. Miał potrójny podbródek i nerwowy tik polegający na poruszaniu brwiami podczas rozmowy. – W tym mieście mieszka co najmniej milion Latynosów, a każdy, kto weźmie udział w naszym przedsięwzięciu, uznany będzie za *amigo*.

Nasi chłopcy od reklamy na pewno tego nie przeoczą – wtrącił McGowan.

Robił wrażenie zdecydowanie zadowolonego z pomysłu całej kampanii. To zapowiada się na wielką sensację, która wszystkich zainteresuje. Wynikiem będzie zwiększony nakład i wzrost dochodów za reklamy i kolejne numery gazety staną się ciekawsze. – McGowan jakby się zawahał i ponownie spojrzął na obu współpracowników. – Nie wolno nam wzniecić słomianego ognia. Musimy pójść na całość. – Podniósł ręce do góry. – Ratujemy tego chłopaka, a z nami ci, co u nas zamieszczają ogłoszenia. Im dłużej pociągniemy temat, tym lepiej.

– Zyskujemy jeszcze jeden atut – wtrącił Twist. – Mam na myśli rozprawę z lekarzami, którzy tak haniebnie oszukują miasto. Będą po prostu skończeni, a my umocnimy naszą pozycję.

– Właśnie – przytaknął Coffee. – Czas się dla nas nie liczy.

– Jednak... – McGowan zamilkł na chwilę i przejechał wzrokiem po twarzach mężczyzn. – Terminy odgrywają ogromną rolę. Trzeba zebrać wszystkie dowody... dopiero wtedy możemy zadać śmiertelny cios. Musimy być doskonale przygotowani.

– Burke za kilka dni skompletuje materiały – informował Twist.

– Doskonale. Nie należy jednak działać pochopnie. Znam Burke’a. Od razu będzie chciał wykorzystać zdobyte argumenty. A gdyby cokolwiek przedostało się do wiadomości lekarzy lub szpitali, podejmą kontrofensywę i zgodzą się na wykonanie operacji za darmo. A to by oznaczało, że cała kampania pójdzie na marne.

– Nie ma problemu – włączył się ponownie Twist. – Jak tylko nabiorę pewności, że

już dysponujemy odpowiednimi argumentami, nacisnę na hamulec.

– W zasadzie lepiej od razu przystopuję Burke’a, żeby nie ryzykować. Dam mu coś innego do roboty. Materiałów na temat małego Bobby’ego mamy w zapasie kilkanaście.

Coffee podniósł do góry palec, dając znać, że wpadł na jakiś pomysł.

– A może do pracy nad tym tematem włączylibyśmy jeszcze inne osoby.

Podzielimy zadania, a tym samym robota będzie szła wolniej.

To na nic sprzeciwił się Twist. – Burke już znalazł sposób, by dorwać się do szpitalnych archiwów. Nie poślę tam kogoś innego, bo się natychmiast domyśla. Mogę natomiast dać jakiegoś reportera, by zajął się materiałami o chłopcu. Nikt jednak nie będzie pisał tak dobrze, jak właśnie Burke. Poza tym on zdobył już zaufanie małego i jego matki.

– Możesz kontrolować Billy’ego? – zapytał McGowan. – Nie chcę, ażeby odgrywał rolę samotnego bojownika w tej sprawie. Na to nie możemy sobie pozwolić.

Twist uśmiechnął się, dając znać, że taka obawa nie ma żadnych podstaw.

– Nie martw się. – Podniósł do góry zaciśniętą pięść. – Trzymam go mocno za czuprynę. Burke musi pracować w Nowym Jorku, a wie doskonale, że to zależy wyłącznie ode mnie. Zrobi wszystko, co mu każę.

McGowan popatrzył na Coffee’a:

– Zgadzasz się z tym, Mitch? – zapytał.

Coffee przytaknął.

– Sądzę, że teraz da się go kontrolować. Przed pięciu laty nie byłoby to takie łatwe, jednak teraz... tak.

– W porządku. Plan ustalony. – McGowan wyciągnął palec wskazujący w kierunku Twista. – Orkiestra gra, a ty jesteś dyrygentem, Lenny. Zagraj tak, by wszyscy zatańczyli zgodnie.

Twist uśmiechnął się złośliwie.

– Możesz na mnie polegać.

Rozdział siedemnasty

– Wounded Knee? Znowu?

– W rzeczywistości to w Oglala, jakieś trzydzieści kilometrów od Wounded Knee. Ale na terenie rezerwatu Pine Ridge. Obecnie to najgłośniejsze wydarzenie w kraju. Musisz je obsłużyć.

Burke patrzył na siedzącego za biurkiem Twista.

– Lenny – odezwał się wreszcie. – Wyjazd nie pozwoli mi zajmować się tematem „Małego chłopca”. Przez tydzień, a nawet dłużej. A jestem bliski zebrania wszystkiego.

– Wiem o tym. Zrozum jednak, że dwóch agentów FBI zostało zastrzelonych przez jakichś zbuntowanych Indian, a ty ze wszystkich w redakcji masz najlepsze kontakty w Biurze. – Twist uważnie wpatrywał się w Burke’a. – Ty też pisałeś o oblławie w Wounded Knee w siedemdziesiątym trzecim roku, znasz okolicę i potrafisz dogadać się z Indianami. Nie dyskutuj ze mną dłużej.

Burke potrząsnął głową.

Lenny, Pine Ridge to drugi pod względem wielkości rezerwat indiański w kraju. Ma pięćdziesiąt na sto kilometrów. Jest większy od stanu Delaware.

Indianie, którzy to zrobili, mogą być wszędzie. A nawet jeśli nie uciekali, nawet gdyby została zorganizowana oblawa, ja tam nie będę potrzebny. W Wounded Knee trzymali nas za barykadami przez siedemdziesiąt jeden dni. Nikt nie podszedł bliżej jak dwa kilometry do miejsca akcji. Do diabła, możesz posłać każdego, by tkwił za kordonem i raz na dzień laził na konferencje prasowe do FBI. Ja natomiast stąd, telefonicznie, mogę się kontaktować ze swoimi informatorami. Nie martw się, dostaniesz odpowiednie materiały.

Twist wycelował w twarz Burke’a palec wskazujący.

– Jeśli zajdzie potrzeba, będziesz sterczał za kordonem. Kropka. Zamykamy dyskusję. Dotarło?

Burke kiwnął głową i mruknął:

– Dotarło.

Twist wyprostował się w fotelu.

– Dobrze. Znasz adwokatów, którzy zajmowali się procesem dotyczącym Wounded Knee, prawda?

– Owszem. Pracują w biurze Ruchu Indian Amerykańskich w Minneapolis.

Doskonale. Przeprowadź z nimi rozmowę telefoniczną i na tej podstawie przygotuj materiał o wczorajszym wydarzeniu. – Twist na chwilę zamilkł i ponownie przyglądał się

dziennikarzowi. – Tylko później mi nie opowiadaj, że tak samo przez telefon możesz załatwiać resztę tematu. Już to słyszałem i nie kupuję. Rozumiesz?

– Tak.

Twist zgarbił się nad biurkiem.

– Świetnie. Potem porozum się z FBI i leć do Południowej Dakoty. Masz tam być jeszcze dzisiaj i przesłać pierwszy materiał przed zamknięciem numeru.

Burke ciężko westchnął:

– Planowałem wizytę u córki w instytucie w Westchester. Będzie na to czas?

Przez twarz Twista przemknął uśmiezek.

– Twój samolot do Pierre, w Południowej Dakocie, odlatuje o czwartej.

– Załatw telefon do Minneapolis, napisz artykuł, a potem rób, co uważasz. Tylko nie spóźnij się na samolot. Leci z tobą Tony Rice. Ma zrobić zdjęcia zastrzelonych agentów FBI. Tam jest też jakiś zabity Indianin. Ustal wszystkie fakty i sprawdź, czy wczorajsza jatka nie łączy się przypadkiem z Wounded Knee. Twist zaczął niecierpliwie bębnić palcami w blat biurka. – Jak nazywali się ci dwaj Indianie, których prokurator oskarżał po Wounded Knee?

– Dennis Banks i Russel Means – podpowiedział Burke. – Sprawę umorzono, kiedy sędzia odkrył, że agenci FBI złożyli fałszywe zeznania.

Twist pokiwał głową.

– Jeśli Banks i Means nadal przebywają w rezerwacie, zorientuj się, czy nie byli zamieszani w obecną strzelaninę.

Lenny ponownie się wyprostował.

– Pozwolę ci wrócić do Nowego Jorku dopiero wtedy, kiedy uznam, że mam już wszystko, od ciebie i twoich informatorów. – Wyciągnął rękę, jakby chciał się bronić przed sprzeciwem czy skargami. – I nie pytaj mnie, ile to potrwa. Myślę, że co najmniej tydzień. Najwyżej dwa, jeśli coś tam się będzie działo. – Popatrzył na Burke'a. – Jak dużo tekstów zostawiasz na temat „Małego chłopca”? Pięć?

– Tak, pięć.

– I potrzeba ci jeszcze kilku dni na skompletowanie dokumentów ze szpitala?

– Zgadza się.

– A więc o nic się nie martw. Gdyby coś się wydarzyło i zaszłaby potrzeba wypuszczenia nowych artykułów, opublikujemy je pod twoim nazwiskiem.

– Wydarzenia w Dakocie też są wielkim tematem, w sam raz dla takiego dziennikarza jak ty. Wierz mi i zasuważ.

Burke najwyraźniej zdusił w sobie chęć powiedzenia, co o tym myśli, i mruknął tylko:

– W porządku, Lenny. Za tydzień się zobaczymy.

– Albo za dwa.

Pięć minut po wyjściu Burke'a do gabinetu Twista wszedł Mitch Coffee.

Szef wydania metropolitalnego usadził swoje zwaliste ciało w fotelu i poruszył brwiami:

– No i jak nasz Billy przyjął wiadomość?

– Był wściekły. Usiłował mnie przekonać, że powinien zostać. Oczywiście, nie dałem mu żadnych szans. Co za dupa!

– Dupa, ale utalentowana – zasugerował Coffee.

– Spokojnie mógłbym się obejść bez takiego talentu – skontrował Twist.

– Coffee podniósł brwi.

– Chcesz się pozbyć Burke'a?

– Owszem, przyszło mi to do głowy.

– Za artykuły na temat „Małego chłopca” może dostać Pulitzera. Wtedy tak łatwo nie zdołasz go wyrzucić.

Twist wzruszył ramionami.

– Nominacje do Pulitzera będą w grudniu, a nie sądzę, byśmy do tego czasu cieszyli się towarzystwem pana Burke'a. Nominację uzyska więc nie reporter, ale gazeta. To ważne wyróżnienie i należy się nam wszystkim. Wcale nie jestem zainteresowany urozmaicaniem kariery pieprzonego pana Burke'a.

Coffee zarechotał.

– Oj, Lenny, nie należysz ty do jednostek wyjątkowo sympatycznych.

– Oczywiście, wiem o tym. Ale po prostu nie lubię skurczybyków.

Julia szła przez parking w kierunku samochodu, kiedy pojawił się Burke.

Stała i poczekała, by zaparkował. Podchodząc do żony, uśmiechnął się, a był to pierwszy uśmiech, jaki się tego dnia pokazał na jego twarzy.

– Nie najlepiej wyglądasz – oceniła, gdy się zbliżył. – Miałeś zły dzień?

Zwariowany. Za trzy godziny lecę do Południowej Dakoty.

– Chodzi na pewno o zastrzelonych agentów FBI? Słyszałam coś na ten temat w radiu.

– Tak. Pokłócie Wounded Knee. Muszę pozostać w rezerwacie przez jakiś czas. Najlepiej by było, gdybym objął biuro FBI w Wounded Knee.

– Porachunki między Indianami a agentami to jednak ciekawy temat. – Starła się znaleźć jasną stronę całej sprawy.

– Ja już zajmuję się jednym ciekawym tematem. Tylko nie zdołam zamknąć go

w okresie najbliższych dwóch tygodni.

Powiadomiłeś matkę Roberta, że wyjeżdżasz?

Potakiwał głową.

– Wpadłem do niej do pracy. Właśnie miała przerwę obiadową. Boże, nie zapomnę wyrazu twarzy Marii... Czulem, jakbym zdradzał biednego chłopaka, pozostawiał go na pewną śmierć.

– Billy, przecież dobrze wiesz, że to nieprawda. Tak po prostu wygląda praca w prasie.

Oboje patrzyli w kierunku wejścia do instytutu.

– Julio, ta kobieta jest przerażona. Śmiertelnie przerażona. Usiłuje tego nie pokazywać, ale boi się coraz bardziej. Wstaje każdej nocy, by sprawdzić, czy synek jeszcze oddycha. Wyobrażasz sobie, jak ktoś taki się czuje, kiedy codziennie się zastanawia, czy to ostatnie godziny spędzone z dzieckiem? Chryste, i my przechodziliśmy ciężkie chwile, ale Annie śmierć nigdy nie zaglądała w oczy. Nie baliśmy, że nagle zadzwoni telefon i ktoś nas poinformuje, że Annie już nie ma, że odeszła.

Julia wzięła go za rękę.

– Bardzo polubiłeś matkę Roberta, prawda? – W głosie Julii odezwała się nuta niepokoju, czego nie zauważył.

– Ujęła mnie jej odwaga – powiedział. – W mojej pracy spotkałem wiele odważnych i wiele tchórzliwych osób. Nigdy jednak nie trafiłem na kogoś tak dzielnego jak Maria. Przez chwilę zastanawiał się nad czymś i dodał: – Wyjątkowo silnymi ludźmi zawsze okazywały się kobiety.

Julia ponownie uściśnęła rękę Burke'a.

– Jeśli chcesz, mogę być w kontakcie z tą kobietą podczas twojej nieobecności.

Weszli do holu. Burke stanął przodem do żony. Myślał o jej propozycji.

Wcześniej rozważał możliwość zwrócenia się do Whitney, by co pewien czas dzwoniła do Marii. Jednak zrezygnował z tego pomysłu. Obserwując Whitney w „Pałace”, dostrzegł w niej coś, czego uprzednio nie widział. Po prostu odnosiła się z rezerwą do słabości, nadziei i potrzeb innych. Była nazbyt zajęta sobą, by rozumieć problemy otaczających ją ludzi.

– Naprawdę zajęłabyś się tą rodziną?

– Oczywiście. Jeśli tylko Marii nie będzie to przeszkadzać. – W głosie Julii ponownie odezwał się ton zaniepokojenia, a Burke ponownie tego nie odnotował.

– Ona na pewno chętnie przyjmie każdą pomoc. W gazecie nie mam nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić z taką prośbą.

– Nie muszę jej mówić, że jestem twoją żoną – powiedziała Julia. – Wyjaśnię tylko, że cię chwilowo zastąpię.

Tym razem Burke wychwycił sygnały zaniepokojenia. Zaczął się zastanawiać, jak zareagowałaby Maria na pojawienie się jego żony. Oczywiście, wiedziała, że był żonaty i żył w separacji. Mówił jej, że utrzymuje dobre kontakty z żoną, jednak nic nie wygląda na to, by chcieli i mogli być razem.

– Nie sądzę, ażeby fakt, że jesteś moją żoną, miał jakiegokolwiek znaczenie – powiedział. – Marii i mnie nic nie łączy poza tym chłopcem i jego problemami.

Julia pokiwała głową.

– Muszę przyznać, że zastanawiałam się nad relacjami między wami – rzekła. – Widziałam jej zdjęcie zamieszczone przy tekście twego ostatniego materiału. To śliczna dziewczyna. A przy tym taka samotna.

– Zgadza się – powiedział Burke. – Taka właśnie jest.

Wziął żonę pod rękę i ruszyli w kierunku windy, by wjechać na piętro, gdzie znajdował się pokój ich córki, a Julia dodała:

– Teraz ma jednak ciebie.

Rozdział osiemnasty

Południowa Dakota Dwa tygodnie później

Po powrocie do hotelu Burke otrzymał wiadomość od Twista. Wyrażała zdenerwowanie podszyte gniewem. „Wracaj do Nowego Jorku. Mamy kłopoty”.

Billy natychmiast zadzwonił do sekretariatu działu miejskiego, ale okazało się, że Twist wyjechał na jeden dzień. Usiłował złapać Fabia w domu, ale żona powiedziała, że Frankie „robi w gazecie”.

Obawiając się, że coś stało się z Robertem, zatelefonował wreszcie do Julii.

– O ile wiem, nic złego się nie dzieje – oznajmiła Julia. – Przed dwoma dniami jadłam obiad z Marią i wyglądało na to, że wszystko w porządku. Była bardzo podekscytowana kampanią na rzecz Roberta. Afisze i ulotki są w całym mieście. W tym tygodniu pojawiły się nawet ogłoszenia w radiu. – Zaczęła się śmiać. – Mały jest niezwykle dumny. Ludzie zatrzymują go na ulicy i proszą o autograf.

– A więc stan małego się nie pogorszył?

– Raczej nie – odpowiedziała Julia. – Niedawno odwiedziłam Roberta w ich mieszkaniu. A ostatniej niedzieli Maria przyjechała do centrum i poszliśmy z chłopcem do zoo. Troszkę się zmęczył i złościł się, kiedy trzeba było wychodzić. To jednak całkiem normalne u pięciolatka. Jestem pewna, że Maria by do mnie zatelefonowała, gdyby coś złego się stało. Odnoszę wrażenie, że mi ufa.

– Była wyraźnie zadowolona, że może porozmawiać z inną matką w swoim wieku. Czy chcesz, bym się jeszcze dzisiaj z nią skontaktowała?

– Nie. Lepiej nie wzbudzać w Marii niepokoju – mówił Burke. – W takim razie wiadomość Twista dotyczy drugiej części tematu, lekarzy lub szpitali. Jadę na lotnisko. Jutro rano będę w redakcji. – Zamilkł na moment. – Jezu, Julio, tak bardzo się zaangażowałaś. Serdecznie ci dziękuję.

– To bardzo miła dziewczyna, Billy – odezwała się po kilku sekundach Julia. – Łatwo zrozumieć twoje zainteresowanie. – Ponownie chwila milczenia. – A mały chłopak... jest wspaniały. Czasami diabeł w niego wstępuje, ale to cudowne dziecko. Może do niej zadzwonię, by przekazać pozdrowienia. Nie wspomnę o naszej rozmowie. Gdyby coś złego działo się z chłopcem, zostawię ci wiadomość na lotnisku. Jaką linią wracasz?

Burke przekazał informację i dodał, że się odezwie zaraz po przylocie. Potem zatelefonował na lotnisko. Ze względu na brak miejsc mógł podróżować jedynie z przesiadkami w St. Louis i w Chicago. Do Nowego Jorku dotrze o świcie. Szybko

wrzucił rzeczy do torby i pojechał na lotnisko.

Do mieszkania wkroczył o siódmej rano. Wziął prysznic, przebrał się i o ósmej ponownie usiłował złapać Frankiego, ale usłyszał, że Fabio wyjechał już do redakcji. Burke sam ruszył do pracy. O dziewiątej przekroczył próg redakcji.

Twist i Fabio rozmawiali w gabinecie Twista, a gdy Burke pokazał się w sali, naczelny natychmiast przyzwał go zamaszystym ruchem ręki.

– Twoja słodka *mamacita* wypieprzyła nas i to zdrowo. Zaczęło się w niedzielę – darł się Twist na powitanie.

– O czym ty mówisz? – Burke nie pojmował, w czym rzecz.

– Aresztowano ją dwa dni temu – wyjaśnił Frankie. Najwyraźniej starał się powstrzymać śmiech.

– Aresztowano? Za co, u diabła?

– Rozprowadzała numery dla loterii prowadzonej przez jednego Mameluka z rodziny Colombo – odpowiedział Frankie. – Wydaje mi się, że jej matka robiła to samo.

– A ty o tym nic nie wiedziałeś? – krzyknął ponownie Twist, nie spuszczać wzroku z Burke'a. – A może jednak?

Frankie zauważył, że Burke poczerwieniał z gniewu, więc natychmiast się włączył:

– Poczekajcie, poczekajcie. Ona zaczęła handlować niecałe dwa tygodnie temu. Billy wyleciał już wtedy do Południowej Dakoty.

Frankie miał wuja, o którym mówiło się, że był kimś ważnym w mafijnej hierarchii. Fabio doskonale więc się orientował w działalności podziemnego świata metropolii. Twist milczał przez chwilę, potem ponownie zwrócił się do Burke'a:

– Wiedziałeś o tym czy nie? – zapytał już spokojniej.

Burke, patrząc naczelnemu prosto w oczy twardym wzrokiem, odpowiedział zimno:

– Oczywiście, o niczym nie miałem pojęcia. Inaczej nigdy bym do tego nie dopuścił.

– Obyś mówił prawdę... – Twist zawiesił głos, a zawarta w nie dokończonym zdaniu groźba zawisła w powietrzu.

Burke zignorował szefa i zwrócił się do Fabia.

– Jak to właściwie wygląda? Źle? – zapytał.

– Załatwiamy sprawę – odpowiedział Frankie. – Wczorajszy wieczór spędziłem z brooklyńskim prokuratorem. Pienił się i podskakiwał. Jesienią staję do ponownych wyborów i uznał, że wpadka z loterią to doskonała okazja do umocnienia swojej pozycji.

– Możemy przecież zrobić sukinsynowi propagandę – wtrącił Twist.

– Już w poprzednich wyborach daliśmy mu poparcie – dodał Burke.

– No i okazało się, że mieliśmy nosa. – Twist ponownie podniósł głos.

– Spokojnie, chłopcy, spokojnie – mitygował Frankie. Zwrócił się teraz do Burke’a, jawnie wyłączając Twista z rozmowy. – Prokurator nie zdobył jeszcze jednoznacznych dowodów. – Powiedziawszy to, zaśmiał się. – Maglowali panią Avalon w Centralnym Areszcie przez szereg godzin. Usiłowali wydobyć z niej informacje, dla kogo pracuje. Ta szmata okazała się jednak sprytna. Trzymała gębę na kłódkę. Zadzwoiła do matki, a ta do redakcji. Złapali mnie w domu, pojechałem, porozglądałem się trochę, powęszyłem i uzyskałem zwolnienie. – Wzruszył ramionami, najwyraźniej minimalizując swoją rolę. – Gdy asystent prokuratora dowiedział się, ile zainwestowaliśmy w tę facetkę, zadzwonił do szefa i uzgodnili, że ją puszczają. Dałem słowo, że w każdej chwili przywiozę babę, gdyby chcieli z nią rozmawiać. – Ponownie wzruszył ramionami i uśmiechnął się ironicznie, pokazując, co myśli o swojej obietnicy. – Wczoraj ponownie spotkałem się z prokuratorem.

– To on nie wiedział o rodzinie Colombo? – zapytał Burke.

– Oczywiście, że wiedział – odparł Frankie. – Nie dysponuje jednak żadnymi dowodami. – Frankie poprawił się na krześle. – Moi informatorzy twierdzą, że Maria Avalon pracowała dla niejakiego Spanish Louie Torricellego. Gość ma siedzibę w „Social Clubie” przy Piątej Alei.

– To centrala Carmine „Węża”, prawda?

– Zgadza się. „Wąż” nadal z więzienia kieruje biznesem rodziny Colombo.

– Torricelli to jeden z jego oficerów. Prowadzi ruletę w tamtej części Brooklynu, aż po Bay Ridge. Matka Torricellego podobno pochodziła z Portoryko czy z Dominikany. I zapewne dlatego Spanish Louie najchętniej wciąga do interesu Latynosów. Ustaliłem, że Consuelo po telefonie do nas skontaktowała się ze Spanish Louie. Dlatego kilka minut potem, jak dojechałem do Siedemdziesiątego Ósmego posterunku, pojawił się tam jeden z adwokatów cwaniaczka. – Frankie podniósł głowę i zrobił minę, jakby patrzył na rzadkie gówno. – Powiedziałem prawnikowi, by natychmiast spieprzał, bo ja zajmuję się tą sprawą. Jeszcze tego potrzeba, by naszą podopieczną reprezentował brudny, pieprzony adwokacina, występujący z reguły jako obrońca mafiosów. – Nabrał powietrza w płuca i mówił dalej: – Wyprowadziłem gościa na korytarz, pouczyłem, kim jestem, i wyjaśniłem swoją obecność na posterunku. Poradziłem, by się nie martwił, bo nasza klientka nikogo nie wsypie. Dałem mu do zrozumienia, że już skontaktowałem się z prokuratorem i przedyskutowałem możliwość wycofania oskarżenia. – Frankie ponownie wzruszył ramionami. – Adwokat nie był uszczęśliwiony, ale uznał, że należy dać nam szansę na załatwienie sprawy własnymi sposobami.

– A prokurator nie wie nic o zaangażowaniu babki? – wypytywał Burke.

Nie. Maria powiedziała mi o tym, kiedy wiozłem ją do domu. – Pochylił się do

przodu. Twarz mu spoważniała. – A muszę przyznać, Billy, że zdrowo nacisnąłem na dziewczynę. Uświadomiłem jej, że w razie niepowodzenia w załatwianiu sprawy, może się z naszą pomocą pożegnać, a wtedy znajdzie się na lodzie w sytuacji, jakiej sobie nigdy nie wyobrażała.

– Do czego oczywiście nie możemy dopuścić. – Twist najwyraźniej nie wytrzymał. – Zrobilibyśmy z siebie największe dupy w całym prasowym biznesie.

Frankie ruchem ręki zahamował wybuch złości szefa.

– To jeszcze nie wszystko – kontynuował Fabio. – Kiedy wiozłem Marię do domu, opowiedziała mi szczegóły. Ten ciul, Spanish Louie, przed kilkoma tygodniami zagadnął jej matkę. – Fabio zaśmiał się i potrząsnął głową. – Mówił, że czytał w gazecie o Robercie. – Ponownie zarżał, wskazując palcem na Burke'a. – Któryś z twoich pieprzonych artykułów. Powiedział, że wzruszyły go problemy biednej rodziny i że chce pomóc. Zaproponował więc pracę u siebie za całkiem niezłe pieniądze. Maria od początku zdawała sobie sprawę, że to jakiś nieuczciwy interes. Doszły jednak do wniosku, że dodatkowo zarobioną forszą zaczną opłacać doktora Bradforda, by jak najszybciej zrobił operację. Ponownie potrząsnął głową. – I przed dwoma dniami wręczyły mu pierwszą ratę. Tysiąc zielonych. A Bradford, ten sukinsyn, wziął bez pytania. Interesował się tylko tym, jak często mogą mu wpłacać taką sumę. – Frankie rozłożył ręce, jakby chciał podkreślić zgorznienie i swoją bezradność.

– A więc do zła dołącza się jeszcze większe zło. Możemy pokazać, że wśród elit są gorsi od biednej Latynoski. Na dodatek, w jej środowisku wszyscy pracowali dla mafii, każdy fryzjer, każdy pieprzony sklepikarz. A pamiętajmy, że ona nie sprzedawała heroiny czy innych środków odurzających.

– No, ale wystarczająco nawarzyła nam piwa – wtrącił się ponownie Twist.

Burke skinął głową.

– Tak, wystarczająco – powtórzył za Twistem. – Nie wolno jednak zapomnieć, że zgodziła się na współpracę z Torricellim, bo chciała ratować życie swego dziecka.

Zanim Twist zdążył cokolwiek powiedzieć, Fabio wymierzył palcem w kierunku Burke'a i wyrzucił z siebie:

– Genialne. To woda na młyn. Genialne. – Zwrócił się teraz w kierunku Twista: – Trzeba przestać wymachiwać kijem i wziąć się do roboty.

Twist wpatrywał się w Fabia szeroko otwartymi oczami, wreszcie wydusił:

– To jednak przerażające, Frankie. A co będzie, jeśli „News” i „Post” zaczną węszyć? Co się stanie, jeśli jakiś pajac z „Timesa” wywacha, że mąż facetki był pieprzonym ćpunem?

– Daj spokój, ci idioci z „Timesa” w sprawach dotyczących przestępstw do niczego

się nie dogrzebią – wybuchnął Fabio.

Twist zignorował komentarz Frankiego.

– Czy kiedykolwiek sprawdzałeś akta męża? – zapytał Burke’a.

Owszem – odparł Billy. – Tu nigdy nie był zatrzymany. W każdym razie nie na terenie stanu.

– A sprawdzałeś w Portoryko?

Burke patrzył przez chwilę na czubki swoich butów.

– Nie – odpowiedział krótko.

– To na co czekasz? – wrzasnął Twist. – Złap któregoś ze swoich koleśków z FBI i niech przekopie archiwum. Nie chcę dalszych niespodzianek. Rozumiesz?

– Załatwię tę sprawę jeszcze dziś rano.

– Znakomicie, Billy. – W słowach Twista wyczuwało się jawny sarkazm. A kiedy już się z tym uporaś, jedź do *mamacita* i wyłóż kawę na ławę. Szanowna pani Avalon musi dokładnie pojąć, że jeszcze jedna taka wpadka, a rozstajemy się na zawsze. Powiedz jej, że wszystko się natychmiast skończy. Nie będzie już mowy o jej małym. Niech sobie pojedzie metrem i autobusem, i zobaczy, jak szybko zniknęły plakaty ze zdjęciami syna. – Przez chwilę dyszał ze złości. – A kiedy już zyskasz pewność, że ta głupia pinda pojęła, w czym rzecz, idź do Spanish Louie i przekaż mu, że teraz my kontrolujemy sytuację, a dziewczyna już dla niego nie pracuje. Gdyby nadal rozprawiała losy i została ponownie zatrzymana – uderzał w takt wypowiedzanych słów w blat biurka – kierujemy sprawę do prokuratora. I to wszystko masz zrobić jeszcze dzisiaj. Rozumiesz? Ponadto...

– Hej, chwilczkę – przerwał mu Frankie. – Billy nie może tak po prostu wejść do ich klubu i wydać polecenia. – Zaśmiał się. – Najlepiej niech od razu pójdzie do domu pogrzebowego i wybierze sobie odpowiednią trumnę.

Twist rzucił okiem na Fabia i wzruszył ramionami.

– Nic mnie nie obchodzi, jak to robi. Może zaprosić tego ciula na kawę.

– Może go wyściskać. Może mu dołożyć. Obojętnie, ale ma poinformować drania, co jest grane. Jasne?

– Dobra, dobra – uspokajał Fabio. – Jak tylko zamkniemy pierwsze wydanie, pójde z Billym. Przedtem zadzwonię do Torricellego, by wiedział, że złożymy mu wizytę. – Odwrócił się do Billy’ego i potrząsnął głową. – Załatwimy wszystko tak, że wrócisz żywy zapewnił.

Gdy wyszli z gabinetu Twista, Burke zatelefonował do Deziego z FBI i poprosił przyjaciela, by sprawdził akta w Portoryko. Potem zadzwonił do Julii.

– Już wszystko wiem – powiedziała na wstępie. – Wczoraj wieczorem dzwoniłam do Marii. Bardzo się boi, że gazeta się wycofa. Prawdę mówiąc, jest śmiertelnie przerażona

tym wszystkim. Usiłowałam złapać cię na lotnisku, ale okazało się, że twój samolot już wyleciał. – Chwileczkę milczała. – Billy, czy ta cała wpadka nie spowoduje, że się od niej odwrócą?

– Są tego bliscy – odpowiedział. – Gdyby Twist znalazł sposób na szybkie zakończenie sprawy bez komplikacji i ośmieszenia się, natychmiast zapomnieliby o istnieniu Marii Avalon. Na jej korzyść działa jedynie to, że w razie czego on też poniósłby przykre konsekwencje niepowodzenia.

– Czy Twist powiedział już o tej sytuacji szefom wydawnictwa?

– Nie mam pojęcia. Jeśli to zrobił, oberwie. To od początku jego pomysł.

– Jeśli nie zrobił, też prawdopodobnie oberwie, bo w końcu wszystko się wyda.

– Zawsze może zrzucić winę na ciebie – wtrąciła.

Billy potwierdził przeciągłym chrząknięciem i dodał:

– Owszem i nie wątpię, że ma już taki plan w pogotowiu. Jednak bardzo chciałby dostać Pulitzera, dlatego sądzę, że będzie grał dalej. Jeśli wygra, ukażą się przed nim świetlane perspektywy.

– Boże, wstydę się przyznać, ale trzymam kciuki, żeby temu draniowi się nie udało.

– Po chwili milczenia zapytała: – Co teraz robisz?

Burke powiedział, jakie otrzymał zadanie.

– Czy twój naczelny zwariował? – przeraziła się. – On każe ci stawać twarzą w twarz z mafią.

– Oczywiście – zaśmiał się Burke. – Jeśli pójdzie po jego myśli, zyska znakomitą historię i uwolni się ode mnie. Czego więcej mógłby sobie życzyć? Nie martw się – dodał szybko. – Frankie idzie ze mną. Wrócę w jednym kawałku.

– Wcale mi się to nie podoba – skwitowała Julia.

– Rozumiem, ale nie ma powodów do nerwów.

– Billy?

– Co?

– Kiedy zobaczysz Marię, nie bądź dla niej za ostry. Ona jest naprawdę przerażona.

Robiła tylko to, co uważała za swój obowiązek.

– Wiem.

– Pomyśl tylko, co my bylibyśmy gotowi zrobić, by pomóc Annie.

– Obiecuję traktować Marię łagodnie.

– I jeszcze jedno, Billy.

– Tak?

– Jak skończysz, wpadnij do mnie i powiedz, jak poszło.

– Może być późno.

– Nie ma znaczenia. Muszę wiedzieć, że nic ci się nie stało.

Kilka minut po siódmej Fabio i Burke weszli do „Social Club” przy Piątej Alei. Frankie jak zawsze grał junaka, tym razem nawet z pewną przesadą. Burke kroczył za nim jak cień, sprawiając wrażenie ochroniarza, któremu wydano polecenie „gęba na kłódkę i żadnych drak”.

We wnętrzu klubu panował półmrok. Wzdłuż ściany ciągnął się długi bar, a po drugiej stronie stały stoliki, z czego tylko dwa były zajęte.

Na sali znajdowali się jedynie mężczyźni w wieku od trzydziestu do sześćdziesięciu lat. Mieli na sobie różne stroje, jedni sportowe, inni bardziej wyjściowe, choć źle skrojone. Dwaj nosili na głowie kapelusze. Łącznie znajdowało się tu około piętnastu osób, część z nich popijała kawę. Przed niektórymi stały szklanki z piwem. Większość stanowili otyli, choć kilku wyglądało na zabiedzonych. W sumie mogli uchodzić za petentów w lokalnym biurze zatrudnienia rejestrującym bezrobotnych. Ci gangsterzy bardzo różnili się od tych, jacy istnieli w wyobraźni czytelników prasy i widzów telewizji. Była to po prostu gromadka ulicznych włóczęgów gotowych w każdej chwili wykonać zlecenia bossów. Zebrani w klubie faceci mogli budzić współczucie. Czy należało ich uznać za niebezpiecznych? Zapewne tak. Inteligentnych? Niekoniecznie.

Smutne wyrzutki społeczeństwa wystające godzinami na rogach ulic i przekonujące same siebie o własnej sile i mądrości – pomyślał Burke.

Gdy tylko przekroczyli próg, podszedł do nich zwałisty facet z wielkim brzuchem i muskularnymi rękami. Miał długie, ciemne włosy i takie też bokobrody. Nosił sportową, nylonową koszulę, u której brakowało guzików, a z otwartego dekoltu wyzierała owłosiona pierś przyozdobiona złotym krzyżykiem na łańcuszku.

– To prywatny klub. Czego tu szukacie? – zapytał. Mówił ochryple, z akcentem z przedmieścia, całkiem tak, jak aktorzy występujący w „Ojcu chrzestnym”.

– Przyszliśmy się spotkać z Louie Torricellim – wyjaśnił Frankie. – Dzwoniłem do niego. – Frankie przymrużył oczy i omiół faceta spojrzeniem dosadnie wyrażającym, że rozmówca to absolutny gówniarz.

Grubas odwrócił głowę i zawołał w głąb sali:

– Hej, Louie, ty kogoś oczekujesz?

– Tak, Rocco, w porządku.

Burke zobaczył, że od stolika wstaje niewysoki, tęgi facet w ubraniu z błyszczącego materiału, bez krawata, ale w słomianym kapeluszu na głowie. Latynos ruszył w ich kierunku kaczkowatym krokiem. Burke zauważył, że i ten mężczyzna nie miał wszystkich guzików u koszuli, spod której wystawał przepony podkoszulek.

– Louie Torricelli – przedstawił się bywalec klubu. – Ty jesteś Frank Fabio? – zapytał, stając przed przybyszami.

– Tak, miło cię spotkać – odpowiedział Frankie.

Torricelli przeniósł wzrok na Billy’ego.

– William Burke, tak? Czytałem twoje artykuły o chłopcu. Bardzo dobre.

Bardzo.

– Dziękuję – rzekł z uśmiechem Burke. – Znajdziesz dla nas kilka minut?

Torricelli rozłożył ręce, jakby był papieżem wyrażającym zgodę na audiencję. Burke zauważył, że facet jest nieogolony.

– Oczywiście, oczywiście – mówił Torricelli. – Porozmawiajmy. – I ruszył ku wyjściu, a Frankie i Burke podążali za nim.

Gdy wyszli, Torricelli stanął na chodniku i zapalił papierosa.

– Lepiej pogadać w innym miejscu – powiedział. Boss nie lubi obcych w prywatnym klubie, *capisce?*

– Nie ma problemu rzekł Frankie. – Dziękujemy, że znalazłeś dla nas chwilę czasu.

– Chodźmy na kawę. Tu niedaleko jest taka mała, miła dziurka – zasugerował Torricelli.

„Mała, miła dziurka” okazała się czymś w rodzaju wydrążenia w murze, brudna i śmierdząca nigdy nie sprzątanymi odpadkami. Usiedli przy stoliku, na którym stała kartka z napisem „zarezerwowane”. Torricelli wyrzucił kartonik i zamówił trzy kawy.

– Głodni? – zapytał. – Tu serwują fantastyczne *cannoli*. Sami je robią w kuchni. – Patrząc prosto na Frankiego, dodał: – Jak twoja babka. Możesz być pewien.

– Nie, dziękuję – wykręcił się Frankie. – Kawa wystarczy.

– Torricelli przeniósł wzrok na Burke’a, grając rolę gospodarza spotkania.

– A ty?

– I ja bardzo dziękuję – odparł Billy.

Torricelli wzruszył ramionami, dając im wyraźnie znać, że zrobili błąd.

– Mogliście przynajmniej wziąć do domu. Bylibyście wdzięczni. – Raz jeszcze wzruszył ramionami. – A więc, chłopcy, co mogę dla was zrobić?

Frankie podobnie jak Torricelli złożył ręce na stole i powiedział:

– Mamy problem.

– Słyszałem. – Zmarszczył czoło.

– Ale wszystko się da jeszcze naprawić – dodał Frankie.

– To dobrze. Naprawdę świetnie.

– Potrzebna nam jednak z twojej strony uprzejmość – kontynuował Fabio.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Sprawa dotyczy Marii Avalon. Niektórzy w naszej redakcji wściekli się z powodu tego, co się stało – zaczął tłumaczyć Frankie.

– Wściekli się na mnie? – Wskazał palcem na siebie i zrobił minę wyrażającą głęboką niesprawiedliwość wszelkich pretensji.

– Widzisz, i ty, i ja wiemy, że po prostu próbowałeś pomóc pani Avalon ciągnął Frankie. – Ale moi bossowie tego nie rozumieją. – Lekceważąco wzruszył ramionami. – Nie mają zielonego pojęcia, jak żyją sąsiedzi na przedmieściu. Oni widzą tylko same kłopoty i trzęsą się o swoje inwestycje poczynione na rzecz tego biednego chłopaka. Są przerażeni, że jak się rozejdzie, co matka zrobiła, to wszystkie wydatki spłyną z wodą spuszczoną w klozecie.

Torricelli wyciągnął ręce i rozczapierzył palce, jakby się przed czymś bronił.

– Rozumiem, ale ty musisz pojąć, że nigdy nie twierdziłem, by ta pani pracowała dla mnie lub dla kogokolwiek. Dotarło? Mówiłem jedno, że zrobiłem dobry uczynek. Postarałem się jedynie, by do torebki Marii skapnęło kilka centów. Kapujesz? – Ponownie rozłożył ręce w papieskim geście. – Jestem jej dobroczyńcą. To wszystko. Gliny natomiast zamierzają dorobić do tego jakąś teorię. Chcieliby mieć nową aferę związaną z cosa nostra. Tylko to ich interesuje. Resztę mają w dupie.

– Oczywiście, oczywiście – przytakiwał Frankie. – Sam wychowałem się na Mulberry Street. Dobrze wiem, że gliniarze zawsze się czepiają.

– Płynie w tobie bratnia krew. Znam twojego wuja. Równy gość. Przekaż mu, że darzę go wielkim szacunkiem. Powtórz mu to.

– Powtórzę – zgodził się Frankie. – Wuj mi powiedział, że jesteś facetem, z którym można się dogadać.

– Miło słyszeć. Bardzo miło. – Wyprostował się, najwyraźniej zadowolony z komplementu. – Co jednak z tymi twoimi bossami w gazecie? Oni zachowują się rozsądnie?

Frankie pochylił się w kierunku Torricellego i powiedział przyciszonym, konfidencjonalnym głosem:

– Ich pierwsza reakcja była taka: rzucimy babkę na pożarcie lwom, a całą sprawę prześlemy prokuratorowi okręgowemu.

Torricelli potrząsnął głową.

– Niedobre rozwiązanie. Bardzo niedobre – mruknął.

– I to właśnie powiedziałem. Tłumaczyłem im, jak wspierają się sąsiedzi na przedmieściach. I to do nich dotarło. Mnie polecono spotkać się z prokuratorem, wyjaśnić całą sytuację i nasze osobiste zaangażowanie. I prokurator zgadza się tym razem spasować, pod warunkiem że gazeta wyświadczy mu pewną przysługę.

Torricelli uśmiechnął się i w milczeniu skinął głową. Gest oznaczał akceptację powszechnej prawdy, że świat się kręci na takich właśnie zasadach.

– A teraz, co się tyczy dziewczyny – kontynuował Frankie. – Kiedy gliny ją przyciskały, trzymała język za zębami. Potem jeszcze ja jej wytłumaczyłem, że musi nadal mieć gębę zamkniętą na kłódkę. I będzie milczała. *Capisce?*

– To jedyna słuszna droga – zgodził się Torricelli. Łyknął kawy i dodał: Mówiłeś, że czegoś ode mnie potrzebujesz, a ja widzę, że wszystko załatwione.

Frankie uśmiechnął się.

– Owszem, załatwione. Chciałem się tylko upewnić, że tak pozostanie.

– Znasz gliny. To pieprzone psy uganiające się za kością.

– Wszawę mieszańce – dorzucił Torricelli.

– A więc musimy mieć pewność, że dziewczyna dla nikogo nie pracuje i nie będzie dalej pracowała. – Frankie mówił cicho, ale stanowczo. – Nie może się wydarzyć nic, co stanowiłoby powtórkę takiej nieszczęsnej sytuacji. Na chwilę zamilkł i z ciekawością przyglądał się rozmówcy. – Tylko raz uda nam się ten numer z prokuratorem. – Frankie uderzył się palcem po nosie, dając do zrozumienia, że sprawa zostaje wyłącznie między nimi. – Potrzebujemy tylko twojego zapewnienia, że dziewczyna nie zacznie współpracować z wami już nigdy więcej. Czy dasz taką gwarancję? Wyświadczyć nam grzeczność, dobrze?

Torricelli wykonał gest dobrodusznego wujka.

– Uważaj sprawę za załatwioną. Powtarzam, ja o niczym nie wiem. Nic nie słyszałem, by kiedykolwiek dla kogokolwiek pracowała. Jednak zgadzam się. Jeśli ktoś chce pomóc dziewczynie i jej chłopcu, musi forsę wygrzebać z własnej kieszeni.

O to właśnie chodzi. Doskonale – ucieszył się Frankie. – Przekażę tę wiadomość bossom z gazety. Przyrzekam, że nikt nie zrobi żadnego głupstwa, mając takie zapewnienie.

– W porządku, daję swoje słowo, *capisce?*

Wyszli z kafejki, a Torricelli zachowywał się jak najserdeczniejszy przyjaciel. Objął Frankiego za ramię i pokazał mu ciemnozielonego, prawie nowego cadillaca.

– Jak będziesz zmieniał wóz, weź coś takiego. Czujesz się w nim, jakbyś leżał we własnym łóżku, i pływasz przez ulice.

– Śliczny – chwalił Frankie. – Zawsze marzyłem o podobnym wozie.

– Jak się zdecydujesz, daj mi znać. Coś wymyślimy.

– Oczywiście, skontaktuję się z tobą – zapewnił Frankie.

Wszyscy uścisnęli sobie ręce. Torricelli wrócił do klubu, a Frankie i Burke skręcili w następną ulicę, gdzie stał zaparkowany cadillac frankier.

– Co zrobisz z dwoma cadillacami? – zapytał z uśmiechem Burke.

– Mam garaż na dwa samochody i zawsze zmieści mi się tam jeszcze jedno auto – poinformował z całą powagą Fabio.

Burke potrząsnął głową i parsknął śmiechem.

– A jak taki facet z marginesu dochrapuje się eleganckiego cadillaca? Rabunek?

– Nie, broń Panie Boże – zaklinał się Frankie. – On zapłacił za ten samochód najwyżej pięćset dolarów.

– Nie rozumiem – zdumiał się Burke.

– To proste – tłumaczył Fabio. – Czeką się, by na złomowisko prowadzone przez mafię dostarczono cadillaca albo lincolna. Sprawdza się, czy silnik jest w dobrym stanie. Jeśli tak, wymontowuje się silnik z tabliczkami zawierającymi numery fabryczne. Potem nakazuje się chłopakom, by skradli identyczny wóz. Do tego skradzionego wkładają stary silnik z tabliczkami i numerami.

– Silnik jest oczywiście po remoncie. W ten sposób zyskuje się całkiem nowy samochód i z legalną rejestracją. Jasne?

– Cwani faceci – powiedział z uznaniem Burke i ponownie potrząsnął głową.

– I ta zabawa kosztuje właśnie pięćset dolarów, a dla większości z nich to pestka. – Zaśmiał się i po chwili dodał: – W tym jest jednak coś, co powinno cię zastanowić.

– A mianowicie?

Fabio zatoczył ręką koło, jakby pokazywał koledze okolicę.

– Widziałeś tych wszystkich ciulów, prawda?

– Widziałem i co z tego?

– Ilu z nich poszło do młodej kobiety z dzieciakiem i zaoferowało pomoc? Powiedziawszy to, Frankie wzruszył ramionami i wszedł do samochodu. Opuścił szybę i zapytał: – A propos, ty teraz idziesz do tej Avalon?

– Tak. Mieszka tu niedaleko. Uprzedziłem ją telefonicznie, że wpadnę.

– Postaraj się, by zrozumiała, jak sprawy stoją. Jeszcze raz taki numer i do widzenia.

– Powiem jej wszystko.

Tylko tak, aby zrozumiała – powtórzył dobitnie, podniósł rękę i zbliżył palec wskazujący do kciuka, pokazując małą szczelinę. – Twistowi brakuje tylko tyle, by zamknąć temat. Oczywiście dla ratowania własnego tyłka. Skończy z wami obojgiem. Potrzebuje kozła ofiarnego, a domyślasz się, kto nim będzie?

– Nigdy nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości – przyznał Burke.

– To dobrze, ponieważ przy ponownej wpadce nawet ja ci nie pomogę.

Burke zapukał. Drzwi otworzyła Maria. Patrzyła na niego, a potem na małą paczuszkę z prezentem, jaką trzymał w ręce. Ciężko westchnęła i opuściła oczy.

– Chodź, Billy – poprosiła go do środka.

Matka Marii siedziała na kanapie i trzymała Roberta na kolanach. Chłopak na widok Burke'a uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Billy, Billy – zawołał. Zeskoczył z kolan babki i podążył w kierunku dziennikarza, ale poruszał się wolniej niż przed dwoma tygodniami. Burke szybko wyszedł chłopcu naprzeciw i objął małego serdecznie, potem odsunął delikatnie i przyglądał mu się ciekawie.

– Mama mówiła, że byłeś u Indian. Widziałeś ich? – zapytał Roberto.

– Oczywiście. Spotkałem wielu czerwonoskórych.

– Jeździli końmi, mieli łuki i strzały? Nosili pióropusze na głowach?

– Przeważnie jeździli ciężarówkami – odparł Billy. – Ubranie mieli dokładnie takie samo jak mieszkańcy Nowego Jorku. – Ponieważ zobaczył wyraz rozczarowania na twarzy małego, szybko dodał: – Czasami noszą pióra, najczęściej przy okazji różnych uroczystości. Widziałem też kilku na koniach.

Roberto był wyraźnie uszczęśliwiony.

– Mama opowiadała, że niektórzy z nich są w kłopotach.

– Tak, ale tylko kilku. Pozostali żyją sobie spokojnie i całkiem zwyczajnie.

– Zastrzelili jakichś żołnierzy?

– Oglądasz zbyt wiele filmów. Przypominam sobie, że obiecywałeś nie siadać długo przed telewizorem.

Roberto przytulił się do Burke'a i zachichotał. Burke odsunął małego, uklęknął przed nim i wręczył mu paczuszkę z prezentem. Chłopak niepewnie wziął podarunek i zapytał:

– To dla mnie?

– Wydaje mi się, że tak. – Burke patrzył na dziecko i na paczkę.

Roberto odpakował prezent. W środku znajdował się podkoszulek z wielkim napisem na piersiach „Kraina Indian”.

– *Mira, mamó, mira!* – wykrzykiwał uradowany Roberto.

Maria podeszła i uklęknęła z drugiej strony chłopca. Wzięła koszulkę i przymierzyła do niego, potem powiedziała do Burke'a:

– Idealny rozmiar. Dziękujemy. – Jej oczy wyrażały jednak strach i wahanie. Maria jakby się obawiała, że Billy zaraz zacznie na nią krzyczeć.

– Mogę ją włożyć? Mogę? – dopraszał się Roberto.

– Teraz idziesz spać. Przymierzysz rano.

– A nie mogę jej mieć na sobie w łóżku? Proszę, mamó, proszę!

– Przyciągnęła synka do siebie i przytuliła.

– No już dobrze, dobrze. Tylko zaraz maszerujemy do łóżka – dodała.

– Chciałbym jeszcze popatrzeć na Billy’ego – protestował Roberto, robiąc kwaśną minę.

– Na dziś już wystarczy. Jeszcze go zobaczysz. – Spojrzała na gościa, potem ponownie zwróciła się do syna: – Billy jeszcze przyjdzie. – Ponownie podniosła proszące spojrzenie na Billy’ego. – Prawda?

Burke skinął głową.

Oczywiście, że was odwiedzę. – Poglaskał Roberta po głowie. – Mamy jeszcze wiele do napisania. – Zamilkł na chwilę. – Moja żona mówiła, że ludzie proszą pana o autograf, panie Avalon.

Twarz Roberta rozjaśniła się uśmiechem. Oczy wyrażały zadowolenie.

Chłopiec zaczął energicznie potwierdzać skinieniem głowy.

– Moje zdjęcia wiszą nawet w metrze i w autobusach. Stałem się popularny, całkiem jak ty.

Burke wybuchnął śmiechem.

– Jasne, ty sławny człowieczku. – Przytulił policzek do policzka małego i dodał: – Ale teraz musisz zrobić to, co każe mama. Dobrze?

Kiedy przyjdiesz? – dopominało się dziecko.

– Zapewne jutro. – Ponownie uścisnął Roberta. – A teraz do łóżka, zanim się rozniewam. A szeptem dodał: – Bardzo się cieszę, że koszulka ci się podobała.

Roberto pocałował Billy’ego w policzek i również bardzo cichutko powiedział:

– Dziękuję.

To spontaniczne, niewinne zachowanie sprawiło, że Burke poczuł ciarki przebiegające mu po plecach.

Maria zabrała synka i poszła z nim do sypialni. Burke zwrócił się teraz do babki:

– Wygląda mi na słabszego. Chorował?

Consuelo popatrzyła na dziennikarza takim samym, pełnym strachu spojrzeniem jak Maria, kiedy przyszedł.

– Wydaje mi się, że opada z sił.

– Był u lekarza?

Consuelo potwierdziła skinieniem głowy.

– Lekarz powie, że już niczego nie można zrobić. Trzeba tylko podawać Robertowi te same lekarstwa i uważać, by się nie przemęczał. – Wzruszyła ramionami. – Tak trudno utrzymać go w spokoju. Choć łatwiej niż kiedyś. Spojrzała mu prosto w oczy i zapytała: – Pan na nas być bardzo zły?

Burke zaprzeczył ruchem głowy.

– Ja nie, ale moi pracodawcy, owszem.

Maria wyszła z sypialni, podeszła do kanapy i usiadła obok matki.

– Czy zmienili zdanie w sprawie pomocy dla Roberta? – zaczęła bez ogródek. – Pan, który przywiózł mnie z komisariatu, mówił, że mogą.

– Sądzę, że na razie jest wszystko w porządku, w każdym razie jeśli już nic podobnego się nie wydarzy. Wygląda na to, że prokurator okręgowy będzie gotów wycofać oskarżenie. – Potrząsnął głową i posłał Marii wymuszony, słaby uśmiech. – jeśli nikt nie wpadnie na to, że zostałam aresztowana. Wtedy, jak przypuszczam, teksty dotyczące Roberta potraktowano by inaczej, niżbyśmy sobie tego życzyli.

– Co to znaczy, Jeśli ktoś nie wpadnie na to, że byłam aresztowana”?

Burke popatrzył na nią poważnie, już bez uśmiechu.

– Inna gazeta, czy magazyn, może się dowiedzieć, co się stało. I jakiś reporter wykorzystałby tę sytuację, aby skompromitować naszą gazetę.

– I tylko dlatego zrobić krzywdę Robertowi? Aby skompromitować konkurencję? – odezwała się Consuelo z wyrazem niedowierzania na twarzy.

– Tak na to będą patrzyli – przytaknął Burke. – Was uznają za winne, ponieważ postąpiłyście w ten, a nie inny sposób.

– O, Boże – szepnęła Maria, zakrywając twarz rękami.

– A ja po prostu chcę pomóc dziecku. – Głos Consuelo przechodził w jęk. – Pragnę zdobyć pieniądze na lekarza, by operacja była szybko.

Billy pochylił głowę.

– Rozumiem. Wiem, dlaczego podjęłyście taką decyzję. – Na chwilę zamilkł, jakby szukał stosownych słów. – Wasze zamiary byłyby zrozumiałe, nawet gdybyście obrabowały bank. Niemniej fakt pozostawałby faktem, że popełniłyście przestępstwo. Tak to ocenią. – Uśmiechnął się do starszej pani, usiłując osłabić wymowę słów, jakie wypowiedział. – Inne tytuły mogłyby relacjonować zdarzenie nawet z wyrazem zrozumienia i sympatii dla was. Jednak odkrycie całej tej afery oznaczałoby kompromitację dla szefów „Globe”. Wtedy oni szybko zamknęliby temat.

Podbródek Consuelo zaczął gwałtownie drgać, a Burke pojął, że kobieta zaraz wybuchnie płaczem. Szybko więc dodał:

– Jeszcze nikt nie wie, jak będzie. Myślę, że gdyby poważnie myśleli o wycofaniu się z akcji, już by to zrobili. A więc nie martwcie się na zapas.

– To być mój błąd – załkała Consuelo. – Maria tego nie chce. Ja namówić córkę.

Maria przytuliła matkę do siebie.

– Mamo, przestań. Już w porządku. Wszystko się ułoży.

– Nie, nie. – Łkanie stawało się coraz głośniejsze. – Teraz... Roberto... nie...

– mieć... operacji. To... to mój... błąd...

– Będzie miał, mamó. Będzie. Wiem o tym. – Maria głaskała Consuelo po głowie, po plecach, pieściła i uspokajała jak dziecko.

Burke siedział naprzeciwko przekonany, że nie powinien być świadkiem tej sceny, a jednocześnie czuł się winny zaistniałej sytuacji. Przecież te kobiety nie zrobiły nic złego. Po prostu starały się ratować dziecko. Sprzedawały losy do nielegalnej loterii. Co to za przestępstwo w kraju, gdzie prawo zezwalało na uprawianie hazardu w kasynach, gdzie w poszczególnych stanach istniały lokalne loterie, które nie były niczym innym jak taką grą w numerki. Problem polegał na tym, że nielegalne gry hazardowe dostarczały dochodów mafii, ta natomiast potem lokowała pieniądze w różnego rodzaju interesach, czasami rzeczywiście szkodliwych. W ten sposób finansowano import narkotyków i organizowano całe kartele narkotykowe. To prawda, ale nigdy nic nie jest po prostu białe i czarne. Wszystko było bardzo skomplikowane i nie każdy postępek miał cechy moralnego bagna. Oczywiście ludzie z policji, sądownictwa, prasy łatwo ferowali wyroki, choć sami tkwili w gównie po uszy.

Przypomniał sobie słowa Julii: „Pomyśl, co ty i ja bylibyśmy skłonni zrobić, by pomóc Annie”. Burke przez chwilę myślał o swojej córce, słodkiej, uroczej dziewczynce, która pod wpływem choroby przemieniła się w kogoś, kogo nie znał i nie pojmował. Zastanawiał się, jak daleko by się posunął, gdyby istniała choć najmniejsza szansa uleczenia małej. Wydawało mu się, że nie cofnąłby się właściwie przed niczym.

Siedział nieruchomo i rozmyślał, podczas gdy Maria zaprowadziła tym razem matkę do sypialni. Uznał, że musi coś powiedzieć, by dziewczyna choć trochę się odprężyła.

Cóż jednak mógłby rzec? Rzeczywistość była taka, jaka była. On miał za zadanie tylko przekazać ocenę sytuacji. Jeszcze jedno zadanie na barkach Billy’ego Burke’a i to dobrze wykonane. Same sukcesy. Jutro zamelduje, że wszystko w porządku, a gdyby szczęście dopisało, to nawet sąd zaakceptuje ich prośby.

Maria wróciła i siadła na kanapie naprzeciwko Burke’a.

– Billy, bardzo mi przykro.

– Rozumiem. – Wyczuł, że nadal gra twardego faceta.

– To było bardzo głupie. Myślałam jednak... – Potrząsnęła głową. – Sama nie wiem, co myślałam. – Westchnęła i utkwiała wzrok w kącie pokoju. – Przed kilkoma tygodniami szef zaoferował mi pracę w biurze. Płaciłby lepiej, ale... Zawahała się, po czym zaczęła mówić szybko, jakby się obawiała, że zaraz zabraknie jej odwagi. – Musiałabym jednak spotykać się z klientami. Wychodzić z nimi wieczorami. Mężczyźni lubią gdzieś pójść z młodą dziewczyną, kiedy przyjeżdżają do miasta w interesach. Wzięła głęboki oddech. – Odmówiłam. Głównie dlatego, że nie mogłabym wieczorem czy w nocy być daleko od Roberta. – Popatrzyła na Burke’a i zapytała: – Rozumiesz, o czym mówię?

– I tej pracy też nie przyjmuj – powiedział Billy. – W żadnym wypadku.

– Maria położyła rękę na usta, jakby chciała zatrzymać cisnące się słowa.

– Jak na razie nie robię niczego innego, tylko żebrzę. Czasami myślałam innym, dodatkowym zajęciu. Pracowałabym na dwóch posadach. Jednak i to nie wystarcza, by zebrać potrzebne pieniądze. A czas ucieka. Poza tym bardzo się boję, że jak wezmę drugą pracę, Roberto umrze samotnie, bez matki u boku.

I dlatego nie szukałam tej pracy. Nic więcej nie mam, Billy, nic mi nie pozostaje, tylko żebranie. I nadzieja na cud.

Burke pragnął jej powiedzieć, że cuda się nie zdarzają. Przecież sam się modlił o cud.

– Jakoś to załatwimy, Mario. Przyrzekam.

Patrzyła przez chwilę gdzieś przed siebie, potem zwróciła się do niego, uśmiechnęła i powiedziała:

– Lubię twoją żonę.

Pomyślał, że zmienia temat, bo nie chce rozwiązać swoich złudzeń wywołanych obietnicą.

– Ona do ciebie też czuje sympatię – odparł.

– Maria uśmiechnęła się smutno i dodała:

– Mam wrażenie, że cię kocha. I to bardzo.

– Przytaknął.

– Czasami jednak miłość nie wystarcza. Bywa, że coś jest od niej zdecydowanie ważniejsze.

Maria wydawała się jakaś nieobecna, daleka. Po chwili milczenia powiedziała:

– Tak, tak bywa czasami.

– Sądzisz, że teraz, kiedy załatwiłeś wszystko dokładnie tak, jak chcieli, będzie już wszystko w porządku?

Znajdowali się w kuchni Julii. On stał oparty plecami o kredens, a ona nalewała bezkofeinową kawę do kubków. Dochodziła dziesiąta trzydzieści wieczorem. Julia miała na sobie powłóczystą koszulę nocną, prezent od męża ofiarowany jej przed laty. Stanowili wtedy prawdziwą rodzinę. Podśmiewali się z Julii, że powinna się w tej koszuli włóczyć.

– A któż to może wiedzieć? – odpowiedział. – To zależy od Twista i jego zwierzchników. – Przygryzł na chwilę wargę, po czym kontynuował: – Obiecałem Marii, że zrobimy dla chłopca to, co trzeba. – Wpatrywał się w podłogę. Przypominam sobie, że kiedy byłem dzieckiem i chciałem coś ekstrawaganckiego, ojciec powtarzał mi takie

powiedzonko: „Gdyby życzenia były końmi, nawet żebrak jeździłby, a nie chodził na piechotę”. – Nie odrywał oczu od podłogi. – A wiesz, że Maria sama siebie nazwała dziś wieczorem żebraczką.

– Wiem – przytaknęła Julia. – Mnie też to mówiła. Ona to tak odczuwa.

Burke opowiedział żonie o propozycji pracy w biurze, jaką dostała Maria, i co z tego awansu wynikało.

Julia głęboko westchnęła, przymknęła oczy, potem postawiła kubki z kawą na malutkim kuchennym stoliku.

– Zastanawiałam się, co ja bym zrobiła, gdyby ktoś przyszedł do mnie i powiedział, że mogę odzyskać dawną zdrową Annie, tylko muszę się przespać z jakimś niemiłym facetem... – Zamilkła, jakby rozważała własne słowa, po czym dodała: – Każdej kobiecie zdarza się przespać z mężczyzną, który potem okazuje się niemiły. Tylko że z góry się o tym nie wie.

Burke nie odezwał się ani słowem. Wolał się na ten temat nie wypowiadać.

Julia popatrzyła na męża i spytała:

– Co gotów byłbyś zrobić, by odzyskać Annie? – Nie spuszczała z niego wzroku, jakby wymuszając odpowiedź.

– Sądzę, że prawie wszystko. – Opuścił ręce w akcie rezygnacji. – Mógłbym na przykład zabić niewinnego faceta. Zapewne nie cofnąłbym się przed dokonaniem innych niegodziwych czynów. Wolałbym jednak nie zgadywać teraz, jakich.

Podeszła do Billy’ego, zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła głowę do jego piersi.

– Och, Billy, to wszystko takie zwariowane. A wydawałoby się, że pomoc choremu dziecku i tym dwóm kobietom powinna być czymś oczywistym.

Objął ją i poczuł pod palcami miękkie jedwab.

– Maria powiedziała mi jeszcze coś ciekawego dziś wieczorem – odezwał się po chwili. – Mówiła, że ty nadal mnie kochasz.

Julia zaśmiała się.

– Ona jest bardzo spostrzegawcza. – Przytuliła się do Burke’a jeszcze mocniej. – Czy zostałbyś ze mną na dzisiejszą noc? – zapytała szeptem.

– Zawsze będę przy tobie. Kiedy tylko zechcesz.

Rozdział dziewiętnasty

Do końca tygodnia Burke wieczory spędzał w archiwum Szpitala Uniwersyteckiego, odgrywając doktora Johna Rourke'a. Zaczęło się jednak nie najlepiej.

Ustawicznie rozflirtowana Wendy, studentka i urzędniczka w jednej osobie, na wstępie pierwszej wizyty śmiertelnie go przeraziła.

Gdy się tylko pojawił w białym kitlu ze stetoskopem w kieszeni, zakrzyknęła z radością:

– O! Pan wrócił. Dzwoniłam do pańskiego gabinetu przed tygodniem i powiedzieli mi, że pan jest na wakacjach.

Burke wymusił z siebie uśmiech, zdając sobie sprawę, jak blisko znajduje się linii, poza którą cała konspiracja zostanie ujawniona. Wystarczyłby teraz jeden nierozważny krok, a wszystko mogło się wydać.

– Naprawdę? – odpowiedział, wcale nie mając pewności, co mogli powiedzieć dziewczynie w, jego gabinecie”. Wendy tymczasem patrzyła na niego mile uśmiechnięta. – Niestety, musiałem skrócić wypoczynek. – Udawał zmartwionego. – Pacjenci – dodał i wzruszył ramionami.

– Wiem, słyszałam – odparła Wendy. – Mam gotowe materiały dla pana.

– Doskonale. – Ruszył w kierunku regałów w nadziei, że się uwolni od natrętnej blondynki.

– Pan nadal pracuje nad tym samym? – zapytała, idąc w ślad za nim.

– Tak, i to potrwa jeszcze kilka dni. Proszę sobie nie przeszkadzać w pracy.

– Ależ nie ma problemu. Z przyjemnością pomogę. – Szła teraz przed Billym, kołyszając biodrami.

I rzeczywiście pomagała. Burke szybko odkrył, że była doskonale rozeznana w zebranych w archiwum materiale. Wyszukiwała akta dwa razy szybciej od niego. Pod koniec tygodnia, właśnie dzięki ustawicznej pomocy Wendy, zgromadził potrzebne mu informacje obejmujące kolejny rok.

Właściwie zbliżał się ku końcowi poszukiwań. Został mu jeszcze jeden rok do sprawdzenia, ale dysponował już taką liczbą fałszywych oświadczeń na temat rzekomej pracy wykonywanej w szpitalach Belleuve i Harlem, że sprawa stawała się bezdyskusyjna. Postanowił jednak przejrzeć resztę dokumentów.

Miał świadomość ryzyka i zdawał sobie sprawę, że urlop rzeczywistego doktora Johna Rourke'a dobiega końca. Potrzebował jeszcze dwóch, góra trzech dni.

Potem mógł już siadać do pisania materiału.

Wiedział jednak, że tego nie zrobi. W każdym razie nie tak szybko. Dopiero wtedy, kiedy w szpitalu wyznaczą termin operacji Roberta. Pisanie zabrałoby mu najwyżej jeden dzień, nie więcej. Byłaby to na początku seria trzech artykułów, którą można by potem kontynuować, gdy sprawa nabierze rozgłosu i rozkręci się.

Na razie jednak Burke postanowił wszystko zachować w tajemnicy. I nawet nie chodziło o problem niedowierzania kierownictwu redakcji. Po prostu wiedział doskonale, na jakich zasadach pracują media. Temat „Małego chłopca” okazał się dla redakcji niezwykle korzystny. Znacznie wzrosła liczba ogłoszeń i reklam zamieszczanych przez tych, którzy przy okazji pragnęli wykazać zrozumienie dla cudzego nieszczęścia. Planowano nawet na zakończenie akcji zbierania pieniędzy na operację puścić program w jednej z lokalnych stacji telewizyjnych. Rozpoczęcie przed czasem nowej kampanii na łamach gazety mogło wszystko odmienić. Główny cel, jakim było ratowanie Roberta, odszedłby w zapomnienie, ustąpiłby nowej sensacji, budzącej gniew czytelników. Należało więc działać tak, by utrzymać zainteresowanie operacją Roberta.

Burke uważał, że musi trzymać w zanadrzu jeszcze jakieś sensacje dotyczące chłopca, na wypadek gdyby zaszła potrzeba kontynuowania kampanii zbierania pieniędzy. Gdy zapytał, ile jeszcze brakuje, Twist starał się go spławić. Burke powiedział wtedy, że zawsze istnieje groźba, że wpłaty przestaną nadchodzić, gdyż czytelnicy uznają, że cel kampanii został już osiągnięty.

– Ile już zebraliśmy? – naciskał Burke.

– Jezus, Maria – zdenerwował się Twist. – Jesteś tak samo nudny jak ta pieprzona babka chłopca. Dzwoni co najmniej raz na tydzień i wypytuje o forszę.

Burke spojrzał na swego zwierzchnika niezbyt przyjaźnie.

– Jej pieprzony wnuk umiera – odparował.

Twist machnął ręką i zrobił minę, jakby się zawstydział.

– Wiem, wiem. Jesteśmy naprawdę blisko. Po prostu nie mam nad tym dokładnej kontroli. Funduszami zajmują się faceci z administracji. Przekaż matce i babce dzieciaka, że jeszcze tydzień, najwyżej dwa, i będzie koniec. I niech mnie nie prześladują.

Burke po wyjściu ze szpitala ruszył w kierunku klubu „Costello”. Zbliżał się właśnie czwarty lipca, dzień święta narodowego. Wendy poinformowała Billy’ego, że ona i jej kolega w sobotę i niedzielę, piątego i szóstego, nie pokazują się w pracy. Przyjdą w poniedziałek. W ciągu tych dwóch dni w archiwum miały dyżurować inne osoby, które jednak nie orientowały się w aktach i nie wiedziały o wieczornych wizytach „doktora Johna Rourke’a”. Burke uznał, że wizyta w archiwum w tym czasie byłaby niepotrzebnym ryzykiem i postanowił, że pokaże się tam dopiero w poniedziałek.

Do baru Burke wkroczył około dziesiątej. Jak zawsze przebywali tu już korespondenci zagraniczni. Różnica pomiędzy czasem lokalnym a czasem w krajach, skąd przybywali, powodowała, że ich życie płynęło jak po różach. Rano przekazywali do swoich redakcji tematy, jakie pojawiały się na czołówkach wieczornej prasy amerykańskiej lub przedstawiane były przez miejscowe stacje telewizyjne i radiowe. Jeśli redakcje korespondentów zwracały się z jakimiś zapytaniami, odpowiadali materiałami uzyskiwanymi z lokalnych serwisów agencji prasowych. Tak więc stale, o każdej porze byli dobrze poinformowani o wszystkim.

Burke przedzierał się przez tłum niezbyt trzeźwych facetów, aż doznał do stolika, przy którym siedzieli Eddie Hartman i Frank Fabio.

– Postawicie drinka swojemu ulubionemu chirurgowi? – zapytał, dosiadając się do przyjaciół.

– Jeszcze jeden! – krzyknął Frankie w kierunku Johna. Barman spojrzał na Burke'a i bez słowa sięgnął po butelkę whisky.

– Pan Bóg ci to wynagrodzi – podziękował Burke.

Fabio pochylił się w kierunku Hartmana i z figlarnym wyrazem twarzy mówił:

– Kiedy kolega Billy latał za pielęgniarkami, nasz ukochany boss wyskoczył z historią, która niczym fajerwerk uświetni Czwartego Lipca.

Wymyślili jakieś nowe gówno? – zarechotał Burke.

– Jestem oburzony twoją sugestią – zaprotestował Hartman, jednocześnie uśmiechając się radośnie i pokazując rząd zębów wystających spod gęstych wąsów. – Gówno czy nie gówno, ale ten materiał usunął z trzeciej kolumny artykuł o kryzysie finansowym miasta.

– A na pierwszej kolumnie mamy towarzyszące zdjęcie.

– Powiedzcie, o co chodzi? – dopytywał Burke.

– Pojawił się Tony Rice i wylewnie objął Burke'a za ramię.

– Słyszałeś już o nowym kawałku bossa?

– Cicho! – uspokajał go Burke. Właśnie zaczynają opowiadać, by mnie nieco rozweselić.

Hartman spojrzał na kompanów siedzących przy stole i uśmiechnął się zjadliwie.

– Co myślicie o tym? Ręką nakreślił w powietrzu znak zapytania. – „Dziennik kurtyzany ujawnia sekrety seksualne znanej postaci. Prominent z Hollywood obnażony”.

– Hartman mrugnął porozumiewawczo. – W rzeczywistym tytule nie poszliśmy tak daleko, ale taki jest sens. – Podniósł szklanę, jakby wznosił toast na cześć pomysłodawców. – Nasi dzielni chłopcy zatrzymali jedną z lepiej znanych kurewek i znaleźli notes, w którym odnotowywała upodobania i skłonności swoich ważniejszych

klientów. Jednym z nich był ojciec biznesu telewizyjnego.

Okazuje się, że tatuś lubił, kiedy ktoś na niego siusiał, a poza tym nie miał nic przeciwko temu, by czasami dostać kilka klapsów w dupsko.

Burke jęknął.

Tony Rice zachichotał.

– To nazywa się dziennikarstwo. Zamarłem w oczekiwaniu dalszych szczegółów.

– Odpieprz się rugnął go Hartman. – Jesteś zazdrosny, że panienka nie złała tobie dupska, ty wychudzony Angolu.

– Do mnie należy zwracać się per *sir* – pouczył z całym spokojem Rice. Uważam, że powinniśmy się zająć upodobaniami seksualnymi senatorów, burmistrzów, prezydentów – mówił. – Dopiero wtedy zdołamy dać naszym czytelnikom pełny obraz życia politycznego. Od oracji po seks oralny. Wszyscy chcieliby coś na ten temat wiedzieć.

– Zamknijcie się – uciał Hartman. – Te pajace piszą nie o kimś wybitnym i znanym. Jak zawsze pomylili postacie. To normalne.

Burke z wyrazem zdumienia na twarzy zwrócił się do Fabia:

– I to na trzeciej kolumnie z fotografią na pierwszej?

Frankie wzruszył ramionami:

– Jak Eddie powiedział, to normalne. Obsmarować komuś dupę. Zresztą, nie było innych ważnych wiadomości w tym dniu.

– Przed kilkoma laty nikt by na taką „sensację” nie zwrócił uwagi. W najlepszym wypadku rzecz poszłaby w rubryce plotek, gdyby ktoś rzeczywiście faceta nie znosił. A dziś... – Pokiwał głową. – Zasady gry się zmieniły, koledzy.

– Teraz wszystko jest dobre, z czego mamy drakę.

Burke oczyma wyobraźni ujrzał twarz Twista pęczniejącą od dumy. Zaczął się zastanawiać, kiedy to, o czym mówił Tony Rice, będzie uchodziło za normę pracy dziennikarskiej. Kiedy życie seksualne polityków stanie się zwykłym tematem doniesień w mediach.

Już przecież podniosła się wrzawa wokół kandydata do prezydentury, senatora z Kolorado, Gary’ego Harta. Po „Watergate” zaczęła się epoka „łapania każdego na wszystkim”. Nie należało więc wykluczać, że Rice miał rację, choć Burke nie wyobrażał sobie takiej działalności prasowej.

Fabio wstał i szeptem poprosił Burke’a na stronę. Przeszli na tył sali i usiedli przy pustym stoliku, gdzie nikt ich nie słyszał. Fabio jednak mówił bardzo cicho:

– Jak ci idzie w szpitalu?

– Dobiegam końca. Dwa, trzy dni jeszcze.

– Będziesz miał wszystko, co chcieliśmy.

– Burke skinął głową.

– Nawet więcej. I lepsze materiały, niż oczekiwaliśmy. W miarę upływu czasu ci faceci stawali się coraz bardziej zachłanni i nieostrożni. Wpisywali, że przeprowadzali zabiegi w Belleuve i w Harleemie, podczas gdy w rzeczywistości przebywali na urloпах lub na konferencjach.

Fabio pokiwał głową.

– Szmaty. Niewiarygodne. Mówiłeś Twistowi?

– Nie. Na razie trzymam te informacje dla siebie. Mógłbym już zacząć pisać, a potem dodać materiały z zeszłego roku. Obawiam się jednak, że przestaną się interesować chłopcem, jak dostaną wszystkie teksty do ręki.

– Tak może być, ale, jak słyszę, forsa stale napływa. Należną sumę zgromadzą w ciągu tygodnia, najwyżej dwóch. Lekarz wtedy przeprowadzi operację, a potem ty będziesz mógł mu przyłożyć. – Ostrzegawczo pokiwał palcem. Tylko przez następnych sześć miesięcy nie idź na chirurgię. Jak cię dopadną, to cię wykastrują. – Fabio łyknął drinka i zapytał: – A mówiąc o tym instrumencie, jak sprawy ze śliczną Whitney? Coś ostatnio nie widziałem was razem.

Burke w tym momencie uświadomił sobie, że od kilku dni w ogóle o dziewczynie nie pomyślał.

– Od dnia powrotu z Południowej Dakoty prawie jej nie widuję – powiedział. – Czasami tylko w redakcji. Przed wyjazdem zaciągnęła mnie do „Pałace”. – Pokiwał głową. – Boże, co za kolekcja typków i postaci z przeszłości. Pociągnął drinka i zastanawiał się, czy mówić dalej. Po chwili przerwy jednak dodał: – Ponownie spotykam się z Julią.

Fabio uniósł brwi.

– Czy to powrót?

– Nie wiem. Chciałbym, żeby tak było. Wiele należałoby wyjaśnić... – Postawił drinka na stole i patrzył w szklankę. – Czwartego jedziemy razem do Annie. Potem idziemy na obiad. – Uśmiechnął się smutno do Fabia. – Już przedtem widywaliśmy się w instytucie u Annie, ale razem nie jeździliśmy tam od dawna. Sądzę, że musimy spróbować, jak nam się będzie układać jako małżeństwu, a nie dwóm osobnym ludziom. To potrwa jakiś czas.

– Życzę szczęścia. Naprawdę. Julia jest wspaniałą dziewczyną. Nie muszę chyba wspominać, że i twoje życie od czasu rozstania zmieniło się na niekorzyść.

– Masz rację – przyznał Billy.

Fabio popatrzył na Burke'a wzrokiem pełnym wątpliwości.

– Czy na pewno potrafisz zerwać z lady Whitney? To chyba nie będzie takie łatwe,

mój chłopcze.

Burke zastanawiał się chwilę i odpowiedział:

– Ale też nie takie trudne, jak sobie wyobrażasz. Zamilkł, najwyraźniej szukając właściwych słów. – Whitney jest cudowna, śliczna, seksowna. Umie ofiarować facetowi kupę radości. – Ponownie zamilkł. – Może jednak również dać zdrowo w dupę, zdrowo i boleśnie. – Wzruszył ramionami, wyrażając tym samym, że w gruncie rzeczy ranić potrafi każda kobieta. – Z Whitney nie podyskutujesz o swoich problemach. – Burke sięgnął po szklankę i upił nieco bursztynowego płynu. – To niezwykle ambitna osóbka, a jej stosunek do życia wyklucza długotrwały związek z kimkolwiek. A już na pewno z człowiekiem obciążonym kłopotami. Whitney chce się spotykać i bawić z chłopakiem. Nic więcej.

Woli z daleka omijać wszelkie przeszkody. – Podniósł szklankę z drinkiem, jakby pił czyjeś zdrowie. – Niczego więcej też nie obiecuje. Mówi jasno, czego chce.

Pod tym względem trudno jej cokolwiek zarzucić.

– Jak odejdiesz, będzie potrzebowała nowego faceta. Powiedz, że Cheech jest do wzięcia. Obiecuję, że nie szukam długotrwałego związku i żadnych osobistych komplikacji. Seria niezobowiązujących nocnych spotkań całkiem wystarczy.

Burke parsknął śmiechem.

– No, nie wiem, Cheech, czy ona potrafiłaby podołać.

– Fabio odchylił głowę i zmierzył Burke'a wzrokiem.

– A pokaż mi dziewczynę, która by potrafiła?

Rozdział dwudziesty

Czwartego lipca na Manhattanie panował upał. W ciężkim powietrzu wznosiły się drobiny kurzu i zanieczyszczeń. Niebo stawało się coraz bardziej czyste i błękitne, w miarę jak mknęli autostradą w kierunku Westchester County. Nawet odbiór radiowy wydawał się poza metropolią lepszy. Jadąc wysłuchali nowego hitu Johna Denvera „Bogu dziękować, jestem chłopakiem z prowincji” i Glena Campbella „Kryształowy kowboj”. Burke i Julia dojeżdżali właśnie do instytutu. Wszystko było w porządku, tylko nerwy odmawiały im posłuszeństwa.

Burke już po przebudzeniu odczuwał treść, a napięcie wzrastało z każdą minutą. Przerzucił poranną prasę i dowiedział się, że ostatni bohaterowie „Watergate”, John H.R. Haldeman, John Mitchel i John Erlichman, przegrali apelację i pakowali się do więzienia. Burke’a ogarniał taki nastrój, jakby on też wybierał się za kratki. Starał się odsuwać te myśli od siebie. Perspektywa całego dnia w towarzystwie Julii, a na to się zanosilo, wzmagala stres. Wiedział, że Julia czuje to samo, i pomyślał, że nazbyt usilnie starają się dbać o dobrą atmosferę.

Spokój stawał się niezbędnym dla osiągnięcia celu. Żadne z nich jednak nie potrafiło się odprężyć w dniach wizyty u córki. Gdy dojechali do instytutu, dzieci były na dworze. Julia ruszyła przodem, wzrokiem szukając córki. Burke szedł za nią wolniej, rozglądając się dookoła. Wszędzie widział obsługę w mundurkach. Jedna pielęgniarka przypadała na każdą trójkę dzieci. Początkowo wydawało mu się, że personelu jest zbyt dużo, ale szybko się przekonał, że taka liczba pielęgniarek i pielęgniarzy to niezbędne minimum. U dzieci występowały przeróżne symptomy zespołu Kannerera. Chore dzieci potrafiły wleźć na drzewo i skakać z wysokości kilku metrów. Błądziły, wpadały w złość i bez ostrzeżenia napadały na kogoś z otoczenia albo rzucały jakimiś przedmiotami, nie zastanawiając się nad konsekwencjami swoich poczynań.

Występowały objawy szalów, trudne do zdiagnozowania i niemożliwe do uleczenia. Na pewnym etapie choroby pojawiała się udawana głuchota. Dziecko traciło możliwość porozumienia się ze światem zewnętrznym, przestawało mówić, godzinami kołysało się, trzepotało rękami. W okresie zaawansowanej choroby mały pacjent przestawał się czegokolwiek uczyć, unikał kontaktów wzrokowych i malała jego zdolność odczuwania bólu.

W przypadku Annie objawy te występowały wprawdzie połowicznie, ale jednak nie dawało to nadziei na wyleczenie i szans na samodzielne życie. Burke wiedział doskonale, że większość tych dzieciaków już do końca swoich dni będzie wymagała opieki przez

dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Burke ukląkł przed córką, uściskał ją i pogłaskał po głowie. Z wyrazu oczu dziewczynki odczytał, że właśnie miała „zły dzień”. Annie nie patrzyła ani na matkę, ani na ojca, ani w ogóle na nikogo. Wydawała się zajęta jedynie własnym, odległym światem, dziwnym i niepojętym dla innych.

Gdzieś z tyłu rozległ się pisk tak przeraźliwy, że Burke i Julia aż podskoczyli. Annie robiła wrażenie, jakby niczego nie usłyszała. Burke rozejrzał się dookoła. Jakiś chłopiec, najwyżej ośmioletni, przechodził obok, wymachując rękami. Za nim szła przestraszona kobieta, jak przypuszczał Burke, matka.

Inny chłopiec wrywał trawę, podbiegał do dorosłych i do dzieci i rzucał im tę trawę w twarz. Burke odwrócił wzrok, nie mogąc dłużej znieść tego widoku. Wziął Annie za rękę i zaprowadził ją do ławki znajdującej się niedaleko od miejsca, w którym stali. Julia szła za nimi ze spuszczonej oczami. Burke nie wątpił, że podobnie jak on, żona ma poczucie wszechogarniającej bezsilności.

Godzinę później nastrój uległ pewnej zmianie. Annie siedziała koło ławki na trawie i z widocznym zadowoleniem bawiła się patyczkami. Coś sobie śpiewała i uśmiechała się sama do siebie. Przypominała całkiem normalną dziewięciolatkę.

– Wygląda na szczęśliwą – powiedziała Julia i wzięła rękę Burke’a w swoje dłonie. – Chociaż trudno ją sobie wyobrazić szczęśliwą po tym wszystkim, co przeszła.

Burke pomyślał o „tym wszystkim”, o czym mówiła Julia. A były to rozliczne testy i badania, ustawiczne diagnozowanie zdolności słyszenia i mówienia, bezustanne pobieranie próbek krwi i moczu, prześwietlenia i testy psychologiczne. Początkowo ani on, ani Julia nie pojmowali, co się właściwie dzieje.

Lekarze ciągle zmieniali metody badań i obiekty obserwacji. Później się okazało, że po prostu eliminowali inne patologiczne stany, by wreszcie ustalić właściwą diagnozę i odkryć chorobę, o której sami niewiele wiedzieli. Nigdy nie zapomniał wizyty u lekarza, kiedy usłyszał ostateczną, a tak tragiczną diagnozę i beznadziejną prognozę na przyszłość. Siedzieli z Julią przed doktorem i w milczeniu wysłuchiwali jego słów. Nie chcieli w nie wierzyć, nie pojmowali ich znaczenia. W pewnym momencie Julia zaczęła płakać.

Burke uścisnął rękę żony.

– Gdyby zawsze była taka jak teraz, chociaż taka, sądzę, że czułbym się szczęśliwy – powiedział i westchnął. – Czy to nie straszne? Kiedy się urodziła, planowałem jej przyszłość. Myślałem, kim zostanie, czego doświadczy. – Ściszył głos i chrząknął, by powstrzymać łzy. Boże, jak nie znosił u siebie tego mazgajstwa. Naprawdę nienawidził. A jednocześnie tak bardzo pragnął jeszcze jednego dziecka, pomimo że wszyscy lekarze

twierdzili, że choroba małej jest natury genetycznej.

Popatrzył na córkę i zwracając się do Julii, zapytał:

- Czy sądzisz, że moglibyśmy mieć jeszcze jedno dziecko?
- Chciałabym braciszka.

Burke, słuchając słów córki, oniemiał. Otworzył usta i siedział bez ruchu.

Annie tymczasem ponownie skupiła się na zabawie patyczkami.

- Czyżby ona... – Nie potrafił znaleźć słów na dokończenie zdania.
- Mhmm – mruknęła radośnie Julia.

Podobne incydenty zdarzały się już uprzednio, ulotne chwile przejaśnienia nadchodzące nie wiadomo skąd i dlaczego. Burke zaczął się śmiać.

- Wygląda na to, że Annie zagłosowała na tak – powiedział.

Julia milczała i przyglądała się córce. Burke chciał ponownie zadać to samo pytanie, ale się powstrzymał. Po kilku minutach Julia odwróciła twarz do męża.

– Myślę o tym przez cały czas, Billy. Mam już trzydzieści cztery lata. Nie pozostało mi zbyt wiele czasu.

Więcej do tematu nie wracała, a Burke nie naciskał. Nie bardzo wiedział, czy odpowiedź Julii była pozytywna czy negatywna.

Pół godziny potem podszedł do nich pielęgniarz w białym kitlu.

- Pan Burke?
- Tak.
- Telefon do pana. Dzwoni niejaki pan Fabio. Prosi, by pan skontaktował się z redakcją.

Burke zamierzał zignorować wiadomość. Może potem skłamać, że nikt mu niczego nie przekazywał. Zapewne znowu jakieś morderstwo czy podobne „sensacyjne” wydarzenie. Frankie wiedział, gdzie go szukać. Billy mówił, że wybiera się z Julią do córki.

Spojrzenie Julii wyrażało rozczarowanie.

- Sprawdź tylko, o co chodzi – złamał się w końcu Burke.
- Oczywiście. – Julia zmusiła się do uśmiechu. – Jeśli trzeba wracać, to trudno.

Uznam, że miałam tu randkę z lekarzem wzywany teraz do chorego.

- Zmienisz zdanie, jak wsiądziesz do mojego rozpadającego się jeepa.
- Pomyślę, że miałam randkę z ekscentrycznym lekarzem.

Burke wrócił po dziesięciu minutach, czerwony i zmieniony na twarzy.

– Chodzi o Roberta – wyjaśnił. – Zabrali go ponownie do szpitala. Frankie mówi, że stan chłopca jest zły. Podobno nawet bardzo zły. Muszę jechać.

– A co z Marią?

– Frankie z nią rozmawiał. Wpadła w histerię. Fabio szuka Twista. Chce ustalić, czy można już skorzystać z zebranych pieniędzy, by zaraz zrobić tę przekłętą operację.

– Jadę z tobą – powiedziała Julia. – Być może zdołam jakoś wesprzeć tę biedną dziewczynę.

Roberto znajdował się na oddziale intensywnej terapii wydziału kardiologii szpitala Belleuve. Przywiozła go karetka pogotowia.

Inne szpitale były bliżej, ale Belleuve słynął z doskonałego oddziału intensywnej opieki medycznej. Tu trafiały najcięższe przypadki, w tym ranni na służbie policjanci. Opowiadano, że szanse przeżycia były dziesięć razy większe w Belleuve niż w innych szpitalach.

Burke powtarzał sobie te słowa w windzie, gdy wjeżdżali na piętro, na którym znajdowała się kardiologia.

Na oddziale podeszli do dyżurki pielęgniarek. Burke wytłumaczył powód ich wizyty, potem poprosił o wezwanie doktora Salazara opiekującego się Robertem. Czekali niecierpliwie, podczas gdy dyżurne wywoływały lekarza. Burke nerwowo uderzał stopą w podłogę.

Julia uspokajała męża:

– Wszystko będzie dobrze – mówiła. – Na pewno, ja to wiem.

Burke zauważył, że obracała na palcu obrączkę, co robiła zawsze, kiedy była ogromnie zdenerwowana.

Pięć minut potem pojawił się Salazar. Wysoki, chudy mężczyzna, teraz lekko przygarbiony, wydawał się bardzo zmęczony. Brązowe, przyjazne oczy, które przy pierwszym spotkaniu urzekły Burke'a, były wyraźnie podkrążone.

– Witam, panie Burke – powiedział i usiłował się uśmiechnąć.

Burke przedstawił Julię i zapytał:

– Co z Robertem? W redakcji mówili mi, że stan dziecka bardzo się pogorszył.

Salazar przytaknął: – Jest źle, bardzo niedobrze. Obawiam się... Usiłujemy ustabilizować pracę serca. Potem trzeba będzie wzmocnić chłopca. Potem... Nie dokończył zdania i dopiero po krótkiej chwili dodał: – Potem nie obejdzie się bez operacji. Organizm nie wytrzyma kolejnego ataku.

– Czy pan...?

Salazar przerwał mu pytanie:

– Usiłowałem skontaktować się z Bradfordem, ale gdzieś wyjechał. – Rozłożył bezradnie ręce. – Podobno tylko na jeden dzień. Twierdzą jednak, że nie mają do niego

numeru. – W oczach lekarza pojawiły się błyski zaniepokojenia. – Lekarze czasami każą sekretariatom, by informacje skierowane do nich odsyłali do innych lekarzy. Mnie podano nazwisko i numer doktora, który odbiera zgłoszenia przychodzące do Bradforda. Ja jednak chcę właśnie Bradforda. On jest najlepszy. Zna sprawę, a my mamy niewiele czasu. Jak długo Roberto nie wyjdzie z tego kryzysu i nie odzyska sił, tak długo nie zdołamy niczego zrobić. – Zawahał się. Sprawiał wrażenie zawstydzonego, że musi o coś zapytać. – Czy będą pieniądze na operację?

– Tak – odpowiedział krótko Burke.

– Salazar skinął głową.

– Przekażę to Bradfordowi.

– Czy możemy zobaczyć dziecko? – zapytała Julia. – I panią Avalon?

– Bardzo proszę. I jeszcze jedno. Czy mogłaby pani pozostać tu z matką Roberta? Przypuszczam, że obecność drugiej młodej kobiety pomoże jej przejść trudne chwile. Szczególnie... – Ponownie urwał wypowiedź.

– Oczywiście, zostanę. Ile tylko będzie trzeba.

– Burke uściskał ramię Julii i powiedział:

Idź do Marii. Ja zadzwonię do Frankiego. Potem was znajdę.

Dwadzieścia minut potem Burke wkroczył do pokoju Roberta. Maria i Consuelo siedziały po obu stronach łóżka. Za Marią stała Julia i, pochylona, coś jej właśnie szeptała do ucha.

Roberto leżał nieruchomo, ale z otwartymi oczami. Sprawiał wrażenie mniejszego i chudsze. Przypominał worek wypełniony kostkami. Burke badawczo przyglądał się twarzy chłopca. Wyglądała na bardzo wymęczoną bólami. Billy zmusił się do odpędzenia ogarniających go ponurych myśli. Dzieciak jest po prostu wymizerowany i słaby, co minie po paru dniach, tłumaczył sam sobie.

Consuelo pierwsza zobaczyła Billy'ego i wstała. Oczy babki wyrażały głęboką troskę, a jednocześnie oczekiwanie. Burke pomyślał, że Julia im powiedziała, iż gazeta uruchomi zebrane fundusze.

Billy uśmiechnął się do kobiety, jakby potwierdzał wiadomość, i skierował się do łóżka.

– Hej, mały pracusiu, co tu znowu porabiasz?

Roberto usiłował się uśmiechnąć, ale twarz jedynie wykrzywiła mu się lekko.

– Choruję – wyszeptał.

– Nikt ci przecież nie pozwolił chorować. – Burke nie dał chłopcu więcej mówić. – Musisz szybko wyzdrowieć i wynosić się stąd. Mamy jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia, drogi kolego. Wiele miejsc do odwiedzenia, parków do spacerowania, boisk do

grania i do obserwowania meczów. Słyszysz?

Roberto rozchylił usta, a oczy mu pojaśniały. Nie pojawiły się w nich jednak figlarne iskierki, jak niegdyś. Burke pomyślał, że cała mimika chłopca stała się uboższa. Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń małego. Rączka dziecka wydawała się kruchutka i zupełnie bezwładna.

Dzwoniłem do redakcji – zwrócił się do Marii. – Szefów nie ma, ale ich szukają. – Maria usiłowała coś powiedzieć, ale Burke powstrzymał ją ruchem ręki i kontynuował: – Doktor Salazar stara się skontaktować z Bradfordem. Ten podobno ma wrócić dopiero jutro. – Ponownie podniósł rękę. – Salazar mówi jednak, że potrzebują nieco czasu, by ustabilizować Roberta. Kiedy Bradford wróci, twój synek będzie już gotów. Wszystko idzie, jak należy. Przysięgam.

– Ale co z pieniędzmi? – zapytała Maria, a w jej głosie wyraźnie wyczuwało się strach. – Czy mają tyle, ile trzeba? Boże, daj, by już mieli.

– Większość już zebraliśmy. Nie martw się. W razie czego redakcja powie lekarzowi, że na resztę daję gwarancje. Prasie Bradford nie odmówi.

Burke popatrzył na Julię. W jej oczach z łatwością odczytywał wątpliwości. A dlaczego gazeta nie udzieliła podobnych gwarancji przed tygodniem?, pytała bez słów. Odpowiedź wcale by się Julii nie spodobała. Wydawcy myśleli zbyt pragmatycznie. A zresztą prowadzili redakcję, a nie instytucję charytatywną. W mediach nie było miejsca na filantropię. Sytuacja Roberta okazała się po prostu doskonałym tematem. Oczywiście, nikt nie życzył chłopcu śmierci, bo malec nadal mógł być potrzebny prasie. A poza tym szefowie redakcji to nie krwiożercze potwory.

Faktem jest jednak, że Roberto pozostawał tylko tematem. Tak żywy, jak i umarły. I wiadomo, że za pięć lat nikt już nie będzie pamiętał jego nazwiska.

Przykro mi, moje damy, ale taka jest prawda. Tak wygląda życie w Nowym Jorku. I czy to się komuś podoba, czy nie, musi zaakceptować twarde reguły gry. Burke spojrzał na Marię, potem na Julię, a w końcu zatrzymał wzrok na Robercie. Chłopak zasnął. Burke zwrócił się więc ponownie do kobiet:

– Chodźcie na chwilę na korytarz. Ja zaraz jadę, ale przedtem chciałbym zamienić z wami kilka słów.

Obie wyszły za Billym.

– Słuchajcie, muszę wracać do redakcji. Chcą nowych wiadomości na temat Roberta. – Zatoczył koło ręką. – O tym, że znalazł się ponownie w szpitalu, chory. – Zauważył, że w oczach Julii pojawił się ból. Maria wydawała się zdumiona. – Te informacje jeszcze pomogą. Wywrą większy nacisk na Bradforda i na szpital – tłumaczył i widział, że Julia rozumie sytuację.

– Mówiłeś przecież... – zaczęła Maria, jeszcze bardziej zdziwiona.

– Oczywiście, oczywiście. – Nie dał jej dokończyć. – Nie można jednak niczego przegapić, wszystko trzeba wykorzystać.

Maria potrząsnęła głową. Nie chciała podejmować żadnej dyskusji. Usiłowała jedynie zrozumieć, co się wokół niej działo.

– Odprowadzę cię do windy powiedziała do Billy'ego Julia. – Zaraz do ciebie wracam, Mario dodała, głaszcząc kobietę po ramieniu.

Gdy oddalili się na tyle, że Maria nie mogła ich usłyszeć, Julia wzięła Burke'a pod rękę i zapytała:

– Billy, o co chodzi? – Zauważyła, że mięśnie jego twarzy stężały.

– Nie mam pojęcia. – Stanęli przed windą. Burke westchnął. – Wrócę za jakieś dwie godziny i odwiozę cię do domu.

– Nie zwracaj sobie głowy. Mogę przecież wziąć taksówkę. – Patrzyła mu w oczy, oczekując odpowiedzi na zadane pytanie. – Proszę, powiedz, co się stało?

Burke obserwował czubki swoich butów.

– Kiedy zadzwoniłem do redakcji i powtórzyłem słowa Salazara, Fabio ponownie zaczął szukać Twista i wreszcie go złapał przez telefon. Nie mam pojęcia, o czym rozmawiali, ale czekałem przy słuchawce z dziesięć minut. Kiedy Frankie wreszcie się odezwał, miał dość ponury głos.

– A co powiedział?

– Tylko to, że Twist chce, bym wrócił i dał informację, iż Roberto został ponownie zabrany do szpitala.

– A pieniądze dla Bradforda? Mówiłeś Marii...

– Wiem, co powiedziałem – odparł ostro i gniewnie. Wziął Julię za rękę. Przepraszam. – Potrząsnął głową. – Zapytałem o pieniądze Frankiego, a ten odpowiedział, że Twist zajmie się tym jutro rano. Teraz jest zajęty. Bierze udział w jakimś przyjęciu i smaży na powietrzu steki.

– Cholerny gówniarz.

– Tak, ale wszystko będzie dobrze.

Julia popatrzyła na męża i nie odezwała się ani słowem. Odniosła wrażenie, że tym razem okłamywał i uspokajał sam siebie.

– Zrozum – zaczął jej tłumaczyć. – Trzeba nieco czasu, aby stan chłopca wrócił do normy. Zresztą, nie znaleźli jeszcze Bradforda. Kiedy Salazar dodzwoni się do niego, przekaże to, co usłyszał ode mnie. Powie, że pieniądze już są. Ja zacznę załatwiać formalności, a gazeta w końcu udzieli mu poparcia.

– Jesteś pewien?

– Tak skłamał.

Redakcją zajmował się teraz sam Fabio. To była jedna z niedogodności stanowiska pierwszego zastępcy redaktora naczelnego wydania miejskiego. Musiał prowadzić wydania w każde wielkie święto, kiedy całe kierownictwo odpoczywało wraz z rodzinami.

Takie obowiązki mieli wszyscy na podobnych stanowiskach. Zastępca szefa całego wydawnictwa przejmował w święta prowadzenie tytułu. Zastępca naczelnego pionu informacji prowadził redakcję krajową i zagraniczną, a zastępca kierownika działu foto kierował w tym czasie grupą zrządzających fotoreporterów i techników, z których każdy chciał w wolnym dniu z rodziną smażyć kiełbaski na podwórzu swego domu.

Do dyspozycji pozostawał niewielki zespół. Na dyżurach pracowało około trzydziestu dziennikarzy i kiedy wydarzyło się coś ważnego, zazwyczaj wybuchało piekło.

Frankie patrzył na wchodzącego do sali Burke'a. Gdy Billy zbliżył się, Fabio przekazał:

– Zrób najwyżej dwa i pół odcinka. Nie więcej. Mamy interesujące morderstwo na West Side i mnóstwo śmiecia z przebiegu Czwartego Lipca. Zdołamy wypełnić tym cały numer. – Na chwilę zamilkł i zapytał: – Co z chłopakiem?

– Słaby. Nic nowego od naszej ostatniej rozmowy – odpowiedział Burke.

– Fabio spuścił oczy, potrząsnął głową i powiedział:

– Rano musimy zająć się sprawą.

– Co mówił Twist?

Fabio spojrzał mu w oczy i rzekł ostro:

– Nie powiem ci, Billy.

– To ja sam do niego zadzwonię.

– Nie, nie zadzwonisz, drogi chłopcze. Nie ma go w domu, a ja nie dam ci numeru, pod którym mógłbyś się z nim skontaktować. Ja już powiedziałem Twistowi, co myślę, i wcale nie potrzebuję innych nazwisk na czarnej liście naczelnego. – Fabio popatrzył w sufit i ponownie potrząsnął głową. Zdawał sobie sprawę, że Burke bez trudu dostanie numer. Wystarczyło przecież wręczyć drobny napiwek chłopcu pełniącemu dyżur w centrali telefonicznej. – No, dobrze westchnął. – Wiem, że zaczniesz myszkować i zdobędziesz numer. Twist stwierdził, że chłopak nie po raz pierwszy znalazł się w szpitalu i zawsze z niego wychodził o własnych siłach. Lenny chce czekać i przekonać się, jak dziecko będzie się czuło jutro rano. Uważa, że matka wpadła w histerię i wyolbrzymia problem.

Mówiłeś mi, co powiedział lekarz? – zapytał Burke, patrząc uważnie na Fabia.

– Tak.

– I co?

– I nic. Jutro wróci do tematu.

– Zapewniłem lekarza, że już dysponujemy pieniędzmi. Jeśli Salazar znajdzie tego kardiochirurga, przekaże mu moje słowa. A wtedy cholerny Twist...

Fabio usłyszał w głosie Burke'a ton groźby. Położył Billy'emu rękę na ramieniu.

– Właśnie dlatego nie chcę, byś z nim rozmawiał. Doprowadzisz do awantury i wyrządzisz więcej złego niż dobrego. Jeśli już musisz kogoś szukać, to znajdź Bradforda i podaj go Salazarowi na tacy. – Wycelował w Burke'a palec wskazujący. – Sam jednak z nim nie dyskutuj. To polecenie Twista. Musimy czekać do rana. Jeśli postąpisz inaczej, od jutra obaj szukamy nowej pracy. – Fabio podniósł głowę i pokazując w głąb sali, rozkazał: – A teraz pisz informację. A potem zlokalizuj Bradforda.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Gdy następnego dnia o ósmej trzydzieści Twist pojawił się w redakcji, Burke czekał już na niego w gabinecie.

– Jezu, pozwól, że przynajmniej zdejmę płaszcz – denerwował się. Postawił na stole kubek z kawą. Burke zauważył, że naczelnemu trzęsą się ręce. Lenny miał oczy nieco podkrążone, a białka przekrwione. Wreszcie Twist zagłębił się w swoim fotelu i wbił spojrzenie w Burke'a. Wargi zacisnął tak, że stanowiły prostą, wąską linię. – Zanim zaczniesz gadać głupoty, powiedz mi wyraźnie, kiedy zakończysz zbieranie materiałów związanych ze szpitalną częścią tematu – rzucił głosem nie znoszącym sprzeciwu.

– Potrzebuję zaledwie kilku godzin pracy – informował Burke. – Muszę przejrzeć jeszcze akta niespełna jednego roku, aby skompletować dokumentację dotyczącą chirurgów. Wtedy też można usiąść do pisania...

– Mowa o zeszłym roku czy tym sprzed trzech lat? – dopytywał Twist.

– Sprzed trzech lat. Dysponuję wszystkimi aktami z dwóch ostatnich lat i sześciu miesięcy tego roku. Pozostaje mi tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi. Łącznie da to nam dokumentację trzech i pół lat, pokazującą wyraźnie, co te draby robiły. Nie ma najmniejszych szans, by ktokolwiek mógł uznać zapisy za pomyłkę urzędników. – Nabrał powietrza w płuca. – Właściwie, już warto zacząć pisanie, by mieć teksty gotowe do puszczania, kiedy tylko uznamy za stosowne. Zdobyłem solidny i pewny materiał. Muszę spędzić w szpitalu jeszcze jeden, najwyżej dwa wieczory i gotowe.

– Zdołasz zdobyć resztę bez problemów?

Burke potrząsnął głową.

– Jak długo nie zaczniemy publikacji, tak długo nie będzie kłopotów. Kiedy puścimy pierwszy artykuł, nikt już się nie dostanie do archiwum.

– Ale czy dotychczasowe zbiory nam wystarczą? Nawet jakby jutro odcięli nam dostęp do akt?

– Dokładnie tak. Już teraz szukamy tylko czegoś, co czyniłoby publikacje ciekawsze, barwniejsze, bardziej wiarygodne i bardziej poruszające czytelnika.

– Trzymamy doktorków w garści. Możemy im udowodnić, że okradli miasto na ładnych kilka milionów zielonych. I kropka!

– I mamy też coś na Bradforda. Jego zarobki, styl życia, wszystko razem. – Twist patrzył teraz na Burke'a, jakby oczekiwał potwierdzenia i nawet dodał: – Prawda?

– Owszem – potwierdził Burke. – Zrobiliśmy nawet zdjęcie naszemu panu chirurgowi, jak z żoną przybywa na otwarcie wystawy w Metropolitan Museum.

Zaproszonymi byli jedynie członkowie pewnego ekskluzywnego klubu. To też przyda się w swoim czasie.

Twist patrzył przez oszklone ściany gabinetu na salę redakcyjną. Potem palcem wskazującym drapał się po podbródku, wreszcie powiedział:

– Dobra, siadaj do maszyny. – Ponownie spojrzął na Burke’a. I dwa najbliższe wieczory spędź jeszcze w szpitalu. Potrzebuję jak najwięcej faktów.

– A całość chcę widzieć u siebie na biurku w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

– Załatwione – zapewnił Burke.

Twist zaczął szukać jakichś papierów, a po chwili zerknął na Burke’a, jakby zdumiony, że ten jeszcze tkwi w jego gabinecie.

– Na co czekasz? Bierz się do roboty.

– Burke spoglądał Twistowi prosto w oczy.

– A co z chłopcem, Lenny?

– Twist szpetnie wykrzywił twarz.

– Na Boga, czy już tylko to ci w głowie? Ciągłe słyszę od ciebie „chłopak, chłopak!” Zaczynasz zapominać, nad czym pracujesz, Billy. Gubisz się w tym temacie. Nie rozumiesz?

– Lenny, Roberto umiera. Albo teraz przejdzie operację, albo pożegna się ze światem żywych.

– Bzdury.

– Co?

– Nie słyszałeś? Bzdury. Ile razy dzieciak złapie katar, to się mówi, że jest w drodze do kostnicy. Wiesz, co o tym myślę? Otóż sądzę, że sprytna *mamacita* owinęła sobie pewnego dziennikarza wokół palca. Stałeś się takim samym histerykiem jak ona.

– To jest dopiero bzdura. – Słowa Burke’a przypominały trzaśnięcie z bata.

– Co takiego? – Oczy Twista stały się dwiema szparkami.

– Tak, tak, Lenny. Bzdura! – Burke pochylił się do przodu i położył pięść na biurku Twista. – To, co mówię, nie pochodzi od matki chłopca. Ona jest taka przerażona, że nawet nie pamięta, jak się nazywa. A ty uważasz, że ona stawia diagnozy synowi? Ocenia, czy dziecko przeżyje, czy nie przeżyje? – Jeszcze bardziej pochylił się w kierunku Twista. – Widziałem chłopaka w szpitalu. Rozmawiałem z lekarzem. Nie jest pewien, czy potrafi wzmocnić chłopca na tyle, by wytrzymał operację. Co do jednego tylko lekarz nie ma wątpliwości. Jeśli nie będzie operacji, możemy się pożegnać z dzieciakiem na zawsze. Kolejny atak najprawdopodobniej zabije małego. Musisz się z tym liczyć, Lenny. Taki może być finał całego tematu. A gdyby się tak skończyło,

ciekawe, jak wyjaśnimy, że ten potężny, arogancki „Globe” nie potrafił skłonić jednego pieprzonego chirurga do wykonania zabiegu, i to w sytuacji, kiedy setki, tysiące ludzi z całego miasta wysyłało uciulane centy, by ratować życie chłopaka.

Twist wyraźnie zacisnął zęby i bębnił palcami po blacie biurka. Opanował się jednak i po chwili powiedział:

– Ciągłe jeszcze pozostaje nam nie wyczerpany temat. Może teraz nawet lepszy i ciekawszy.

– Co?

– Nie bądź uparty i, na Boga, nie strugaj wariata – wybuchnął Twist. Czy uważasz, że ja życzę temu chłopcu śmierci? Czy ja jestem potworem?

– Czy rozumiesz, co mówię? Nawet gdyby nastąpiło najgorsze, my mamy swój temat.

Burke zaprzeczył ruchem głowy, ale Twist nie dopuścił go do słowa.

– Faktów nic nie zmieni. – Wyciągnął rękę i zaczął wyliczać na palcach. Fakt numer jeden: ta gruba ryba, ten wielmożny pan doktor i jego pieprzony szpital już przed kilkunastu tygodniami odmówili wykonania operacji, ponieważ rodzina chłopca nie śmierdziała groszem, a przecież mogli uratować dzieciakowi życie. – Wysunął drugi palec i kontynuował: – Fakt numer dwa: cholerny doktorek i jego zasrany szpital okazali się nie tylko chytrusami, ale po prostu złodziejami. Od trzech lat okradają miasto z pieniędzy podatników. Twarz Twista wyrażała teraz zadowolenie i satysfakcję. – A ty mi mówisz, że my nie mamy dobrego tematu i będziemy musieli się usprawiedliwiać?

Burke podniósł rękę i podobnie jak Twist pokazał palce, tyle że trzy, i powiedział:

– Pozostał fakt numer trzy, Lenny: „New York Globe”, największy dziennik w kraju, zebrał od czytelników tysiące dolarów, a kiedy nadszedł czas, by użyć forsy, gazecie nie starczyło sił i odwagi, by ratować życie małego chłopca. – Wyciągnął rękę z trzema uniesionymi palcami w kierunku Twista. – I to temat końcowy, Lenny.

Naczelny chrząknął i zapytał:

A kto o tym napisze?

Burke w milczeniu patrzył mu prosto w oczy.

Twist zrozumiał, co kryło się w tym spojrzeniu, i poczerwieniał. Twarz ściągnął mu skurcz wściekłości.

– Ty mnie straszysz, Billy? Ty naszą gazetę? Jeśli tak, to lepiej powiedz to zaraz i jasno.

Burke nie odezwał się ani słowem i wytrzymał spojrzenie Twista.

– Powiedziałem ci, że chciałbym, by dzieciak pozostał przy życiu zaczął wreszcie, zachowując całkowity spokój. – O to chodzi. I tylko o to – dodał.

– Wspaniale. Dobry samarytanin. – Twist wzrokiem przeszywał Burke’a. A wiesz, o co mi chodzi? O lojalność wobec gazety. I nie dopuszczę, by pracował tu ktoś, komu nie można ufać. Bądź tego pewien, mój panie. I trzeba sobie od razu odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: czy chcesz nadal pisać dla tej gazety, Billy, czy też zamierzasz odgrywać rolę Świętego Mikołaja?

Burke poczuł skurcz w żołądku. Strach? Złość? Jedno i drugie razem?

Wciągnął głęboko powietrze w płuca, starając się opanować.

– Zależy mi na współpracy z „Globe”, Lenny. Tu jednak chodzi o życie chłopca. Jeśli będę zmuszony, zatrudnię się gdzie indziej.

Twist kiwnął głową i rozparł się w fotelu. Spojrzenie i poza naczelnego wyrażały pewność.

– Wiem, że bez trudu znajdziesz pracę, Billy. – Wziął ołówek i zaczął nim uderzać w biurko. – Gazety w Chicago niewątpliwie wezmą cię z chęcią. W Filadelfii czy w Bostonie też. Do diabła, może nawet w Waszyngtonie. – Uśmiechnął się do Burke’a. – A gdyby tam nie wyszło, to w Buffalo albo w Cleveland, albo w St. Louis. – Pochylił się do przodu i patrzył teraz Burke’owi w oczy, bez uśmiechu i bez ironii. – Ale obiecuję ci jedno, Billy, w Nowym Jorku pracy nie znajdziesz. A gdybyś pragnął tu wrócić z jakichś osobistych powodów, to czeka cię niemiła niespodzianka.

Burke ponownie poczuł skurcz w żołądku. Twist wyrażał się diabelnie jasno. Wiedział, jak bardzo Burke’owi zależało, by być blisko chorej córki. Burke z trudem opanował narastający gniew.

– Jesteś pewien, że masz tak szerokie wpływy, Lenny?

– Sądzę, że moi koledzy i inne redakcje wysłuchają, co miałbym do powiedzenia. Wiesz, że nawet nie będę musiał sięgać po telefon. – Palcami obu rąk wybijał jakiś rytm na biurku. – Wszystkim zajmie się nasz wydawca. Szczególnie, kiedy dojdzie do niego, że jeden z reporterów „Globe” skopał temat, w który zostało wpakowane mnóstwo forsy. Będzie rozdrażniony, gdy pojmie, że ktoś zrobił z niego idiotę.

Burke, nie spuszczać wzroku z twarzy Twista, powiedział:

– Poczuj się jeszcze gorzej, jeśli Roberto umrze. – Burke zauważył, że Twist zmieszał się pod wpływem tych słów. Wprawdzie natychmiast się opanował, ale jednak nie ulegało wątpliwości, że Burke trafił w czułe miejsce. – A gdyby tak się stało, to do mnie nie będzie mógł mieć najmniejszych pretensji. Nie sądzisz, Lenny?

Speszenie Twista przeobraziło się w złość.

– Chryste, ten chłopak przecież nie umrze!

– Masz całkowitą rację. – Głos Burke’a stał się ostry i pewny. – On, możliwie najszybciej, zostanie poddany operacji. Powiedziałem już lekarzowi dziecka, że my

gwarantujemy chirurgom honorarium. Informacja ta wkrótce dotrze do Bradforda.

– Słucham? – Twist aż podskoczył. – Ty nie masz żadnego upoważnienia, by składać jakiegokolwiek obietnice w imieniu gazety. Lepiej leć do telefonu i...

Burke nie dał mu dokończyć.

– Nic z tego. Ty możesz udzielać takich gwarancji i zrobisz to, jeśli chcesz, abym napisał resztę tekstów.

Twist kipiał z wściekłości.

– Arogancki sukinsyn. Uważasz, że tylko ty potrafisz wykonać to zadanie?

– Nie, Lenny, wcale nie, ale ja jestem jedyny, który trzyma w garści dokumentację pozwalającą na napisanie materiału.

Twist pochylił się do przodu tak mocno, że ich twarze znalazły się naprzeciwko siebie nos w nos.

– Popatrz na salę. Tam za biurkami siedzą najlepsi reporterzy w tym kraju.

Jak ty odejdziesz, każdy z nich zdoła odtworzyć tę dokumentację.

Burke przytaknął.

– To prawda. – Jego oczy zabłysły kontrolowanym gniewem. – Widzisz, Lenny, kiedy po raz pierwszy powiedziałeś mi o tym temacie, dodałeś, że to najlepszy materiał na Pulitzerza, z jakim się spotkałeś. Mnie się wydawało, że przesadzasz. – Podniósł oczy i patrzył na ścianę za biurkiem, gdzie widniało wolne miejsce właśnie na nagrodę Pulitzerza. Uśmiechnął się i kontynuował: Miałeś jednak rację. To rzeczywiście wielki temat. Najlepszy, jaki zdarzył się tej gazecie od lat. I jeśli nie znajdą niesprzyjające okoliczności, sądzę, że wygrasz. – W oczach Billy'ego nadal odbijała się zimna złość. – Jeśli to wszystko zostanie napisane. A w tej chwili tylko i wyłącznie ja mogę tego dokonać.

Twist aż parsknął. Burke natomiast uśmiechnął się. Teraz on pokazał głową salę redakcyjną.

– Jest tak, jak mówiłeś, Lenny. Masz tam całą gromadę utalentowanych ludzi, tyle że żaden z nich nie da ci materiałów zamykających temat.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę. Ja też potrafię złapać za telefon, Lenny. A jak tylko puszcze parę z gęby, jak szpitale się dowiedzą, co przygotowaliśmy, to żaden z reporterów, nawet najlepszy, nie dopcha się do archiwum.

Twist skamieniał. Siedział cicho, bez ruchu. Tylko powieka nad okiem zaczęła mu nerwowo drgać.

– Ty podły draniu – wykrztusił wreszcie. – Jeśli to zrobisz, już nigdy nigdzie nie znajdziesz pracy.

Burke patrzył na szefa przez chwilę, potem pokiwał głową.

– Pewnych rzeczy w ogóle nie pojmujesz, Lenny. Gdyby ten mały zmarł, nie wszedłbym już do tej redakcji. Do żadnej redakcji. – Twist usiłował zaprotestować, ale Burke nie dopuścił go do głosu. – Ja napiszę ten materiał. To będą najlepsze teksty, jakie ktokolwiek kiedykolwiek złożył w naszym sekretariacie.

– A resztę dokumentacji zbiorę do jutra rana, nawet gdybym miał przez całą noc siedzieć w szpitalu. – Chwilę milczał, jakby czekał, by jego słowa dotarły do naczelnego. Potem kontynuował: – Włożę nagrodę Pulitzera prosto do twojej kieszeni. Ceną za tę przysługę jest jednak operacja. To wszystko, Lenny. Niczym nie grozę, nie prowadzę żadnych negocjacji. Roberto Avalon nabierze sił i od razu idzie na salę operacyjną.

– Nie wpłynęła jeszcze cała suma – wyrzucił z siebie Twist. – Co mam zrobić? Wystawić swój prywatny czek na uzupełnienie brakującej kwoty?

– Skontaktujesz się z Bradfordem i powiesz, że „New York Globe” gwarantuje pełną zapłatę. I, jak sądzisz, co ten kardiochirurg zrobi? Skieruje sprawę do sądu, jak się będziemy opóźniali ze spłatą? Wtedy, kiedy my ozłocimy mu dupę naszymi publikacjami? A dostaniesz komplet dokumentów, Lenny, jeszcze zanim się z nim porozumiesz. A kiedy chłopak wjedzie na salę operacyjną, gotowe materiały znajdziesz tu na swoim biurku.

Twarz Twista pociemniała. Naczelny najwyraźniej starał się odzyskać spokój. I powoli mu się to udawało.

– Stary, nikt nie chce temu chłopcu wyrządzić krzywdy. Rzeczywiście trzeba załatwić tę operację. – Ręką przetaił czoło, raz jeszcze potrząsnął głową i spojrzał na Burke’a. – Po prostu nie lubię, jak się mnie naciska. I nie znoszę, kiedy ktoś szantażem próbuje wydusić ze mnie jakąś decyzję.

– Nigdy mi to nie przyszło do głowy. – Burke sam się zdumiał, z jaką łatwością wypowiadał te kłamstwa. Wiedział zresztą, że obaj teraz kłamali, aby zachować twarz.

Twist wyciągnął w kierunku Burke’a rękę.

– Doskonale – powiedział, ściskając Billy’emu dłoń. – Zapomnijmy o tych ostrych słowach. Ty idziesz na salę pisać materiał, ja dzwonię do Bradforda.

– Zagwarantuję mu pełną zapłatę. A potem dobierzemy się do dupy jemu i tym wszystkim, którzy w tym świństwie uczestniczyli. Chcę jednak widzieć pierwszy materiał na biurku, zanim zamienię z nim słowo. Zgoda?

– Całkowita – przytakiwał Burke. – Masz pierwszy odcinek najdalej za godzinę.

Burke usiadł za swoim biurkiem na sali i zaczął porządkować notatki. W kilka minut potem za jego plecami stanął Frankie Fabio.

– Widzę, że nie pakujesz manatków, co oznacza, że wyszedłeś od Twista z tarczą.
Burke zachichotał ironicznie.

– Mało brakowało, a poległbym na polu bitwy.

Fabio chciał znać nieco szczegółów, więc zapytał:

– Dobiegły mnie jakieś pokrzykiwania. Wnioskuje, że nie uradowałeś szefa swoim wystąpieniem.

– Zgadza się. Na razie jednak doszło do zawieszenia broni.

– Jak się to udało?

Burke streścił przebieg rozmowy i zakończył własnym komentarzem, że zapewne kiedy ostatni odcinek materiałów ukaże się w druku, on wyleci z redakcji.

– Może jednak nie – powiedział Fabio. – Jeśli teksty okażą się tak dobre, jak sobie wyobrażamy, wyrzucenie ciebie wcale nie będzie czymś łatwym. Wylanie autora tekstów nominowanych do Pulitzera to ryzykowna zabawa. Szanse na nagrodę spadłyby niemal do zera. A nie sądzę, by Lenny tak chciał to rozgrywać.

Burke pokręcił głową.

– Oczywiście, jeśli moje nazwisko znajdzie się pod wszystkimi odcinkami. Nie zdziw się jednak, jeśli nagle zostanie usunięte.

Fabio patrzył z góry na siedzącego reportera i powiedział:

– Ja już dopilnuję, żebyś nie był poszkodowany. Pójdę nawet do składu i tam wpiszę twoje nazwisko.

Burke skinął głową. Nie wątpił, że Frankie gotów był to zrobić.

– Czuję, że obaj skończymy jako bezrobotni.

– W towarzystwie zawsze raźniej, kochany.

Rozdział dwudziesty drugi

– Jestem ogromnie rozczarowany.

Słowa te spowodowały, że Leonardowi Twistowi ciarki przeszły po plecach.

Rozczarowywanie naczelnego i prezesa konsorcjum „Globe” było tym, czego Twist zdecydowanie unikał w okresie pełnienia funkcji szefa wydziału informacji.

Harold Wainwright, niewysoki, starannie ubrany mężczyzna, dobiegał sześćdziesiątki. Nosił kamizelki i śnieżnobiałe koszule nawet w największe upały.

Jego postawa wobec biznesu i w ogóle wobec życia odpowiadała temu, jak się ubierał i zachowywał. Niespełnione oczekiwania przeobrażały się u niego w rozczarowanie. Twist wiedział, że to mogło spowodować załamanie się najbardziej obiecującej kariery.

Lenny zrobił rękami ruch świadczący, że jest mu przykro, po czym położył dłonie na kolana. Siedział w znajdującym się na dziewiątym piętrze gabinecie prezesa. Z okien rozciągał się widok na miasto i stojący najbliżej gmach Chryslera. Z tej perspektywy wieżowiec wyglądał jak strzelista iglica. Obok Twista, na identycznym, obitym skórą krześle, siedział naczelny redakcji miejskiej, Mitch Coffee. Zazwyczaj w takich spotkaniach brał też udział wiceprezes do spraw wydawniczych, który jednak odbywał właśnie wizytację biur stanowych gazety, a sprawy nie można było odkładać do jego powrotu.

– Sytuacja jest nieprzyjemna – mówił Coffee. – Chcieliśmy ciągnąć temat jeszcze co najmniej przez kilka tygodni, ale zdrowie chłopca uległo gwałtownemu pogorszeniu, więc nie można już zwlekać. – Coffee zgodził się referować, ponieważ nie ponosił żadnej odpowiedzialności za przebieg wydarzeń.

Twist natomiast żywił nadzieję, że to odciągnie od niego gniew prezesa.

Wainwright zamachał ręką, jakby odpędzał słowa wypowiedane przez Coffee’a, po czym pogładził się po nienaturalnie czarnych włosach.

– Cóż, rozumiem – mówił. – To po prostu fatalna zmienność losu. – Podniósł brwi i kontynuował: – Wiecie, że i ja byłbym za przeciąganiem kampanii.

Dobrze wpływała na wzrost nakładu i zwiększała liczbę ogłoszeń. Sądzę jednak, że temat możemy ciągnąć także po operacji chłopca. – Ponownie wykonał kolisty gest dłonią. – Oczywiście razem ze sprawą fałszerstw dokonywanych przez lekarzy. Mnie rozczarowuje tylko to, że reporter dyktuje warunki kierownictwu działu informacji. – Wainwright mówił do Coffee’a, ale przeniósł spojrzenie na Twista, dając mu do zrozumienia, kto jego zdaniem ponosi winę.

Twist poprawił się na krześle. Naciskał na Coffeego, by ten nie ujawniał szczegółów rozmowy z Burke'em. Szef wydania metropolitalnego uparcie argumentował, że to jedyny sposób uchylenia się przed zarzutami. Twist, przyparty do muru, powiedział:

– W pełni się zgadzam. Niestety, nie przewidywałem tak barbarzyńskiej reakcji. Oczywiście zapewniam, że nie przejdziemy wobec tego obojętnie.

Wainwright wyprostował plecy i jednym palcem postukał się po wardze.

– Coś sobie przypominam na temat tego dziennikarza mówił. Wydaje mi się, że kiedy rozpatrywaliśmy kandydaturę pana Burke'a na szefa działu miejskiego, wyszły jakieś problemy związane ze zdrowiem jego dziecka.

Twist natychmiast odpowiedział:

– To prawda. Córka Billy'ego jest autystyczna.

Wainwright pokiwał głową.

– Tak, właśnie. – Wydawało się, że prezes ocenia Twista spojrzeniem swoich szarych oczu bez żadnego wyrazu. – A nie można było przewidzieć jego szczególnie emocjonalnych reakcji na fakt choroby innego dziecka?

Twist musiał opanować drżenie.

– Braliśmy to pod uwagę. Początkowo jednak uznaliśmy, że taka sytuacja wpłynie korzystnie na całą sprawę. Wyobrażaliśmy sobie, że teksty Burke'a przepojone będą niezbędnym, wyjątkowym uczuciem.

Wainwright ponownie skinął głową.

– Rozumiem. Tak wstępnie ocenialiście.

Zamilkł, jakby nie kończył myśli, aby pozostawić im możliwość własnej interpretacji wypowiedzianych właśnie słów.

– Rzecz jasna, nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa – dodał szybko Twist.

Wainwright podniósł brwi.

– Co masz na myśli?

Lenny pochylił się do przodu i usiłując nadać swojej wypowiedzi ton stanowczości, rzekł:

– Po pierwsze, możliwie najszybciej odbierzemy Burke'owi temat...

– To znaczy, gdy odda materiały, którymi w tej chwili szantażuje redakcję?

– No... właśnie... tak. Kiedy dostaniemy komplet dokumentów ujawniających kanty chirurgów, my prześlemy wszystko komuś innemu do obróbki.

– Nie wiem, czy to rozsądne. – Wainwright ponownie wyprostował się na krześle i znów postukał się palcem po wargach.

– Nie rozumiem. – Twist zrobił zdziwioną minę. – Nie możemy zignorować tego, co on zrobił.

– Och nie, oczywiście, że nie. – Twarz Wainwrighta wykrzywił lekki uśmiech. – Masz rację, Leonardzie. William Burke włożył w swoją pracę bardzo wiele serca. Dzięki temu odnieśliśmy spore korzyści. Jego artykuły o chłopcu należą do najlepszych, jakie czytałem. Tak w naszej gazecie, jak i w innych.

– Jest tam uczucie, akcja, dramat... – Raz jeszcze nie dokończył zdania.

Twist instynktownie wyczuł, że należało okazać nieco przychylności wobec Billy'ego i natychmiast ruszył w tym kierunku.

– Burke niewątpliwie ma talent. Dlatego, między innymi, właśnie on otrzymał ten temat. Należy jednak pamiętać, że całe dotychczasowe powodzenie jest efektem znakomicie zaplanowanego wysiłku zbiorowego. Promocja, reklama, wszystkie te elementy zwróciły uwagę czytelników na temat. – Twist zrobił ręką ruch wzorowany na gestach Wainwrighta. – Niech mnie pan źle nie zrozumie. To świetna operacja, doskonale prowadzona i przynosząca znaczne korzyści. Jednak mogłaby przejść nie zauważona, gdyby nie starania gazety, by stała się głośna. Podjęto przemyślane i twórcze decyzje. Nie należy więc przypisywać zasług wyłącznie talentowi Burke'a. Największą bowiem rolę odegrały osoby podejmujące decyzje o całości przedsięwzięcia.

Wzrok Wainwrighta przyszpilił Leonarda do krzesła. Decyzje, które Twist tak sławił, wychodziły z gabinetu Wainwrighta. Twist zastanawiał się, czy dobrze zrobił, chwając prezesa, czy też posunął się nieco za daleko w tym wazeliniarstwie.

– W pełni się zgadzam – powiedział Wainwright.

– I ja też – dorzucił szybko Mitch Coffee.

Twist zmierzył Coffee'a wzrokiem. Ten ciul, pomyślał, zawsze ustawia się tak, jak zawieje wiatr. Twist stwierdził, że naczelny wydania metropolitalnego sprzedałby go przy najbliższej, nadarzającej się okazji. Nie zdążył nawet w myślach przyznać się, że sam gotów byłby uczynić podobnie, gdyby wymagała tego sytuacja, ponieważ ponownie zabrał głos Wainwright:

– Jednak nie to wzbudza mój niepokój, panowie.

Twist i Coffee słuchali uważnie, oczekując wyjaśnienia.

– Dla mnie nie jest ważne, czy uznamy, czy też nie uznamy talentów Burke'a – ciągnął Wainwright, składając oparte o biurko ręce, jak do modlitwy. Praca tego dziennikarza do tej pory dobrze służyła redakcji i to jest wartością samą w sobie. Mnie niepokoi jego niesubordynacja, która w aktualnym przypadku ma charakter ekstremalny. – Na chwilę zamilkł i patrzył po twarzach swoich podwładnych. – Niesubordynacja ma zawsze tendencje do narastania i rozszerzania się. Takie zjawisko stanowi niebezpieczeństwo dla każdej organizacji, a więc i dla naszej. – Potrząsnął głową dla podkreślenia tkwiącego w nim niepokoju. – Przykro mi, ale pan Burke sam zagroził

swojej obiecującej karierze. Sam dokonał wyboru. – Ponownie przeciągnął wzrokiem po Lennym i Mitchu. – Rozwiązanie problemu zależy już całkowicie od was, panowie. Jeśli uznacie, że Burke może zostać ukarany i zrehabilitowany, nie będę się sprzeciwiał. Jeśli podejmiecie decyzję, że w odpowiednim czasie należy go poprosić o opuszczenie redakcji, uzyskacie moje poparcie. – Spojrzenie Wainwrighta stwardniało. – Cokolwiek jednak postanowicie, domagam się, by było to rozsądne i przemyślane. Wasze posunięcie nie może zaszkodzić całemu tematowi i, co ważniejsze, spowodować interwencji Gildii Dziennikarskiej. Krótko mówiąc, nie chcę kłopotów. Nie wolno dopuścić, by temat „Mały chłopak” stanął pod znakiem zapytania. – Ręką nakreślił ten znak w powietrzu. – To nasza inicjatywa, my walczymy o dobro dziecka. A wkrótce wystąpimy w roli świętego Jerzego, który przeszywa włócznią smoka, mam na myśli środowisko lekarskie. Musimy wczuć się w mentalność naszego czytelnika. To sprawa wysokości nakładu, a w jeszcze większym stopniu liczby ogłoszeń. Nie chcemy zawieść odbiorców i sami sobie zrobić krzywdy.

Twist i Coffee wyszli z gabinetu Wainwrighta i w milczeniu kroczyli do windy. Patrzyli prosto przed siebie.

Pierwszy odezwał się Coffee:

– Jak to wszystko odebrałeś?

– Jako ostrzeżenie, żeby nie zrobić błędu – odparł Twist.

– A co w sprawie Burke’a?

– Twist westchnął i mruknął:

– Prezes bardzo niejednoznacznie zasugerował, czego by chciał.

– A więc zrzucił wszystko na nasze głowy i my poniesiemy odpowiedzialność, jeśli coś pójdzie nie tak.

– Dokładnie.

– A jak sądzisz, co powinniśmy zrobić?

Twist spojrział na Coffee’a i uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją.

– Pozwolimy Burke’owi dokończyć pisanie materiałów. Weźmiemy od niego wszystkie teksty... – Zrobił chwilę przerwy i dokończył. – A potem facet przechodzi do historii.

Rozdział dwudziesty trzeci

Kilka minut po drugiej

Burke zobaczył doktora Jamesa Bradforda wkraczającego do gabinetu Leonarda Twista. Nigdy nie widział Bradforda, ale z łatwością poznał kardiochirurga, którego liczne fotografie trafiały ostatnio do sali redakcyjnej. Przybysz wyglądał dokładnie tak, jak tego Burke oczekiwał. W jego ruchach odzwierciedlała się arogancja, a wysoko uniesiony podbródek sygnalizował poczucie wyższości wobec otaczającego motłochu. Burke umocnił się w przekonaniu, że Bradford sam siebie traktował z całą powagą i oczekiwał, że wszyscy będą odnosili się do niego z należnym szacunkiem.

Zamykając za gościem drzwi do gabinetu, Twist rozejrzał się po sali, zobaczył Burke'a i mrugnął do niego porozumiewawczo. Potem naczelny zasunął firanki na przeszklonych ścianach. Tak postępował zawsze, gdy miał z kimś trudną rozmowę. Uważał, że taka izolacja od świata zewnętrznego zmiękcza petenta. Z doświadczenia wiedział, że rozmówca czuł się złapany w pułapkę.

Twist ujawnił przedtem plan swojej rozmowy z Bradfordem. Wyjaśni mu, że kampania zbierania funduszy na operację jeszcze nie osiągnęła celu. Zbiórka będzie jednak kontynuowana, a cała kwota zostanie natychmiast przekazana. Powie również, że „Globe” oczekuje, iż lekarz przyjmie zaliczkę i wyznaczy datę operacji w jak najbliższym terminie. Jeśli doktor odmówi, redakcja przyjmie inną drogę działania. „Bradford może rozsiąść się w fotelu i czytać największą w kraju gazetę codzienną, która zaczyna się nad nim pastwić”, mówił Twist. „Napiszemy, że pan doktor godzi się na śmierć dziecka jedynie dlatego, że na konto do banku nie wpłynęła jeszcze cała suma”. Twist, mówiąc to, był absolutnie pewien reakcji kardiochirurga. „Oczekuję, że bez oporów przyjmie warunki «Globe». A potem, oczywiście po operacji, złoimy mu dupsko, i to zdrowo”.

Burke wyobrażał sobie konfrontację, do jakiej doszło w biurze Twista. Jeśli chodziło o straszenie, Lenny Twist nie miał równych sobie w kręgach dziennikarzy, i Burke przewidywał, czym się to skończy. Żałował jednak bardzo, że nie mógł być świadkiem klęski Bradforda. A jeszcze przyjemniej byłoby znaleźć się w gabinecie doktora i patrzeć, jak rano otwiera gazetę i czyta publikacje stanowiące wynagrodzenie jego „wielkoduszności”.

Burke powstrzymał te radujące serce myśli i powrócił do pisania. Właśnie kończył drugi z serii trzech artykułów, w których przedstawiał, jak Szpital Uniwersytecki i znani chirurdzy ograbiali fundusze miejskie.

Pierwszy materiał oddał Twistowi przed trzema godzinami. Tekst zawierał ogólną informację o tym, w jaki sposób w okresie minionych trzech i pół lat lekarze okradali kasę miasta. Twist przeczytał artykuł i uznał za doskonały.

Drugi materiał przedstawi szczegóły i przykłady tego, jak szpital i zatrudnieni w nim lekarze otrzymywali zapłatę za zabiegi i usługi, których nigdy nie wykonano. W trzecim odcinku zamierzał zaprezentować sylwetki, praktykę i styl życia znanych chirurgów, a w szczególności Bradforda. Główną uwagę zwróci na fakt, że Bradford odmówił pomocy Robertowi Avalonowi, a zajął się chłopcem dopiero w momencie, gdy „Globe” zapewnił, że gwarantuje zapłacenie honorarium. Do każdego tekstu dołączyłby krótkie komentarze osób mających cokolwiek wspólnego z całą aferą, a więc przedstawiciele administracji miasta i Amerykańskiego Stowarzyszenia Medycznego. Oczywiście, zakładając, że ci zgodziliby się na udzielenie wypowiedzi, a poproszono by o nie w ostatnim momencie, na kilka godzin przed opublikowaniem materiału, by uniknąć jakiegokolwiek przecieku.

Przed wypuszczeniem tych artykułów opublikowano by ostatni materiał poświęcony Robertowi, przedstawiający wyniki operacji. Tekst delikatnie sygnalizowałby, że od następnego dnia gazeta rozpoczyna drukowanie serii artykułów na temat oszustw popełnianych przez prominentnych przedstawicieli środowiska lekarskiego i znane medyczne instytucje. Nie ulegało wątpliwości, że już ta wstępna publikacja spędzi sen z powiek osób zaangażowanych w aferę.

Burke głęboko odetchnął. Czuł narastające podniecenie, jak zawsze, kiedy zajmował się wielkim, sensacyjnym tematem i zbliżał się ku końcowi. On sam nigdy nie polował, ale wyobrażał sobie, że tak właśnie musi być podniecony myśliwy, kiedy zwierzę, za którym łązi od szeregu dni, wreszcie wychodzi na linię strzału. Takim emocjom towarzyszył jednak strach. Chodziło głównie o Roberta Avalona. Materiały na temat finansowego szwindlu lekarzy były zebrane i zostaną opublikowane bez względu na wynik operacji chłopca. Wszyscy zaangażowani w pracę nad tematem będą zadowoleni, chwaleni i poklepywani.

Burke miał nadzieję, że atmosfery radości nie przyćmi cień smutku, że wszystkim się udało, z wyjątkiem głównego bohatera tematu.

Co pewien czas Billy telefonował do Belleuve, by upewnić się, czy stan chłopca ulegał poprawie i czy planowano przewiezienie małego pacjenta na oddział kardiochirurgii Szpitala Uniwersyteckiego. Informacje były optymistyczne, a jednocześnie umacniały w Burke’u poczucie bezsilności. Jemu pozostawało jedynie zakończenie pisania materiałów do serialu lekarskiego i oczekiwanie. Jeszcze tego wieczora miał pójść do szpitala, by zebrać pozostałe dokumenty, jakich domagał się

Twist. Potem zamierzał się przespać kilka godzin, a rano pobiec do kliniki, do Roberta. Twist powiedział, że chce dokładnej relacji z przebiegu wydarzenia. Łącznie z opisem łez płynących z oczu matki, kiedy mały będzie wieziony na salę operacyjną. Burke miał ochotę przyłożyć Twistowi, ale dokładnie rozumiał, że naczelnemu chodzi przede wszystkim o natychmiastową informację dotyczącą wyniku zabiegu. A to był ten fragment opowieści, który teraz budził w Billym narastający strach.

O trzeciej drzwi gabinetu Twista otwarły się, a zamknięte pozostawały prawie godzinę. Gdy Bradford opuścił pokój, Burke od razu zauważył, że z lekarza wyparowała cała arogancja. Kardiochirurg miał opuszczone ramiona, a głowę schyloną tak nisko, że podbródkiem dotykał piersi. Szedł teraz szybko. Najwyraźniej chciał natychmiast znaleźć się poza budynkiem.

Twist patrzył za odchodzącym. Potem odwrócił głowę i spojrzał w kierunku Burke'a.

Billy podniósł brwi, domagając się informacji o przebiegu rozmowy. Twist podniósł kciuk prawej ręki. Tę rundę wygrał „Globe”. Burke westchnął z ulgą i powrócił do pisania.

Kilka minut po szóstej oddał do sekretariatu trzeci materiał. Dołączył do tego instrukcję dotyczącą wstawek, jakie dojdą do tekstu w ciągu następnych dwóch dni. Dokumentacja do wszystkich trzech materiałów, zebrana w wielkiej kopercie, została schowana w bagażniku samochodu Frankiego Fabia. Burke obiecał, że przekaże ją redakcji natychmiast po przeprowadzeniu operacji małego i nie zamierzał postąpić inaczej. Twist w pełni wykonał to, do czego się zobowiązał.

Burke podniósł słuchawkę telefoniczną i wykręcił numer Belleuve. Gdy się odezwano, poprosił o przywołanie doktora Wilfreda Salazara. Czekał jakiś czas, zanim usłyszał głos lekarza. Salazar, nie czekając na pytania, poinformował, że chłopak jest w drodze do Szpitala Uniwersyteckiego.

– Operację wyznaczono na piątą rano – powiedział.

Burke oczyma wyobraźni zobaczył ciało chłopca rozcięte skalpelem chirurga.

Czy pan tam będzie? – zapytał Salazara.

– Tak. Poprosiłem, bym mógł towarzyszyć przy operacji – odparł Salazar. – Doktor Bradford uprzejmie się na to zgodził. – W jego głosie wyczuwało się ton sarkazmu. Wyjdę i poinformuję matkę, kiedy się skończy operacja.

Jeśli się tam spotkamy, natychmiast opiszę panu cały przebieg. – Na chwilę zamilkł, jakby się zawahał. – Nie ma jednak potrzeby, by pan zjawiał się w szpitalu o piątej. Zabieg potrwa co najmniej cztery godziny. Wystarczy, jeśli się pan pokaże około...

– Będę o piątej – przerwał mu Burke.

W słuchawce rozległ się śmiech.

– Tak właśnie przypuszczałem – powiedział Salazar. – Ja wpadnę wcześniej, by zobaczyć się z panią Avalon.

Burke przekroczył bramę Szpitala Uniwersyteckiego o ósmej i od razu skierował się do archiwum. Jak zwykle miał na sobie lekarski kitel. Zaczynał już rozumieć powody tego stałego zadowolenia i pewności siebie lekarzy. Ustawicznie towarzyszyła im atmosfera szacunku otoczenia, z uznaniem i lękiem reagującego na widok białych fartuchów. Rola, jaką przyszło Billy’emu odgrywać, czyniła z niego część tego świata, grona kobiet i mężczyzn, którzy posiadli tajemnicę życia i śmierci, i używali niezrozumiałych słów, niemożliwych wręcz do wypowiedzenia.

Burke uśmiechnął się do własnych myśli. Zwykli śmiertelnicy nie rozumieli, że przynajmniej połowa tych ludzi w kitlach z ledwością kończyła akademie medyczne, otrzymując najniższe noty, całkiem jak prawnicy, architekci czy finansisci.

Burke przypomniał sobie rozmowę, jaką odbył niedawno z pewnym brytyjskim korespondentem. Anglik nie potrafił pojąć, dlaczego lekarzy otacza się w Stanach tak ogromnym szacunkiem. Burke zapytał, czy w Wielkiej Brytanii jest tak samo.

– Ależ nie – zareagował spontanicznie rozmówca. – Przeciętnej angielskiej rodzinie nigdy nie przyszłoby do głowy, by zaprosić na obiad lekarza. Kto chciałby jeść w towarzystwie faceta, który przez kilka godzin dziennie grzebie we flakach pacjentów?

Burke spoważniał jednak, gdy przekroczywszy próg archiwum, zobaczył za barierką dwóch umundurowanych ochroniarzy. Nadał swojej twarzy wyraz poważno-zasepiony, obcesowo skinął głową i ruszył w kierunku bramki prowadzącej w głąb archiwum. Miał nadzieję, że sprawia wrażenie podobnie aroganckiego gościa, jakim po przyjeździe do „Globe” był doktor Bradford.

Kiedy mijał bramkę, jeden z ochroniarzy najwyraźniej zawahał się, ale drugi, młodszy i pewnie mniej inteligentny, dał krok do przodu.

– Muszę sprawdzić pańską legitymację – wymamrotał, wpatrując się w plakietkę identyfikacyjną widniejącą na piersi wchodzącego, z której wynikało, że ma do czynienia z doktorem Johnem Rourke’em.

– Co tu się dzieje? – rzucił Burke, starając się włożyć w wypowiedzane słowa możliwie najwięcej złości. Patrzył ochroniarzowi prosto w oczy, usiłując dać tym spojrzeniem do zrozumienia, że jest oburzony napastowaniem ważnego chirurga.

Ochroniarz najwyraźniej się zmieszał i burknął coś na temat nowych przepisów. Tak bełkotał, że Billy nie zdołał wszystkiego zrozumieć.

– O! Witam, doktorze Rourke!

Głos należał oczywiście do Wendy, która, jak Burke chciał wierzyć, przybywała na

ratunek. Obaj ochroniarze najwyraźniej byli jeszcze bardziej zbici z tropu.

– Cześć, Wendy. Jak wykłady?

– Okrutnie się wleką – zrobiła kwaśną minę.

Kątem oka Burke zauważył, że młodszy ochroniarz spojrział na kolegę i wzruszył ramionami. Billy tymczasem nadal paplał z Wendy.

– Moje poszukiwania w archiwum też się ciągną w nieskończoność – powiedział. – Czy znalazłabyś dla mnie trochę czasu i pomogła mi nieco?

– Oczywiście – odparła z wyraźnym zadowoleniem. Spojrzała na ochroniarzy z góry i poprowadziła Burke’a w głąb archiwum.

Gdy podeszli do regałów, Burke pochylił się w jej kierunku i zapytał cicho:

– Co to za komedia z tymi strażnikami?

– Tego nikt nie wie – odpowiedziała również cicho. – Pojawili się o czwartej i poinformowali, że to nowe wewnętrzne zarządzenie. Przed wpuszczeniem do archiwum każdego legitymują. Tak jakbyśmy tego do tej pory nie robili. Czy wyobraża pan sobie, abyśmy każdemu obcemu udzielali informacji? – Potrząsnęła głową, niedwuznacznie dystansując się wobec takiej możliwości. – Wygląda na to, że wykonują część naszej pracy albo też zatrudniono nowego szefa Wydziału Bezpieczeństwa, a ten chce wszystkim zaimponować.

Burke poczuł się nieswojo. Czyżby nastąpił jakiś przeciek? Cóż, niewykluczone, że goniec redakcyjny lub reporter usłyszał strzępy rozmowy z Twistem, a potem powtórzył w towarzystwie jakiejś pielęgniarki, z którą umówił się na randkę. Burke rozważał, jak podobne wydarzenie mogło być groźne. Największe niebezpieczeństwo wcale nie tkwiło w tym, że ktoś przyłapałby go w szpitalu. Byłoby to najwyżej kłopotliwe i w najgorszym wypadku szpital skierowałby skargę do sądu. Sprawą zająłby się wtedy „Globe” i skończyłoby się na umorzeniu sprawy. Niebezpieczeństwo zawisłoby jednak nad tematem. Billy miał już dość materiałów, by zacząć publikację, a więc pod tym względem też nie należało się obawiać. Groźny natomiast był przeciek do innej gazety, stacji radiowej czy telewizyjnej. Inni dziennikarze mogliby podać własną informację na ten temat, nawet nie do końca przygotowaną, zaledwie naszkicowaną, ale uprzedzającą „Globe”. Nowojorskie media ubóstwiały podobne gry. Należało robić wszystko, co możliwe, by być pierwszym. Trzeba powiadomić Twista o zaistniałej sytuacji.

Twist. Czyżby Twist mimo woli wygadał się z czymś przed Bradfordem?

Burke’owi wydawało się to wątpliwe. Lenny nie był głupi. Zresztą, Burke nie znał przypadku, by szef jakiejś redakcji ujawnił przygotowywane materiały, chociaż zdarzało się, że po pijanemu w barze ktoś potrafił za dużo powiedzieć. Najczęściej jednak obrywali za to dziennikarze. Szefowie redakcji przyznawali się jedynie do sukcesów,

natomiast winą za porażki zawsze obarczano reporterów.

Burke rzucił okiem w kierunku ochroniarzy. Jak mówiła Wendy, pokazali się około czwartej po południu. Oznaczało to, że następna zmiana pojawi się mniej więcej o północy. A ci drudzy mogli się okazać większymi twardzielami.

Ponadto istniało prawdopodobieństwo, że znają prawdziwego doktora Rourke'a.

Odwrócił się ponownie do Wendy i uśmiechnął się.

– Pozostała mi jeszcze co najmniej tona akt, przez które muszę się przedrzeć. Jeśli mi pomożesz, uporam się z tym w ciągu kilku godzin.

– Nie ma problemu – odparła. – Jestem do pańskich usług. – Uśmiechnęła się zalotnie.

Burke zignorował dwuznaczność wypowiedzi dziewczyny.

– Jeśli chcesz mi rzeczywiście pomóc, trzymaj tych ochroniarzy daleko ode mnie – powiedział.

Popatrzyła na niego zdumiona. Burke uznał, że należy natychmiast rozwiązać wątpliwości urzędniczki. Pochylił się w jej kierunku i starając się zachować arogancję lekarza, zaczął szeptać:

– Wiem, że to niezbyt demokratyczne, ale nie znoszę tych słabo opłacanych śmierdzieli, którzy przy każdej okazji chcieliby okazywać swoją wyższość nad innymi.

Wendy uniosła oczy i odpowiedziała szeptem:

– Nie musi mi pan mówić. Pan sądzi, że oni odnoszą się w ten sposób jedynie do lekarzy? Nie ma pan pojęcia, jak traktują studentów, szczególnie pracujących w administracji szpitalnej.

Burke mrugnął do blondynki i wyszeptał:

– No to teraz my razem przeciwko nim.

To najwyraźniej podobało się Wendy, bo twarz dziewczyny pojaśniała.

Poszukiwania zajęły mu więcej czasu, niż oczekiwał, ale przy pomocy Wendy odnalazł całą potrzebną mu dokumentację i wyszedł z archiwum o jedenastej trzydzieści, pół godziny przed przypuszczalną zmianą ochrony.

To nieoczekiwane pojawienie się strażników nadał go dziwiło. Oczywiście, niewiele się tym teraz przejmował. Spojrzał na zegarek. Pierwszy fragment materiałów o szwindlu lekarzy miał się znaleźć w numerze, który za dwadzieścia cztery godziny trafiał do kiosków. Następne odcinki ukazać się w kolejnych numerach gazety. Teksty zostałyby opublikowane, nawet gdyby zatrzymała go ochrona szpitala. Ostatnie dokumenty, jakie teraz wynosił, stanowiły jedynie potwierdzenie umacniające całą publikację. Mimo wszystko Billy nadal się zastanawiał nad przyczyną wzmożonej czujności szpitala. Po

chwili jednak zaczął myśleć o Robercie, który już znajdował się w przedsionku sali operacyjnej. Nie ulegało wątpliwości, że chłopcu towarzyszy matka, a zapewne i babka.

Obie siedziały na niewygodnych szpitalnych krzesłach. Burke przez moment rozważał, czyby od razu nie pojechać do kliniki, ale doszedł do wniosku, że nie miałyby to żadnego sensu. Jeśli kobiety mogły choć przez chwilę zdrzemnąć się, oczekując na operację małego, to nie należało im przeszkadzać. Powrót do szpitala nie byłby też zbyt bezpieczny. Wprawdzie Billy zrzucił lekarski uniform, ale niewykluczone, że spotkałby schodzących właśnie ze służby ochroniarzy, a oni niewątpliwie rozpoznaliby „doktora Rourke’a”.

Argumenty przemawiające za niewybieraniem się w tej chwili do szpitala przeważyły. Pojechał do domu z postanowieniem, że prześpi się kilka godzin.

Jutro czekał go dzień długi i ciężki. Miał do napisania trudny materiał, więc uznał, że należało trochę wypocząć. Musiał stworzyć dramatyczną opowieść o walce małego chłopca, o tym, jak otarł się o śmierć przez chciwość lekarza i szpitala. Tak napisana historia zapaliłaby płomień w sercach czytelników i przygotowałaby scenę do publikacji.

Po przyjeździe do domu zastał na telefonie kartkę z informacją od Julii.

Żona prosiła, by zadzwonił bez względu na porę. Podniosła słuchawkę po trzecim sygnale. Głos miała zaspany.

– Operacja zaczyna się punktualnie o piątej rano – informował. – Roberto jest w tym dniu pierwszym pacjentem.

– Czy ty tam będziesz? – zapytała.

– Oczywiście. Chciałbym zobaczyć chłopca jeszcze przed zabiegiem.

– Chcesz, żebym przyszła? Czy moja obecność pomoże Marii?

– Nie sądzę, żeby jej cokolwiek pomogło – odpowiedział. – Salazar twierdzi, że operacja potrwa co najmniej cztery godziny. Nam więc nic innego nie pozostanie, jak siedzieć i czekać.

– Wpadnę koło dziewiątej, w drodze do pracy – powiedziała Julia. – O jedenastej mamy zebranie redakcyjne. W razie czego poproszę o przełożenie spotkania na popołudnie.

Burke spojrział na regały, gdzie stały zdjęcia Julii i Annie.

– Jesteś wspaniałą dziewczyną – powiedział.

– Dziękuję. – Chwila ciszy i ponownie głos Julii: – A ty należysz do wyjątkowych facetów. Gdyby sprawa pozostawała w rękach tych karłów z „Globe”, chłopak byłby zapewne daleko od szpitala i sali operacyjnej. Wręcz nie mogę uwierzyć, że ci się udało. – W głosie Julii brzmiały silne emocje.

Po paru sekundach kobieta uspokoiła się. Znała prasę i metody jej działania.

- Teraz mam jeszcze coś do zrobienia – oznajmił Billy.
- Zatem do dzieła. I niech nie opuszcza cię nadzieja.
- Czy mam za siebie trzymać kciuki? – zapytał żartobliwie Burke.
- To nigdy nie zaszkodzi odparła Julia.

Burke sądził, że żona jeszcze coś doda, ale po drugiej stronie panowała cisza. Chwilę potem usłyszał:

- Dobranoc, Billy. Zobaczymy się rano.

Odpowiedział „dobranoc” i odłożył słuchawkę. Kazała mi mieć nadzieję, pomyślał. Ponownie spojrzął na fotografie żony i córki. W ciągu minionych lat było mnóstwo nadziei i modlitw. Julia rozpaczliwie trzymała się każdego promyczka nadziei, a on sam rozpaczliwie liczył na cud.

Burke zamknął oczy i odniósł wrażenie, że się modli. Sam nie wiedział, do kogo. A jednak modlił się. O cud, tylko o cud.

Rozdział dwudziesty czwarty

Burke szedł korytarzem szpitalnym. Ściany i sufit lśniły w jaskrawym świetle.

Sylwetka Billy'ego odbijała się w wypolerowanych, gładkich powierzchniach.

Burke miał uczucie, jakby szedł tunelem, którego koniec z każdym krokiem zdawał się coraz bardziej odległy. Mijali go spieszący gdzieś lekarze, przemykały obok pielęgniarki. Niektóre z tych osób znikwały za drzwiami pokoi, inne dźwigały jakieś rzeczy nakryte białymi ręcznikami. Burke usiłował dopytać się, gdzie jest pokój Roberta Avalona. Zatrzymywani patrzyli jednak na Billy'ego ze zdumieniem albo z całkowitą obojętnością, a czasami nawet z jawną wrogością. W końcu, sfrustrowany Burke złapał za ramię jakiegoś chirurga i zażądał informacji o tym, gdzie znajdzie chłopca. Doktor popatrzył na intruza, zamrugał i wybuchnął dziwnym, maniakałnym śmiechem.

– Piętro wyżej – wydusił wreszcie. – Musi się pan jednak pospieszyć. Lekarz chciał odejść, ale Burke go przytrzymał.

– Dlaczego? Dlaczego miałbym się spieszyć?

– Bo po prostu ja panu tak radzę – brzmiała odpowiedź. – Niech pan biegnie na następne piętro. Pokój numer siedemdziesiąt siedem.

Chirurg pokazał drzwi wychodzące na klatkę schodową.

Schody były oświetlone tak jaskrawo, że Burke aż przymrużał oczy. Biegł skacząc po dwa, trzy stopnie. Dotarł na małą platformę, a schody skręcały dalej w górę. Minał cztery takie łamania, zanim stanął przed drzwiami. Pchnął je i ponownie znalazł się na długim korytarzu, lecz tym razem pograżonym w półmroku, z obdrapanymi i poplamionymi ścianami. Burke pędził korytarzem, szukając właściwego pokoju. Numeru siedemdziesiąt siedem jednak nigdzie nie widział. Otwarty się drzwi jednej z sal i na korytarz wyszła pielęgniarka.

Uśmiechnęła się do niego.

– W czym mogę pomóc? zapytała.

– Szukam pokoju numer siedemdziesiąt siedem – wysapał. – Leży tam Roberto Avalon.

– O, tak. Zgadza się. Ale siedemdziesiąt siedem jest w suterenie.

– Nie rozumiem. Jakiś lekarz mówił, że to na tym piętrze.

Pielęgniarka zaśmiała się.

– Lekarze w ogóle nie znają rozmieszczenia sal. Proszę mi wierzyć. To w suterenie.

– Pokazała, w jakim kierunku powinien iść. – Niech pan zjedzie windą. Potem w prawo.

Burke wsiadł do windy i przycisnął guzik oznaczony literą „S”. Winda zjeżdżała,

ocierając się o betonowe ściany szybu.

Wreszcie stanęła, drzwi rozsunęły się, a Burke znalazł się w korytarzu o szarych, popękanych ścianach. Idąc trafił przed pokój, na którego drzwiach widniał numer tysiąc siedemset siedemnaście. Drzwi nie miały klamki. Pchnął je; działały na zasadzie sprężonego powietrza.

Billy ujrzał przed sobą ogromny, jasno oświetlony pokój. Błyszczące ściany odbijały światło tak, jak na pierwszym z korytarzy. Rażący blask jarzeniówek sprawiał, że Billy nie mógł zobaczyć przeciwległej strony pomieszczenia.

Pokój był prawie całkiem pusty. Tylko pośrodku stało jedno krzesło naprzeciwko okna. Na krześle siedziała mała dziewczynka. Patrzyła na rozciągający się za oknem rozległy trawnik. Dziecko wydawało się bez reszty pochłonięte tym widokiem. Siedziało nieruchomo. W żaden sposób nie zareagowało na pojawienie się Burke'a. Dziewczynka miała długie, brązowe włosy spływające na plecy i sięgające niemal do podłogi.

– Czy to pokój Roberta Avalona? – zapytał Burke.

Mała powoli odwróciła głowę. Na Billy'ego patrzyły ciemne oczy Annie.

Dziewczynka uśmiechnęła się, podniosła rękę i pokazała na ścianę obok.

– Co chcesz przez to powiedzieć, kochanie? – zapytał.

Annie uśmiechnęła się.

– Tam jest Roberto – powiedziała wolno. – Ale nie możesz do niego mówić. Nikt nie może z nim rozmawiać.

– Dlaczego nie? – zdumiał się Burke. – Dlaczego nie mogę z nim rozmawiać?

Annie patrzyła na ojca, jakby nie pojmowała, czemu kpi z niej, zadając głupie pytania.

– Bo on nie żyje, tatusiu – powiedziała i zaśmiała się. – Ze zmarłymi się nie rozmawia, tatusiu. Wiesz o tym. Dlatego ze mną też nie możesz rozmawiać.

Chociaż ciągle próbujesz i próbujesz. Czy ty niczego nie rozumiesz? Tatusiu!

Nie rozumiesz? Nie rozumiesz? Nie rozumiesz?

Burke z przerażeniem patrzył na córkę. Potem ruszył w kierunku, który wskazywała. Stał przed jedną z błyszczących ścian i patrzył ze zdumieniem, jak mur zaczął się rozsuwać, ukazując długi, wąski pokój. Ściany pomieszczenia były betonowe, tak jak na korytarzu. Burke pojął nagle, że to właśnie jest korytarz.

Tylko jakby nieco zmieniony. Pośrodku, na wielkim, betonowym stole leżał Roberto Avalon. Całkiem nagi. Z otwartą klatką piersiową, jakby na trupie dokonywano autopsji. Dopiero po chwili Burke zauważył, że u nóg chłopca, na krześle siedziała samotna pielęgniarka. Przez kolana miała przerzucony ręcznik, na którym stał jakiś kubek. Pielęgniarka powoli wkładała ręce do naczynia i wyjmowała z niego pieniądze. Zwinięte

banknoty rozkładała na stole.

Kobieta odwróciła głowę w kierunku przybysza i uśmiechnęła się.

– Czy przyniosłeś resztę pieniędzy? – zapytała. – Musisz je nam oddać, teraz. Wiesz, że takie są zasady szpitalne. Nie możemy wystawić zaświadczenia o zgonie, póki nie otrzymamy całej zapłaty.

Pielęgniarka posłała Billy'emu uśmiech zachęcający do wypełnienia powinności.

Burke ponownie spojrzał na Roberta. Chłopak też patrzył na niego. Chciał zobaczyć, co Billy robi. Z tyłu rozległ się wysoki, nieco piskliwy głos małej dziewczynki. Burke wiedział, że to głos jego córki. Odwrócił głowę, ale światło było zbyt jasne, zbyt rażące, by mógł dostrzec Annie. Przeniósł wzrok na Roberta i w tym samym momencie znów usłyszał wołanie córki:

– Daj siostrze pieniądze, tatusiu. Dopiero wtedy Roberto będzie naprawdę nieżywy. Zapłać też za mnie, tatusiu. Za mnie też. Za mnie też.

Burke zacisnął powieki i oparł się plecami o ścianę windy, starając się wyrzucić z pamięci ten niemiły sen, który obudził go za piętnaście czwarta. Otworzył oczy, kiedy poczuł, że winda staje, a drzwi się rozsuwają. Dał kilka kroków do przodu i znalazł się na korytarzu. Była dopiero czwarta czterdzieści pięć, ciągle jeszcze noc dla pogrążonego we śnie miasta, dlatego ruch panujący na korytarzu zdumiał Burke'a. W obu kierunkach kręciły się pielęgniarki w białych kitlach i w zielonych uniformach operacyjnych. Instrumentariusze popychali wózki pełne lekarstw lub aparatury. Koło stanowiska dyżurnych pielęgniarek zebrała się grupa lekarzy w zielonych strojach operacyjnych. Dyskutowali, oglądając jakiś wykres. Przechodząc obok, Burke usłyszał fragmenty rozmowy:

– Zabieramy ją na salę, otwieramy i patrzymy, co mamy. Gdyby się okazało, że potrzebujemy pomocy, przerywamy i wzywamy Jamisona. Jest gotowy na wszelki wypadek.

Burke w końcu zwrócił na siebie uwagę jakiejś pielęgniarki.

– Poszukuję Roberta Avalona – odezwał się pierwszy.

– Pan z rodziny? – odpowiedziała pytaniem.

– Tak – skłamał, nie chcąc tracić czasu na bezprzedmiotowe dyskusje. Jego matka mnie oczekuje.

– Czterysta siedem – rzuciła pielęgniarka. – Jest przygotowywany do operacji.

Burke ruszył korytarzem. Po chwili odnalazł pokój. Drzwi były zamknięte.

Zanim je popchnął, nabrał w płuca powietrza.

Nadal dręczyło go wspomnienie snu. Bał się, że to przeczucie nieszczęścia.

Nigdy wcześniej w ten sposób nie interpretował marzeń sennych.

Otworzył drzwi i podświadomie przygotował się na widok pustej sali. Zamiast tego jednak ujrzał pokój z dwoma łózkami. Na jednym siedział jakiś starszy pan i patrzył na Burke'a z nieukrywanym zdziwieniem. Drugie łóżko znajdowało się za częściowo odsuniętymi kotarami. Wewnątrz niewielkiego, odizolowanego pomieszczenia stał doktor Salazar z pielęgniarką. Oboje mieli na sobie zielone stroje chirurgiczne.

– Pani Avalon jest z matką w poczekalni, w końcu korytarza – odezwał się Salazar, widząc Burke'a. – Były troszkę... – Wzruszył ramionami i popatrzył na leżącego na łóżku Roberta. – Chcemy zagwarantować chłopcu maksymalny spokój przed operacją. Za chwilę dostanie pierwsze lekarstwa.

– Jak się czuje? – Burke spoglądał na małego, który na jego widok starał się uśmiechnąć, co mu niezbyt wychodziło.

Salazar zerknął na chłopca, po czym ponownie zwrócił się do Burke'a.

– Jest w doskonałej kondycji. Właśnie mi opowiadał, co zamierza robić po operacji. Zastanawiam się, czyja zdołałbym za nim nadążyć.

– Czy mogę...? – zaczął Burke, po czym zrobił głową ruch w kierunku łóżka.

– Tak, ale niezbyt długo. Za moment wjedzie wózek z lekarstwami. Wtedy pielęgniarki wyproszą pana.

– Chciałbym jeszcze przed zabiegiem porozmawiać z panem – powiedział prosząco Burke.

– Będę czekał przy stanowisku pielęgniarek – poinformował doktor Salazar.

– Billy podszedł do łóżka i wziął Roberta za rękę.

– Hej, stary, jak leci?

Dziecko ponownie usiłowało się uśmiechnąć.

– Trochę się boję.

Burke odebrał słowa chłopca niczym smagnięcie biczem. Uścisnął kruchą dłoń i poklepał po bladym policzku.

– To nie szkodzi, że jesteś troszkę przestraszony. Pomyśl tylko, jak dobrze będzie potem. – Teraz Burke usiłował się uśmiechnąć. Na parę sekund zamknął oczy, by pomodlić się o cud. – Nic już ci nie przeszkodzi grać z Yankees. Na prawdziwym boisku. Wyobrażam sobie, jak tam narozrabiasz.

– Mama mówiła, że już nie będę czuł takiego zmęczenia – powiedział Roberto.

Burke przysiadł na skraju łóżka.

– I mama ma rację. Za kilka tygodni to ty pomęczysz wszystkich dookoła.

– Chłopak zamrugął.

– Nawet ciebie?

– Mnie w szczególności. Nie wiem, jak sobie dam radę, kiedy ty odzyskasz wszystkie siły.

– Zamęcę, nim będziesz mógł się zdrzemnąć – pouczył go Roberto i zachichotał.

– Niestety, jestem za stary na drzemki – odparował Burke. – Nie spałem w dzień od dnia, kiedy skończyłem dziesięć lat.

Burke usłyszał za sobą jakieś pobrzękiwanie i domyślił się, że wjechał wózek z lekarstwami. Pielęgniarka położyła Billy’emu rękę na ramieniu, a on skinął głową, nie patrząc na kobietę.

– Muszę wychodzić. Teraz ci coś podadzą. Zanim jednak się pożegnamy, powiedz mi tylko, co chciałbyś zrobić tuż po wyjściu ze szpitala?

– Zagrać w baseball. Cały mecz. – Twarz Roberta pojaśniała.

– A nie sądzisz, że potrzebowałbyś do tego baseballowej rękawicy?

– A mógłbym ją dostać? Naprawdę?

– A jaką rękawicę pragnąłbyś mieć?

– Roberto był najwyraźniej podekscytowany.

– Typu Roberto Clemente – odparł rzeczowo.

Prośba chłopca o rękawicę nazywaną imieniem zmarłego już zawodnika zdumiała Burke’a.

– Clemente nie grał dla Yankees, lecz dla Piratów.

– Tak, ale to mistrz.

– Zapomniałeś o Robercie Ramirezie?

– Ten też jest świetny, ale nie dorównuje Clemente. Tamten Roberto miał najwięcej trafień do bazy. Babcia mi o nim opowiadała.

Burke roześmiał się. Żałował, że nadęty Ramirez nie słyszy tych słów.

– I ja tak myślę – skwitował. – Dobrze, dostaniesz rękawicę a la Roberto Clemente.

Przyniosę ci jutro.

– Naprawdę?

– Słowo honoru.

Poczuł na ramieniu rękę pielęgniarki, której uścisk był bardziej zdecydowany niż przed chwilą.

Burke wstał, ale jeszcze pochylił się i instynktownie pocałował chłopca w czoło.

– O nic się nie martw. Wszystko pójdzie dobrze – wyszeptał. – Teraz lekarze wezmą się do roboty, a ty musisz być dzielny, by im pomóc. I pamiętaj, że wiele osób bardzo cię kocha.

– Czy ty też? – Mały posłał Burke’owi oczekujące spojrzenie.

– Jasne, stary – odparł Burke i znów pocałował Roberta w czoło. – Zobaczymy się za

kilka godzin.

Chłopak nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął. Burke czuł narastające wzruszenie. Raz jeszcze pogłaskał małego po policzku i uświadomił sobie, jak bardzo chciałby jeszcze zobaczyć tę twarz roześmianą. Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Salazar stał koło stanowiska dyżurnych pielęgniarek, przeglądając jakieś dokumenty. Kiedy zobaczył Burke'a, wyszedł zza kontuaru.

– Jakie są szanse? – zapytał Billy.

Salazar uśmiechnął się, najwyraźniej usiłując ukryć niepewność.

– Prawdę mówiąc, nie wiemy i nie będziemy wiedzieli, zanim go nie otworzymy i nie sprawdzimy, jakie są skutki ostatnich ataków. On jest wystarczająco silny, by znieść operację, ale dalej trudno cokolwiek przewidzieć. – Potrząsnął głową. – Gdybyśmy operowali dwa, trzy tygodnie wcześniej, a co najmniej przed ostatnim pobytem w szpitalu, byłbym o wiele większym optymistą.

– Roberto jednak przeżyje, prawda?

Salazar wziął Burke'a pod rękę. Twarz miał zmęczoną, a oczy smutne.

– Panie Burke, kiedy chodzi o zabiegi kardiochirurgiczne, to nigdy nikt nie da żadnej gwarancji. Szczególnie w przypadku operacji na otwartym sercu.

– Zawsze ma się do czynienia z głęboką inwazją w organizm. Niestety, sukces operacji najczęściej zależy od stanu serca. A w tym wypadku... Nie dokończył zdania, jedynie wzruszył ramionami.

– To znaczy, że ryzyko byłoby mniejsze przed dwoma tygodniami, przed miesiącem?

– Bez wątpienia. A najlepiej, gdyby operacja została przeprowadzona przed sześcioma miesiącami czy przed rokiem. Oczywiście, jeśli już wtedy postawiono by właściwą diagnozę.

A to sukinsyn.

– Jeśli pan mówi o pewnym określonym sukinsynu, to wstrzymam się od komentarza wtrącił Salazar. – W kołach medycznych nie tolerują takich, którzy źle się wyrażają o kolegach. Nawet jeśli ci ostatni na to zasługują.

– Czy mogę zacytować pana opinię, że szanse Roberta byłyby większe, gdyby operacja została wcześniej przeprowadzona?

– Oczywiście. Tylko proszę podkreślić, że to wyłącznie moja prywatna opinia. – Głęboko westchnął. – Sądzę, że i tak nie uniknę kłopotów. – Westchnął ponownie. – Teraz muszę iść do pani Avalon. Potem pojawię się zaraz po zakończeniu operacji. Miejmy nadzieję, że potrwa to krócej niż cztery godziny.

Burke poszedł za Salazarem do poczekalni oddziału kardiochirurgii. Maria siedziała na krześle w takiej pozycji, by móc zerwać się w każdej chwili. Ręce trzymała na

kolanach i nerwowo mięła chusteczkę. Burke zauważył, że jej oczy były zaczerwienione i podkrążone. Twarz miała zapadniętą i poszarzałą. Nie ulegało wątpliwości, że w nocy nie zmrużyła oka.

Matka Marii, Consuelo, siedziała za córką. Wyglądała na przestraszoną bardziej niż kiedykolwiek. Burke uśmiechnął się do starszej pani w nadziei, że ją troszkę pocieszy, choć w rzeczywistości sam trząsł się ze strachu.

Salazar zajął miejsce obok Marii i zaczął jej przedstawiać prawdopodobny przebieg operacji. Unikał profesjonalnych zwrotów i wyrażań. Starał się formułować myśli w sposób jak najbardziej prosty i zrozumiały. Burke zwrócił uwagę, że ten krótki wykład utrzymany był w tonie optymizmu, a cień obawy i wątpliwości znikł nawet ze spojrzenia lekarza.

Gdy Salazar skończył wyjaśnienia, Maria wzięła go za rękę i zapytała:

– Roberto wyjdzie z tego całkiem zdrowy, prawda, doktorze? Wierzy pan, że wszystko pójdzie dobrze? pytała Maria z ogromnym napięciem w głosie.

Salazar wziął jej dłoń w swoje ręce. Burke miał nadzieję, że lekarz skłamie.

Nawet jeśli jedynym efektem tego będzie zmniejszenie obaw Marii na okres kilku nadchodzących godzin.

Salazar tymczasem uśmiechał się, a jego spojrzenie ponownie stało się łagodne, tak doskonale współgrające z całą osobowością.

– Istnieje duże prawdopodobieństwo, że stan dziecka unormuje się po operacji – powiedział. Bez tego zabiegu Roberto nie miałby żadnych szans.

Twarz Marii skamieniała, a po chwili zaczęła drżeć, co świadczyło, że kobieta walczy ze łzami.

– On jest jeszcze taki malutki – powiedziała ledwo słyszalnym głosem.

– Burke zrozumiał te słowa z ruchu warg.

Zrobimy dla niego wszystko, co w naszej mocy – zapewnił Salazar.

Spojrzał na Burke'a wzrokiem proszącym o pomoc. Wydawało się, że oczy lekarza mówią: „Utrzymaj te kobiety w takim przekonaniu przez kilka najbliższych godzin”.

Gdy Salazar wyszedł, Maria wstała i podeszła do Burke'a, który natychmiast objął ją mocno. Ona przytuliła się do Billy'ego, jakby szukała u niego sił do przetrwania ciężkich chwil.

– Wszystko będzie w porządku – odezwał się Burke i wiedział, że zabrzmiało to banalnie. – Przed kilkoma minutami rozmawiałem z Robertem – dodał. Opowiadał mi, co chciałby zrobić po wyjściu ze szpitala.

Czuł na szyi jej nierówny oddech.

– Co powiedział mały? – zapytała, łkając.

– Mówił, że pragnąłby rozegrać mecz baseballowy. Obiecałem mu kupić rękawice. – Burke zaśmiał się. – Zażyczył sobie model wzorowany na rękawicach Roberta Clemente, a nie Roberta Ramireza.

Burke usłyszał śmiech połączony ze szlochem.

– To dobrze – szepnęła, wyraźnie przewyciężając łyzy. – Ramirez wydał mi się nazbyt arogancki. Nie chciałabym, by mój Roberto dorastał w przekonaniu, że taki właśnie powinien być mężczyzna.

Maria dała krok do tyłu. Burke zobaczył, że drżały jej wargi. Już sama rozmowa o przyszłości synka zmniejszyła niewielki zapas sił, jakimi kobieta dysponowała dla utrzymania równowagi. Burke rzucił okiem na Consuelo. Starsza pani siedziała sztywno na krześle. Zaciśnięte w pięści dłonie trzymała na kolanach.

Maria wzięła Billy'ego za rękę i zapytała:

– Czy Julia przyjdzie? – W jej głosie wyczuwało się, że bardzo pragnęła, by odpowiedź brzmiała „tak”.

– Pokaże się około dziewiątej – poinformował. – Pozostanie tak długo, jak długo zechcesz.

– Wspaniała kobieta – powiedziała Maria. Przez moment wahała się, niepewna, czy może kontynuować temat. – Sądzę – zaczęła po chwili – że powinniście się zejść, Billy. – I jeszcze dodała: – Ile razy jesteście razem, widzę dokładnie, jak wiele jedno dla drugiego znaczy.

Patrzyli na siebie i wydawało się, że wzrokiem wymieniali jakąś informację.

– Chodźmy do bufetu. Posilimy się nieco. Burke przerwał tę chwilę ciszy.

– Maria zaprzeczyła ruchem głowy. Consuelo natomiast zaczęła powtarzać:

– Nie, nie, nie...

– Boję się odejść – wyjaśniła Maria. – Może zechcą mi coś natychmiast przekazać?

Burke spojrzał na obie kobiety.

– Minie parę godzin, zanim będą mieli cokolwiek do powiedzenia. Wierście mi. – Nie doczekał się odpowiedzi, więc dodał: – Lepiej zjedzcie śniadanie i odprężcie się nieco. – Uśmiechnął się do Marii i jak mały chłopiec wzruszył ramionami, najwyraźniej z myślą o odwróceniu ich uwagi od ponurych rozważań. – Czeka nas długi poranek. Ja w każdym razie muszę napić się kawy. Chodźcie ze mną.

Julia pojawiła się kilka minut po dziewiątej. Wszystkie trzy panie padły sobie w ramiona. Obecność żony Burke'a najwyraźniej uspokajała Marię i Consuelo, podczas gdy towarzystwo Billy'ego przynosiło jedynie ustawiczny wzrost napięcia. Wyprawa na śniadanie okazała się nieszczęściem. Consuelo zdecydowanie odmówiła zejścia do

bufetu, Maria natomiast ustawicznie spoglądała na zegarek i coraz bardziej się martwiła, że nie siedzi w poczekalni oddziału kardiochirurgii. Burke'owi te cztery godziny ciągnęły się bez końca.

Po przywitaniu się z matką i córką Julia podeszła do Burke'a. Stała przed nim i pogłaskała go po policzku.

– Nie najlepiej wyglądasz – oceniła.

– Siedziałem wczoraj w szpitalnym archiwum do późnego wieczora. Zebrałem jednak resztę materiału. Trwało to dłużej, niż przypuszczałem.

– Pospałeś trochę?

– Tak, wystarczająco.

Julia miała na sobie spodnie, haftowaną bluzkę i brązowy sweterek. Na jej włosach, nad czołem tkwiły okulary przeciwsłoneczne. Sposób takiego noszenia okularów spopularyzowała ostatnio Jackie Onassis. Bardzo stylowa i niezwykle ponętna kobieta, pomyślał o żonie Billy.

– Kiedy musisz wracać do redakcji? – zapytał.

Na twarzy Julii pokazał się uśmiech zadowolenia.

– Przełożyłam spotkanie na późne popołudnie. Trochę kręcono nosem, ale to normalne. Mamy w redakcji takie same primadonny, jak wy w waszej. – Zrobiła nadętą minę. – Bardzo lubię odmawiać, gdy ktoś zaczyna marudzić albo się wyklócać.

Burke potrząsnął głową.

– Nie potrafię sobie wyobrazić ciebie w roli twardego naczelnego – stwierdził. – Nie wiem nawet, dlaczego, ale nie potrafię.

– Widziałeś zbyt wiele moich słabości w ciągu minionych lat – wyjaśniła z uśmiechem. – Gdybyś u mnie pracował, niewątpliwie należałbyś do grona wiecznie niezadowolonych.

Burke zmrużył oczy.

– Jeśli chcesz powiedzieć, że pasowałbym do towarzystwa jęczących damulek, to czuję się obrażony. – Podniósł ręce. – Nie, nie mów nic. Nie zniosę słów krytyki. Jestem zbyt delikatny. Pozwól natomiast, że postawię ci kawę. I natychmiast dodał: – Ale musisz iść ze mną. Dobrze?

Z jego wzroku wyczytała, że chce jej coś powiedzieć, ale nie w obecności Marii i Consuelo.

W drodze do windy Burke przekazał Julii wszystko, co usłyszał od doktora Salazara.

– Nie przypuszczałam, że rokowania będą tak pesymistyczne – rzekła.

– Ostatni atak okazał się o wiele poważniejszy, niż sobie wyobrażaliśmy.

– Kondycja Roberta znacznie się pogorszyła – tłumaczył dalej Burke.

Weszli do windy. Julia wsadziła sobie dłonie pod ramiona, jakby sama siebie obejmowała. Potrząsnęła głową.

– Myślałam o Twiście. Drań kwestionował konieczność spieszenia się z operacją. Chciał czekać, aż zebrana zostanie cała suma. Ten człowiek to zwykły gówniarz.

Gdy winda stanęła i drzwi się rozsunęły, Burke wziął żonę pod ramię i wyszli na korytarz. Wejście do bufetu było na wprost przed nimi. Na prawo widzieli drzwi z dużym napisem: „Bufet dla personelu medycznego. Wejście tylko dla lekarzy”.

– Jak widzisz, gówniarstwa u nas nie brakuje, a Twist jest we wcale dobrym towarzystwie – skomentował Burke. – Bradford natomiast znajduje się w czołówce tej całkiem licznej grupy. Są tam z nim ci wszyscy lekarze, którzy przez lata nie wysilali się, by postawić chłopcu właściwą diagnozę. – Wprowadził Julię do bufetu. – Wydaje mi się – kontynuował – że Salazar przy każdym spotkaniu starał się to właśnie mi uświadomić, choć nie mówił otwartym tekstem.

– A co właściwie chciał ci przekazać?

– To, o czym wiedzą wszyscy lekarze, ale nikt nie odważy się powiedzieć tego głośno. – Zamilkł na chwilę. – Jeśli jesteś biedakiem, nie licz na system opieki zdrowotnej. Twoje potrzeby nikogo nie obchodzą.

Powrócili do poczekalni, niosąc kubki z kawą. Minęła dziesiąta, a nikt nie przychodził z jakimikolwiek wieściami o Robercie. O jedenastej Burke poszedł do telefonu, by powiadomić redakcję o sytuacji.

– Pozostawiamy ci miejsce u dołu trzeciej kolumny – informował go Fabio. – Zmieszczą się tam trzy wiadomości. Masz jeszcze zarezerwowane dodatkowe miejsce na ostatniej kolumnie, gdybyś potrzebował.

Wystarczy, aby zamieścić pełną informację i komentarz, czyli około tysiąca słów, kalkulował Billy. Oznaczało to, że redakcja przywiązywała do materiału znaczną wagę.

– Miejmy nadzieję, iż wiadomość okaże się dobra – powiedział Burke.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza, po czym ponownie odezwał się głos Fabia:

– Przepraszam, stary, ale zaplanowali taką samą ilość miejsca, czy chłopak przeżyje, czy też nie. I w jednej, i w drugiej sytuacji temat uznawany jest za ważny.

Burke zazgrzytał zębami, ale nie skomentował. Takie były prawa, jakimi rządziła się prasa.

– Przylecę do redakcji zaraz po zakończeniu operacji i po rozmowie z lekarzem.

– Doskonale, ale pozostawaj ze mną w kontakcie mówił Fabio. – Twist krąży jak tygrys w klatce. Chce wiedzieć, czy masz resztę akt. Przypomina ci, że miałeś przekazać redakcji wszystkie dokumenty, jak tylko mały znajdzie się na stole operacyjnym.

Burke parsknął.

– Przekaż mu, że postanowiłem najpierw zająć się chłopcem. Wiem, że nie będzie mu się to podobało, ale musi się z tym pogodzić. Chyba że chcesz wyjąć te materiały z bagażnika swego samochodu i przekazać je Twistowi.

– A pies go drapał – burknął Fabio. – Niech sobie czeka. Zadzwoń, jak już poznasz wyniki.

Burke szedł w kierunku poczekalni, gdy zobaczył Salazara przed stanowiskiem dyżurnych pielęgniarek. Podeszedł do lekarza. Salazar dał znak, by przeszli do małego pokoiku obok.

Burke czuł, że serce wali mu jak młotem.

– No i jak chłopak? – zapytał, zanim medyk zdążył zamknąć drzwi.

Salazar westchnął.

– Przeżył, ale niewiele brakowało. W trakcie operacji serce dwa razy stawało. Jeśli Roberto przetrwa najbliższych czterdzieści osiem godzin, przypuszczam, że przeżyje. Ale... – Na chwilę zamilkł i wbił wzrok w podłogę, jakby uznał, że to, co ma do powiedzenia, jest nazbyt bolesne.

– Ale co? naciskał Burke.

Ostry ton spowodował, że Salazar natychmiast spojrział na rozmówcę.

– To, co zobaczyliśmy, potwierdziło złe przeczucia. Ostatni atak zadziałał tak jak rozległy zawał. Przykro mi, ale jeśli Roberto przeżyje, najprawdopodobniej do końca życia będzie miał poważne problemy z sercem.

– A więc tak naprawdę nie osiągnęliśmy celu – mówiąc to, Burke nie spuszczał oczu z twarzy lekarza.

– Nie, nie – zaprzeczył Salazar. – Zdołaliśmy zrobić bardzo dużo. – Położył rękę na ramieniu Burke'a. – Z taką wadą chłopiec wkrótce by zmarł. Teraz, po zlikwidowaniu ubytku, ma szansę dożyć co najmniej dorosłego wieku. A biorąc pod uwagę wyniki badań nad nowymi lekarstwami, być może przeżyje nawet swoich rówieśników. – Uśmiechnął się leciutko. – Nie będzie to zapewne takie pełne życie, na jakie miałem nadzieję. – Pokiwał głową. – Niewątpliwie nie zostanie atletą czy sportowcem. Jeśli jednak przetrwa najbliższe dwie doby, istnieje dla niego nadzieja na prawie normalne życie.

Teraz z kolei Burke patrzył na koniec własnych butów. Wreszcie zapytał:

– Powiedział pan matce i babce?

– Nie. Czekałem na Bradforda. Wygląda jednak na to, że do nich nie wyjdzie – odparł Salazar.

Burke gwałtownie uniósł głowę.

– Co to znaczy, nie wyjdzie do nich? A gdzie jest, u diabła?

– Domyślam się, że w garderobie dla chirurgów. Przebiera się przed wizytą u innych pacjentów. – Salazar wzruszył ramionami. – W tym nie ma nic nadzwyczajnego. Niektórzy lekarze pozostawiają innym przekazywanie niezbyt pomyślnych informacji. Sami pokazują się jedynie po to, by zbierać podziękowania. – Salazar patrzył na Burke'a pustym wzrokiem. – To kwestia stylu. Każdy przecież woli uniknąć wszelkich oskarżeń, jakie mogą paść, kiedy rodzina otrzymuje wieści nie takie, jakich oczekiwała. Uczestniczyłem kiedyś w konferencji, na której prawnik pewnego towarzystwa ubezpieczeniowego radził unikać konfrontacji pacjenta z obolałymi krewnymi.

– To wspaniałe. Ja jednak zamierzam porozmawiać z Bradfordem – oznajmił stanowczo Burke.

Salazar przytaknął.

– Nie sądzę, aby był rozmowny. Ponadto osoby spoza szpitala nie mają wstępu do przebieralni. Jeśli się jednak wejdzie przez drzwi prowadzące do sali operacyjnej, należy skrócić w prawo i iść do końca korytarza. Tam znajdują się drzwi z odpowiednim napisem.

Burke wszedł do garderoby chirurgów. James Bradford stał właśnie przed lustrem i przyczesywał swoje szpakowate włosy. Zdążył już założyć biały fartuch i zawiesić sobie na szyi stetoskop.

– Doktor Bradford? Nazywam się William Burke. Chciałbym kilka minut z panem porozmawiać.

Bradford odwrócił się i zajął pozycję, jakby obawiał się ataku.

– Jak pan tu wszedł? – zapytał z wściekłością.

– Normalnie, drzwiami wyjaśnił Billy i patrzył, jak Bradford usiłował przyswoić sobie tę odpowiedź, tak prostą i oczywistą, że aż zaskakującą.

Po chwili lekarz odzyskał zimną krew i podnosząc głos, powiedział:

– To rejon zamknięty dla ludzi z zewnątrz. Proszę opuścić pomieszczenie.

Burke dał krok do przodu i zauważył, że kardiochirurg zrobił krok do tyłu.

– Jestem reporterem „Globe”. Potrzebuję pańskiego komentarza na temat operacji, jaką pan przed chwilą przeprowadził.

Bradford patrzył na intruza nieprzyjaźnie.

– Nie mam do powiedzenia niczego więcej ponad to, co przekazałem już naczelnemu redakcji miejskiej.

Burke zrobił kolejny krok, a Bradford ponownie się cofnął.

– A zatem tylko jedno pytanie. Czy nie sądzi pan, doktorze, że wyniki operacji

Roberta Avalona byłyby lepsze, gdyby pan operował przed miesiącem, nie czekając na gwarancję honorarium?

Twarz Bradforda poczerwieniała, a wyraźnie rosnąca irytacja utrudniała mu wydobyć z siebie kilku rozsądnych słów.

– A więc tak! Nie wystarczy wam, że chcecie kłamliwie oskarżać mnie o niewykonanie jakichś prac zleczanych temu szpitalowi przez miasto. Do tego oszczerstwa teraz dochodzi jeszcze zarzut, że opóźniałem operację chłopca, którym się zajmuje „Globe”. – Wysunął palec i zaczął nim dźgać w kierunku Burke’a. – Słuchaj pan! Dzieciak miał najlepszą opiekę medyczną, jaka jest tylko w tym kraju możliwa. Jednak wy uważacie, że chirurdzy powinni działać jak instytucje charytatywne, że to przestępstwo, jeśli się oczekuje zapłaty za wykonaną pracę.

Burke zignorował tyradę Bradforda, ponieważ mocno zastanowiła go dygresja na temat prac wykonywanych przez szpital na zlecenie miasta.

Uwaga padła całkiem nieoczekiwanie, a Burke nie miał najmniejszych wątpliwości, z jakiego źródła mogła pochodzić wiadomość. To oczywiście Twist poinformował Bradforda. Wykorzystał spotkanie z kardiochirurgiem do wyciągnięcia szczegółów dotyczących oszustw dokonywanych w szpitalu. Twistowi wcale nie chodziło jedynie o operację Roberta. Sam szukał dla siebie blachy na dupę. Tak na wszelki wypadek, gdyby rzeczywiście nie dostał kompletu dokumentów.

Burke sam usiłował zachować zimną krew i patrzył Bradfordowi prosto w oczy.

– Czy to jest pański komentarz? – zapytał. – To, że przysługuje panu prawo do zapłaty? To, że mały chłopak rzeczywiście powinien poczekać, aż ktoś zagwarantuje panu honorarium? – Burke widział, że rumieniec na twarzy rozmówcy nabrął krwistych kolorów. Ściszył głos i dodał jeszcze jedno pytanie: A jeśli dzieciak nie przeżyje następnych czterdziestu ośmiu godzin, też wszystko będzie w porządku?

– Ty... ty...

– Co się dzieje, doktorze? Czy taka możliwość jest dla pana nazbyt denerwująca?

Oblicze Bradforda przypominało krwisty befszyk przed rzuceniem na patelnię. Chirurg ruszył nieco do przodu, jakby zamierzał uderzyć dziennikarza.

Burke stanął w lekkim rozkroku.

Do Bradforda dotarło, że przeciwnik przyjął postawę do walki, więc zatrzymał się.

– Chcecie przedstawić mnie jako złodzieja – warczał. – Jeszcze jeden znany chirurg dbający o swoją kieszeń, a chromolący pacjentów. A prawda jest taka, że nie wyrządziłem temu chłopcu żadnej krzywdy. Uratowałem mu jego wszawę życie. Ja! – Podniósł obie ręce. – Ten mały dwa razy umierał na stole operacyjnym. Tymi rękami przywróciłem mu pracę serca i dałem dzieciakowi kilka lat, których nigdy by nie przeżył,

gdyby nie ja! – Zrobił kolejny krok do przodu, ale ponownie się zatrzymał. Był tak podniecony, że zaczął bełkotać. – Tak samo wygląda sprawa z tą moją pracą dla miasta. Wszystko, na co wpadliście, bez problemu zdołam wyjaśnić. Po prostu jakiś głupi urzędnik wstawił błędną datę do sprawozdania. Odpracowałem każdego dolara, jakiego otrzymałem od miasta. I to samo dotyczy innych lekarzy, chirurgów, internistów i studentów medycyny. Całego personelu kliniki.

Burke zdawał sobie sprawę, że Bradford ofiarowuje mu nadspodziewanie wiele. Postanowił sprowokować go, by mówił dalej.

– Błędy urzędników, mówi pan – odezwał się po chwili. – A mnie się wydawało, że co innego znajduję w aktach szpitalnych. – Billy starał się wyglądać na człowieka skruszonego, przy czym gorączkowo szukał w pamięci nazwisk, którymi chciałby zaskoczyć Bradforda, by zobaczyć jego reakcję. – Momencik, pomyślmy – zaczął wolno. – Ze sprawozdania wynika, że przeprowadził pan długą, skomplikowaną operację na niejkiej Winifred Fitzgerald. A w tym samym czasie konsultował pan przypadek innego pacjenta.

– Oczywiście pomyłka urzędnika. Nic więcej. – Bradford pinił się ze złości i już całkowicie nie panował nad sobą.

– Jestem przekonany, że pan ma rację, doktorze – przytakiwał Burke. Jak się domyślam, pracownicy administracji pomylili się również w sprawie Waltera Marlowa, ponieważ w dniu, w którym był operowany, pan przebywał w Szpitalu Harlem.

Bradford otworzył usta, ale Burke nie dał rozmówcy dojść do słowa.

– A potem... niech sobie przypomnę. Trudno dyskutować bez zaglądania w notatki. Ach, tak! Chodziło o Rebeccę Goldstein i... Williama Monroe'a. Tak, jestem pewien. William Monroe. A potem...

– Dość. Zabieraj się stąd. Wynoś się natychmiast, bo zawezwę ochronę i zostaniesz aresztowany.

Burke pokiwał głową, jakby się zastanawiał, czy warto ryzykować.

– Aresztowany? – powtórzył. – Przypuszczam, że to mało prawdopodobne. – Odwrócił się w kierunku drzwi, ale jeszcze obejrzał się przez ramię. Oczywiście, wychodzę, doktorze. Usłyszałem już wszystko, co chciałem. A pan?

Panu spodobają się nadchodzące dni. Przeżyje pan swoich piętnaście minut sławy.

– Spotkasz się z moim adwokatem! – wrzasnął Bradford.

Burke uśmiechnął się.

– Nie, doktorze, ja nie. On spotka się z jednym spośród dwudziestu adwokatów pracujących dla „Globe”. Oni już znają materiały, które pan sobie wkrótce przeczyta.

Bradford aż dyszał z wściekłości, a Burke najspokojniej wyszedł z pokoju.

Pieprzyć twojego adwokata i twoje konta, i wszystkich, którzy uważają, że forsa i dyplom czynią cię nietykalnym, pomyślał.

Gdy Burke powrócił do poczekalni, doktor Salazar trzymał w swoich rękach obie dłonie Marii. Matka Roberta, z twarzą szarą jak popiół, patrzyła tępo przed siebie. Zdawało się, że każde wypowiedziane przez Salazara słowo przelatywało obok niej nie zarejestrowane.

Maria zauważyła natomiast wchodzącego Burke'a i na jego widok jakby się ożywiła.

– Billy, z Robertem będzie wszystko w porządku. Prawda, Billy? W jej oczach widział błaganie, by zaprzeczył temu, co usłyszała od Salazara.

Julia głaskała nieszczęsną kobietę, ale Maria na nic nie zwracała uwagi, tylko wyczekująco wpatrywała się w Burke'a. Billy kątem oka zauważył, że Consuelo cicho płakała.

Burke ukląkł przed Marią. Chciał ją pocieszać, ale równocześnie zdawał sobie sprawę, że uspokajające kłamstwa już do niczego nie prowadziły.

– Nie wiem, czy wszystko dobrze się ułoży – powiedział. – Wiem tylko, że zdaniem doktora Salazara Roberto ma duże szanse, i bardzo mocno w to wierzę. Poza tym twój synek jest silnym chłopcem...

Maria konwulsyjnie potrząsnęła głową.

– Wcale nie. Nigdy nie był silny. Jest mały, bardzo malutki. On... – Zaczęła gwałtownie szlochać.

Salazar mocniej ścisnął ręce Marii i przemówił do niej po hiszpańsku. Burke domyślał się, że lekarz prosi, aby nie traciła nadziei i swoją siłą wsparł syna.

Maria opanowała drżenie ciała, choć szlochu nie zdołała powstrzymać, a z oczu wyglądał nieskrywany strach. Jednak cicho powiedziała:

– Będę silna.

Burke widział, że po policzkach Julii popłynęły łzy. Przytuliła mocno Marię, potem pochyliła się i zaczęła jej szeptać coś do ucha. Maria serdecznie popatrzyła na Julię, skinęła głową i zwróciła się do Salazara: Kiedy mogę zobaczyć Roberta?

– Jest na oddziale pooperacyjnym – wyjaśnił lekarz. – Jeszcze śpi. Obudzi się co najmniej za godzinę. Jednak pani i pani matka możecie być przy chłopcu. – Lekko się uśmiechnął. – Możecie do niego mówić, trzymać go za rękę.

Nie ma na to dowodów naukowych, ale ja zawsze byłem przekonany, że pacjent zdaje sobie sprawę, że ci, których kocha, są przy nim. Ta świadomość pomaga w odzyskiwaniu sił.

Wydawało się, że te słowa umocniły Marię.

Chciałabym od razu do niego pójść – powiedziała.

Salazar skinął głową.

– Dobrze. Zaprowadzę panią. – Po chwili milczenia rzekł do Julii i Burke’a: Sądzę, że na razie lepiej ograniczyć wizyty. Później, kiedy mały się zbudzi, a my go zbadamy, państwa też zaproszę w gościnę. – Uśmiechnął się lekko. Ale to nie nastąpi wcześniej jak za kilka godzin. A więc jeśli macie państwo do zrobienia...

Burke ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Ja jeszcze trochę zaczekam. Potem wpadnę do redakcji i wrócę tu niebawem.

– Powiadomię pielęgniarki, że pan ma prawo wejść na oddział oznajmił Salazar. Wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Burke’a. – Dziękuję za to, co pan uczynił dla tego chłopca. – W oczach lekarza zabłyśły iskierki. – I za to, co pan robi teraz dodał.

Gdy Maria z matką, idąc za Salazarem, wyszły z poczekalni, Julia zarzuciła Billy’emu ręce na szyję i położyła mu głowę na piersi.

– Dlaczego od razu nie jedziesz do redakcji? – zapytała. – Gdybyś szybko przygotował materiał, później więcej czasu spędziłbyś z Robertem. Zatelefonuję do ciebie, kiedy pozwolą nam wejść.

– Sądziłem, że wracasz do pracy – powiedział Burke.

Poczuł, jak Julia potrząsa głową.

– Nie. Zadzwoiłam i przełożyłam naradę na jutro. A z tobą będę w ciągłym kontakcie.

Burke głaskał żonę po głowie, delektując się dotykiem jej miękkich włosów.

– Powiedz mi, co szeptałaś Marii do ucha?

– Julia zawahała się przez chwilę.

– Mówiłam, że siła matki zapewnia dziecku bezpieczeństwo.

– Ponownie pogłaskał ją po głowie.

– Wierzysz w to? – zapytał.

– Tak, wierzę. Zawsze w to wierzyłam.

Rozdział dwudziesty piąty

Przed wyjściem ze szpitala Burke skontaktował się z Fabiem, dlatego przy bramie do budynku redakcji czekał już posłaniec z kluczami do samochodu Frankiego.

Kilka minut później Billy położył Twistowi na biurku paczkę dokumentacji.

Twist zmierzył pakunek okiem i zapytał:

– To wszystko?

– Przekazuję ci cały komplet. Masz do tego jeszcze informacje uzyskane od Bradforda w trakcie waszej rozmowy. – Patrzył naczelnemu prosto w oczy. Gdybym jeszcze czegokolwiek potrzebował, pisząc materiał, byłbym wdzięczny za dostęp do tej dokumentacji.

Twist zaczął palcami wybijać rytm na blacie biurka.

– Nie widzę żadnego problemu. Ponownie przyjrzał się dokumentom. Nie sądzisz, że będę traktował te akta jako zastaw?

Burke nie okazał żadnych uczuć i najspokojniej odpowiedział:

– Ja niczego nie sądzę, Lenny.

Miło słyszeć, Bill. Już najwyższy czas, byś zrozumiał, jakimi się kierujemy zasadami. Jak chłopak?

Burke i tym razem ukrył narastający gniew.

– Tak pół na pół. Przed nim decydujące czterdzieści osiem godzin – mówił. – W trakcie operacji serce dwa razy stawało, ale udało się przywrócić dziecko do życia. Najgorsze jest to, że nawet jeśli Roberto teraz przetrwa, do końca życia będzie miał problemy z sercem. Ostatni atak wyrządził większe szkody, niż oczekiwano.

Burke patrzył, czy w oczach Twista pojawi się chociaż cień współczucia.

Jednak ta ostatnia informacja jakby w ogóle do naczelnego nie dotarła. Przeciwnie, szef wydawał się podniecony myślą o przyszłych tekstach Burke'a.

– Jezu, napisz porządnie o tym, jak chłopak dwa razy umierał na stole operacyjnym – ekscytował się Twist. – Opisz dokładnie stan serca dziecka. Wszystko opowiedz ze szczegółami. Zrób z tego sensację. Ukrzyżujemy Bradforda i jego szpital. Nie zostawimy im najmniejszej szansy.

Burke patrzył na Twista jak na szaleńca. Taki wyraz oczu musi mieć człowiek umierający z głodu, któremu nagle podsuwa się pod nos tacę z przysmakami, pomyślał.

– A mówiąc o szpitalu – kontynuował Twist. – Wiesz, że przysłali tu jakichś swoich dwóch pajaców, którzy mają nas przekonać, że kontrakty z miastem były jedynie luźną umową? – Zachichotał. – Nic to nie zmieni. Oczywiście, wysłuchamy tych mądrali.

Może nawet coś dodadzą do sprawy. Potem ofiaruję im małą niespodziankę, która jeszcze bardziej przyczyni się do rozpętania sensacji.

– Bądź jednak ostrożny i przygotowany na mocne wrażenia – ostrzegł Burke. – Gdy rozmawiałem z Bradfordem, ten podskakiwał i wygrażał. Twierdzi, że dysponujemy aktami nafaszerowanymi błędami głupich urzędników. Kiedy wczoraj wieczorem poszedłem do kliniki, w archiwum zastałem dwóch strażników pilnujących dostępu do dokumentów.

– A przedtem nigdy nie było ochrony?

– Nigdy. Domyślam się, że po wizycie w „Globe” Bradford poleciał prosto do administracji i postanowili pilnować, by nie nastąpił kolejny przeciek.

Twist nie zauważał tonu krytyki w słowach Burke’a.

– A co z dodatkowymi materiałami, których szukałeś? zapytał naczelny, a jego oczy stały się zimne i podejrzliwe.

Burke pomyślał, że gdyby zaczął opowiadać, że zagubił dokumenty, szef wszcząłby nielichą awanturę.

– Będziesz miał pełną dokumentację działalności chirurgów za okres trzech i pół lat – odpowiedział z całym spokojem. – Wszystko znajdzie się na twoim biurku.

Twist zatarł ręce.

– Doskonale. Doskonale. – Przechylił głowę na jedną stronę, przymrużył oczy i rzekł: – Nigdy mi nie mówiłeś, jak się do tego dobrałeś. Zawsze przypuszczałem, że jacyś ludzie wykradają dla ciebie akta. Jak je przemycili, kiedy już była ochrona?

– Nikt niczego nie wynosił. Ja sam wszystko robiłem.

– Jak?

– Występowałem w roli partnera Bradforda. Jako doktor John Rourke, który teraz jest na wakacjach w Europie. Jedna pielęgniarka dała mi jego plakietkę identyfikacyjną, fartuch lekarski i stetoskop.

– I nikt nie rozpoznał, że to nie on?

– Znajoma mnie zapewniła, że chirurdzy nigdy tam nie wchodzą. Formalności załatwia za nich niższy personel medyczny.

– Fantastyczne. Boże, dobrze byłoby to wykorzystać w materiałach, ale zapewne wtedy stanęlibyśmy przed sądem. – Podniósł ostrzegawczo palce do góry. – Gdyby ktoś pytał, odpowiadamy, że wszystkie dokumenty przysłano owinięte w brązowy papier pakunkowy. Nie mamy pojęcia, kto nadał tę przesyłkę. Jedyne sprawdzaliśmy wiarygodność otrzymanych sprawozdań. Kiedy zaczną się interesować naszymi sposobami weryfikacji akt, siedzimy cichutko i uśmiechamy się.

– Rozumiem – przytaknął Burke.

– Świetnie. A teraz jazda do maszyny. Przyłóż dobrze Bradfordowi i szpitalowi. Sprawdzaj ciągle, co z chłopcem. Gdyby umarł, dajemy tę informację na czołówkę. Jedynie kilka akapitów. Dobra, leć. Kiedy te pajace ze szpitala się pokażą, zawołam ciebie. Zasłużyłeś sobie, aby być świadkiem całej komedii. Oczy Twista błyszczały z podniecenia. – I musisz koniecznie zobaczyć, jaką mam dla nich niespodziankę.

Twist przyszedł po Burke’a o trzeciej. Billy dał szefowi napisany materiał oraz naszkicowany tekst, który wykorzystano by w wypadku śmierci Roberta.

Napisanie tych kilku akapitów było dla Burke’a ciężkim przeżyciem. Czegoś podobnego nie doświadczył w ciągu całej dotychczasowej pracy dziennikarskiej.

Twist, stojąc nad nim, czytał przygotowane artykuły.

– Doskonale, znakomite – unosił się. Potem klepnął Burke’a po plecach. Jezu, ten Bradford w ogóle nie potrafi trzymać języka za zębami.

– Ten człowiek wierzy we własne słowa. Ponadto jest przekonany, że to, co robił, było w porządku. Dostyc często się z tym spotykamy. Burke patrzył na Twista i zastanawiał się, czy dotarła do niego aluzja. Czy rozumiał, że takimi właśnie zasadami kierowano się zazwyczaj w ich redakcji, w sali redakcyjnej.

Twist uśmiechnął się jedynie porozumiewawczo i rzucił:

– Masz rację. Wielu tak myśli. Przypomina ci to Nixona, zgadłem?

Nie, Lenny nigdy czegoś takiego nie pojmie. To jednak tylko część prawdy.

W rzeczywistości Twist prawie wszystko rozumie, ale stale sam stosuje tę metodę, pomyślał Burke. Głośno zaś powiedział:

– To nazywa się duchową korupcją.

– Tak, ale za kilka dni rzucimy Bradforda na kolana i facet będzie się modlił, by nikt nie przyszedł spalić go na stosie.

Twist dokończył czytanie tekstu, podniósł rękę, w której trzymał kartki maszynopisu, i zawołał w kierunku sekretariatu:

– Do kopiowania!

Gdy podbiegł goniec, Twist przekazał mu kartki i wydał serię poleceń:

– Przekaż Frankiemu, że po spotkaniu z przedstawicielami szpitala mogą być wstawki. Powiedz, że druga informacja jest na wszelki wypadek, ale niech ją przygotowują i trzymają w pogotowiu. Poinformuj wreszcie, że do jednej lub drugiej wiadomości ja napiszę wstęp. Gotowe do puszczenia kopie mają być jak najszybciej w sekretariacie. Po złamaniu sam akceptuję kliszę kolumny. Teraz odwrócił się do Burke’a i rzekł: – Idziemy. Czeka nas mnóstwo radości. Zobaczysz.

Doradca prawny szpitala, niski, łysiejący, ponuro wyglądający facet, przedstawił się jako Malcolm MacDonald. Z jego wizytówki wynikało, że był partnerem firmy Winston, Bancroft i MacDonald, której biuro znajdowało się na Wall Street.

Adwokat przyproceedził Thomasa Pricharda, administratora szpitala, i Petera Carangelo, rzecznika prasowego. Cała trójka zasiadła po jednej stronie długiego stołu w pokoju konferencyjnym sali redakcyjnej. Burke nigdy nie widział Pricharda, mężczyzny po pięćdziesiątce, o niemiłej twarzy, stale zaciśniętych ustach i w tanim garniturze. Carangelo bardzo różnił się od kolegi. Burke spotykał się z Peterem wielokrotnie. Ten sympatyczny, powszechnie lubiany facet był siostrzeńcem brooklyńskiego kongresmana, który zasiadał w Komitecie Szpitalnym. Jednak Carangelo wykazywał się niezwykłym profesjonalizmem, jak na kogoś, kto otrzymał stanowisko dzięki politycznej protekcji.

– Lenny, Billy. Miło was zobaczyć. – Carangelo wylewnie witał się z reprezentantami redakcji. – Szkoda, że widzimy się przy takiej właśnie okazji, ale mam nadzieję, że wszystko sobie wyjaśnimy.

Twist popatrzył na Carangelo zimnym wzrokiem, dając mu do zrozumienia, co myśli o tym wstępie. Rzecznik jednak najwyraźniej się nie spieszył. Ubrany był w elegancki, szary garnitur z kłapami obszytymi błyszczącą taśmą, nieskazitelnie czystą, niebieską koszulę z dużym kołnierzykiem i lśniący krawat wielkości małej flagi. Ten niewysoki, krępy facet niedawno przekroczył trzydziestkę. Miał bokobrody i ciemne, modnie przystrzyżone włosy. Nieco zapuchnięta twarz sprawiała, że robił wrażenie człowieka z lubością wypijającego po kilka drinków dziennie. Do wszystkich życzliwie się uśmiechał. I teraz też zaczął od polewania wodą na rozżarzone miecze:

– Chłopcy, już wielokrotnie pomagaliśmy sobie wzajemnie. Jestem pewien, że i tym razem zdołamy rozwiązać wszelkie wasze wątpliwości.

Radcę prawnego najwyraźniej denerwowała paplanina Carangelo.

– Najlepiej zadawajcie pytania, a my postaramy się udzielać odpowiedzi przerwał wywody rzecznika.

Wypowiadając swoją kwestię, radca patrzył ostro w oczy Twista. Burke utkwił wzrok w swoim reporterskim notesie leżącym na stole. Usiłował przy tym zachować powagę i ukryć chęć do śmiechu. A najbardziej bawił fakt, że ktoś próbuje zastraszyć Twista.

Naczelny spoglądał teraz na adwokata i rzekł:

– Doskonały pomysł. Zacznijmy od sprawy Bobby'ego Avalona i decyzji szpitala powstrzymania się z operacją do momentu otrzymania honorarium za zabieg.

MacDonald podniósł brwi, aby podkreślić, że jest zdumiony.

– Czy w żądaniu wynagrodzenia za pracę jest coś niestosownego? Jak doskonale wiecie, Szpital Uniwersytecki to prywatna instytucja naukowa, a nie zakład publiczny. W razie braku ubezpieczenia zawsze prosimy o jakiegoś rodzaju gwarancje zapłaty. Opiekę nieubezpieczonym lub ubogim zapewniają placówki finansowane z budżetu miasta.

Twist pochylał się do przodu. Jego oczy błyszczały.

– W wypadku chłopca zabieg nie mógł być przeprowadzony w publicznym szpitalu. Niezbędny był sprzęt operacyjny, jakim tylko wy dysponujecie. Ponadto wyłącznie w waszej klinice pracują chirurdzy specjalizujący się w operacjach na otwartym sercu.

MacDonald chciał coś powiedzieć, ale Twist ruchem ręki dał znak, że jeszcze nie skończył.

– Sytuacja przedstawia się następująco: mamy małego chłopca, który nie przeżyje bez skomplikowanego zabiegu. I mamy szpital, który twierdzi, że nie przeprowadzi operacji, jeśli z góry nie dostanie pieniędzy. Innymi słowy, w rezultacie szpital wydaje wyrok śmierci na dziecko tylko dlatego, że pechowo urodziło się w biednej rodzinie.

MacDonald wyprostował się. Sądząc po minie, czuł się głęboko obrażony.

– To oburzające! – wyrzucił z siebie.

– Oczywiście, zgadzam się. – Twist wpadł mu w słowo. – Ten mały chłopak został zoperowany, jak należało, ponieważ „Globe”, dzięki wielkoduszności swoich czytelników, dostarczył żadaną przez szpital sumę. – Twist ściszył głos, by podkreślić wagę wypowiedzi. – Niestety, spóźniliśmy się. Zbieranie pieniędzy zajęło nieco czasu. Z tego powodu chłopak w trakcie operacji dwa razy umierał. A teraz, jeśli przeżyje najbliższych czterdzieści osiem godzin, już do końca życia będzie miał poważne problemy z sercem. Obecnie można się jedynie zastanawiać nad tym, czy sytuacja małego wyglądałaby inaczej, gdyby szpital przed miesiącem zajął bardziej ludzkie stanowisko.

MacDonald nie ukrywał narastającej irytacji.

– Pan sugeruje, że administracja szpitala z całą świadomością podjęła decyzję szkodliwą dla chłopca. W rzeczywistości nie orientowano się, że istnieje podobny problem. Ostrzegam pana, że takie nieprawdziwe zarzuty nie będą ignorowane.

Twist poprawił się na krześle i uśmiechając się do prawnika, nadal zniżonym głosem, powiedział:

– Nie, wcale nie oczekuję, by je zignorowano.

Siedzący dotąd bez słowa Burke odezwał się:

– Jestem zdumiony. Mówił pan, że administracja szpitala nie miała pojęcia o potrzebie natychmiastowego zabiegu. A przecież chłopak leżał w klinice przez trzy dni

i wasi lekarze postawili wtedy odpowiednią diagnozę.

– Za te trzy dni nie domagaliśmy się żadnej zapłaty – rzucił MacDonald.

– Niech pan da spokój – przerwał mu Twist. Ponownie pochylił się do przodu. – No i co? Wiedzieliście czy nie? Jak się okazuje, świetnie pan pamięta szczegóły dotyczące pobytu chłopca w szpitalu.

MacDonald spojrział na Pricharda, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że teraz on, jako administrator, powinien zabrać głos.

Burke nie miał wątpliwości, że przed wejściem do redakcji ta trójka umówiła się, kto i kiedy włącza się do rozmowy.

Thomas Prichard podniósł rękę, sygnalizując, że chce coś powiedzieć.

Mówił, prawie w ogóle nie poruszając ustami.

– Owszem – zaczął. – Zdawaliśmy sobie sprawę, że dziecko jest w szpitalu i że świadczymy usługi na zasadach dobroczynności. Chirurdzy nie przekazali nam jednak informacji o diagnozie.

– Myśli pan o doktorze Bradfordzie? – zapytał Burke.

– Tak. – Prichard wzruszył ramionami, jakby pokazywał, że jest mu przykro. – To Bradford zdecydował o odesłaniu chłopca do domu i nie wątpię, że miał medyczne podstawy do takiej decyzji. Chciałbym tu ponownie podkreślić, że administracja nigdy się nie dowiedziała o konieczności natychmiastowego przeprowadzenia operacji. Teraz również nie śledzimy leczenia dziecka.

– A więc wyłącznie Bradford zdecydował o dalszym postępowaniu? – zapytał Burke.

– Zgadza się.

– A gdyby szpital wiedział, czy zapewniłby odpowiednią opiekę? – Burke patrzył, jak Prichard wiercił się na krześle.

– Mogę tylko zapewnić, że rozpatrzylibyśmy uważnie każdy wniosek członków naszego zespołu. A szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek w klinice odwrócił się od poważnie chorego dziecka. – Podniósł rękę. – Trzeba jednak pamiętać, że wniosek o przeprowadzenie zabiegu musi być złożony przez chirurga zatrudnionego w naszym szpitalu. W przeciwnym razie... – Prichard uniósł drugą rękę, po czym obie, w geście bezsiły, położył na stole.

– Rozumiem. To Bradford uznał, że nie warto zwracać się o pomoc do szpitala – stwierdził Twist.

– Ostatecznie tak – odparł Prichard. – Ale pragnę dodać, że zawsze uważałem doktora Bradforda za chirurga bardzo kompetentnego i niezwykle dbającego o pacjentów. Gdybyście wykorzystywali moje wypowiedzi, stanowczo domagam się,

byście zacytowali także tę opinię.

Burke patrzył w swój notes, a jednocześnie rozważał słowa Thomasa Pricharda. Administrator szpitala z pełnym rozmysłem zwał całą winę na doktora Jamesa Bradforda, zdając sobie sprawę, że w efekcie wysła lekarza na szubienicę, a więc przekreśla jego karierę.

– Doskonale, to w zasadzie wyjaśnia nasze wątpliwości. – Twist ponownie przejął kontrolę nad dyskusją, spokojnie wytrzymując spojrzenie Pricharda. – I zapewniam, że w naszym materiale jasno przedstawimy stanowisko szpitala w tej sprawie. – Twist złożył ręce i zwrócił się do MacDonalda: – A teraz przejdźmy do kontraktu, jaki Szpital Uniwersytecki i prowadzona przy nim szkoła zawarły z miastem.

Twist zwięźle wyjaśnił, iż „Globe” odkrył i uznał za prawdziwe, że szpital pobrał bez mała trzy miliony dolarów za usługi, których nigdy nie wykonał.

Gdy skończył, MacDonald obdarzył go spojrzeniem typowym dla niezbyt rozwiniętego człowieka.

– Od dwóch dni śledzimy przyczyny waszego zaniepokojenia – powiedział. – Doktor Bradford przekazał tę kwestię panu Prichardowi po rozmowie, jaką odbył prawdopodobnie z panem.

– Tak, proszę dalej.

– Zapoznawaliśmy się więc z problemem, choć, niestety, dość powierzchownie. Stwierdzamy, że pozornie istnieją podstawy do wysunięcia zarzutów.

– Ale ostatecznie doszliśmy do przekonania, że tych kilka przypadków, o których wspominał, to nic innego jak rezultat błędów urzędników.

– Co pan mówi? – Twist robił wrażenie zdumionego, podniósł rękę i dodał: – Proszę wybaczyć, za chwileczkę wracam.

Podczas nieobecności Twista Peter Carangelo usiłował odgrywać rolę wielkodusznego rzecznika prasowego. Zapewnił Burke’a, że szpital będzie organizował każdego dnia konferencje prasowe na temat zdrowia Roberta. Burke’owi zrobiło się rzecznika żal. Przyprowadzono Petera tutaj, licząc na jego kontakty i znajomości z dziennikarzami „Globe” oraz kierownikami gazety, a teraz chłopak improwizował, chcąc jak najlepiej wypaść w oczach swojego szefa. Nie mógł jednak powiedzieć nic, co by i jemu, i szpitalowi pomogło. A kiedy awantura wybuchnie już z całą siłą, Carangelo dostanie kopniaka. Taki już los rzeczników. Muszą tłumaczyć się z tego, co inni narozrabiali, pomyślał Burke. Zastanawiał się, dlaczego ludzie przyjmowali tego rodzaju prace.

Twist wrócił z paczką dokumentacji, jaką wcześniej otrzymał od Burke’a.

Położył na stół olbrzymi stos dokumentów.

– Pozwólcie, że powiem całkiem otwarcie – zaczął. – Uważacie, że każdy wypadek, kiedy wasz chirurg, internista czy student miał pracować dla miejskich szpitali, a w rzeczywistości przebywał całkiem gdzie indziej, to po prostu pomyłka administracji? Tak?

Twist usiadł i udawał, że plik akt leżący na stole niewiele go interesuje.

Natomiast MacDonald nie spuszczał z papierów oczu.

– Co to jest? – zapytał.

Twist spojrzął na dokumenty jakby ze zdumieniem, że coś podobnego się tu znalazło.

– Kopie różnych sprawozdań, zestawień, wyliczeń mających świadczyć, że wasi chirurdzy wykonywali zabiegi w miejskich szpitalach. Są i grafiki wykazujące terminy urlopów oraz daty operacji przeprowadzanych w waszej klinice przez poszczególnych członków zespołu lekarskiego. Takie tam informacje.

– Skąd macie te akta? – domagał się odpowiedzi MacDonald.

– A czy to ważne? – odpowiedział pytaniem Twist.

– Niezwykle ważne – odparł z oburzeniem MacDonald. Znów stał się agresywny i skłonny do ataku. – Nie macie prawa posiadać prywatnych akt zawierających w wielu wypadkach tajemnice lekarskie.

– Ale posiadamy, a więc idźmy dalej.

– Nic z tego – uciął ostro MacDonald. – To własność szpitala. A wy ją ukradliście.

Twist pokiwał głową.

– Bez przesady. Dysponujemy jedynie fotokopiami. Jestem przekonany, że oryginały są w waszych archiwach. – Odwrócił głowę w kierunku Burke'a i rzucił niewinne pytanie: – Czy też tak uważasz?

– Jak najbardziej się z tobą zgadzam – potwierdził. – Fotokopie przysłane zostały przez anonimowego nadawcę. Kiedy poprosiliśmy kompetentne osoby, by potwierdziły autentyczność dokumentów, nie było najmniejszych kłopotów z odnalezieniem oryginałów.

– A kto dokonywał weryfikacji? – MacDonald nie odrywał wzroku od stosu papierów.

– Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć – stwierdził Burke. – Zagwarantowaliśmy anonimowość. Przynajmniej do czasu.

– A zatem do rzeczy. – Twist zwrócił rozmowę na właściwe tory. – Nadesłane nam akta porównaliśmy z dokumentacją miasta dotyczącą wypłat na rzecz Szpitala Uniwersyteckiego za usługi świadczone w szpitalach Belleuve i Harlem.

– Teraz wy, dla własnego dobra, musicie udowodnić, że wszelkie rozbieżności to jedynie pomyłki biurokratyczne. – I patrząc prosto w oczy MacDonaladowi, dodał: Czy

mam rację?

MacDonald nie odezwał się ani słowem.

Twist pokręcił głową.

– Jeśli rzeczywiście pracownicy administracji robili błędy, to zatrudniliście cholernie niekompetentnych ludzi. – Na chwilę zamilkł i przeciągnął wzrokiem po trzech przedstawicielach szpitala. – Widzicie, kiedy pan Burke sprawdzał i porównywał wasze zapisy z dokumentami miasta, wpadł na coś, co wydawało się zdumiewające. W czasie, kiedy wasi lekarze powinni pracować dla miasta, w przeszło siedemdziesięciu procentach przypadków byli w klinice. A niektórzy pracownicy nigdy nie przestąpili progu szpitala miejskiego, choć Nowy Jork zapłacił im za konsultacje i dyżury w Belleuve i Harlem. A teraz wyznajcie szczerze, czy to możliwe, by urzędnicy mylnie odnotowali tak ogromną liczbę wydarzeń? Twist zachichotał. – Jeśli tak, to nasi czytelnicy z całą pewnością chcieliby wiedzieć o tym, po prostu dlatego, by unikać waszego szpitala jak ognia.

MacDonald aż zeszywniał. Mięśnie twarzy drgały mu gwałtownie. Po chwili milczenia powiedział:

– Bardzo możliwe, że w naszych aktach dotyczących chirurgów znajdują się prawdziwe dane, ale wykazy czasu pracy lekarzy przekazywane miastu były błędne i zawierały fałszywe informacje na temat terminów pracy w miejskich szpitalach.

– Proszę nam więc pokazać właściwe dokumenty – zaproponował Burke. Nawet teraz, od razu mogę pójść z panami.

– W archiwum przechowujemy prywatne i poufne...

– Potrzebuję jedynie materiałów potwierdzających działalność lekarzy w miejskich szpitalach. Porównamy je z dokumentami, którymi dysponujemy.

– Pokażecie nam potrzebne zestawienia?

– Ja będę doradzał moim klientom, by niczego nie ujawniali, chyba że otrzymamy odpowiednie postanowienie sądowe w tej sprawie.

Na te słowa Twist wstał.

– Bardzo słuszna odpowiedź – stwierdził i dodał: – Proszę wybaczyć, ale jeszcze raz na chwilę panów opuszczę.

Twist wrócił po dwóch minutach w towarzystwie Nicholasa Sorrentino.

Burke aż otworzył usta ze zdziwienia. Nawet on nie spodziewał się takiej bezczelności ze strony naczelnego.

Twist, pokazując ręką na Sorrentino, mówił:

– Sądzę, panowie, że już wcześniej spotkaliście szefa komisji śledczej miasta. – Na chwilę zamilkł, a przybyły mężczyzna grzecznościowo skinął głową. Wszyscy obecni na

pewno znają zakres obowiązków pana Sorrentino. Jest on w rzeczywistości prokuratorem prowadzącym dochodzenia w sprawach wszelkich przestępstw popełnionych przez pracowników miejskich lub realizatorów kontraktów zawartych z miastem. Pozwoliliśmy sobie poinformować go o naszych podejrzeniach i poprosiliśmy, by uczestniczył w obecnej dyskusji.

MacDonald podniósł obie ręce do góry i powiedział:

– W porządku. Od tej chwili doradzam moim klientom, aby nie udzielali żadnych komentarzy w omawianej sprawie.

Sorrentino uśmiechnął się. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, doskonale obeznany z polityką miasta i sam w stu procentach polityk. Gdy Twist zamilkł, najwyraźniej śledczy zajął miejsce centralnej postaci spotkania.

– Pańska rada, panie mecenasie, jest doskonała – zaczął. – Bardzo chciałbym wysłuchać wyjaśnień ze strony miasta, ale rozumiem, że musicie mieć czas na skonsultowanie się z waszymi klientami. – Dał krok do przodu, wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął jakiś dokument. – A na razie pokazuję decyzję sądu nakazującą ujawnienie wszystkich szpitalnych dokumentów dotyczących rejestracji czasu pracy chirurgów, internistów i studentów medycyny, którzy powinni pracować również dla szpitali miejskich. Postanowienie sądowe nakłada również obowiązek udostępnienia grafików z urlopami, programów nauczania, a także prywatnej dokumentacji lekarzy i wszystkich akt mających związek z przedmiotem dochodzenia. Chciałbym też poinformować, że w drodze do kliniki znajduje się grupa umundurowanych policjantów. Będą oni pilnowali archiwum do momentu przekazania odpowiedniej dokumentacji władzom śledczym.

MacDonald wyciągnął rękę po nakaz, przeczytał tekst i powiedział do towarzyszących mu panów:

– Teraz ani słowa komentarza. – Oddał kartkę. – Jak rozumiem, jesteśmy wolni i możemy odejść.

– Oczywiście zgodził się uprzejmie Sorrentino.

– Miałbym jeszcze kilka dodatkowych pytań – wtrącił Twist, najwyraźniej starając się ukryć uśmiech triumfu.

MacDonald spojrzał na naczelnego zimno.

– Do widzenia, panie Twist. Bardzo interesujące spotkanie. – Potem zwrócił się do Burke'a: – I pana żegnamy.

Gdy trójka reprezentująca szpital wyszła, Twist rzucił się na krzesło i dusząc się ze śmiechu, wyjąkał:

– To lubię. Boże, jak ja kocham takie sceny. – Uścisnął dłoń Sorrentino. Nick, byłeś genialny. Gdy tylko zaczniesz się śledztwo, codziennie znajdziesz swoje nazwisko

w gazecie. Na czołówce. Staniesz się największym, najpopularniejszym śledczym w mieście od czasów Fiorella La Guardii.

Sorrentino mrugnął.

– On należał do Partii Republikańskiej, ale trudno. Przetrwam wszystko, byle mi nie kazali czytać w niedzielę w radiu bajeczek dla dzieciaków.

Teraz Twist puścił oko.

– Ty zajmiesz się sędziami, którzy odczytywać będą wyrok na Bradforda.

– Gdy po spotkaniu weszli do sali redakcyjnej, Twist objął Burke’a za ramię.

– Jak ci się podobała moja niespodzianka?

– Cholernie zaskakująca. – Billy uprzytomnił sobie, że należało o wszystkim powiadomić Gerarda LaFrancois, by uprzedził swego przełożonego, szefa finansów miejskich, o szykującej się niezłej robocie.

Twista nadal nie opuszczał odświętny nastrój samozadowolenia.

– Tylko poczekaj, jak maszyna pójdzie w ruch. Całe miasto postawimy na głowie. – Szturchnął Burke’a w bok. A teraz trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Zrób na jutro streszczenia postanowienia sądu. Wreszcie jesteśmy na drodze do Pulitzera.

Rozdział dwudziesty szósty

Twist usadowił się na krześle stojącym naprzeciwko biurka Harolda Wainwrighta. Tym razem przybył do prezesa sam. Zastępca naczelnego wydawnictwa nadal był w podróży po stanowych oddziałach gazety, a Twist postanowił nie powiadamiać Mitcha Coffeego i bez świadków zameldować się u szefa.

Miał do przekazania bardzo dobre wiadomości, a to zawsze lepiej robić indywidualnie.

Wainwright, jak zwykle, siedział sztywno za biurkiem, w nieskazitelnie białej koszuli, w kamizelce i starannie wyprasowanym garniturze. Sprawiał wrażenie manekina w ekskluzywnym sklepie dla panów. W ogóle nie przeszkadzał mu lipcowy upał. Twist uświadomił sobie, że facet z klimatyzowanego gabinetu wsiada przecież do klimatyzowanej limuzyny, jedzie na obiad do klimatyzowanej restauracji, a potem powraca do klimatyzowanego mieszkania. Należało przypuszczać, że co najmniej od dziesięciu lat Wainwright nie spocił się i nie zgrzał.

Prezes uśmiechał się, choć jego oczy pozostawały zimne, wręcz wrogie, a nienaturalnie przylizane i błyszczące włosy przypominały hełm chroniący głowę.

– Sekretarka mówiła mi, że masz dla mnie jakąś przyjemną wiadomość zaczął Wainwright.

– Bardzo przyjemną. – Twist streścił przebieg ostatnich wydarzeń, po czym położył na biurku poranne wydanie gazety, którego czołówka ogłaszała:

MAŁY CHŁOPIEC TRWA PRZY ŻYCIU

Spóźniona operacja powodem stanu krytycznego

Wainwright przeczytał kilka akapitów i uśmiechnął się.

– Jakie rokowania? – Zapytał, nie gasząc uśmiechu.

– Bezpośrednio po operacji pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Teraz, przed trzydziestoma minutami, jakieś sześćdziesiąt do czterdziestu na korzyść chłopca.

– Jego szanse wzrastają z każdą godziną, ale lekarze twierdzą, że to nadal gra w ruletkę. – Twist podniósł ręce w geście bezradności czy ostrzeżenia i dodał: Mam w związku z tym pewien pomysł. – Mówił powoli, ostrożnie, z namysłem dobierając słowa. – Gdyby doszło do najgorszego, sądzę, że powinniśmy rozważyć powołanie do życia funduszu imienia Roberta Avalona.

– By pomóc innym dzieciom, jakie mogłyby się znaleźć w podobnej sytuacji? –

domyślił się Wainwright.

– Właśnie. Wiem, że to nie najlepsze zakończenie, ale pozwoli nam kontynuować temat i wykorzystać go do ściągania ogłoszeń.

Prezes skinął głową.

– Tak, nieźle wykombinowałeś. Niemniej to gorsza, mniej atrakcyjna alternatywa. – Wainwright stukał się palcami po policzku. – Ostatecznie, drogi Leonardzie, zaczęliśmy kampanię z myślą o ratowaniu chłopca. Wszyscy zatem, nasi czytelnicy, ogłoszeniodawcy, a wreszcie, co oczywiste, członkowie zespołu, chcieliby, aby cel został osiągnięty. – Przez chwilę się zastanawiał. A więc na razie relacjonujemy naszą aktualną działalność. – Podniósł palec wskazujący. – Żadnych oszczędności. Proszę to wyraźnie powiedzieć w szpitalu. – Wainwright teraz stuknął palcem w leżącą przed nim gazetę. Wygląda na to, że rekonwalescencja pochłonie jeszcze wiele pieniędzy. Poza tym, przez całe życie dzieciak będzie potrzebował jakichś leków.

Twist przytakiwał głową.

– Ta informacja ukaże się w kolejnym wydaniu. W ten sposób na okres wielu tygodni przeciągniemy kampanię zbierania funduszy.

Wainwright wysunął kciuk na znak akceptacji.

– Tak – powiedział. – To może trwać nawet dłużej. Dobrze by było, by nasze działy reklamy i promocji wzmogły swoje wysiłki. – Prezes gładził się po podbródku. – Odnoszę wrażenie, że do tej pory doskonale prowadziłeś całą akcję, Leonardzie. Z tego, co mówisz, wnioskuję, że poczynania Burke’a są już pod kontrolą.

– Całkowicie.

– Jakie są plany wobec jego osoby?

– Sądzę, że mamy wiele czasu na podjęcie dalszych kroków – odpowiedział Twist.

– Zgoda. Teraz świetnie się spisuje. Nie można tego nie dostrzegać i nie uszanować. A co zamierzasz zrobić z lekarzami, którzy z taką energią grabili miasto?

Twist położył na biurku prezesa kolejną porcję materiałów, w tym informację o śledztwie wszczętym przez Sorrentino. Wainwright uważnie czytał teksty, kilkakrotnie parszkając śmiechem.

– To zagranie z Sorrentino było genialne. Twój pomysł?

– Tak.

Wainwright ponownie stukał się palcami w policzek.

– Możemy być skrytykowani, że uciekamy się do oficjalnego śledztwa, aby wyjaśnić zagadnienie związane z naszym własnym tematem. Z drugiej jednak strony, to równocześnie uniemożliwi konkurencji przemilczenie całej sprawy.

– Oczywiście. Zyskaliśmy uprawomocnienie. Wzmacniamy się z dnia na dzień. –

Twista ponosiły emocje. – Wszystkie media muszą iść za naszym przykładem i powtarzać informacje podane przez „Globe”.

– Nie ma wątpliwości, że tematu zignorować nie mogą.

– Po prostu się nie ośmielą. Wiedzą, że z Sorrentino tak grać nie wolno. Na dodatek szpital zapewnił nas, że codziennie będzie prowadził konferencje prasowe informujące o stanie zdrowia chłopca.

Wainwright ponownie zachichotał.

– Jak się wam udało namówić ich do tego?

– Łudzą się, że przymrużymy oko na niektóre występki, a Bradforda najwyraźniej rzucają na pożarcie.

Prezes znów się zaśmiał i zaczął palcami bębnić po leżących przed nim materiałach.

– Jak to przeczytają, mogą uznać, że zostali oszukani i przerwą konferencje prasowe.

– Wystarczy, by zwołali jedną. Wtedy przedstawiciele prasy, telewizji i radia będą się domagali następnych. Poza tym gotowi są zrobić wszystko, by opinia publiczna odniosła wrażenie, że są rzeczywiście zatroskani losem chłopca.

Wainwright wyprostował się w fotelu i przez chwilę oceniał wypowiedzi Lenny’ego.

– Oczywiście, muszą zachować pozory – stwierdził w końcu. – Faktem jednak jest i pozostanie, że jedynie „Globe” martwi się o zdrowie dziecka. My jesteśmy gazetą prostego człowieka. To przysparza nam sympatii, czytelników i ogłoszeń, a tym samym pieniędzy. I nie widzę żadnych powodów, by istniejący stan rzeczy uległ zmianie.

– Ja również – dodał szybko Twist.

Mały, pięcioletni Roberto niemal ginął w pościeli i bandażach. Do nosa dziecka doprowadzona była rura respiratora. Inne gumowe połączenia odprowadzały to, co wyrzucał pęcherz i system trawienny chłopca. Organizm zasilala kroplówka. Cała sieć przewodów elektrycznych łączyła leżącego z monitorami wiszącymi na ścianie, nad łóżkiem. Elektroniczny wykres odzwierciedlał pracę serca, a jednostajne cykanie współgrało z tętnem malca.

Stojąc w nogach łóżka, Burke patrzył raz na dziecko, raz na monitory. Spoglądał na krzywą pracy serca i uprzytomnił sobie, że teraz, tak jak dwukrotnie podczas operacji, sinusoida też mogła się w każdej chwili przemienić w jednolitą, równą linię.

Ponownie przeniósł wzrok na twarz chłopca. Roberto znajdował się pod wpływem lekkich leków znieczulających i co chwila zapadał w sen. W tej chwili jednak dzieciak patrzył na Billy’ego, więc dziennikarz uniósł kciuk na znak, że wszystko w porządku. Maria wzięła syna za rękę, a babka wypowiedziała cicho kilka słów po hiszpańsku.

Julia stała za Burke’em, całym ciałem przytulona do męża.

Burke sięgnął do torby, którą trzymał w ręce, i wyciągnął rękawicę do baseballu. Podniósł wysoko, aby Roberto mógł dokładnie zobaczyć swój wymarzony prezent.

Oczy Roberta zabłysły leciutko, ale mięśnie twarzy nawet nie drgnęły. Dziecko było nazbyt słabe, by móc wyrazić zadowolenie. Burke palcem pokazał napis na rękawicy: „Roberto Clemente”. Wargi chłopca nieznacznie się poruszyły.

Szybkim krokiem weszła do pokoju pielęgniarka i stanęła przy łóżku, pomiędzy Robertem a jego babką. Sprawnie sprawdziła notowania i zaczęła poprawiać kroplówkę. Na chwilę odwróciła głowę i rzuciła spojrzenie na Burke’a i Julię.

– Tylko kilka minut – oznajmiła. – Może być najwyżej dwoje odwiedzających. Pacjent potrzebuje spokoju.

Po tych słowach przystąpiła do sprawdzania bandażu podtrzymujących igły kroplówek.

W tym właśnie momencie tułów Roberta wygiął się nagle łukiem, a kończyny zaczęły wykonywać konwulsyjne ruchy. Pielęgniarka przycisnęła ciało chłopca do łóżka, ale ręce malca nadal spazmatycznie drgały, uderzając kobietę w twarz. Siostra szybko cofnęła głowę, co spowodowało, że szklany pojemnik z kroplówką spadł i roztrzaskał się o podłogę.

Pielęgniarka walczyła, by utrzymać dziecko na łóżku, ale wszystkie członki skręcały się coraz bardziej gwałtownie.

Burke przyszedł z pomocą. Mocno objął nogi małego. Pielęgniarka skorzystała z okazji i włączyła przycisk wewnętrznego telefonu stojącego na stoliku przy łóżku.

– Kod niebieski! Powtarzam, kod niebieski! Powtarzam! – krzyczała w kierunku mikrofonu, a potem wciśnięta pomiędzy Burke’a a ciało dziecka, zaczęła uciskać tętnicę szyjną.

Z trzaskiem otwarły się drzwi i do pokoju wpadły dwie pielęgniarki, a za nimi wbiegli dwaj lekarze.

Jeden z nich po prostu odtrącił Burke’a i wrzasnął:

– Wyjść!

Billy dał krok do tyłu, a siostra zasunęła kotary wokół łóżka. Maria i Consuelo łkały histerycznie. Burke odwrócił głowę i zobaczył, jak Julia tuli do siebie obie kobiety. Miała szeroko otwarte oczy i przerażoną twarz.

Salę wypełniał szloch Marii i jej przerywany głos:

– O Boże... nie... moje dziecko... moje dziecko... nie... nie.

Julia wtuliła w swoje ramiona głowę Marii, co przytłumiło płacz. Consuelo padła na kolana i modliła się.

Burke stał obok nich, bezsilny, z opuszczonymi rękami. Poczł w pewnej chwili, że

jego nogi i ręce drżą.

Do pokoju wpadł doktor Salazar i zniknął za kotarą. Padały jakieś komendy lekarskie. Burke patrzył, ale widział jedynie stopy poruszających się wokół łóżka. Jedna z nóg coś kopnęła i spod firanek wysunęły się rękawice baseballowe.

Schylił się, podniósł rękawice i ścisnął je tak mocno, jakby od tego mogło cokolwiek zależeć.

Minęło pięć, dziesięć minut i zza firanek wyszedł Salazar. Maria podeszła do niego, a on wziął ją w ramiona i mówił coś po hiszpańsku. Lekarz podniósł potem oczy i popatrzył na Burke'a oraz Julię, zdętwiałych z przerażenia.

– Już po wszystkim. Teraz jest stabilny – powiedział.

Burke upuścił rękawice i na chwilę ukrył twarz w dłoniach. Oddychał ciężko. Słyszał, jak stojąca obok Julia walczy ze szlochem.

Gdy opuścił ręce, pielęgniarki odsłoniły kotary i zaczęły zbierać rozbity pojemnik na kroplówki. Burke patrzył na małe kształty chłopca pośrodku łóżka. Zatrzymał wzrok na piersi, która miarowo podnosiła się i opadała. Spojrzał potem na twarz małego. Była całkowicie bezbarwna.

Salazar wziął Burke'a pod ramię.

– Muszę was prosić, byście teraz opuścili salę – powiedział. – Tylko matka i babka mogą pozostać. Będzie też przy nim pielęgniarka.

Burke posłał lekarzowi pytające spojrzenie. Salazar pokręcił głową.

– Nie, nie oczekują kolejnych ataków – odparł łagodnie. – W pokoju jednak musi być możliwie cicho. Niech Roberto wypoczywa. – Wskazał głową na drzwi. – Chodźcie za mną, proszę.

Burke i Julia wyszli na korytarz. Po tym, co przeżyli przed chwilą, tutaj panował zdumiewający spokój. Doktor przetarł sobie dłońmi twarz. Sprawiał wrażenie wycieńczonego.

– Niewiele brakowało – oświadczył. – Gdyby w krytycznym momencie nie było przy chłopcu pielęgniarki, nie wiem, czybyśmy zdążyli.

Burke chciał zadać pytanie, ale słowa grzęzły mu w gardle. A gdy wreszcie wydusił je z siebie, brzmiały dla niego samego dziwnie i obco.

– Jak to wygląda w tej chwili? – Na moment powstrzymał oddech. – Czy stan Roberta się pogorszył?

Salazar zaprzeczył ruchem głowy, ale jego oczy wyrażały niepewność.

– Nastąpiło pewne załamanie, ale prawdopodobnie osiągnęliśmy trwałą stabilizację. Zwiększyliśmy dawki leków. To powinno pomóc.

Spojrzenie Salazara nagle stwardniało, a na twarzy pokazał się gniew, do tej pory

starannie ukrywany.

– Gdybyśmy operowali przed miesiącem, nawet przed dwoma tygodniami, w każdym razie przed tym ostatnim atakiem. – Zamilkł i wpatrywał się w rękawice baseballowe, które Burke ścisnął właśnie w dłoniach. Salazar głęboko westchnął. Najwyraźniej z trudem opanowywał kipiącą w nim złość. – Gdybyśmy to zrobili we właściwym czasie, Roberto mógłby grać w tych rękawicach. Wziął od Burke’a rękawice i przymierzył.

– Doskonale pochwalił. – Chciałbym zobaczyć, jak rozgrywa w nich mecze.

Julia delikatnie dotknęła ramienia Salazara.

– Czy dzisiaj wolno nam będzie zobaczyć chłopca? – Jej głos brzmiał dziwnie obco. Burke prawie go nie rozpoznał.

Lekarz zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, dzisiaj nie. Może jutro. Do rana pozostanie pod czujną obserwacją. – Salazar przeniósł wzrok na Burke’a, a w oczach ponownie zapaliły mu się iskierki gniewu. – Wie pan, jeszcze kilka dni temu martwiłem się, co pan napisze o zawodzie lekarza i jak zostanie to przyjęte przez czytelników. – Na chwilę zamilkł. Teraz nie mam nic przeciwko, by pan powiedział ludziom, że w naszym zawodzie są tacy, dla których dyplom lekarski i szpitale nie są niczym innym, jak narzędziem do robienia pieniędzy.

Do sali redakcyjnej Burke powrócił około jedenastej następnego dnia. Do północy siedział w poczekalni szpitalnej.

Wyszedł dopiero wtedy, gdy jedna z sióstr poinformowała, że stan Roberta jest stabilny, a chłopak spokojnie śpi. Maria i Consuelo drzemały na kanapie w pokoju małego pacjenta. Wieczorem Julia przyniosła kolację, ale ani Maria, ani Consuelo niczego nie tknęły. Obie kobiety były przemęczone, fizycznie i emocjonalnie. Od wielu godzin nie opuszczał ich strach.

Maria drżącą ręką uścisnęła Burke’owi dłoń i raz jeszcze dziękowała mu za to, co zrobił dla jej syna.

Billy czuł się bezsilny. Przypomniawszy sobie, że po raz ostatni znajdował się w podobnym stanie, kiedy usłyszał nazwę choroby Annie. Te kobiety były jednak w gorszej sytuacji. Prognozy dotyczące Annie nie wspominały o możliwości zgonu. Nigdy nie istniało zagrożenie, że córeczka odejdzie i nigdy nie powróci.

Usiadł za swoim biurkiem. W głowie miał całkowitą pustkę. Tak jak przed jedenastoma godzinami, kiedy z Julią opuszczali szpital. Rano zatelefonował do kliniki i wysłuchał lakonicznego komunikatu lekarskiego. Stan stabilny.

Oznaczało to tylko jedno – chłopak żył. Burke zdawał sobie sprawę, że więcej nie

mógł oczekiwać. Pełny, całkowity i szybki powrót do zdrowia nie był możliwy. Nadzieja, że to małe, wątłe dziecko odzyska sprawność, już prawie wygasła. Salazar stale pocieszał, że postęp przyniesie nowe lekarstwa, które ułatwią leczenie Roberta. Stale powtarzał, że gdyby zabieg został przeprowadzony co najmniej kilka tygodni wcześniej, sytuacja zdrowotna chłopca wyglądałaby inaczej. Ostatni, tak dramatyczny w skutkach atak nastąpił zaledwie pięć dni przed zabiegiem.

Burke myślał o Bradfordzie mieszkającym w komfortowym domu w Westchester, otoczonym luksusem i dobrobytem. Grał rolę Boga, którego decyzji nikt nigdy nie miał prawa kwestionować. Jak to ujął Salazar? „Licencja lekarska była narzędziem do robienia pieniędzy”. Wydusił z siebie te słowa dopiero w stanie szoku spowodowanym kolejnym atakiem, jaki przeszedł Roberto.

Burke zaczął przeglądać własne teksty w porannym wydaniu „Globe”. Stawiał tam pod prejęciem Bradforda, ale to były tylko słowa. Pompatyczne, dobrze służące gazecie, ale bez znaczenia. Niczego bowiem nie zmieniały. W ciągu najbliższego roku umrze niewątpliwie z tysiąc „małych chłopców” i śmierci tej nikt nie zauważy, z wyjątkiem kilku osób pragnących iść z bezinteresowną pomocą, takich jak Salazar.

Tony Rice stanął za plecami Burke’a i położył mu rękę na ramieniu.

– Drogi przyjacielu, robisz wrażenie przygnębionego. Złe wieści o małym?

Billy potrząsnął głową.

– Nie, ciągle to samo. – Podniósł głowę i spojrzał we współczujące oczy Rice’a. Rozmyślałem o marnościach tego świata. – Uśmiechnął się smutno.

– Marność – powtórzył Rice. – Znam to słowo doskonale. W tłumaczeniu na język zrozumiały oznacza najczęściej uzalanie się nad własnym losem.

– Podejrzewałem, że jest w tym jednak coś więcej. – Burke ponownie pokiwał głową. – Sądziłem, że potrafię zrobić coś dobrego. Wydawało mi się, że znalazłem się na właściwej drodze. A potem te kaprysy losu...

– Tak zawsze bywa, miły kolego. Filozofowie pouczają nas, że to właśnie czyni życie interesującym. Mędrcy zawsze jednak są skłonni do pieprzenia głupstw. Nie sądzisz?

Fala wrzasku i przekleństw odwróciła ich uwagę od tematu. Ponownie zgiął fotel Pete’a Stavosa, a właściciel pieklił się i wydzierał na całą salę.

– Widzisz, mój drogi, to rzeczywistość – komentował Rice. – Dzieci umierają, żebracy grzebią w śmieciach, szukając wyrzuconych puszek z żarciem, wagony metra ponownie pokryto bohomazami, mimo że każdego dnia są zmywane i dezynfekowane, ulicą rządzą przestępcy i bandyci, a miasto popada w ruinę finansową. A pośrodku tego wszystkiego nasz przemiły kolega z Grecji pieklił się o jakiś zaginiony fotel. Świat

wariuje, a obywatel Stavos jest zwiastunem szaleństwa, jakie nadciąga.

Burke wybuchnął śmiechem.

– Boże, Tony, ty działasz tak krzepiaco! Z tobą chciałoby się startować w każdy kolejny dzień.

– Robię, co mogę. – Rice wsunął się w swój fotel i obrócił twarzą do Burke’a. Był uśmiechnięty, ale oczy miał śmiertelnie poważne. – Pamiętaj, że w sprawie Roberta dałeś z siebie wszystko. Jestem z ciebie dumny. Naprawdę.

Burke chciał mu podziękować, gdy nieoczekiwanie rozległ się donośny głos Twista. Billy obejrzał się i dopiero wtedy zrozumiał, że to właśnie jego wzywa Twist.

– Oto i nasz pan – mruknął Rice. – Biegnij, otrzymasz nowe polecenia.

– Gdy Burke wchodził do gabinetu, szef spacerował wokół biurka.

– Oczekiwałem ciebie o dziesiątej – zaczął kwaśno.

– Do północy siedziałem w szpitalu. Musiałem się wyspać – odpowiedział Burke.

Twist ścisnął w dłoni materiał, który Burke nadał ze szpitala po ataku, jaki przeszedł Roberto.

– Zatrzymałem to. Pójdzie w ramach jako wstawka w jutrzejszym wydaniu. To będzie bardziej ekscytujące. Chcę, byś dzisiejsze teksty przekazał do szóstej, już do nocnego numeru. Co przyjdzie potem, damy do wydania miejskiego i do ostatecznego. – Twist stanął i wymierzył palec w kierunku Burke’a. – O trzeciej jest konferencja prasowa szpitala. Ty ją obsługujesz. Postaraj się namówić tych pajaców z telewizji, by zadali odpowiednie pytania. – Zamachał rękami. Niech zapytają o przeciąganie przez Bradforda operacji do czasu otrzymania trzydziestu srebrników. W każdym razie coś w tym rodzaju.

Burke skinął głową, ale nie komentował sugestii Twista.

– Dobrze, pojedę do szpitala i zostanę tam, jak wczoraj, co najmniej do północy. Lepiej pilnować wszystkiego na miejscu, żeby nikt nas nie ubiegł z jakąś informacją.

– Nie nabijaj zbyt wielu nadgodzin. Jak emocje opadną, dobiorą mi się do tyłka, że wydałem za dużo.

– Nie liczę nadgodzin – odparł Burke.

– Doskonale. – Naczelný z aprobatą kiwnął głową. – Co słyhać u małego?

– Bez zmian. Byłem w jego pokoju, kiedy dostał konwulsji. Myślałem, że to już koniec.

Twist patrzył przez chwilę na swoje buty, potem ponownie przeniósł wzrok na Burke’a.

– Prezes telefonował do kogoś znajomego z komisji szpitala. Dał wyraźnie do zrozumienia, że klinika ma tylko jedną możliwość choć częściowego uratowania się

z grożącego jej nieszczęścia, to znaczy musi utrzymać chłopca przy życiu.

Teraz Burke spuścił wzrok. Na usta cisnęło mu się pytanie, czy Wainwright nie zadzwonił przypadkiem do Pana Boga i nie poinformował go, jak „Globe” wyobraża sobie zakończenie sprawy.

– Jestem przekonany, że na pewno wezmą pod uwagę ostrzeżenie prezesa rzekł w końcu.

Twist przyglądał się reporterowi uważnie, doszukując się w wypowiedzianych przez niego słowach sarkazmu.

– Do odwołania nie zajmujesz się niczym innym, tylko tym tematem oświadczył po chwili. – Chcę, abyś był dokładnie i na bieżąco informowany o stanie małego i śledził wszelkie nowe wydarzenia. – Zachichotał. – Na przykład, gdyby Bradford powiesił się w garderobie. – Szybko jednak zakończył żarty i kontynuował: – Musisz też pilnie śledzić, co dzieje się w biurze Sorrentino. Oczywiście, jeszcze za wcześnie na wyniki dochodzenia, ale może uda się nam zrobić zdjęcia, jak strażnicy miejscy wynoszą pudła z aktami ze szpitala.

– Tak, to ważne – przytaknął Burke.

Twist spojrzał na Billy’ego ze zdziwieniem, jakby nie pojmował, co dziennikarz jeszcze robi w gabinecie. Dodał bowiem:

– Na co czekasz? Do roboty.

O pierwszej na wszystkich frontach panował całkowity spokój, a Tony Rice i Eddie Hartman namówili Burke’a, by poszedł z nimi na obiad do „Costello”.

– Ja jadam wyłącznie z dziennikarskimi gwiazdami – zapewniał Hartman. A po dzisiejszych publikacjach twoje notowania wyraźnie wzrosły.

Gdy wkroczyli do „Costello”, Burke przyjął szereg gratulacji. W klubie, jak zwykle o tej porze, panował ścisk i gwar. Przy barze urzędowali korespondenci zagraniczni i zapewne opowiadali sobie historie, którymi raczyli się wczoraj wieczorem, ale ponieważ byli pijani, nikt niczego nie zapamiętał. Burke, Rice i Hartman zajęli stolik niedaleko baru i przyglądali się, jak kelner Herbie obsługiwał stolik obok, podając jednemu z klientów zupę.

– Boże, po co ja tu przychodzę na obiady? – westchnął Rice, patrząc, jak Herbie wyciera sobie mokry palec o spodnie, ponieważ właśnie przed chwilą wyjął go z zupy gościa.

Hartman z zainteresowaniem przyglądał się kelnerowi, niewysokiemu grubasowi po sześćdziesiątce, ubranemu we frak zapewne mający tyle lat ile właściciel.

– Tu przychodzi się dla atmosfery – oznajmił Hartman. – W żadnym innym lokalu

w mieście nie spotkasz kogoś takiego jak Herbie.

Wspomniany mężczyzna podszedł teraz do pracowników „Globe”.

– Herbie tu, Herbie tam – mruzczał. – Co wam podać?

– Rice patrzył z zainteresowaniem na starzejącego się kelnera.

– Wszystko, byle nie zupę – powiedział.

– Zupa dziś znakomita – zachwalał Herbie z absolutnie niewinnym wyrazem twarzy.

– Skąd wiesz? – dopytywał się Rice. – Ssałeś swój kciuk?

Herbie zamrugał kilkakrotnie i machnął tacą.

– Jestem bardzo zajęty – ostrzegł. – Jak nic nie chcecie, idę do innych.

Rice zamówił „hamburgera nie dotykane go łapą neandertalczyka”. Hartman i Burke poprosili o to samo, a do tego trzy butelki piwa.

Nigdy więcej już nie tknę tu żarcia – złościł się Rice, patrząc za oddalającym się w kierunku kuchni Herbiem. – I przysięgam, że jak znajdę ślad ludzkiego palucha na hamburgerze, zeklnę cholernego gnoma przy wszystkich.

– Słyszałem, że Herbie oblizuje ogórki, zanim położy je na talerzu – szepnął Hartman i patrzył, jak Rice się wstrząsa. Uśmiechnął się złośliwie do Burke’a i dodał: – Nasz lord Haw Haw co najmniej do końca tygodnia nie przełknie specjalów „Costello”. – Wskazując głową na grupę brytyjskich korespondentów rozrabiających przy barze, dorzucił: – Jednak przyjdzie tutaj. Gdzież indziej mógłby usłyszeć najświeższe wiadomości o królowej?

Burke parsknął śmiechem. Cieszył się, że przyszedł razem z kolegami na lunch. Potrzebował właśnie towarzystwa Rice’a i Hartmana. Przy nich mała napięcie, jakie odczuwał od kilku dni. Patrzył na tłum dziennikarzy, zadowolonych, wierzących w siebie, przekonujących się wzajemnie, że mają wszystkie cechy decydujące o przynależności do ekskluzywnej grupy żurnalistów. Obserwował podnieconych, rozgorączkowanych mężczyzn i stwierdził, że także on jest jedną z tych żyjących w wiecznym stresie osób.

W pewnym momencie w samym centrum baru dostrzegł Frankiego Fabia, a obok niego Bena Rostantino, szefa finansowego redakcji informacji. Billy postanowił zapytać Fabia, czy już wiadomo, jakie są plany Twista w sprawie publikacji dotyczących awantury ze szpitalem.

Gdy zbliżył się do siedzących przy barze, zauważył, że Rostantino jest przygnębiony. A rzadko widywało się twarz Bena pozbawioną uśmiechu. Pomimo ogromnie skomplikowanych i w praktyce niemiłych obowiązków, jakie na nim spoczywały, był chyba najbardziej lubianym i najpogodniejszym człowiekiem w redakcji. Dziś jednak Rostantino, wpatrzony w stojący przed nim drink, robił wrażenie kogoś pogrążonego

w głębokiej depresji. Natomiast Fabio aż kipiał z wściekłości.

Burke podszedł i położył rękę na ramieniu Rostantino.

– Co się dzieje, Ben? Przeglądałeś listę moich wydatków z zeszłego tygodnia? – zażartował. Rzucił potem okiem na Fabia. – I ty, Cheech, nie wyglądasz na uradowanego – dodał.

Rostantino spojrział na Burke'a wzrokiem pełnym strachu i frasunku.

– Jak mały chłopak? – zapytał nieco zmienionym głosem.

– Nadal walczy o życie – odpowiedział Burke. – Lekarze przypuszczają, że wyjdzie z tego, ale nigdy nie będzie okazem zdrowia. O kilka tygodni za późno znalazł się na stole operacyjnym.

Ben odwrócił oczy i potrząsał głową. Burke przeniósł wzrok na Fabia. Rozgniewana twarz Frankiego przybrała kolor purpury.

– Posłuchaj, co Ben ma do powiedzenia – mruknął Cheech.

Rostantino nadal patrzył w innym kierunku. Burke dopchał się do samego baru, by być bliżej księgowego. Ben spojrział teraz na Billy'ego, a rozmowa stała się łatwiejsza. Burke zwrócił uwagę na poszarzałe oblicze Bena.

– Mam wnuka w wieku Roberta Avalona – zaczął ponurym głosem Rostantino. – Billy, to nie tylko lekarze wykręcili numer dzieciakowi. I wcale nie tylko szpital.

Burke poczuł się tak, jakby mu na plecy położono zimny kompres.

– O czym ty mówisz? – zapytał przez zaciśnięte gardło.

– „Globe” też się do tego przyłożył – dokończył księgowy.

– Burke na chwilę oniemiał.

– Jak to, Ben? Gadaj szybko – wyrzucił wreszcie z siebie.

– Chodzi o fundusz zbierany na opłacenie operacji chłopca mówił już spokojniej Rostantino. – Ja pilnowałem wpływów od strony księgowości, ale generalnie wszystko kontrolowała redakcja informacji. Po trzech tygodniach uzyskaliśmy już całą sumę. Wszystko. Dokładnie tyle, ile żądali lekarze. – Potrząsnął głową. – Pieniądze zaczęły napływać zaraz po twoich pierwszych publikacjach. Nie nadażaliśmy z liczeniem. – Twarz Rostantino wykrzywił bolesny skurcz. – Dziewięćdziesiąt tysięcy zielonych. A to jeszcze nie wszystko.

Teraz mamy dwa razy tyle.

Burke poczuł, że wnętrzości skręca mu narastająca złość, a na czole wystąpiły krople potu.

– Dlaczego więc zwlekano z przekazaniem honorarium? Skąd te oświadczenia, że trzeba więcej czasu? Po co kłamstwa, że nad funduszem czuwa inny wydział i nikt na razie nie wie, ile zebrano?

– Ponieważ rosły nakłady pisma i reklamy – uciął ostro Ben. – Kiedy powiedziałem Twistowi, że mamy już potrzebne pieniądze, popatrzył na mnie i oznajmił: „Nie, jeszcze nie mamy”. Dodał, że nie widzi powodów, by przerywać kampanię. „Nie wyciągniemy wtyczki przed czasem”. To jego słowa. Ponadto poinformował mnie, że sam prezes zdecyduje, kiedy zakończymy zbiórkę.

Dlatego właśnie wysłał ciebie do Wounded Knee – dorzucił Fabio. – Byłeś zbyt blisko odkrycia prawdy i doprowadzenia śledztwa do końca. Chciał zwolnić tempo wydarzeń i pozbyć się ciebie na kilka tygodni. Gdybym tylko wiedział. Gdybym na to wpadł... – Fabio nie dokończył i poczerwieniał jeszcze bardziej.

– Ohydny ciul. Burke’a ogarnęła jakaś drżączka. Widział teraz Roberta w stanie konwulsji. Słyszał słowa Salazara: „Gdybyśmy mieli chłopca na stole operacyjnym przed ostatnim atakiem...” A incydent ten zdarzył się pięć dni przed operacją. Chociaż nawet później Twist robił, co mógł, by opóźnić operację.

Billy spojrzął na księgowego i dostrzegł w jego oczach poczucie winy.

– Próbowałem, Billy. Naprawdę. Poszedłem nawet do Coffee’a, ale Mitch powiedział mi to samo. Myślał tak jak Twist. Kazał mi się zająć wyłącznie finansami, a resztę zostawić redakcji informacji. Wykonałem polecenie. A teraz... – Potrząsnął głową i spuścił wzrok.

– Rozszarpie gnoja na kawałki – warknął Burke.

Chciał ruszyć do wyjścia, ale Fabio go zatrzymał.

– Nie, nie rób głupstw. Najpierw zzbierz dowody, a dopiero potem zmusz drani, by zdrowo zapłacili za swoją niegodziwość – wyrzucał z siebie ze złością.

To zatrzymało Burke’a. Rostantino odwrócił się na stołku do Billy’ego, złapał go za ramię i mówił:

– Darowizny wpływały na specjalne konto. Miesięczne sprawozdania leżą na moim biurku. Wykazane są tam codzienne wpływy co do jednego centa.

Burke popatrzył na Bena, skinął głową i runął do drzwi.

Drogę do redakcji, trzy przecznice, przebył galopem.

Przebiegł przez hol i wpadł do otwartej właśnie windy. Gdy wysiadł na siódmym piętrze, pędem minął poczekalnię. Siedząca za biurkiem Thelma patrzyła na reportera ze zdumieniem i wzruszyła ramionami, przekonana, że Billy też dołączył do grona zbikowanych, z którymi miała do czynienia każdego dnia. Burke tymczasem wpadł do sali redakcyjnej.

Pokój Rostantino znajdował się na końcu pomieszczenia. Burke wszedł do biura księgowego i szybko zbliżył się do biurka. Sprawozdania bankowe znajdowały się na samym wierzchu. Otworzył teczkę i przeglądał kolumny cyfr. Były jednoznacznie

czytelne. Pieniądze na operację leżały na koncie od tygodni.

Burke schował akta do kieszeni i opuścił pokój Bena. Powoli szedł przez salę. Oczy miał utkwione w oszklonym gabinecie Twista.

Gdy Billy wkroczył do biura, naczelny siedział i czytał materiały porzucane na biurku. W pierwszej chwili Lenny nie dostrzegł reportera, a kiedy podniósł głowę, uśmiechnął się ironicznie. Twarz jednak natychmiast spoważniała Twistowi na widok wyrazu oczu Burke'a.

Zanim padły jakiegokolwiek słowa, Billy podszedł i chwycił szefa za kłapy przy samym gardle. Dziennikarz potrząsnął przełożonym i uniósł go, co spowodowało, że fotel, na którym siedział Twist, z trzaskiem poleciał na podłogę.

Burke z całej siły wyrzwał ciałem Twista o mur. Powtórzył to potem kilkakrotnie, a gdy rozwarł dłonie, naczelny bezwładnie osunął się na podłogę.

– Ty marny ciulu! – Zachrypnięty głos Burke'a drżał pod wpływem wściekłości. Twist, leżąc na podłodze, patrzył na Billy'ego z przerażeniem i niedowierzaniem. Mrugał przy tym spazmatycznie i najwyraźniej nie był w stanie czegokolwiek powiedzieć. Udało mu się to dopiero po chwili.

– Co...? Co...? Boże... oszalałeś... ja...

Burke wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął raport bankowy zabrany z biurka Bena. Rozłożył papier i podstawił Twistowi pod nos.

– Mielicie wszystko – syczał. – Już dawno zebraliście potrzebną kwotę.

Igraliście z ogniem. Ale przegraliście, sukinsyny. To nie Bradford. Nie ten pieprzony szpital. To ty i ta przeklęta gazeta. Ty srałeś na życie chłopaka. Ty odebrałeś mu ostatnią szansę, jaką jeszcze miał. I z całym spokojem oznajmiłeś: „Odpieprz się, koleś. Nie dziś. Nie jutro. Dopiero jak wycyckamy ostatniego centa z tej twojej historii”. – Burke ponownie złapał leżącego za kłapy, przyciągnął do siebie i huknął nim w ścianę. Potem jeszcze raz i jeszcze raz, za każdym uderzeniem wyrzucając z siebie:

Wykorzystałeś mnie... Robiłeś ze mnie idiotę... Ty jesteś winny cierpień chłopca... Każdej łzy matki!

Twist usiłował oderwać ściskające go jak obcegi ręce Burke'a, ale nie dawał rady. Oczy zaczęły mu uciekać w tył głowy, był półprzytomny. Billy puścił wreszcie swą ofiarę i wyprostowany patrzył, jak naczelny niezdarnie usiłuje podnieść się z podłogi.

Potem pochylił się, wziął klęczącego Twista za podbródek i podniósł mu głowę. Patrzył zdrajcy prosto w oczy.

– Pani Avalon otrzyma teraz ten raport bankowy, Lenny. Dostanie też nazwisko najlepszego adwokata w tym mieście. A gdybyś kiedyś w przyszłości spotkał mnie na ulicy, to zmykaj, ile masz sił w tych swoich krzywych nóżkach.

I módl się do Boga, byś zdołał biec wystarczająco szybko.

Burke ruszył do wyjścia.

– Ty nie możesz... nie możesz mieć... raportu... To własność... „Globe”.

Nie wolno... wynosić tego... z budynku...

Burke stanął i odwrócił się. Twist, skulony na kolanach, podpierając się rękami, sunął w jego kierunku. Billy popatrzył na szefa z góry i gorzko się uśmiechnął.

– Pieprz się, Lenny. Raport przysłał ktoś anonimowo w brązowym papierze. Ja tylko pomogę kobiecie zweryfikować dokument. A jeśli jest prawdziwy i oryginalny, to adwokat na pewno odeśle go właścicielowi.

Twist usiłował wstać z podłogi, ale przewrócił się i ostatecznie usiadł, opierając się o ścianę. Nadal ciężko dyszał, ale po chwili wykrztusił:

– Ty już nigdy... nigdy... nie znajdziesz pracy w jakiegokolwiek... redakcji. Przez moment z trudem łąpał powietrze, potem znowu zaczął wyrzucać z siebie: – Nikt... nigdy... ciebie nie zatrudni... Nigdy!

Burke potrząsnął głową.

– Mały, patetyczny gówniarz. Nawet gdybyś niczego innego nie dokonał w swoim marnym, pieprzonym życiu, to postaraj się przynajmniej spełnić tę obietnicę. Czekam. – Burke mrugnął do naczelnego i dodał: – Zapewne spotkamy się w rejestracji dla bezrobotnych.

Burke wyszedł. Pewnym krokiem przemierzał salę. Przy stanowisku sekretarza redakcji miejskiej stał zdyszany Fabio. Frankie biegł, by być świadkiem konfrontacji Billy’ego z Twistem. Na twarzy Cheecha widniał zarówno szyderczy, jak i smutny uśmiech. Mijając przyjaciela, Burke podniósł kciuk prawej ręki, sygnalizując zwycięstwo.

– Powodzenia, kolego – powiedział Fabio.

– Dziękuję, Cheech. Wybacz, ale się spieszę. Muszę znaleźć pewnej pani adwokata.

– Jak się domyślam, masz już plan.

Epilog

„The New York Globe” w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku nie otrzymał nagrody Pulitzera. Gdy wyłoniono zwycięzcę, przygotowane w sali redakcyjnej butelki szampana pozostały nie otwarte. Komitet Pulitzera, w swojej głębokiej mądrości, nagrodę za ten rok przyznał gazecie „Anchorage Daily News” (Alaska).

Leonarda Twista nie było w grupie rozczarowanych, oczekujących na decyzję jury w sali redakcyjnej. Nie zaproszono go nawet na „spotkanie nadziei”, chociaż Frank Fabio przekazał mu odpowiednią wiadomość. Dwa miesiące po ostatniej rozmowie z Billym Burke’em Twist złożył dymisję ze stanowiska redaktora naczelnego informacji. Rezygnacja została złożona w dzień potem, jak „Globe” polubownie załatwił sprawę skargi wniesionej do sądu przez adwokata działającego w imieniu Roberta Avalona. Dziś Twist prowadzi małą, ukazującą się raz na tydzień gazetę, wydawaną na prowincji w północnej części stanu Nowy Jork.

Wysokość odszkodowania dla Roberta Avalona nigdy nie została ujawniona, ale opowiadano, że wynosiła pięć milionów dolarów z odsetkami, płatne w okresie dziesięciu lat. Wkrótce po uzgodnieniu tej sprawy Roberto został wypisany ze Szpitala Uniwersyteckiego. Pozostawał jednak pod opieką doktora Wilfreda Salazara. Dzięki zastosowaniu nowej generacji lekarstw mógł nawet grać z Burke’em w baseball. Powiedział też Billy’emu, że sprezentowana rękawica jest „najlepsza z najlepszych”.

Potem chłopiec z matką i z babką wyjechali do Portoryko. Kilka lat później Roberto powrócił do Nowego Jorku i ukończył studia na Uniwersytecie Columbia i w Szkole Medycznej Uniwersytetu Nowy Jork. Obecnie jest chirurgiem i pracuje w dzielnicy ubogich, San Juan. Kilka razy w roku korespondują z Billym Burke’em, który zawsze podpisuje listy: „Twój stary”.

Billy Burke i Julia zeszli się i są razem. Początkowo nie było łatwo, ale czas, cierpliwość i wspomnienia wspólnie przeżytych, dramatycznych wydarzeń utrzymały ich związek. Każdy weekend spędzają w towarzystwie swojej córki, Annie.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku Julia urodziła syna.

Nadali mu imię Bobby. Bobby Burke pracuje obecnie w małej gazecie w stanie Vermont i marzy o karierze w wielkiej redakcji w Nowym Jorku. On sam uznaje, że takie marzenia ma w genach po ojcu.

Billy Burke nigdy nie powrócił do pracy w redakcji, chociaż pisuje artykuły dla różnych czasopism. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, za pozwoleniem Marii Avalon, opublikował swoją pierwszą książkę. Była to opowieść

o Robercie. Książka nie została przyjęta życzliwie przez recenzentów prasowych, chociaż przez kilka tygodni figurowała na liście bestsellerów „New York Timesa”. Potem ukazały się jeszcze trzy kolejne książki Burke’a, które sprzedawały się równie dobrze. Jednak jak wszystko, co Billy napisał w swojej karierze, opowieść o „małym chłopcu” nigdy nie przyczyniła się do zrealizowania się jego nadziei. W szczególności nie zmieniła niczego w profesji, którą ukochał i porzucił.

Podziękowania

Pragnę podziękować wielu osobom, które pomogły mi w napisaniu książki.

Doktorowi Michaelowi Badenowi, wielkiemu patologowi i człowiekowi, dziękuję za to, że odsłonił nieco tajemnic związanych z nowojorskim środowiskiem lekarskim; doktorom Josephowi Haddockowi i Richardowi Grunertowi za konsultację medyczną; Jamesowi Wade'owi i Zachary'emu Schisgalowi za wspaniałe rady edytorskie i wsparcie; i wreszcie wszystkim kobietom i mężczyznom, z którymi spędziłem wiele ekscytujących, zabawnych, cudownych lat w nieco zwariowanych salach redakcyjnych.